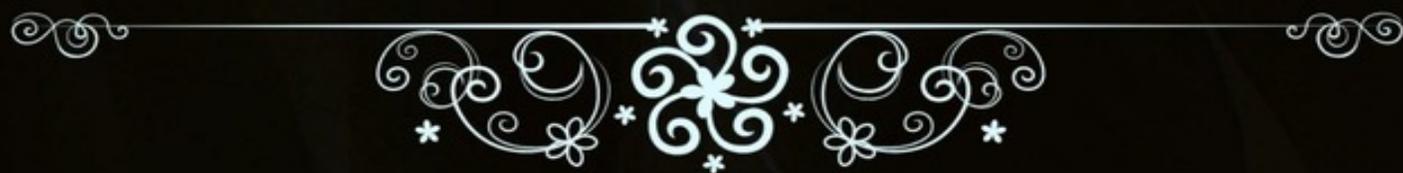


MARTYNA GOSZCZYCKA



POTWÓR
Z DAMANOR



WĘDROWCY MESTYRII
TOM I

Martyna Goszczycka

Potwór z Damanor

Wędrowcy Mestyrii - Tom I

Redakcja Karolakowo.pl Justyna Karolak
Korekta Zyszcak.pl Paulina Zyszcak
Projektant okładki Łukasz Poller
Ilustracje Łukasz Poller, Łukasz Ciżmowski

© Martyna Goszczycka, 2021
© Łukasz Poller, projekt okładki, 2021

„Potwór z Damanor” to pierwszy tom cyklu pt. „Wędrowcy Mestyrii”.
Poznajcie zielarkę Irvette, wojownika Wallace’a i samotnika Namira. Tajemnicza choroba dziewczyny łączy tych troje w walce o to, co słuszne. Czeka ich trudna, doprawdy zawiła droga...
Witajcie wśród malowniczych miast i wiosek, szeroko rozplanowanych struktur społecznych, skomplikowanych relacji i nieoczywistych powinności. Przeżyjcie niezwykłą przygodę w quasi-średniowiecznym świecie fantasy!

ISBN 978-83-8189-688-7
Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

[Potwór z Damanor](#)

[Przedślowie](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Epilog](#)

[Słownik](#)

[Cykl Mestyrii](#)

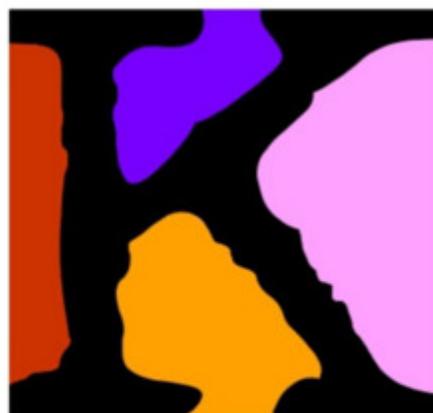
[Rasy i mieszkańcy](#)

[Krainy i ich bogowie](#)

[Miasta, wsie i inne istotne lokalizacje](#)

O autorce

PATRONI MEDIALNI



KAROLAKOWO

NatBlue

RW2010

Przedślowie

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki,

zanim zanurzy się w lekturę powieści, proszę — pochyłcie się nad tymi kilkoma zdaniem. Nie mogłabym bowiem przekazać tego tekstu w Wasze ręce i nie wspomnieć o osobach, które do wydania tej książki się przyczyniły, pośrednio lub też bezpośrednio.

Po pierwsze chciałam podziękować mojej redaktorce, Justynie Karolak, która pomogła mi doprowadzić ten tekst do stanu, w jakim obecnie go widzicie. Współpraca z Justyną była dla mnie niezwykle doświadczeniem. Od razu znalazłyśmy wspólny język, jakbyśmy znały się od lat. Wiele się dzięki niej nauczyłam i każdemu pisarzowi życzę tak wspaniałego redaktora: wnikliwego, sumiennego i niezwykle życzliwego. Sobie zaś życzę, by moja współpraca z Justyną trwała tak długo, jak to możliwe, a nasza znajomość utrzymywała się przez całe lata.

Po drugie: w przedmowie nie mogłabym pominąć moich bliskich, którzy być może nawet nie wiedzą, ile im zawdzięczam. Trzeba Wam, drodzy Czytelnicy i Czytelniczki, wiedzieć, że ten pierwszy tom cyklu o Potworze z Damanor powstawał w bardzo trudnym dla mnie czasie, którego nie przetrwałabym bez moich rodziców oraz siostry. Ich wsparcie było dla mnie nieocenione.

Po trzecie i najważniejsze: dedykacja. W moim życiu nie ma drugiego człowieka, który zasługiwałby na tę dedykację tak bardzo jak mój tata. Jestem przekonana, że gdyby nie on, nigdy nie napisałabym żadnego tekstu. To on zaszczepił mi miłość do książek, gdy jako dziecku czytał *Hobbita* do snu, tym samym wprowadzając mnie w niezwykle, pełen magii świat fantastyki. To wieczorne czytanie wspominam wielokrotnie, choć odbywało się lata temu.

Dlatego też sędę, że zarówno ta, jak i każda kolejna książka, jaką jeszcze napiszę, powstaje w pewnym sensie właśnie dzięki mojemu tacie.

Mojemu tacie



Rozdział I

1365

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dwójka wędrowców wjechała konno na rozległe wzniesienie. Wiatr targał połami ich płaszczy. Warkocz kasztanowych włosów podskakiwał za plecami dziewczyny jadącej na białym wierzchowcu. Obejrzała się przez ramię: szachownica łąk i pól ginęła już przy horyzoncie. Cirem — miasto, w którym oboje się wychowali — jeszcze wczoraj znaczyło swoje położenie zarysem strzelistej wieży świątyni Mestyrii, a dziś przestało być widoczne. Dziewczyna westchnęła cicho. Opuszczała Vaspern z ciężkim sercem.

Kątem oka zerknęła na towarzysza. Chłopak poklepał gniadego wierzchowca po grzbiecie, po czym podrapał się po rzadkim zaroście. Spojrzeniem piwnych oczu potoczył po malującym się w oddali gęstym borze porastającym granicę Caelterry. Znad królestwa tenare napływały ciemne, skłębione chmury, które przysłańały oblewające się czerwienią słońce. Młodzieniec raptem zamrugął i przeniósł wzrok na dziewczynę.

— Irvette? Jak twoja ręka?

Uspokoila konia, po czym podwinęła prawy rękaw jasnej bawełnianej koszuli. Opatrunek z nasiąkniętej olejkami tkaniny ciasno otaczał jej przedramię, poczynając od łokcia, a kończąc na nadgarstku.

— Bez zmian — odrzekła obojętnie i spojrzała na ciągnące się przed nimi tereny. — Bardziej obawiam się tego, jak potraktuje nas pan Silvaru.

— Przecież mówiłem ci już, że...

— Od wielu cykli utrzymuje bardzo dobre stosunki z twoim ojcem. Wiem, Wallace. Co nie znaczy, że przyjmie nas z otwartymi ramionami.

— Przyjmie — zapewnił ją towarzysz. — To nasza ostatnia deska ratunku. Irvette dotknęła zabandażowanej ręki.

— Tenare nienawidzą czarnej magii.

— Może właśnie dlatego będą wiedzieć, jak jej zaradzić. Iv, czy mój ojciec kiedykolwiek cię zawiódł? Nie wysyłałby cię do pana Silvaru, gdyby nie wierzył, że otrzymasz od niego pomoc.

— Próbowaliśmy już wszędzie. — Wzdrygnęła się od zimnego podmuchu wiatru.

— Nie tutaj. Pospieszmy się, Iv. Nie mamy czasu do stracenia.

Wallace spiął konia i popędził w dół łagodnego zbocza.

Irvette opuściła rękaw, narzuciła kaptur na głowę i wzięła głęboki wdech. Bolesne ukłucie sprawiło, że zacisnęła zęby. Nie wyznała przyjacielowi, że coraz trudniej jej się oddycha. Nie wspomniała o palącym bólu promieniującym spod bandaża na całe ramię i dłoń, którą z wielkim wysiłkiem utrzymywała wodze. Odczekała chwilę, cmoknęła na wierzchowca i podążyła za towarzyszem.

Na skraj gęstego lasu dotarli, gdy zapadł zmierzch. Księżyc wyjrzał zza gęstych chmur, dzięki czemu nie przemieszczali się w całkowitej ciemności. Zsiedli z koni i prowadzili je borem, wyciągając wzrok. W półmroku poruszali się gnuśnie, a konary utrudniały dopływ księżycowego, srebrzystego blasku, lecz po niedługiej wędrówce wkroczyli na obszar, gdzie drzewa stopniowo ustępowały miejsca szerokiej polanie. Na jej skraju, na wzniesieniu ujrzeni wielkie zabudowanie.

Fort tenare — postawiony na planie kilku połączonych prostokątów, wyposażony w szeroką wieżę i otoczony murem — był surowym kompleksem z masywnych kamiennych bloków. Wysokich, idealnie gładkich i pokrytych mozaiką różnych odcieni szarości, o których Irvette wiedziała, że powstały w niezwykłym procesie. Tenare za pomocą magii potrafili zmieniać konsystencję kamieni i skał, i przeistaczać je w gęstą masę, by potem na nowo ją utwardzać — w oczekiwanych już kształtach. Sama nie miała jeszcze okazji takich kształtów zobaczyć, lecz słyszała opowieści o budowlach, które całe

formowano z tej podatnej miazgi — bez konieczności odlewania i stawiania tradycyjnych bloków, przez co wyglądały jak starannie wykute w skałach.

Dwóch strażników właśnie zamykało wysokie wrota. Jeden z nich dzierzył pochodnię.

— Stójcie!

Dziewczyna skrzywiła się, usłyszawszy rozkazujący ton Wallace'a. W ten sposób nie mógł wyrzucić dobrego wrażenia. Chociaż w miarę upływu czasu ludzie i tenare darzyli się coraz większym szacunkiem, nadal dochodziło do napiętych sytuacji pomiędzy nimi. Irvette rzadko doświadczała ze strony długowiecznej rasy spojrzeń innych niż podejrzliwe lub oceniające. Kupców pojawiających się w Cirem łączyły z ludźmi raczej chłodne stosunki.

Strażnicy czekający przy wrotach nie byli wyjątkiem. Dwaj wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni patrzyli z jawną niechęcią na nią i Wallace'a. Odziani w skórzane zbroje ze stalowymi elementami, z halabardami w rękach prezentowali się nieprzystępnie, by nie powiedzieć, że wrogo. Trójkątne twarze barwiły się na pomarańczowo w świetle pochodni, chociaż naturalnie ich skóra miała szarawy odcień.

— Kto idzie?! — warknął jeden ze strażników, podczas gdy drugi zrobił kilka kroków do przodu i wyciągnął przed siebie pochodnię.

Irvette nie miała problemu ze zrozumieniem prostego tenarskiego, choć nauki języka, jakich doświadczyła podczas terminu u babki zielarki, koncentrowały się — zgodnie z wytycznymi starszyny cechu — głównie na zapisie i odczycie receptur.

— Wallace Bernett i Irvette Castire — oznajmił chłopak. — Jesteśmy tu z posłannictwa Connella Bernetta, rajcy wolnego miasta Cirem, mojego ojca. Chcemy się widzieć z naczelnikiem.

Jej przyjaciel przemawiał z idealnym akcentem. Jako syn rajcy miejskiego i bankiera, jednego z najbogatszych przedstawicieli mieszczaństwa zachodniej części Vaspern, miał szczęście, bo kształcono go w sztuce zarówno pisania i czytania, jak i rachowania czy właśnie języka obcego. Ojciec zatrudniał najlepszych nauczycieli, chcąc przygotować Wallace'a do prowadzenia interesu, przy którym ten już od dłuższego czasu mu pomagał.

Strażnicy milczeli chwilę, przybrawszy kamienne wyrazy twarzy. Ten stojący bliżej pochylił się nieznacznie i przypatrzył obliczu niższego od siebie Wallace'a. Chłopak zdjął kaptur i sięgnął za płaszcz, by z przypiętej przy biodrze niedużej sakwy wydobyć zwinięty pergamin. Tenare podał pochodnię drugiemu strażnikowi, odebrał od chłopaka papier i rozwinął go długimi palcami. Kiedy przestudiował treść dokumentu, powoli skinął głową.

— Możecie wejść.

— Masz nas zabrać do...

— Za mną! — zawarczał tenare.

Irvette zmierzyła przyjaciela wzrokiem. Od dawna uważała, że pod wpływem ojca Wallace stał się niezdolnie apodyktyczny.

Tenare zamknęli za nimi wrota i poprowadzili przez cichy dziedziniec. W małych okienkach wieży migotały światła wewnętrznych pochodni, jakiś przemykający w półmroku tenare spoglądał podejrzliwie w kierunku przybyszy. Uwiązali konie u wejścia głównej budowli, a worki z niedużym ekwipunkiem i bardzo skromnymi zapasami zabrali ze sobą. Dostali się do długiego korytarza zwieńczonego po obu krańcach wysokimi drzwiami, zza których dobiegały stłumione głosy. Jednak większą jego część zajmowały schody z gładko uformowanego kamienia. Strażnik poprowadził ich na górę, do kolejnych drzwi, w które uderzył kilka razy wierzchem dłoni. Otrzymawszy pozwolenie, wprowadził gości do środka.

Nieduży, kwadratowy pokój wypełniało niewiele mebli. W kącie stało łóżko na nogach ze splecionych grubych gałęzi. Wykonane w podobny sposób biurko, jednak o gładkim blacie, znajdowało się zaraz przy wejściu. Tuż przy łóżku mieściła się skrzynia, a przy ścianie z małym oknem — stół i dwa krzesła.

Za biurkiem siedział kolejny tenare. Opromieniał go blask świec bijący z kinkietu, jednak oblicze zachowało lekko siny koloryt. Miał smukłe ramiona, ubrany był w szatę z wysoko postawionym kołnierzem, tkaną z materiału zabarwionego na fioletowo. W obwisłych uszach tkwiły wbite ciężkie obręcze. Duże oczy mrużyły się, kiedy lustrował gości.

Strażnik przedstawił ich i pozostawił pergamin na biurku, po chwili wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Ten, który — jak domyślała się Irvette — był

naczelnikiem fortu, szybko przestudiował treść dokumentu, po czym zmierzył Wallace'a badawczo.

Między Cirem a O'rior, które spajały szlak handlowy biegnący przez tereny Caelterry i dużą część Vaspersn, nierzadko krążyli posłowie. Na skutek swego dogodnego położenia Cirem rozwijało się prężnie, aż zyskało niezależność od prowincji Umbros oraz jej diuka i przeistoczyło się w wolne, suwerenne miasto.

— Jako posłannik rady miejskiej i reprezentant Cirem proszę o udzielenie nam na tę noc odpowiedniego schronienia — zażądał chłopak.

Naczelnik wykrzywił usta w nieładnym grymasie.

— Kim jest twoja towarzyszka?

Irvette przełknęła niepokój. Wyprostowała się. Chociaż cisnęło jej się na usta kilka zdań, uznała, że bezpieczniej będzie się nie odzywać. Akurat jej wymowa tenarskiego pozostawiała wiele do życzenia. Przekonała się o tym nieraz w czasie sporadycznych kontaktów z kupcami.

— Ma do pana Silvaru wiadomość, którą może przekazać mu tylko osobiście — odparł Wallace.

— Czyżby? — Tenare uśmiechnął się pod nosem. — Wydaje mi się, że rozumiem. Niestety muszę cię zmartwić, pani — zwrócił się do Irvette. — Nie mamy tu odpowiednich warunków dla kobiety.

Wallace odchrząknął, a Irvette zdusiła pragnienie zapytania, co tenare miał na myśli.

— Nic innego nie mogę wam zaoferować — kontynuował naczelnik. — Prześpicie się w kwaterze na dole wschodniej wieży. Tej nocy powinna być pusta. Chyba że panienka ma coś przeciwko zalatującym potem siennikom.

Tym razem dziewczyna potrzebowała chwili skupienia. Naczelnik mówił szybko i za dużo naraz. Kiedy jednak dotarł do niej sens jego wypowiedzi, obdarzyła go chłodnym spojrzeniem i pokręciła głową.

Zostali przekazani pod pieczę strażnika — tego samego co wcześniej. Zabrał ich do ustalonego miejsca. Mrok na dziedzińcu zgęstniał, księżyc schował się za chmurami.

Na dole wieży znajdował się ciasny pokoik. Z ledwością mieściły się w nim dwie wysłużone prycze, choć upchnięto doń jeszcze skrzynię, a do ściany

przytwierdzono drewniany wieszak na broń. Strażnik zapalił dla nich pojedynczą pochodnię, następnie zostawił ich samych, rzuciwszy jeszcze przed wyjściem, że oporządzi ich konie, by rano były gotowe do drogi.

Irvette odetchnęła, gdy wreszcie zostali we dwoje. Rzuciła na ziemię ekwipunek i zdjęła płaszcz. Usiadła na skraju łóżka. Potworny odór potu unoszący się w całym pomieszczeniu nie był jej straszny. W swojej zielarskiej karierze leczyła niejedną cuchnącą, ropiejącą ranę. Podejrzewała, że Wallace znosi te warunki z większym od niej trudem. W zamyśleniu obserwowała, jak chłopak sprawdza zapasy.

— O co tu chodzi? — zapytała wreszcie. — Raptem zmienili swoje nastawienie.

Twarz chłopaka przybrała ciepły odcień, ale Irvette nie była pewna, czy to pąs, czy tylko poświata pochodni.

— Widzisz, wśród tenare panuje pewien zwyczaj — podjął, nie patrząc na nią. — Zwierzchnicy sąsiadujących ze sobą prowincji czasami przekazują sobie pewnego rodzaju prezenty. Gdy powiedziałem, że chcesz się spotkać z panem Silvaru osobiście, naczelnik musiał uznać...

— Że jestem pewnego rodzaju prezentem?

— Wcale nie miałem zamiaru nic takiego sugerować. — Wallace odwrócił się do niej; na jego twarzy malowało się zakłopotanie. — A jednak to nieporozumienie okazało się dla nas korzystne.

Kiedy usiadł na drugim łóżku, naprzeciwko niej, spojrzała na niego poważnie.

— Czemu którykolwiek tenare chciałby pojąć ludzką kobietę? Minęło ponad sto cykli od Wielkiej Wojny, lecz wielu nadal nami gardzi.

— Z tego samego powodu, dla którego strażnicy Cirem opowiadają o przygodach z kobietami tej rasy. To nie uwielbienie. To oznaka największej pogardy.

Ta odpowiedź wywołała nieprzyjemne obrazy w jej głowie. Natychmiast je odgoniła.

Wallace zdjął buty i brokatową kamizelkę — przykurzoną, ale nadal prezentującą się wyśmienicie.

— Naczelnik zapewne przyjął, że skoro przestrzegamy ich obyczajów, to chcemy okazać im wielki szacunek.

— A zwierzchnik? — zapytała dziewczyna. Szybko ściągnęła wełniane spodnie, a zostawszy w samych pantalonach przed kolano, wsunęła nogi pod drapiący koc. — Jesteś pewien, że jeśli będzie w stanie udzielić mi pomocy, nie zażąda pewnego rodzaju zapłaty?

Chłopak skromnie odwrócił wzrok. Bez zawstydzenia więc zdjęła koszulę, pod którą miała już tylko halkę. Nakryła się kocem pod ramiona i spojrzała w kąt, kiedy Wallace również zaczął rozbierać się do snu.

— Mój ojciec zna się z panem Silvaru od dawna. Sam spotkałem go tylko kilka razy, ale i ja odniosłem wrażenie, że jest godny zaufania. Nie musisz się obawiać, z jego strony nie spotka cię żadna krzywda.

Zanim położył się do łóżka, wygasił pochodnię. Oboje przez pewien czas milczeli, aż w końcu dziewczyna przerwała ciszę:

— Czy myślisz, że gdyby zobaczyli moje skażenie, zabiliby nas?

Dotknęła owiniętego zastygniętą tkaniną przedramienia. Patrzyła w ciemność. Minęła chwila, nim chłopak zdobył się na odpowiedź:

— Nie wiem.

— Z pewnością nie wpuściliby na swoje ziemie kogoś takiego jak ja. Nie dość, że człowiek, to jeszcze naznaczony czarną magią.

— Irvette, dopadło cię coś niedobrego, ale nie jesteś czarnym magiem — pospieszył z odpowiedzią, mocno ścisząc głos. — Nie masz tego typu zdolności, nie jesteś niebezpieczna dla innych.

— Tego ostatniego nie możemy wiedzieć — odparła sucho, po czym przewróciła się na bok. — Powinniśmy się przespać. Dobrej nocy, Wallace.

Collen, Najwyższy Kapłan Caitriony, mocniej naciągnął kaptur, by osłonić się przed osłepiającym srebrzystym blaskiem. Bijące zza oszklonej niszy światło pochłaniało całe prezbiterium. Proste kolumny i ołtarz z marmuru o złotym żyłkowaniu mieniły się w odblaskach. Kryjące się w pozostałych niszach posągi przedstawiały różne etapy walki kobiety ze smokiem. Raz w ludzkiej postaci, raz jako tenare, odziana w misternie wyrzeźbioną szatę, dzierżyła w dłoniach piękny kostur zakończony

szlachetnym kamieniem, który tkwił pośrodku półkola odwzorowującego sierp księżycy. Wykuta w marmurze broń została wyobrażona tak samo w przypadku każdego posągu, lecz kryształ miały różne odcienie.

Collen cofnął się o krok. Próbował dostrzec prawdziwą broń spoczywającą za szkłem. Przed jego oczami pojawiły się czarne plamy. Za długo patrzył w centrum blasku. Złożony na złotej poduszce oręż nie był już tak piękny jak jego odpowiedniki z marmuru. Uległ zniszczeniu ponad tysiąc cykli temu, na początku ery. Ukośne rozcięcie — płaskie, jakby ktoś przepołowił kostur szybkim ruchem miecza — dzieliło broń na dwie nierówne części. Jedna z nich, dłuższa, zakończona była kryształem otoczonym przez sierp księżycy wyszczerbiony na brzegach. Druga stanowiła jedynie odłamek uchwytu, który mógł służyć za rękojeść korda, gdyby przytwierdzić do niego odpowiednie ostrze. Obie wykonano z szarego, pokrytego ciemniejszymi plamkami tworzywa o śliskiej, odbijającej światło powierzchni.

Collen zamknął oczy i zamyslił się. Blask pochodził od krótszej części przełamanej broni, podczas gdy dłuższa nie dawała żadnych oznak przebudzenia mocy. Zjawisko to zaczęło się już ponad fazę temu. Od tamtej pory fragment kostura na przemian jarzył się jasnym lśnieniem i gał na kilka dni.

Kapłan usłyszał kroki. Odwrócił się od blasku. Przez nawę wypełnioną dwoma rzędami mahoniowych ławek zmierzał ku niemu akolita. Zbliżywszy się do ołtarza, klęknął na jedno kolano i pochylił głowę, po czym wyprostował się szybko, z wyraźnym zniecierpliwieniem na twarzy.

— Drinel Nigrasval już czeka — oznajmił.

— Wyruszy za dwa dni. Musimy przygotować replikę, zanim zabierze stąd prawdziwą broń.

— Czy wierni nie zasługują na to, by znać prawdę?

Collen z naganą zmierzył młodego akolity.

— Chłopcze, czy zdajesz sobie sprawę, czego świadkiem jesteś? Uśpiony na ponad tysiąc cykli oręż samej Caitriony na nowo budzi się do życia. Budzi się tylko w jednym celu: by znaleźć następcę godnego dzierżenia tak wspaniałej broni. Niepotrzebne nam zamieszanie, jakie mogłaby uczynić taka wiedza, przynajmniej dopóki broń nie trafi w ręce wybrańca.

Młodzieniec pokornie pochylił głowę, a kapłan spojrział ku wyjściu ze świątyni. Wrót strzegły dwa posągi Mestyrii — bogini wszechrzeczy; tej, która pobłogosławiła Caitrionę bronią zesłaną z Księżyca. Surowym wzrokiem spoglądały na każdego, kto opuszczał budynek, by wydostać się na rozległe skaliste tereny ciągnące się u podnóży Szkarłatnych Gór. Pierwszy z posągów przedstawiał boginię jako piękną kobietę o smukłych mięśniach i długich włosach, odzianą w zwiewne szaty, drugi zaś jako istotę, która odpowiadała wyobrażeniom tenare — była to postać niepodobna żadnej znanej rasie, pozbawiona uszu i niemal bez nosa, a jednak kobieca i atrakcyjna, o wielkich oczach oraz perfekcyjnych kształtach twarzy i ciała. Świątynię przygotowano bowiem w taki sposób, by wierni czuli się w niej dobrze bez względu na swoją przynależność rasową. Jedyne Luxanie nie przybywali tu z pielgrzymkami. Wszelkie oblicza Mestyrii ich raziły — nie czcili tej bogini — broń uznawali zaś za fałszywą, zresztą nawet pośród wyznawców Mestyrii zdarzali się tacy, którzy podawali w wątpliwość autentyczność jej oręża.

— Wyrocznia z Tegalur pomoże mu znaleźć następcę — oznajmił po chwili Collen.

— Czcigodny, jaką mamy pewność, że broń powierzy się w odpowiednie ręce?

— Tylko odpowiednie ręce mogą nią władać. — Poklepał akolitę pokrzepiająco po ramieniu i wyprowadził go poza bijący od ołtarza krąg światła. — Jak tylko Drinel ją stąd wyniesie, ponownie otworzę świątynię dla pielgrzymek.

Wallace i Irvette zostali odprawieni w sposób, który sobie cenili — już przed świtem konie były gotowe do podróży, czyste, napojone i nakarmione, objuczone w sakwy z jedzeniem i dodatkowe koce — ale i wzdrygali się na myśl o tym, dlaczego są tu aż tak dobrze traktowani. Naczelnik przez cały czas dwuznacznie się uśmiechał, co Irvette przyjmowała na zimno, ale z trudem. Wpadła nawet na pomysł, by pod pretekstem podziękii za gościnę przygotować mu mocny napar z liści senesu. Napój ten potrafił wywołać silną biegunkę. Jednak Wallace wybił jej ten niecny zamiar z głowy.

Opuścili fort o świcie, tak jak zaplanowali. Trzecia faza pory deszczowej nie była okresem odpowiednim do podróżowania. Gdy podążali piaskową drogą ciągnącą się przez równiny — otoczone, a czasami przecinane borem — wielokrotnie musieli szukać schronienia przed deszczem czy zimnym wiatrem. Dotarcie do celu zajęło im więcej czasu, niż początkowo zakładali.

Późnym popołudniem, dwie świece od pierwszego postoju, ich oczom ukazała się ogromna pieczara. W łagodnym wzniesieniu na skraju lasu wydrążone było wejście do zwieńczonego owalnym sklepieniem tunelu. Wlot jaskini okalały splecione ze sobą gałęzie, jak gdyby sama natura zdecydowała się ułożyć je w określony wzór. Kolumny po obu stronach, podobnie do ścian tamtego fortu, były podłużnymi blokami z kamiennej masy pokrytej mozaiką szarości. Wyryte zostały na nich tenarskie słowa.

Irvette widziała tunele tenare jeszcze jako dziecko, kiedy to często podróżowała z rodzicami kupcami. Jednak po ich śmierci, gdy miała jedenaście cykli i trafiła na termin do babki, osiadła w Cirem. Potem przez bardzo długi czas nie wystawiała nosa poza miasto, chyba że w celach zbieractwa. Teraz, kiedy prowadząc wierzchowce, wkraczali do wnętrza groty, ogarnęła ją melancholia. Wspomnienia o rodzicach, dawno już pogrzebane, właśnie powróciły, by ścisnąć jej żołądek.

Zaraz po wkroczeniu do podziemnego przejścia natknęli się na wartownię. W kamieniach i ziemi po obu stronach tunelu zostały wydrążone dwie siedziby. Przy wejściach do tych siedzib kręcili się tenare, jedni odziani w skórzane zbroje ze stalowymi elementami, inni zaś w barwione na różne odcienie fioletu kaftany z wysokimi kołnierzami. Z podróży z czasów dzieciństwa Irvette zapamiętała wartownie nieco inaczej. Nie zajmowały tak wiele przestrzeni i przebywało w nich znacznie mniej strażników. Jednak wtedy przemierzała tunelami podziemia Vaspern, a teraz przebywała na terenie Caelterry — rozległego królestwa tenare.

Wyszedł im naprzeciw jeden ze strażników odzianych w fioletowe szaty. Pozostali, niby zajęci swoimi sprawami, obserwowali. Irvette zerknęła na rękaw koszuli, by sprawdzić, czy szczelnie zakrywa zabandażowaną rękę, coraz bardziej dającą się we znaki.

Tenare wymienił z Wallace'em kilka podstawowych zdań — chciał wiedzieć, kim oni są oraz dokąd i w jakim celu zmierzają. Chłopak odpowiadał z uniesioną wysoko brodą, co, jak zauważyła Irvette, z chwili na chwilę coraz bardziej drażniło strażnika. Obawiała się, że ich prosta rozmowa przerodzi się w ostrą kłótnię, jednak wtedy Wallace przekazał rozmówcy dwa dokumenty. Jeden z nich był tą samą wiadomością, którą wcześniej przedstawił w formie, z podpisem i pieczęcią jego ojca. Treść drugiego pergaminu pozostawała dla Irvette tajemnicą, chociaż domyślała się, czego może dotyczyć. Nakreślił ją naczelnik fortu, a Wallace nie zgodził się, by ją przeczytała. Na początku był tylko zakłopotany, ale im bardziej nalegała, tym mocniej się sprzeciwiał. Miała mu za złe, że traktuje ją jak dziecko, jednak ustąpiła. Uznała, że nie mają czasu na roztrząsanie tak błahych problemów.

Nabrała przekonania co do treści dokumentu, gdy tylko rozmawiający z Wallace'em tenare skończył go czytać i przeniósł na nią badawcze spojrzenie. Zmierzył ją jak handlarz oceniający bydło i uśmiechnął się wąskimi szarymi ustami. Zacisnęła zęby, by nie rzucić w jego stronę steku przekleństw. Splunęłaby mu pod nogi, ale taki pokaz pogardy wywołałby tylko niepotrzebny konflikt. Na ten czas musiała zaakceptować, jak ją odbierano, tym bardziej że niosło to ze sobą pewne korzyści.

Przepuszczono ich dalej, wyposażono w pochodnie oraz starannie wyrysowaną na pergaminie mapę podziemi. Wydrążone w ziemi tunele wzmocnione były łukami z kamiennej masy, zdobionymi w surowe, symetryczne wzory. Podłóże wyściełano gładkimi płytami, a w ścianach co pewien czas ujawniały się nisze, w których płonęły pochodnie lub otoczone kamiennymi konstrukcjami paleniska. Tam, gdzie nisz brakowało, światło dawały zwisające ze sklepienia lampiony. Na początku podróży nie korzystali więc z własnych pochodni, jednak im dalej w głąb, tym bardziej ściany przeistaczały się w lite skały, a źródła światła występowały coraz rzadziej.

Konie robiły się niespokojne, chociaż strop wisiał wysoko, a szerokość tuneli przywodziła na myśl aleje miasta królewskiego Vaspern, zdolne pomieścić trzy wozy kupieckie jadące obok siebie. Irvette zmartwiła się, że przerażone zwierzęta w końcu nie będą w stanie iść dalej. Wallace zapewnił

ją jednak, że na ich podróż wybrał specjalne wierzchowce, nie pierwszy raz pokonujące podobne trasy.

Po długim odcinku drogi jedyne oświetlenie stanowił już tylko blask ich pochodni, które przezornie zapalili przy jednym z palenisk. Irvette była pod wrażeniem, że nawet w takich ciemnościach tenare nie zapomnieli o dekoracjach, które mimo że prymitywne, nadawały miejscu charakteru. Natykali się na liczne kolumny, wydrążone w skałach toporne płaskorzeźby, nisze z prostokątnymi ławkami i miejscami na rozbicie obozu, a od czasu do czasu podziwiali ołtarzyki z figurkami tenarskiej Mestyrii.

Stracili poczucie czasu i nie wiedzieli, po upływie ilu świec zdecydowali się na postój. Zatrzymali się w jednej z obszernych nisz, bardziej przypominającej pieczarę. Wokół przygotowanego na ognisko kręgu stały trzy kamienne ławki. Obok jednej z nich czekało usypisko z drew.

Pozostawili wierzchowce u wylotu niszy, po czym rozpalili ognisko. Na stojaku w głębi pieczary wisiało kilka świeżych pochodni, więc gdy tylko posłużyli się starymi do wzniesienia ognia, porzucili je z zamiarem wymiany na nowe. Irvette usiadła na ławce i poruszyła zdrętwiałymi palcami. Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma, i lękała się zajrzeć pod bandaż. Wallace szperał w jukach przy koniu, sprawdzając zapasy, jakie podarowali im tenare z fortu. Wtem do ich uszu dotarło odległe stukanie kopyt i ciche skrzypienie drewnianych kół.

Spojrzeni po sobie znacząco. Chłopak wsunął dłoń pod płaszcz i zacisnął palce na rękojeści szabli uczonej skórzanego pasa na biodrach. Irvette pokręciła głową.

— Założę się, że to jacyś kupcy. Pamiętaj, że jesteśmy na szlaku handlowym. I tak dziwię się, że do tej pory było tak pusto.

Okazało się, że miała rację. Po niedługim czasie wyłonił się konny wóz przykryty płócienną płachtą. Na koźle siedział ciemnoskóry mężczyzna ubrany w barwne szaty z bufiastymi rękawami. Miał przekrzywiony kapelusz. Czarny jak noc koń z oczami przesłoniętymi kłapkami był znacznie spokojniejszy od ich wierzchowców. Na solidnej belce nad koźlem, w klatce lampionu tańczył płomień.

Irvette przywołała wspomnienia podróży z rodzicami. Ludzie na podziemnych szlakach zwykle byli wobec siebie bardzo życzliwi i pomocni. Nawet w tunelach poza królestwem tenare czuli się wyobcowani, dlatego dodawali sobie wzajemnie otuchy, jak tylko mogli.

Dziewczyna wyszła więc kupcowi naprzeciw, zapytała go, dokąd zmierza, i zaproponowała, by zjadł razem z nimi. Wallace niechętnie przystał na jej pomysł. Mężczyzna musiał to zauważyć, lecz zdecydował się do nich dołączyć. Okazało się, że również podążał w kierunku O'rior, chociaż nie planował się w nim zatrzymywać. Po kolorze skóry, nieco spłaszczonym nosie oraz akcencie Irvette wywnioskowała, że kupiec pochodzi z Cesarstwa Luxy, choć z niezwykłą łatwością posługiwał się językiem trzech królestw: Vaspern, Nivelos i Aestos. Wóz miał wypełniony towarami o różnej wartości. Irvette podpytała go ostrożnie, czy nie obawia się napaści bandytów, podróżując w pojedynkę. Odpowiedział jej uprzejmie, że ta część szlaku handlowego na terenach Caelterry jest raczej bezpieczna, jedynie na pewnych odcinkach wymaga od podróżnego wynurzenia się na powierzchnię, czyli poza nadzorowane przez tenare tunele. Dodał jednak, że pod granicą Aestos planuje dla bezpieczeństwa przyłączyć się do kupieckiej karawany strzeżonej przez oddziały gildii. Irvette nie wspomniała o rodzicach, którzy nie posiadli wystarczającego bogactwa i wpływów, by do jakiegokolwiek należeć. Wolą nie zastanawiać się nad tym, czy ich losy potoczyłyby się inaczej, gdyby mieli taką możliwość.

Z wrzuconego między towary ekwipunku kupiec wyszperał imbryk, cynowe kubeczki i ususzone liście. Wkrótce wszyscy troje popijali przy ognisku herbatę, a mężczyzna dodatkowo poczęstował ich słodkimi miodowymi bułeczkami — przysmakiem tenare, którego Irvette rzadko miała okazję próbować.

Oczywiście nie obyło się również bez uporczywych prób sprzedania im czegoś kosztownego. Dziewczyna z rosnącym zniecierpliwieniem przyglądała się Wallace'owi, który niestrudzenie opierał się nachalnym namowom. Kupiec właśnie pokazywał mu bransoletę o splocie ze srebrnych oczek i błyszczących szmaragdów.

— Śmiem zasugerować, że będzie wspaniale wyglądać na pańskiej towarzysze. — Mężczyzna posłał dziewczynie uprzejmy uśmiech, lecz po tym, jak patrzyli na nią tenare, w odpowiedzi umiała tylko skrzywić usta w dziwnym grymasie.

Wallace tymczasem wyraźnie się rozpromienił.

— Spójrz, Irvette, szmaragdy będą ci idealnie pasowały do oczu. Jeśli tylko się zgodzisz, bym wręczył ci podarek...

Westchnęła przeciągle.

— Gdy będę potrzebować błyskotek, sama się nimi obdaruję. Nie chcę niczego za twoje pieniądze.

Jej przyjaciel zrobił urażoną minę, a kupiec odchrząknął, skrywając uśmiech.

— Pomyślałem, że mały prezent podniesie cię na duchu. I chciałem wynagrodzić ci... No dobrze już, dobrze. — Odpuścił pod naporem jej ostrego spojrzenia i z rezygnacją oddał bransoletę kupcowi.

Raptem Irvette zgiął niemiłosierny ból... Świat zawirował jej przed oczami i nim się zorientowała, leżała na twardej ziemi. Sapnęła, przewróciła się na plecy i chwyciła za przedramię — paliło tak, jakby włożyła je w ogień. Przycisnęła je do siebie i poczuła lzy w oczach. Zamrugęła, by się ich pozbyć, ale nadal nie odzyskała pełnej ostrości widzenia. Bardziej usłyszała, niż zobaczyła, że Wallace padł obok niej na kolano. Podczas gdy jedną dłonią przytrzymał jej głowę, drugą szybko podwinął rękaw jej koszuli.

— Nie... — jęknęła, lecz było już za późno.

Zdezorientowany kupiec zerwał się na równe nogi i wciągnął powietrze w krótkim okrzyku zdumienia. Irvette ponownie zamrugęła, a gdy spojrzała w dół, na swą rękę, przeraziła się równie srogo co on. Czarne niczym smoła place, które przemieszczały się tuż pod skórą jak przelewająca się woda, wychylały zza bandaży. Teraz pochłaniały również sporą część dłoni i pełzły po łokciu w górę...

— Wallace, mój worek. Maść... — wysapała.

Chłopak zignorował osłupiałego kupca i rżące niespokojnie konie. Złapał za porzucony przy jednej z ławek worek, rozsznurował go i z cichymi przekleństwami na ustach zaczął grzebać w nim gorączkowo.

— Pomóż jej chociaż usiąść! — wrzasnął do kupca.

Mężczyzna drgnął na rozkazujący ton Wallace'a, jednak nie spełnił polecenia. Gapił się tylko bezmyślnie szeroko otwartymi oczami. Irvette ani trochę się temu nie dziwiła.

— Poradzę sobie — szepnęła.

Ale wcale nie czuła, by miała sobie poradzić. Atak piekącego bólu był silniejszy niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy powalił ją na ziemię i niemal wycisnął łzy na policzki. Zgrzytając zębami, z trudem uniosła się na ramionach i oparła o ławkę.

Wallace wydobył z worka niewielkie pudierko oraz fiolkę z olejkiem. Zanim ponownie kucnął u boku dziewczyny, rzucił kupcowi karcące spojrzenie. Mężczyzna tym razem ruszył się z miejsca, ale tylko po to, by zacząć się w pośpiechu pakować.

Irvette próbowała rozwiązać bandaż, lecz ręce za bardzo jej się trzęsły i teraz to ona spotkała się z ganiącym wzrokiem Wallace'a.

— Ja to zrobię — oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu, przyciągając jej chore ramię w swoją stronę. — To nic wielkiego. Widziałem twoje skażenie wiele razy.

Nie odpowiedziała, wypuściła tylko przez nos świszczący oddech. Czoło chłopaka zrosiły krople potu. Gdy już poradził sobie z bandażem, usłyszeli, jak kupiec gramoli się na wóz, by po chwili popędzić konia.

Irvette zrobiło się zimno, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest jej przedramię. Całe pochłonięte przez czarne place, o suchej i nagrzanej skórze, w którą dawno już wsiąkła łagodząca wilgoć olejków i uprzednio nałożonej maści.

Wallace głośno przełknął ślinę, ale nic nie powiedział. Choć jego oblicze przepełniał strach, zaczął nakładać pachnącą lawendą maź ziołową o gładkiej konsystencji. Irvette stosowała ją zazwyczaj na poparzenia. Do tej pory sprawdzała się — do pewnego stopnia zwalczała nieprzyjemne odczucia rodzące się w obrębie dziwnego skażenia. Tym razem również, niemal natychmiast, zadziałała kojąco. Piekący ból, chociaż powoli, ustępował. Czarne place nie zmniejszyły się jednak.

Przestali już słyszeć skrzypienie wozu i uderzenia kopyt o skalne podłoże. Kupiec zostawił ich bez pożegnania. Jego kubek z nadal parującą herbatą stał na ławce. Płomienie pełgające w kamiennym kręgu ogniska rzucały na ściany tańczące cienie.

Wallace delikatnie masował rękę dziewczyny, wcierając i wklepując masę. Ona patrzyła na zmarszczkę między jego oczami — wyraźnie wskazującą na to, że jest zdenerwowany. Wiedziała, że wcale nie miał ochoty dotykać jej skażonej skóry, chociaż tak bardzo starał się tego nie okazywać.

— Już wystarczy — oznajmiła słabo.

Jego ręce drgnęły.

— Na pewno?

Ledwo skinęła głową, a Wallace zabrał dłonie i wytarł je o spodnie. Kiedy zorientował się, co zrobił, zakłopotany odwrócił wzrok. Irvette nic nie powiedziała. Jeszcze trochę wirowało jej w głowie, więc starała się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Wallace podał jej fiolkę z olejkiem i poszukał w worku płótna nadającego się na nowy bandaż.

Kiedy rękę Irvette otoczyła świeża, nasączona tkanina, oboje umilkli. Nie mieli ochoty komentować tego, co się stało. Nie był to pierwszy raz, kiedy choroba Irvette, czymkolwiek była, odstraszyła kogoś. Nie bez przyczyny kojarzone z czarną magią place pojawiły się na jej ręce ponad fazę temu. Szukali już porady u dwóch magów mieszkających w Cirem, jednak wypchnięto ich za drzwi. Connell, ojciec Wallace'a, wysłał korespondencję do magów z jednej z akademii, z którymi utrzymywał sporadyczny kontakt, lecz odpowiedzieli mu krótką i znaczącą wiadomością. Polecili, by do czasu, aż się zjawią, trzymać Irvette w zamknięciu, w odizolowaniu. Pomimo że ojciec przyjaciela dokładnie opisał jej przypadek i zaznaczył, że nie tylko nie jest czarnym magiem, ale i nie posiada żadnych magicznych mocy, nie uwierzyli. Irvette nie miała ochoty dowiadywać się, co zamierzają z nią zrobić. Zbyt wiele słyszała plotek na temat wyspy Belagos i prowadzonych tam eksperymentów.

Wallace, dorzucając drewek do ogniska, zerkał na nią przelotnie. Irvette odszukała na ławce kubek, który zostawił po sobie kupiec, i pociągnęła kilka łyków ciepłego płynu. Jej herbata wylała się wcześniej na skały. Dziewczyna

powiodła wzrokiem wokoło i spostrzegła leżącą u stóp ławki bransoletę ze szmaragdów. Kupiec musiał ją w emocjach upuścić. Podniosła błyskotkę i obracając ją w palcach, wgramoliła się na siedzenie.

— Hmm. Może przynajmniej ją sprzedam.

Rozdział II

Namir przywdział czepiec i przyczepił do niego zasłonę. Upewniwszy się, że wszystko jest na swoim miejscu, opuścił teren kryjówki — ruszył między monstrualne drzewa. Poszycie porastał gęsty mech, pnie o okazałych średnicach stały blisko siebie, a pnące się wysoko konary o mięsistych liściach przysłaniały zachmurzone niebo. Choć było samo południe, w lesie panował półmrok. Namir nie miał jednak problemów z przedzieraniem się przez te nieprzystępne tereny. Znał położenie niemal każdego drzewa, każdego ciernistego krzewu, niewielkiego bajorka, wzniesienia czy niebezpiecznego zagłębienia. Pomimo powłóczyściego ubrania zwinnie wymijał przeszkody, nie potykał się, nie haczył o żadną gałązkę.

Zacisnął łańcuch amuletu w dłoni odzianej w rękawicę. W wisiorze, w małej szklanej kulce oprawionej w miedź odbijały się zniekształcone sylwetki drzew. Podniósł przedmiot do zasłoniętej twarzy. Wyszeptał słowo aktywujące. Kulka rozjarzyła się najpierw słabym blaskiem, a potem, po kilku oddechach, rozbłysła mocno. Połączenie zostało odebrane.

— Hasan? — odezwał się.

Skrzywił się na brzmienie swojego chrypliwego głosu, podobnie jak świecę temu, kiedy Hasan skontaktował się z nim, by oznajmić swoją obecność. Zwykle wystarczało, że Namir tylko szeptał zaklęcia, więc gdy sytuacja zmuszała go, by przemawiał głośnie, odczuwał rozdrażnienie i wstręt.

— Jestem, jasnie panie — padła odpowiedź; w tonie mężczyzny dźwięczała nuta roztargnienia.

Namir po raz wtóry miał ochotę przypomnieć rozmówcy, że czasy, w których musiał go tytułować, już dawno minęły. Powstrzymał się, wiedząc, że i tak nic nie wskóra. Część duszy Hasana nadal żyła tragiczną przeszłością.

— Zgaduję, że czekasz już na mnie tam, gdzie zawsze.

— Właściwie ośmieliłem się podejść bliżej niż zwykle. Zaistniała pewna sytuacja...

Namir natychmiast poczuł w sobie wzbierający gniew.

— Chyba mi tu nikogo nie ściągnąłeś?! — wycedził.

— Bez obaw, jaśnie panie. Jak zawsze jestem nadzwyczaj ostrożny, jeśli chodzi o nasze spotkania. Dlatego właśnie uznałem, że bezpieczniej będzie porozmawiać z dala od szlaku. Jeszcze dalej niż zazwyczaj.

— Z powodu, jak mniemam, zaistniałej sytuacji?

Przez chwilę odpowiadało mu milczenie.

— Opowiem jaśnie panu, jak tylko się spotkamy.

Namir wypowiedział słowo wygłuszające, z irytacją ścisnął amulet i wepchnął go do kieszeni między fałdami luźnych spodni. Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Jego spotkania z Hasanem, zaufanym kupcem, odbywały się z rzadka — zwykle co kilka faz. Namir, odkąd zaszył się w swojej leśnej kryjówce trzynastcie cykli temu, rozkoszował się samotnością — jedynym stanem, który mógł zapewnić mu spokój. Oprócz kupca nie widywał nikogo. Mając wiele powodów do tego, by się ukrywać i izolować, często myślał o rezygnacji również z tych spotkań. Mógłby się bez nich obyć. Bez problemu zdobywał w lesie pożywienie, zioła i wszystko, co niezbędne do przetrwania. Znał sposoby na skuteczne hodowanie roślin oraz przechowywanie jedzenia. Jednak nadal decydował się na schadzki z kupcem, by sprzedać mu swoje mikstury lub wymienić je za szczególnie potrzebne towary.

Wydostanie się pieszo z lasu zajęło mu nie więcej niż świecę. Znalazł się na wzniesieniu, którego zbocze porastały gęste zarośla i wystające korzenie. Rosnące na skraju osuwiska wysokie drzewa rzucały cień na podmokłą dolinę. Namir wcisnął nogawki w buty ze skóry, bo w porze deszczowej zielone polany pod lasem zmieniały się w grząskie mokradła.

Schodził zboczem bez wahania, ale i bez pośpiechu, wyęzając przy tym wzrok. W oddali — tam, gdzie bagna powinny już ustępować pewniejszemu gruntowi — dostrzegł majaczące kształty. Mocą telekinezy wyrwał w miarę prosty, gruby korzeń i ruszył przez grzęzawisko, podpierając się nim. Jeszcze

raz wyciągnął z kieszeni amulet, aktywował go i poczekał na silniejszy rozbłysk.

— To ty, Hasanie? Widzisz mnie?

— Tak, jaśnie panie.

Wygłuszył połączenie amuletów i wziął głęboki oddech. Przez krótką chwilę walczył z myślami. Każde spotkanie z Hasanem przywoływało wspomnienia z etapu życia, o którym wolałby nie pamiętać. Nagły podmuch wiatru załopotał ubraniem i przyniósł przenikliwie zimno.

Zazwyczaj kupiec czekał w połowie drogi pomiędzy szlakiem a borem. Teraz zatrzymał się bliżej lasu, a jednak wędrówka ku niemu niebywale się Namirowi dłużyła. Po pokonaniu niełatwej trasy dopadł go jeszcze podlejszy nastrój.

Hasan krzątał się przy wozie, nie przywitał, odwracał wzrok. Jego wprawiony w długich podróżach wierzchowiec leniwie skubał trawę. Na obecność klienta, choć dobrze sobie znanego, zareagował niespokojnym parsknięciem. Częściowo odrzucona płócienna płachta ukazywała mnogość przeróżnych towarów. Kilka od razu wpadło Namirowi w oko.

— Masz tu ładne luxańskie dywany. — Głos ponownie zachrypiał mu w gardle.

Ciemnoskóry kupiec potrzebował długiej chwili, by zebrać się na odwagę i ukradkiem spojrzeć na zamaskowaną twarz. Poklepał po grzbiecie karosza, który nerwowo potrząsnął łbem.

— Śmiem zasugerować, że do niczego się jaśnie panu nie przydadzą. Za to mam całkiem spory zapas kawy.

— Skąd pewność, że w moim lesie nie ma wielkiego pałacu, Hasanie? — Namir wykrzywił usta pod zasłoną. Kupiec skulił ramiona. — Sam zdecyduję, czego mi potrzeba. Nie powinienes mieć co do tego żadnych zastrzeżeń.

— To oczywiste. Sądziłem jednak, że kawa najmocniej jaśnie pana zainteresuje.

Namir nie odpowiadał. Nie był zadowolony z faktu, że Hasan zna jego jedyne uzależnienie, które zresztą sam zapoczątkował. Ożywczy napój smakował cierpko, tak jak wspomnienia. Ale potrzeba zaspokojenia pragnienia

stała się w pewnym momencie silniejsza niż ból z przeszłości, a jednocześnie wykwintny smak pozwalał zapominać o dawnych przeżyciach.

Ostatecznie zdecydował się na kilka bezwartościowych, ale przyciągających wzrok błyskotek oraz na dwa słoje kawy. Był zadowolony, że tym razem nie skusił się na więcej niepotrzebnych rupieci i że darował sobie jednak te dywany.

Oparł laskę z korzenia o wóz. Otworzył uwiązaną u bioder obszerną sakwę z płótna i zaczął z niej wyjmować fiołki z miksturami oraz puzderka wypełnione maściami. Układał je w rzędkach obok skrzyń z towarami, a Hasan kiwał głową z uznaniem. Fiołki były owinięte paskami pergaminu i starannie opisane.

— To rzadkie specyfiki — oznajmił sucho Namir. — Składniki na nie niezwykle trudno wyhodować, a jeszcze trudniej znaleźć. Zresztą na pewno się orientujesz. Są warte więcej nawet niż kawa, a na pewno niż tych kilka błyskotek. Należy się jeszcze, hmm... trzysta pięćdziesiąt tenarskich numos.

Kupiec odczepił jeden z małych woreczków od pasa, wyjął z niego trochę srebrnych monet o awersie z wizerunkiem wielkiego drzewa, które było herbem rodu królewskiego tenare, a resztę wręczył Namirowi, upuszczając mieszek z niewielkiej wysokości na jego otwartą dłoń. Ten zważył sakiewkę w dłoni i zaczął przeliczać zawartość. Pieniądze stanowiły dla niego wartość ozdobną, nie miał ich jak wydać, a jednak uwielbiał je gromadzić.

— Wyjdiesz na swoje, jeśli sprzedasz je w Aestos? — zapytał.

— Powinienem, jaśnie panie. Za nie wszystkie dostalbyśmy zapewne ponad sto osiemdziesiąt enarów.

— Jak obecnie stoi enar? — zainteresował się Namir, supłając woreczek, który po chwili uwiązał u pasa.

— Podobnie jak luxański enyal. Wart trzech i pół numos.

— Ach, więc trochę enarów zostanie ci jeszcze w kieszeni. Może jednak jestem zbyt hojny. Wspominałeś o jakiejś sytuacji. — Zmierzył Hasana bacznie, na co ten widocznie się wzdrygnął, po czym spochmurniał.

— Parę dni temu spotkałem w drodze podróżnych — zaczął niepewnie i ponownie zamilkł.

— Co z nimi? — ponaglił go Namir.

— Nie jestem pewien. — Hasan poprawił spadający z głowy kapelusz. — Obawiam się, że mogą szykować się jakieś kłopoty.

Namir zmarszczył czoło pod zasłoną.

— Zaczynaj mówić z sensem, Hasan.

— Z tego, co zdołałem się od nich dowiedzieć, wybierali się do O'rior. Spotkałem ich w podziemnym tunelu tenare. Razem korzystaliśmy z miejsca postoju.

— Do rzeczy!

Zniecierpliwione warknięcie Namira sprawiło, że kupiec wyprostował się i poprawił bogato zdobiony kaftan z bufiastymi rękawami.

— Jeśli wyruszyli niedługo po mnie, powinni być w tej chwili na szlaku.

— I co w związku z tym?

— Było ich dwoje, chłopak i dziewczyna. Bardzo młodzi, mili. Ale dziewczyna... Na Flammeth... Nie powinienem był jej tak zostawiać.

Namir pochylił się ku sporo od siebie niższemu kupcowi, rzucając na niego swój cień.

— Czy możemy już przejść do części historii, która mnie zainteresuje?

Hasan cofnął się lekko, przelknął ślinę.

— Dziewczyna była skażona czarną magią.

— Skażona?

— Miała chorą rękę. Pod skórą widniały czarne plamy. Te plamy żyły, ruszały się. Zupełnie jakby była poddawana...

— *Spellium*? — Namir z trudem przecisnął te słowa przez gardło. Zrobiło mu się duszno za zasłoną. Miał ochotę ją ściągnąć, ale mimo wszystko wolał oszczędzić Hasanowi paskudnego widoku. — Kto je przeprowadzał? Ten drugi? Ten chłopak?

Kupiec energicznie pokręcił głową.

— Zdecydowanie nie, jasnie panie. Próbował jej pomóc i żywić nadzieję, że mu się udało. To nie mogło być *Spellium*, nie widziałem nikogo, kto mógłby je rzucać. Lecz czymkolwiek jej skażenie było, sprawiało jej ból, a ja... uciekłem. Nie potrafiłem na to patrzeć. To skażenie, nawet jeśli nie zostało

wywołane tym strasznym zaklęciem, pobudziło tak wiele wspomnień... Ja... Jak mogłem tak postąpić...? Niech mnie Flammeth pokarze!

Namir słuchał w osłupieniu. Oddychał ciężko. O'rrior było dzień jazdy od jego kryjówki. Nie uśmiechało mu się, by jakikolwiek człowiek związany z czarną magią przebywał w okolicach jego lasu — nawet tych nieco odległych. Trzyście cykli temu dostał już nauczkę za wchodzenie w kontakty z jedną ze swego rodzaju. Nawet jeśli dziewczyna nie była czarnym magiem, wystarczył mu sam fakt, że została naznaczona przez mrok.

— Ta dziewczyna była tylko ofiarą — kontynuował Hasan poważnie, a w jego oczach błyskał strach. — Nie powinienem nią wzgardzić, a jednak kiedy zobaczyłem plamy na jej ręce... To było gorsze niż...

— Niż patrzeć na mnie? — Namir oprzytomniał, nie próbował kryć zgryźliwości.

— Nie to... Nie to miałem na myśli.

— Dobrze wiem, co miałeś na myśli. — Skrzyżował ręce na piersi i zaczął przewiercać rozmówcę wzrokiem. — Widok dziewczyny, jak mniemam: wijącej się z bólu, przypomniał ci o dawnych czasach skuteczniej ode mnie?

Twarz Hasana wyrażała szok i ból. Obaj milczeli przez kilka oddechów, borykając się ze wspomnieniami.

— Jaśnie panie — wymamrotał wreszcie kupiec — może powinniśmy coś zrobić...

— My? — Namir zaśmiał się krótko. — Ty i ja doskonale wiemy, że nie zostajesz w tej okolicy na długo. Poza tym nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy przejmować się losem jakiejś przypadkowej dziewczyny.

— Sposób, w jaki skaziła ją czarna magia... To nie może być przypadek, coś jest nie w porządku.

— Nie interesuje mnie to — warknął gorzko. — Mam nadzieję, że zdechła w męczarniach i nie wydostała się z tunelu. Nie chcę tu nikogo związanego z czarną magią. Nikogo oprócz mnie.

Hasan nic nie odpowiedział, tylko zapatrzył się tępo w przestrzeń.

Namir schował nabyte towary do sakwy i chwycił w dłoń laskę z korzenia. Odwrócił się, czując, że jego ciało napina się nerwowo. Musiał stąd

jak najszybciej odejść. Chciał ściągnąć zasłonę i głęboko odetchnąć. Pragnął zapomnieć o tej rozmowie i zaszyć się z dala od czyhających kłopotów.

Dalsza podróż przez podziemia tenare minęła im spokojnie. Napotkali w drodze jeszcze kilku podróżnych, ale nauczeni ostatnim zdarzeniem, już nie dzielili z nikim postoju. Głównie natykali się na tenare, co nie pozwalało im zapomnieć, że są na terytorium odrębnej rasy. Kilka razy mieli okazję zobaczyć budowniczych przy pracy — drążyli kolejne odnogi szerokich korytarzy. Przystawali wtedy, by podziwiać niezwykłą wprawę, z jaką mężczyźni posługiwali się magią ziemi. Choć proces ten wymagał długotrwałego wysiłku kilku osób, skały ugięły się pod ich dłońmi jak ciasto i posłusznie przybierały oczekiwane kształty.

Minęli kilka podziemnych oberży, ale nie wstępowali do nich. Rozmowy rozgorzałe w uformowanych starannie wielkich pieczarach były prowadzone głównie w języku tenarskim. Irvette nie musiała przekonywać Wallace'a, że zatrzymywanie się w przybytku wypełnionym tenare nie byłoby rozsądnym posunięciem. W obecnej sytuacji wystarczające szaleństwo stanowiła idea wybrania się do jednego ze znamienitych miast tej rasy.

Dzięki dokumentom od ojca Wallace'a oraz od naczelnika fortu — a szczególnie dzięki temu drugiemu — bez problemu przekraczali kolejne wartownie. Irvette przestała już zwracać uwagę na dwuznaczne spojrzenia i uśmieški. Od ostatniego ataku choroby jej ręka ani na moment nie przestawała boleć. Palce miała nieustannie odrętwiałe i rzadko kiedy udawało jej się przespać więcej niż jedną świecę. Przyjaciel czuwał nad nią i w razie potrzeby pomagał z wiązaniem bandaża czy nakładaniem maści, jednak nie umykało jej, z jak wielkim oporem przychodzi mu dotykание skażonej skóry. Udawała, że tego nie widzi. Zrobił dla niej wystarczająco wiele, wybrawszy się z nią w tę podróż. Opuścił Cirem, opuścił swoich ziomków i ojca. Z całego serca wierzyła, że przyjaciel — po wielu cyklach spędzonych razem bliski jej niczym brat — chociaż czasami za wysoko podnosił brodę, w rzeczywistości był dobrym człowiekiem.

Po paru dniach byli już na szlaku prowadzącym przez rozległe zielone równiny usiane drzewami. Wierzchowce uspokoiły się i z większą werwą

wiozły ich ku obranemu celowi. Oni również odzyskali nieco energii, pomimo że słońce zwykle kryło się za deszczowymi chmurami.

Jeszcze przed zmierzchem dotarli na skraj boru, dużo rozleglejszego niż ten, który porastał granice królestwa. Drzewa były tu znacznie wyższe, o grubych pniach i konarach, obrosłe w intensywnie zielone liście, co na tym etapie pory deszczowej zaskakiwało.

Czekała ich wizyta w kolejnym forcie.

Kiedy do niego dotarli i Wallace przedstawił strażnikom dokumenty, przygotowała się na reakcje takie jak zwykle. Tym razem nawet uśmiechnęła się kącikami warg do mierzących ją tenare i, ku swojemu zadowoleniu, wywołała w nich absmak. Jeden z nich szybko się jednak otrząsnął i skierował wzrok na Wallace'a.

— Przybyliście w porę — przemówił w swoim srebrzystym języku kontrastującym z umięśnioną sylwetką. — Zwierzchnik Silvaru Randis Silvan'al akurat przebywa u naczelnika.

Wallace rozpromienił się, a ona poczuła, że skręca jej się żołądek.

Strażnik poprowadził ich przez obszerny dziedziniec, większy niż w forcie granicznym. Wspaniałe mury z gładkich skalnych bloków pięły się wysoko między drzewami, a dwie wieże strażnicze sięgały koron tworzących nad fortem zieloną kopułę. Zostawili wierzchowce przy stajni i udali się do gabinetu naczelnika — tym razem znajdującego się na parterze. Strażnik wszedł do izby jako pierwszy i zamknął im drzwi przed nosem. Przez moment słyszeli stłumione przez ścianę rozmowy, a potem tenare zaprosił ich do środka.

Wewnątrz gabinetu przebywało dwóch wysokich mężczyzn o szarej skórze. Jeden z nich ubrany był w barwiony kaftan z aksamitu, z kołnierzem postawionym tak wysoko, że zakrywał obwisłe zakolczykowane uszy. Strój drugiego zdawał się dużo prostszy, choć wykonany był z drogiej i solidnej tkaniny, którą nieczęsto handlowano po rynkach. Również jego uszy były skromniej przystrojone, przebite jedynie paroma małymi obręczami. Włosy miał za to kruczoczarne — kolor ten pośród ludzi był całkiem zwyczajny, u tenare zaś występował rzadziej niż srebrny czy zielony.

Obaj mężczyźni wstali zza stołu, którego nogi były zrobione ze splecionych ciasno korzeni. Wymienili spojrzenia, po czym ten w bardziej przyciągającym wzrok ubraniu wyminął ich bez słowa i opuścił pomieszczenie w towarzystwie strażnika. Zostali sam na sam z, jak domyśliła się Irvette, zwierchnikiem Silvaru.

— Ty jesteś Wallace Bennett — odezwał się z półuśmiechem tenare, wyciągając do chłopaka smukłą dłoń.

Ten pochylił głowę z szacunkiem, który Irvette widywała u niego wyłącznie od wielkiego dzwonu.

— Panie Silvaru.

— Daruj sobie, chłopaku. — Zwierzchnik mówił całkiem sprawnie w języku trzech królestw. Zbliżył się jednym długim krokiem i chwyciwszy rękę Wallace'a, potrząsnął nią energicznie. Poklepał go przyjacielsko po ramieniu. — Jesteś tu mile widzianym gościem.

Irvette zdziwiła się. Taka poufalość między magnatem a bogatym mieszczaninem — tak samo zresztą jak ta między tenare a człowiekiem — była niecodziennością. Dopiero teraz uwierzyła, że zwierchnika i Connella łączyły silne więzy przyjaźni.

Kiedy już tenare odstępował od nieco speszzonego chłopaka, utkwiał w niej swoje ciekawskie, niemal czarne oczy. Dziewczyna wyprostowała się, nie chcąc okazywać zaniepokojenia.

— Mój panie... — Zdjęła kaptur i nieznacznie skinęła głową.

Przestudiował ją uważnie wzrokiem.

— Skłamałbym, twierdząc, że taki prezent mi nie pochlebia — zaczął zwierzchnik z zawadiackim uśmiechem, po czym niespodziewanie przeniósł wzrok na Wallace'a — lecz nigdy nie prosiłem twojego ojca o...

Chłopak wniósł ręce i westchnął głośno.

— Zaszło nieporozumienie, mój panie.

Tenare chwilę przeskakiwał bystrym spojrzeniem między ich dwojgiem, a wkrótce odwrócił się do stołu.

— Wyjaśnicie mi wszystko przy strawie. Siadajcie.

Irvette pozwoliła sobie na zdjęcie płaszcza i zawieszenie go na drewnianym palu wystającym ze ściany przy wejściu. Pozostawiła tam również swój worek,

podobnie uczynił jej przyjaciel.

Podchodząc do stołu, poprawiła rękaw bawełnianej koszuli. Jeszcze nie ściągała rękawiczek, które założyła po tym, jak skażenie sięgnęło jej dłoni. Usiadła na jednym z krzeseł o oparciu z gałęzi układających się w owal. Na gładkim blacie z czystego drewna stały nieprzezroczysta butelka i kilka srebrnych czarek wykonanych w prosty, surowy sposób, prawie bez żadnych ozdób. Znajdujący się na środku półmisek po brzegi wypełniały okrągłe bułeczki z jasnego pieczywa. Zwierzchnik bez skrępowania sięgnął długimi palcami po jedną z nich. Nie było talerzy ani sztućców. Irvette spostrzegła coraz więcej sprzeczności, jakimi kierowali się przedstawiciele długowiecznej rasy, a których nie miała sposobności zaobserwować wcześniej, to znaczy przy okazji nieczęstych kontaktów z tenarskimi kupcami. Powiązani z naturą, wysławiający się dźwięcznym językiem, a jednak surowi i czasami bez oglądy. Żyjący zarówno wśród pięknych lasów, jak i w głębokich, ciemnych podziemiach.

— Co was do mnie sprowadza?

Wallace poprawił się na krześle i rzucił Irvette znaczące spojrzenie.

— Potrzebujemy twojej pomocy, panie Silvaru — powiedział.

— W jakiej sprawie? Czemu nie jecie? Częstuście się, musicie być głodni po długiej podróży.

Tenare nie spuszczał uważnego wzroku z Irvette. Miała wrażenie, że wszystko już o niej wie. Sięgnęła po dziwną bułeczkę i odgryzła kawałek. Z wewnątrz wypłynęła ciepła mięsna papka, którą przelknęła ze smakiem.

— Wiem od ojca, że jesteś znakomitym magiem, mój panie — kontynuował Wallace. — Twoje umiejętności mogą okazać się nam przydatne.

— Co z waszymi magami? — Na wąskich, szarych ustach zwierzchnika błąkał się kpiący uśmieszek. — Z tego, co pamiętam, w Cirem macie kilku.

— Odmówili nam pomocy — wtrąciła się Irvette, widząc, że przyjaciel ociąga się z odpowiedzią. — Natomiast magowie z akademii odpowiedzieli na naszą wiadomość w sposób, który kazał nam się martwić, jak postąpią w mojej sprawie.

Ciemne oczy zwierzchnika błysnęły zaniepokojeniem.

— Co też obudziło takie poruszenie wśród waszych uczonych magów?

Wallace i Irvette popatrzyli po sobie. Znając nienawiść tenare do czarnej magii, dziewczyna bardzo obawiała się reakcji gospodarza. Przyjaciel skinął do niej głową, a ona przypomniała sobie o jego zapewnieniach, że pan Silvaru jest osobą godną zaufania. Powtarzając to w myślach jak modlitwę, zdjęła rękawiczkę. Na widok bandaża zwierzchnik zareagował tylko delikatnym uniesieniem brwi. Cień niepokoju przemknął przez jego młodo wyglądającą twarz dopiero, gdy podciągnęła rękaw i odkryła przedramię owinięte zszarzałą tkaniną. Bez słowa przyglądał się, jak rozwiązuje i zdejmuje bandaż, a kiedy ukazały się pierwsze czarne plamy, tenare głośno wciągnął powietrze.

— Na Mestyrię... — syknął i wsparł łokcie o stół.

Z wolna splótł dłonie przed twarzą, zmrużył oczy. Irvette zaprzestała czynności, odsłoniła przedramię jedynie do połowy. Wallace był cały blady, bardziej wstrząśnięty widokiem niż zwierzchnik. Potraktowała to jako dobry znak, chociaż fakt, że przyjaciel nadal nie przywykł do widoku jej skażonej skóry, nieco kłuł ją w piersi.

— Czemu przyszliście z tym świństwem do mnie?!

Szorstki głos pana Silvaru natychmiast pozbawił ją złudzeń. Wallace poderwał się z krzesła...

— Ojciec powiedział mi, że może byłbyś w stanie...

— Ja? — Tenare spiorunował go wzrokiem. — Władam żywiołem ziemi i zdolnością telekinezy. Nie mam nic wspólnego z czarną magią. Jak niby miałbym pomóc tej przeklętej dziewczynie?

Irvette poczuła gulę rosnącą w gardle. Z trudem przelknęła ślinę. Odsłonięta ręka zaczęła pulsować wzmagającym się bólem.

— Panie Silvaru — ciągnął Wallace — czy naprawdę nie znasz żadnych sposobów, by...

— Nie posiadam zdolności uzdrawiających, a i tak wątpię, by na coś się tu zdały. Zielarzem też nie jestem, a żaden z O'rior nie tknie tej dziewczyny palcem, zapewniam was o tym.

Irvette wyprostowała zgarbione dotąd plecy. Spojrzała zwierzchnikowi prosto w ciemne oczy, po których była w stanie ocenić, że nie jest wcale takim młodzieńcem, na jakiego wygląda.

— Mój panie, jesteś naszą ostatnią nadzieją.

Tenare wytrzymał jej intensywne spojrzenie z kamiennym wyrazem twarzy.

— Przykro mi, nie jestem w stanie ci pomóc.

— Bzdura! — Wallace uderzył w stół otwartą dłoń, najwidoczniej zapominając, z kim ma do czynienia. — Ojciec zapewniał mnie, że będziesz wiedział, jak postąpić!

— Zapominasz się, chłopaku. — Usta zwierzchnika Silvaru wykrzywił zły uśmiech.

— Szczam na to! I nie odejdę stąd, póki Irvette nie uzyska pomocy! Wiem, że umiesz jej pomóc, mój panie... Ojciec nie wysyłałby mnie tu po próżnicy. Dlaczego nam odmawiasz?

— Czy zdajesz sobie sprawę, smarkaczu, że nie muszę nawet wzywać straży, by cię stąd wyrzucić? — Zwierzchnik nadal uśmiechał się za splecionymi dłońmi. — Wystarczy jeden ruch mej dłoni, a wyfruniesz przez okno jak nieopierzony pisklak z gniazda.

Wallace zabrał rękę ze stołu, ale nie cofnął się. Był czerwony ze złości, która nie pierwszy raz odbierała mu rozum.

— Irvette umrze, jeśli jej nie pomożesz.

Ogień w kominku zaskwierczał wśród pełnej napięcia ciszy. Dziewczyna spojrzała na przyjaciela zszokowana. Nigdy nie mówili o tym otwarciu, chociaż oboje to przeczuwali. Zrobiło jej się zimno, nawet po rozpalonej bólem ręce przemknęły lodowate dreszcze.

Tenare sapnął cicho i pomasaował zmarszczone czoło. Długo się nie odzywał.

— Irvette, tak? — przemówił po zaczerpnięciu oddechu.

— Irvette Castire, mój panie.

— Connell coś mi o tobie wspominał. Twierdził, że jego syn skoczyłby za tobą w ogień. Jak widzę, nie mylił się.

Wallace lekko skinął głową, ale z poważnym wyrazem twarzy.

— Wybaczę mu jego zachowanie — zaczął zwierzchnik, zerkając z ukosa na chłopaka — tylko ze względu na moją przyjaźń z Connellem i w nadziei, że kiedyś ułożysz tego ludzkiego szczeniaka jak należy.

Irvette uśmiechnęła się kącikami warg.

— Mam nadzieję, że temu zadaniu sprosta jego przyszła żona.

Zwierzchnik roześmiał się, a Irvette odetchnęła w duchu, że jej komentarz nieco rozluźnił atmosferę.

— Rozumiem. Dobrze, spróbujmy jeszcze raz. Usiądźcie. Ach, samo „panie” wystarczy, jeśli już czujecie potrzebę mnie tytułować.

Odrobinę zbaraniały Wallace opadł ciężko na krzesło. Irvette skrzywiła się z bólu i przycisnęła ramię do siebie.

— Twój ojciec cię nie oszukał, chłopaku. — Zwierzchnik Silvaru sięgnął po butelkę i rozlał zawartość do naczyń. Nie zawracał sobie głowy przeprosinami, że częstuje ich napojem dopiero teraz. — Faktycznie możliwe, że wiem, jak w tej sytuacji postąpić. Nie mam pewności, co z tego wyniknie, jednak Connell nie mógł mieć na myśli nic innego. Stary plotkarz tak się zarzekał, że zachowa tajemnicę.

— Jaką tajemnicę? — zainteresował się Wallace.

— Na temat mojego dobrego znajomego. — Kpiący ton zwierzchnika wskazywał na mało przyjazny stosunek do tego, o kim mówił. — Ojciec nie opowiadał ci przypadkiem o Potworze z Damanor?

Chłopak pokręcił głową.

— A więc może jednak trzymał gębę na kłódkę. — Gospodarz podniósł czarkę do ust i wypił kilka łyków. — Zgaduję, dziewczyno, że również nie masz pojęcia, o kim mówię.

Gęsia skórka postawiła włoski na jej przedramionach. Miała złe przeczucia.

— Nigdy o nim nie słyszałam.

— Nie dziwię się, jesteście z Vaspern. Plotki o potworze swego czasu krążyły po całym Aestos i w pewnych obrębach Nivelos. Dotarły i tutaj, ale byłbym zaskoczony, gdyby sięgnęły również waszego królestwa. Twój ojciec, Wallace, jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem w Vaspern, który cokolwiek na ten temat słyszał.

— Co to ma wspólnego z naszą sprawą? — zniecierpliwił się chłopak.

— Więcej, niż myślisz. Zabiorę was do niego.

Irvette i Wallace spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc.

— Do Potwora z Damanor? — dociekała dziewczyna. — Czy on może mi pomóc?

Zaplotła palce lewej dłoni na naczyniu, obawiając się, że prawa ręka może odmówić jej posłuszeństwa. Ostrożnie wzięła łyk napoju. Trunek był słodki niemal jak sam miód. Rozgrzał jej gardło w przyjemny sposób.

— Ach, tu właśnie zaczyna się problem. — Zwierzchnik rozparł się na krześle, założył ręce za kark. — Nie mogę wam nic zagwarantować. Nie wspominając o tym, że spotkanie z nim nie napawa mnie w żadnej mierze radością. Wierzcie mi: wy również nie macie ochoty się z nim widzieć...

— Chwila — wtrącił Wallace. — Mówimy o potworze czy o człowieku?

— Doprawdy, bardzo dobre pytanie. — Tenare wyszczerzył się w parszywym uśmiechu. — Wiele wskazuje na to, że może być osobnikiem waszej rasy, chociaż jak dla mnie bliżej mu do paskudnej bestii.

— I ta bestia ma pomóc Irvette?

— Jak już powiedziałem, nie zagwarantuję wam tego, jednak istnieje możliwość, że będzie wiedział, co poradzić na to twoje... skażenie, dziewczyno. Choć jego metody z pewnością nie będą pozbawione pewnego ryzyka.

Irvette odruchowo dotknęła chorego ramienia i zacisnęła zęby, by nie syknąć przy kolejnej fali piekącego bólu.

— Dlaczego akurat on? Kim takim jest?

— Czarnym magiem.

Po raz kolejny w izbie zapanowała przejmująca cisza. Irvette wstrzymała oddech, a gdy już otwierała usta, by przerwać milczenie, Wallace po raz kolejny uderzył w stół. Tym razem obiema dłońmi i nie podnosząc się z krzesła.

— Chcesz, panie, oddać Irvette w ręce czarnego maga?! To szaleństwo!

Zwierzchnik Silvaru popatrzył na chłopaka spode łba.

— Nie znam nikogo innego, kto mógłby jej pomóc.

— I dlatego mam się godzić na powierzenie jej opiece jakiegoś, jak sam, panie, powiedziałeś, potwora?!

— Wallace! — Irvette poskromiła go wzrokiem. — Przypominam ci, że sama jestem w stanie o sobie decydować.

— Jeszcze mi powiedz, że ten szalony pomysł ci odpowiada!

— Tak się składa, że nie mamy żadnego innego — odparowała szorstko.

— Oczywiście, że mamy. Wrócimy do Cirem i poprosimy mojego ojca, by jeszcze raz skontaktował się z magami z akademii. Może ich odpowiedź niepotrzebnie nas zaniepokoiła. Może będą w stanie ci pomóc.

— Oboje wiemy, że to nieprawda, Wallace. W najgorszym wypadku poddadzą mnie jakimś chorym badaniom. W najlepszym: po prostu zabiją.

— Nie możesz tego wiedzieć.

— Ależ wiem — wycodziła, tracąc cierpliwość. — Wystarczy mi twoja reakcja, by to wiedzieć.

— Co ma do tego moja reakcja?

— Odjęło ci rozum na wieść o tym, że będę musiała zetknąć się z czarnym magiem. Moje skażenie cię przeraża i napawa obrzydzeniem. Nie ma na tym świecie osoby, która nie gardziłaby choćby najmniejszym znamieniem tej magii.

Wallace umilkł, mocno zaciskając zęby. Wbił błyszczące wściekłością spojrzenie w blat. Zwierzchnik Silvaru obserwował całą konwersację zmrużonymi oczami, popijając trunek ze srebrzystego naczynia. Irvette odwróciła się ku niemu.

— Bądź tak miły, panie, i od teraz rozmawiaj tylko ze mną — poinstruowała go chłodno. — To moje życie jest na szali i to ja zdecyduję, w którą stronę tę szalę przechylić.

Powoli uniósł czarkę w jej kierunku.

— Niech będzie po twojemu, dziewczyno.

— Powiedz mi więcej o tym człowieku, którego zwiesz Potworem z Damanor, panie. Gdzie obecnie przebywa?

— W swoim leśnym gniazdku, jakieś pół dnia jazdy stąd.

— Z jakich powodów zawędrował z dalekiej północy aż tutaj?

— Robi to, co większość czarnych magów: ukrywa się. Jakiś czas temu pomieszkiwał na ziemiach Aestos, tam go poznałem. Jednak sytuacja zmusiła go do przeniesienia się na nasze tereny. Właściwie nawet pomogłem mu się tu osiedlić.

Irvette uniosła brwi.

— Mój panie... czyż tenare nie pałają do czarnych magów szczególnym rodzajem nienawiści?

— Tak się przyjęło, jednak po prawdzie nie nienawidzimy ich dużo mocniej niż ludzie. Poza tym, choćbym nie był z tego faktu zadowolony, czarny mag, o którym mówimy, uratował mi życie.

Przyjrzała się bacznie zwierzchnikowi, rozważając jego słowa.

— A jednak z sympatią, panie, również się o nim nie wypowiadasz.

Tenare tylko drażył ją wzrokiem, milczenie przerwało ciche sapnięcie Wallace'a.

— Nie podoba mi się to. — Raptem utkwiał wzrok w odsłoniętym ramieniu dziewczyny i zerwał się z krzesła. Przemierzył niedużą przestrzeń izby, by podnieść z ziemi jej worek. — Powinnaś się tym zająć.

Gdy wrócił do stołu i zaczął wyjmować potrzebne rzeczy, Irvette w zamyśleniu spjrzała w ogień tańczący w kominku.

— Kiedy mógłbyś nas do niego zabrać, panie?

Wallace obrzucił ją zasmuconym spojrzeniem, ale nie skomentował. Najwidoczniej zaakceptował jej wybór, a jej ulżyło, że nie będzie musiała więcej się z nim wyklócać. Nie miała na to najmniejszej ochoty.

Zwierzchnik zastanawiał się przez moment.

— Dzisiaj odpocznijcie. Wyruszymy jutro. Znajdę wam zaraz jakąś kwaterę. Prześpijcie się i przygotujcie na spotkanie. Nie będzie należało do miłych. To jedyne, co wiem w tej sprawie na pewno.

Wallace porozumiewał się z Irvette tylko okazjonalnymi burknięciami. Przez cały wieczór nie rozmawiali o decyzjach, które zapadły. Dostali od zwierzchnika cały bukłak słodkiego trunku i jeszcze trochę nadzianych mięsem bułeczek, których podczas rozmowy jej przyjaciel nawet nie tknął. Teraz się nie hamował i nie dbał o to, by cokolwiek oszczędzić dla swojej towarzyszki. Z całych sił starała się ignorować jego dziecinne zachowanie.

Spędzili noc w niewielkiej kwaterze, tym razem jednak pozbawionej przykrych zapachów. Dostali także balię, w której mogli nareszcie zażyć kąpieli. Irvette z ulgą skorzystała z tego małego luksusu.

Wyruszyli z rana, zaraz po wschodzie słońca. Cofnęli się szlakiem na tereny, które minęli poprzedniego dnia. Zjechali z piaszczystej drogi na zielone równiny i podążali przed siebie tak długo, aż rozpoznali odległe

jeszcze mokradła rozciągające się przed majaczącym w oddali lasem. Wtedy zwierzchnik zażądał postoju i z małej skórzanej sakwy u pasa wyciągnął amulet — szklaną kulkę zawieszoną na łańcuchu z grubych oczek.

— Co to takiego? — zaciekała się Irvette.

— Nexam. Droga rzecz. Do jej zaklęcia potrzebny jest mag władający żywiołem powietrza i zdolnościami telepatii. Nexam powoduje, że słowa przebywają pewne odległości. Niestety nie aż tak wielkie, jak bym tego chciał.

— Co to właściwie znaczy?

— Takie same Nexamy podarowałem swego czasu dwóm, hmm... towarzyskom, byśmy w razie potrzeby mogli się porozumiewać. Jednym z nich jest nasz potwór. Wołałbym skontaktować się z nim jeszcze w forcie, lecz Nexam nie działa na taką odległość. Może się okazać, że przybyliśmy tu niepotrzebnie, jeśli teraz odmówi wam pomocy.

Zwierzchnik zeskoczył z konia, Irvette i Wallace poszli w jego ślady, wymieniając wyczekujące spojrzenia.

— Muszę was przestrzec: nie kontaktowałem się z nim kilka cykli i nie wiem, jak zareaguje.

— Zaczekaj, proszę, panie — odezwał się Wallace, spoglądając w dal. — Zanim rozpoczniemy, chciałbym zadać kilka pytań. Wspominałeś, panie, że czarny mag ukrywa się i to ty zapewniłeś mu azyl w lesie widocznym przed nami.

— Tak, a co więcej, zbudowałem dla niego schronienie. Cóż, w życiu zrobiłem wiele rzeczy, których teraz żałuję.

— Nie widać stąd szlaku, a ta okolica nie wygląda na często odwiedzaną. Nazywasz go, panie, potworem i wywozisz z dala od ludzi. Niepokoi mnie to. Czy jesteśmy prowadzeni jak posłuszne owieczki na rzeź, prosto do leża bestii?

Tenare roześmiał się pod nosem.

— O co mnie posądzasz, chłopaku?

— Pragnę jedynie zaznaczyć, panie, że bardzo się postarałeś, by pomóc mu ukryć się przed światem. Niektórzy mogliby sądzić, że z nim współdziałasz.

— I że podrzucam mu niczego niespodziewające się ofiary? — W oczach zwierzchnika pojawił się błysk rozbawienia. — Nie nazwałbym tego współdziałaniem. Potrzebował schronienia, a ja od dawna wiedziałem,

że to miejsce jest opustoszałe. Kiedy zobaczycie las z bliska, zrozumiecie czemu. Mało kto wkroczyłby tam z własnej, nieprzymuszonej woli.

Wallace skrzywił się z dezaprobatą.

— Czy to, co powiedziałaś, panie, miało mnie uspokoić?

— Miało pokazać ci, że nie zamierzam was zwodzić. Do niczego was nie zmuszam. Możecie jeszcze zmienić zdanie, zawrócić i szukać pomocy u waszych magów.

— Prosiłam, panie, byś w tej sprawie zwracał się jedynie do mnie. — Irvette uciszyła spojrzeniem przyjaciela, który już szykował się do odpowiedzi. — Nigdzie nie zawracamy. Czy jest coś jeszcze, co powinniśmy wiedzieć o tym mężczyźnie?

— Hmm. Czarna magia, chociaż jest głównym powodem jego odizolowania się od świata, nie jest jedynym. I tymi pozostałymi powodami radzę się wam nie interesować. Poza tym ten... człowiek... spędził już jakieś trzynaście cykli w samotności, w mrocznym lesie. Nie spodziewajcie się, że jest szczególnie przystosowany.

— Na bogów! — Wallace pobladł. — W czyje ręce godzę się powierzyć zdrowie Irvette?

— W potworne, paskudne ręce, które mimo wszystko potrafią czynić rzeczy niesłychane. Nie podoba mi się to równie mocno co tobie.

Irvette westchnęła poirytowana.

— Czyni, proszę, swoją powinność, panie. Jeśli dalej będziesz słuchać jęków mojego przyjaciela, umrę, nim któreś z nas zdąży cokolwiek uczynić w mojej sprawie. Przy okazji, Wallace: godzisz się? Nie jestem twoja, byś o mnie decydował, i nie pojmuję, skąd przyszło ci to do głowy. Nie próbuj mi odpowiadać, to nie miejsce i czas na takie bzdury.

Zwierzchnik Silvaru uśmiechnął się szeroko.

— Twoja towarzyszką ma jaja większe od ciebie, chłopaku.

— Rozmowa na temat męskich genitaliów również mnie w tej chwili nie interesuje. Panie.

Tenare roześmiał się gromko i dźwięcznie.

— W porządku. Od tej chwili nie ma już odwrotu. — Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. — Ach, jak bardzo nie mam ochoty tego robić...

Jednak przysunął wisior blisko swojej twarzy i wypowiedział jedno słowo: *seremo*. Zawieszona na łańcuchu szklana kula rozbłysła słabym światłem. Przez kilka oddechów nic więcej się nie działo, lecz raptem amulet zamigotał intensywniejszym blaskiem i wtem dobiegł z niego zdeformowany, mocno chrypliwy głos.

— Hasan? Czego jeszcze chcesz?

Irvette dostała gęziej skórki. Do głowy wpadła jej myśl, że to nie może być głos człowieka. Wallace musiał sądzić podobnie, bo położył dłoń na jej ramieniu. Była pewna, że chciał uspokoić również siebie.

Zwierzchnik Silvaru skrzywił usta, głośno przełknął ślinę. Nie spieszył się z odpowiedzią.

— Czemu nadal tu jesteś? Hasan?

— To ja, Randis.

Przez dłuższy moment nie padła żadna kwestia. Irvette wpatrywała się w Nexam intensywnie.

— Randis! — rozległo się niespodziewanie, tak że cała trójka drgnęła. Głos ociekał jadem. — To ci dopiero zaszczyt. Czemu go zawdzięczam?

Po obliczu zwierzchnika przemknął nieokreślony wyraz.

— Dawnośmy się nie słyszeli, Potworze z Damanor. Aż dziw bierze, że nadal dychasz.

Irvette wydała z siebie cichy odgłos rozczarowania. Nie tak wyobrażała sobie przebieg tej rozmowy. Z Nexamu wydobyła się kąśliwa odpowiedź:

— Jestem pewien, że stan mojego zdrowia przejmuje cię do głębi, podobnie jak mnie obchodzi twój. Może jednak darujmy sobie te uprzejmości i przejdźmy do konkretów. Musisz mieć do mnie sprawę niecierpiącą zwłoki. Mylę się?

Tenare uśmiechnął się, a jednak jakiś mięsień na jego twarzy dziwnie drgnął.

— Czas, byś zaczął spłacać swój dług, stary druhu.

Tym razem odpowiedź zadźwięczała niemal natychmiast:

— Dług? — Śmiech, który nastąpił po słowie wypowiedzianym z głębokim niedowierzaniem, zmroził Irvette do kości. — Pamiętam to zgoła inaczej. Może tak, że uratowałem ci skórę. Stary druhu.

Zwierzchnik zaczerpnął powietrza, kształt jego ust zrobił się bardziej złowrogi.

— W zamian za pomoc zaoferowałem ci dogodne schronienie. Chowasz się w tej swojej lisiej norze wystarczająco długo, bym zaczął żądać zapłaty.

— Nie! — padła stanowcza odpowiedź, teraz pozbawiona sarkazmu. — Ocaliłem cię. Za to będziesz płacił tak długo, jak trwa twoje marne życie. Teraz wiem, że niewarte ratowania.

Wallace głaskał gniadosza po grzbiecie, z powątpiewaniem zerkając to na zwierzchnika, to na Irvette. Dziewczyna miała ochotę wtrącić się w rozmowę, niecierpliwiła się, miętosila w dłoni połę płaszcza.

— Na Mestyrię! — wybuchnął tymczasem zwierzchnik, nie próbując już kryć rozeźlenia za maską zawadiaki. — Nie sądziłem, że możesz być bardziej zgryźliwy niż wtedy, gdy słyszeliśmy się ostatnio!

— Ostatnio, powiadasz? — Głos z Nexamu znów zabrzmiał kąśliwie. — Musisz mieć na myśli sytuację sprzed kilku cykli, kiedy to posądziłeś mnie niesłusznie o przywołanie pomiotu, który z podziemi wypuścili twoi nieudolni Strzegący.

Zwierzchnik oddychał przez rozedrgane nozdrza. Irvette mierzyła go zimnym wzrokiem, pragnąc dać mu do zrozumienia, że powinien zakończyć roztrząsanie swoich spraw.

— Czy naprawdę musimy tego słuchać? — szepnęła, podejrzliwie zerkając na amulet.

Zwierzchnik popatrzył na nią z naganą i od razu zrozumiała, że jej słowa zostaną odebrane przez mężczyznę dzierżącego drugi Nexam. Odpowiedź nie pojawiała się przez długi czas i Irvette zaczęła się obawiać, że zniechęciła rozmówcę.

— Randisie — dało się wreszcie słyszeć — powiedz mi, że się przesłyszałem.

Irvette zdobyła się na odwagę i wyrwała amulet z ręki zwierzchnika, zignorowawszy jego, teraz już wściekłe, spojrzenie, po czym zbliżyła szklaną kulę do własnej twarzy.

— Nie, panie, z twoim słuchem wszystko w porządku. To w mojej sprawie przychodzimy do ciebie.

Dłużąca się cisza przyprawiała dziewczynę o niepokój.

— Randis. — Głos był lodowaty, wycofany. — Jakąkolwiek tragedię spowoduje twój brak rozsądku, każdą jej ofiarę będziesz miał na swoim sumieniu. Miło było pogawędzić i powspominać stare czasy.

Odepchnięta tymi słowami Irvette poczuła, że robi się czerwona ze złości.

— Zaczekaj! — Głos Wallace'a rozległ się nad jej ramieniem. — Potrzebujemy twojej pomocy!

Zwierzchnik Silvaru westchnął głęboko, kryjąc twarz w smukłej dłoni. Zanim ze szklanego wisiora padły kwaśne słowa, najpierw wydobył się z niego wściekły syk.

— Ile jeszcze osób mnie słucha, Randisie? Czy odjęło ci rozum? Ilu tu sprowadziłeś?!

— Jest nas tylko dwójka, panie! — kontynuował chłopak z rozgorączkowaniem. — Moja przyjaciółka... jest chora. Wierzymy, że tylko ty jesteś w stanie...

— Nie. Wynoście się stąd, wszyscy!

Lekko otępiąta Irvette potrząsnęła za łańcuch. Szklana kula zgasła i blask już nie powrócił. Łzy zapiekły w kącikach oczu, lecz nie pozwoliła im popłynąć. W zamian zakłęła siarczyście, jej sercem zawładnęła wściekłość.

— Wypowiedz zakłęcie, panie. Aktywuj Nexam.

— To na nic, dziewczyno. Przykro mi.

— Będziemy próbować do skutku.

— Nie przekonacie go. To uparty dureń.

— Nie zdążyliśmy nawet wyjaśnić... — Urwała, zdjęta silnym bólem, który wyrwał z jej gardła krótki jęk. Wallace był przy niej w okamgnieniu i podtrzymał, gdy zawroty głowy ścięły ją z nóg. Natychmiast straciła ostrość widzenia, świat przechylił się pod dziwnym kątem, a potem cały zamazał i pociemniał. Ramię oblał żar, jakby włożyła je w ogień. Ból stał się nie do zniesienia, jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, a z gardła wydostał się strumień wymiocin. Słyszała wokół siebie jakieś okrzyki, ale nie potrafiła wyłowić z nich żadnych słów. Dotykały ją czyjeś ręce, ktoś ją unióś, poczuła, jakby fruwała w powietrzu. Potem straciła kontakt z rzeczywistością.

Rozdział III

1338

Lederg brnął przez gęsty bór porastający ośnieżone wzgórza i z uwagą przyglądał się notatkom. Mapa, którą naszkicował na pergaminie według wskazówek mieszkańców okolicznej wioski, wskazywała, że powinien znajdować się już blisko wejścia do groty. Dla niego jako badacza jaskinie miały szczególną wartość. To w ich wnętrzach kryła się rzadka roślinność, niespotykane nigdzie indziej drogie kamienie, minerały i przepelnione magią miejsca. Akademia płaciła niemało za jego wyprawy i miał nadzieję, że i tym razem po powrocie będzie mógł pochwalić się wieloma odkryciami. Wyruszył dwie fazy temu, a Purga — wieś na dalekiej północy Nivelos — oraz jej okolice miały być zwieńczeniem podróży. Zależało mu, by wynieść z tych terenów jak najwięcej informacji.

Ukrył notatki w dużej podróżnej sakwie, teraz częściowo opróżnionej z ekwipunku — nie chciał się niepotrzebnie obciążać, więc to, co mógł, pozostawił w wiosce. Obrął kierunek, który powinien doprowadzić go do jaskini, i po niedługiej przeprawie między wysokimi sosnami oraz świerkami ujrzał wylaniające się z za roślinności skały. Skierował się tam zwawszym krokiem, zadowolony. W lesie było cicho. Siedem dni temu w Purdze panowała tak silna zamieć, że Lederg nie mógł nawet na chwilę wyściubić nosa z za drzwi szynku, w którym zajmował skromny pokój. Dziś nie było nawet wiatru, a jedyne dźwięki, jakie dało się słyszeć, to chrzączenie śniegu pod stopami i skrzypienie uginających się pod jego ciężarem gałęzi.

Jakiś cień poruszył się między drzewami rosnącymi przed jaskinią. Mag zatrzymał się. Zaskoczony faktem, że nie jest w tych okolicach sam, nabrał

ostrożności. Wyteżył wzrok i zwolnił kroku. Instynkt podpowiadał mu, by w miarę możliwości kryć się za pniami drzew i gołymi krzakami jeżyn. Widział nieznaną postać coraz wyraźniej i jego zdziwienie z każdym oddechem rośnie.

Za zwałami śniegu, który na tej części kontynentu topniał dopiero z końcem pory deszczowej, przed wąskim wejściem do groty krążył wychudzony chłopiec ubrany w podarte łachmany i z workiem zarzuconym na głowę. Rękami wepchniętymi w podziurawione rękawice zbierał i łamał gałęzie, prawdopodobnie na ognisko, które — jak zgadywał Lederg — musiało mieścić się wewnątrz groty.

Mag zawahał się i znów przystanął na chwilę. Skąd się tutaj wzięło dziecko, pół dnia drogi od wioski? Co miał znaczyć worek na jego głowie? Ogarnęły go złe przeczucia. Jednak prowadzony ciekawością badacza i troską, jaką budził w nim widok zmizerniałego dziecka, przemieścił się powoli wśród zarośli, by w końcu wyjść z cienia drzew.

Skrzypienie śniegu pod jego stopami przyciągnęło uwagę chłopca. Zadarł zakrytą workiem głowę i utkwiał w magu spojrzenie szeroko otwartych oczu, które wyzierały z dwóch nierówno wyciętych otworów. Te oczy były nienaturalnie jasne. W przedzierającym się przez liście migotliwym świetle, które odbijało się od śniegu, sprawiały wrażenie srebrnych.

Lederg zdążył jedynie otworzyć usta, by coś rzec, a chłopca już nie było — natychmiast zniknął w ciemnościach groty. W trakcie ucieczki upuścił kilka gałązek.

Mężczyzna osłupiał. Przez moment nie wiedział, jak postąpić, ale zaraz się ocknął. Przecież nie mógł zostawić tego dziecka — z jakiegokolwiek powodu tu było — na pastwę losu. Przedostał się między drzewami do jaskini, precyzyjnie przeczekał przez szczelinę i znalazł w mrocznym wnętrzu. Zdjął kaptur. Podkasał rękaw i przyzwał na dłoni wysoki na stopę płomień, by oświetlić sobie drogę.

Potał powieki i przetoczył wzrokiem wokoło. Płomień posłusznie tańczył mu na dłoni, a po skałach przemykały fikuśne cienie. Sklepienie znajdowało się nisko, z rzadka zwisały z niego grube stalaktyty, lśniące od kropelek wody. Tunel, który wyłonił się z mroku tuż przed jego oczami,

prowadził w dół, ale zbocze nie wydawało się strome. Lederg skierował się w jego stronę, ostrożnie stawiając stopę za stopą.

Po chłopcu nie został ani ślad. Nie dało się słyszeć jego kroków, echo nie przynosiło żadnych odgłosów. Było tak, jakby wyparował.

Mag pluł sobie w brodę, że go wystraszył. Był o to na siebie wściekły, mimo wszystko szedł dalej. Po pokonaniu jakichś dwustu stóp przedostał się do miejsca, gdzie grota znacząco się powiększała. Kiedy stanął pod jedną ścianą, nie był w stanie zobaczyć pozostałych, nawet jeśli wyciągał dzierżącą płomień rękę daleko przed siebie. Nie był więc pewien, gdzie teraz szukać, ostatecznie kontynuował przemieszczanie się wzdłuż tej samej ściany, aż po przejściu następnych kilkudziesięciu stóp natknął się na ślady obozu.

Z podłoża wystawało trochę skalnych słupów, które pięły się i łączyły ze sklepieniem. Pod jednym z tych filarów natury Lederg odnalazł płócienne szmaty — jedne zwinięte w kształt podglówka, inne rozścielone, wyraźnie służące za posłanie. Nieopodal jeszcze syczało dopiero co ugaszone ognisko otoczone kamiennym kręgiem. Spomiędzy kamieni sterczały nad paleniskiem patyki z nabitym na nie oskórowanym królikiem. Na ten widok mężczyzna zaczął się zastanawiać, czy dziecko aby na pewno przebywa tutaj samo. Potrafił uwierzyć, że chłopiec — skądkolwiek pochodził — zaobserwował, jak dorośli przygotowują jedzenie nad ogniem, jednak nie umiał sobie wyobrazić dziecka samodzielnie i dokładnie sprawiającego zwierzynę.

Obszedł legowisko i kamienny krąg, błędząc spojrzeniem w poszukiwaniu śladów czyjejś obecności. Na jednym ze stalagmitów odnalazł nieduży bukłak ze skóry, uwieszony na konopnym sznurku.

Kiedy zamyślony oddalił się o kilka kroków, do jego uszu zaczął napływać szmer wody. Odwrócił się w kierunku, z którego dochodziły dźwięki, i wyciągnął rękę przed siebie. Wzmocnił nieco płomień i ruszył dalej.

W miarę jak pokonywał kolejne sążnie, odgłos się nasilał. Podobnie jak jego niepokój. Grota znów się zwężała. Lederg czuł się bezpieczniej, kiedy światło jego magicznej pochodni sięgało od ściany do ściany, a jednak mimowolnie robiło mu się duszno. Po pewnym czasie szmer wody stał się tak wyraźny, że mężczyzna miał pewność, iż blask płomieni za chwilę

odbije się w krystalicznej tafli. Ujrzał jednak coś zgoła innego. I znieruchomiał, zdjęty strachem.

Patrzyła na niego para jarzących się jak rozgrzane węgle ślepiów. Demon stał na granicy oświetlonego przez płomień terenu. Częściowo ukryty w mroku, a jednak wystarczająco blisko, by dotrzeć do maga jednym długim susem.

W myślach Lederga pojawiła się i otworzyła księga, którą studiował dawno temu. Tomiszczę w jego wspomnieniach ukazywało szkice opisane drobnym tekstem. Rysunki przedstawiały pomiot cienia — demona związanego z czarną magią. Czworonożnego, budową ciała przypominającego wielkiego psa. Otoczonego tuż przy skórze ciemną mgłą. Z długimi, czarnymi pazurami, zakrzywionymi jak u drapieżnego ptaka. O głowie osadzonej na długiej szyi — zwierzęcej głowie, a jednak z ludzką twarzą, wprawdzie bez nosa, za to z szerokim uśmiechem odsłaniającym ostre kły. Takie właśnie monstrum stało teraz naprzeciw niego...

Wypuścił z płuc wstrzymywany do tej pory oddech. Wykonał krok w tył, nie spuszczać pomiotu cienia z oczu. Ten nie poruszał się, przyglądając mu się z identyczną uwagą.

Przyspieszone bicie serca tętniło magowi w uszach. Nie miał odwagi choćby mrugnąć, bardzo powoli się wycofywał. Demon, sięgający mu głową pod pierś, ciągle nie atakował. Lederg zaczął dochodzić do wniosku, że musi on strzec przejścia. Cokolwiek znajdowało się dalej czy ktokolwiek krył się w głębi — pomiot cienia nie miał zamiaru przepuścić intruza. W końcu cieniste, płaskie wargi uniosły się i potwór przemówił skrzekliwym głosem. Słowa były dla maga niezrozumiałe, ale każde kolejne raniło go w uszy niczym kłujące igły.

Krzywiąc się z bólu, Lederg powoli oddalał się od demona. Miał ochotę zerwać się biegiem, ale uznał, że byłoby to nierozsądne. Nie powinien prowokować pomiotu i musiał mieć się na baczności, być gotowym na ewentualny atak. Wycofywał się więc stopniowo ku miejscu, w którym widział obóz, a demon niknął w mroku. Skrzekliwe zdania wypowiedane w obcym języku podążały za magiem, coraz mniej wyraźne.

Dopiero gdy znalazł się koło pozostałości ogniska, zdał sobie sprawę, jak szybko i płytko oddycha. Przełknął ślinę, nie miał odwagi się odwrócić. Nie chciał mieć demona za plecami. Pot spływał mu po czole, nogi plątały się i kilka razy niemal się przewrócił. Pozwolił sobie skierować twarz ku wyjściu dopiero, gdy dzieliło go od szczeliny jakieś sto stóp. Ale nawet wtedy nieustannie się za siebie oglądał.

Gdy wypadł na zewnątrz, prosto w oślepiający blask białego śniegu, od razu obrał kierunek na wioskę. Zgasił ogień na dłoni, zarzucił na głowę kaptur i poszedł zamaszystym krokiem, ani na moment się nie zatrzymując. Przyspieszone tętno jeszcze długo nie chciało się uspokoić. Do Purgi miał daleką drogę, a co za tym idzie — wiele czasu na rozmyślanie.

Dotarł do wioski po zmroku. Zimno przenikało go do kości, a wśród skupiska głównie drewnianych chat królowały pustki. Zasypanymi ścieżkami nie przemieszczał się ani przechodzień. Pochodnie paliły się tylko przed jednym podłużnym domostwem połączonym z oborą, należącym do starszyny osady. Za pozamykanymi okiennicami pozostałych siedlisk gdzieniegdzie pobłyskiwały słabe światła. Z szynku znajdującego się bliżej centrum Purgi dochodziło echo rubasznych rozmów. Skierował się tam, a kiedy mijał kapliczkę poświęconą Nive, wykonał kilka nerwowych ukłonów.

Gdy już znalazł się wewnątrz, konwersacje ucichły i wszystkie pary oczu powędrowały w jego stronę. Chłopi nadal podchodzili do niego z nieufnością, mimo że przebywał w wiosce już wiele dni. Stojąc w progu, skinął głową, pozdrawiając wszystkich obecnych. Jedni pomruczeli coś pod nosami, inni po prostu się odwrócili, by kontynuować swoje rozmowy, teraz już przyciszone. Tylko szynkarka nadal nie spuszczała go z oczu.

Przywyknął już do takiego traktowania. Wyminął siedzących przy ławach wieśniaków, krocząc ku schodom prowadzącym na piętro. Rzucił okiem na prostokątne, otoczone niewielkimi kamiennymi bloczkami palenisko w centrum pomieszczenia. Na stojaku, wykonanym z dwóch solidnych belek i wbitego między nie pręta, wisiały dwa kotły. Do nosa Lederga dotarł zapach zupy rybnej, do ust napłynęła ślina. A jednak zrezygnował z wieczornej stawy. Był zbyt zdenerwowany, przejęty tym, co go spotkało, a nieprzyjemna atmosfera nie zachęcała do pozostania wśród miejscowych.

Na piętrze znajdowały się dwie małe izby przeznaczone dla z rzadka zjawiających się gości. Zamknawszy za sobą drzwi jednej z nich, mag zrzucił z siebie wierzchnie odzienie i usiadł na łóżku. Po całym dniu wędrówki był wykończony i przemarznięty, ale wiedział, że jeszcze długo nie zmruży oka. Przyciągnął pod nogi drewnianą skrzynię z płaską pokrywą i rzucił na nią wyciągnięty z sakwy notatnik, niemal przewracając kałamarz, który wcześniej tu pozostawił. Utkwił spojrzenie w piórze leżącym tuż obok. Pulsowało mu w skroniach. Przez całą drogę do wioski próbował pozbierać myśli.

Słyszał doniesienia o pomiotach cienia, o ich przygodnych atakach na podróżnych i kilku rzeziach dokonanych w wioskach. Sam spotkał się z demonem pierwszy raz i nadal nie potrafił wygonić z głowy obrazu czerwonych ślepi osadzonych głęboko na płaskiej, upiornej twarzy. Złapał za pióro, chcąc zanotować wszystko, czego był świadkiem, i popadł w zwątpienie. Czy dobrze postąpił? Czy nie powinien chociaż spróbować zlikwidować potwora? Co, jeśli pomiot cienia wyjdzie ze swojej kryjówki i zaatakuje mieszkańców Purgi? Zdawał się czegoś strzec, możliwe, że nie miał zamiaru opuszczać mrocznego legowiska, ale mag obawiał się, że to tylko jego własne złudzenie. Raptem powróciła do niego myśl o dziecku, o którym w całym tym stresie zapomniał. Zimno speliło mu po kręgosłupie. Czy zostawił tego chłopca na łaskę demona, skazał go na śmierć?

Szkicując pomiot, zastanawiał się nad tym, skąd on mógł się tam wziąć. Istniały tylko dwie możliwości: albo sam wypełznął z głębokich podziemi, albo został przyzwany przez czarnego maga...

Pióro na moment zawisło nieruchomo nad pergaminem. Do głowy Lederga wpadła pewna myśl, lecz na razie ją odgonił, nie chcąc nawet rozważać tej możliwości.

Obudził się, gdy tylko zaczęło świtać. Skronie zrosił mu pot — pozostałość po koszmarach, które towarzyszyły mu do połowy nocy, kiedy wreszcie z trudem zasnął. Zanim poprzedniego wieczora udał się na spoczynek, zszedł jeszcze do baru. Spojrzenia, które dotąd były przepelnione jedynie podejrzliwością, stały się zimne i wrogie. Zbywali go milczeniem, wzruszali barkami albo z przekonaniem odpowiadali, że nic nie wiedzą o żadnym chłopcu, że żadne dziecko z wioski nie zniknęło. Najdziwniej zachowała się

szynkarka, która usłyszawszy jego rozmowy z innymi, z przerażenia wytrzeszczyła oczy, wymieniła kilka słów z właścicielem przybytku i ulotniła się w pośpiechu. Lederg nie chciał śledzić jej po nocy, by nie narazić się na jeszcze większą wrogość, dlatego odłożył rozmowę z nią na później.

Miał nadzieję, że kobieta pojawi się dziś w swoim miejscu pracy, i już układał w głowie pytania, jakie jej zada. Musiał być bardzo taktowny i ostrożny, by jeszcze bardziej jej nie wystraszyć.

W rogu izby, na wysłużonym taborecie, stało wiadro zimnej wody. Lederg obmył twarz z potu i oczyścił skórę mokrą płócienną szmatą. Kiedy nałożył na siebieienne szaty, do jego uszu dotarł zgielk. Kobięcy wrzask sprawił, że włosy stanęły mu dęba. Otworzył okiennice i wyjrzał na zewnątrz.

Na ścieżce przed przybytkiem panowało spore zamieszanie. Gromada ludzi otaczała ciemnowłosą szynkarkę. Jeden z mężczyzn popchnął ją i z płaczem padła w śnieg. Przez ciżbę przebiła się starucha, najważniejsza ze starszyczny. Dopadła do kobiety, złapała ją za ramiona, po czym z niespodziewaną siłą uderzyła w twarz. Pozostałe członkinie starszyczny, tylko nieco młodsze, ze zgorzeniem kręciły głowami.

Lederga opanowała wściekłość, krew nabiegła mu do twarzy, tętno przyspieszyło. Nie zastanawiając się zbyt długo, wybiegł z pokoju, w pośpiechu wciskając ramiona w rękawy ciężkiego wierzchniego odzienia. Na parterze nie było nikogo — jak nigdy. Nad wygaszonym paleniskiem wisały opróżnione kotły.

Wypadł z szynku i ruszył na ciżbę. Złapał jakiegoś wieśniaka za bark i odepchnął go. To samo zrobił z następnym, ale jeszcze kolejny nie dał się tak łatwo. Odwrócił się i uderzył maga rękami w pierś, odpychając go.

— Nie wtrącajcie się! — krzyknął chłop.

Lederg zacisnął pięści, mierząc go wzrokiem.

— Co się tu wyprawia? — zapytał zimno.

Uwaga ciżby skoncentrowała się na nim, otoczyli go, na razie pozostawiając płaczącą w śniegu kobietę.

— To nie wasza sprawa, przybyszu. — Wyszła mu naprzeciw starsza wioski, siwa, chuda kobieta o twarzy naznaczonej głębokimi zmarszczkami

i bliznami po ospie. Miała na sobie ciężkie korale. — Odejdźcie zająć się swoimi sprawami.

— Właśnie się nimi zajmuję. — Mag przetoczył wzrokiem po niespokojnym tłumku, by ostatecznie utkwić go w skulonej szynkarce. — Czym ta kobieta zasłużyła sobie na takie traktowanie?

— Kobieta, panie?! — wybuchnął nagle jeden z mężczyzn. — Toż to demoniczna nierządnicą! Przekleństwo sprowadziła na naszą wieś, teraz musi przejąć je na własne barki!

Kolejny wieśniak, zainspirowany przemową towarzysza, rzucił się w stronę szynkarki, by chwycić ją za włosy.

— Przekłeta kurwo, musisz zrobić, co do ciebie należy!

Lederg wyciągnął rękę i chwycił chłopca mocą telekinezy. Wykonując zamaszysty gest, oderwał go od kobiety i rzucił nim w zaspę. Tłumek przepełniły okrzyki oburzenia i przerażenia, część wieśniaków wycofała się. Ci, którzy nieustępliwie zagradzali magowi drogę, wkrótce rozstąpili się pod naporem fal telekinezy.

— Póki tu jestem i póki nie dowiem się, czego chcecie od tej kobiety, nikt nie położy na niej nawet palca. — Lederg zasłonił nieszczęsną ofiarę i niedługo potem poczuł, jak drżące ramiona obejmują mu kolana; krucha sylwetka przycisnęła się do jego nóg.

Starsza wioski z niesmakiem patrzyła na tę scenę, jednak nie odważyła się podejść bliżej. Rozejrzała się w poszukiwaniu wsparcia, lecz ciżba nie była już tak zbita, kobiety wycofały się daleko, mężczyźni pobledli ze strachu.

— Panie magu, nie wiecie, z czym macie do czynienia — wycedziła starucha. — Pomagając tej przeklętej dziewczce, sprowadzacie na siebie nieszczęście. I kto wie, czy nie na nas!

— Nie sądzę, bym mógł wywołać zło większe od tego, które wyrządzacie tu sami. — Przeniósł wzrok na przyczepioną do siebie kobietę i przybrał łagodniejszy wyraz twarzy. — Powstań, dziewczyno. Nic ci nie grozi.

Patrzyła na niego para przepęlnionych łzami oczu, ale z jakiegoś powodu nie ogarnęło go współczucie. W młodej twarzy szynkarki tkwiło coś niedobrego. Nie chciał oceniać na podstawie przeczuć, tym bardziej po tym, czego właśnie był świadkiem, ale nagle nie mógł oprzeć się wrażeniu,

że kobieta wcale nie zasługiwała na ratunek. Mimo wszystko pomógł jej wstać i przytrzymał za ramię, bo ledwo trzymała się na miękkich nogach. Uczepiła się go mocniej i niczym zaszczute zwierzę łypnęła w stronę starszej wioski.

— Matko, on to może zrobić — wymamrotała.

Lederg wyprostował się, nie rozumiejąc. Starucha nazywana matką przez wszystkich mieszkańców Purgi patrzyła gniewnie.

— Oto, jak się wam odwdzięcza! — zagrzmiała zachrypniętym głosem. — Ostrzegałam was, panie!

— Matko! — zawyła kobieta, raptem rzucając się do kolan staruchy, która natychmiast się odsunęła i splunęła. — Czemu narażać kogokolwiek z wioski?! Obcy może to zrobić, włada magią, odpędzi od siebie nieszczęście!

— Tchórzliwa dziewczko. — Starsza drgnęła w stronę szynkarki, ale zatrzymała się pod srogim spojrzeniem maga. — To twoje dziecko. Ty musisz je zabić.

Lederg wstrzymał oddech. Zgromadzeni zaczęli coś wykrzykiwać, ale nie rozumiał, bo jego myśli uciekły gdzieś daleko.

— Co to ma znaczyć? — odezwał się w stłumiony sposób, kiedy okrzyki już ucichły.

— Błagam, matko! Dajcie mi szansę wyjaśnić! Niech obcy się tym zajmie, dla dobra naszej wsi!

Starucha powiodła wzrokiem po ciżbie, wśród której przetoczyły się szept i kilka przekleństw. Niechętnie skinęła głową.

— To twoja ostatnia szansa na odkupienie, nałożnico demonów.

Kobieta zaprowadziła maga do swojej chaty. Niewielkie domostwo podzielone było na dwie izby. Zgadując po smrodzie i dobiegających zza ściany odgłosach, w jednej z nich musiały być co najmniej dwie świnie. Kobieta wyjaśniła, że jej mąż jest rzeźnikiem.

— Zamiast udzielać pomocy mężowi, pracujesz u boku szynkarza? — zapytał Lederg, siadając na ławce długiej na szerokość izby, która dzieliła pomieszczenie na dwa nibysegmenty.

W jednym z nich znajdował się w rogu piec z gliny i kamieni, w pobliżu którego rozsypano stertę drewna i rozrzucono worki, w większości puste.

W drugim umiejscowiona została prycza, całkiem solidna ława zastawiona glinianymi naczyniami, plecione kosze i nieduża skrzynia.

— Muszę, panie. — Kobieta przysiadła na skraju siennika, opuściła głowę. — Mąż skąpi mi nawet jedzenia. A i tak jest łaskawy, że pozwala mieszkać ze sobą pod jednym dachem. Szynkarz niedawno stracił żonę, potrzebna mu była dodatkowa para rąk do pracy.

Lederg pokiwał głową, coraz pewniejszy swoich podejrzeń.

— Jak ci na imię? — Postanowił zacząć tę rozmowę łagodnie.

— Szebora, panie. Ta, która zawsze podejmuje walkę.

Zdradzanie znaczenia swojego imienia, jeśli imię takowe miało, było zwyczajem panującym wśród niektórych prowincji Nivelos, choć nie zawsze chętnie praktykowanym. Ci, których miana nie hołubiły dobrych cech, a raczej wspominały o złych, zwykle odchodzili od owej praktyki w nadziei, że rozmówca nie zna starego, zanikającego już języka wystarczająco dobrze. Sam Lederg należał do tych, którzy cierpieli przez nadane im miano.

— Szebora — powtórzył. — Powiedz mi, proszę: czy dziecko, które widziałem w jaskini na wschód stąd, jest twoim synem?

Poruszyła się niespokojnie, skuliła, jakby szykowała się na przyjęcie ciosu.

— Tak, panie.

— Czemu jest tam, a nie tutaj, z tobą?

Szebora ukryła twarz w dłoniach, zaczęła drżeć.

— Panie, to dziecko jest przeklęte jeszcze bardziej niż ja — przemówiła jękliwie. — Włada czarną magią! Musieliśmy je przepędzić!

Lederg przysunął się bliżej pieca, chociaż przenikającego go teraz zimna nie przegoniłby żaden ogień.

— Jak długo...? Od jak dawna dziecko tam przebywa?

— Płynie już trzecia faza, odkąd przegnaliśmy tego potwora — wycodziła kobieta. — Na Nive i wszystkich bogów! Sądziliśmy, że dawno już zdechł.

Mag poczuł ogromną ochotę, by uderzyć kobietę, którą parę chwil temu sam ratował przed przemocą.

— Czemu starsza zażądała dziś, byś go zabiła?

Kobieta podniosła na niego wzrok. W jej oczach błysnął gniew.

— To wszystko przez was, panie. Gdybyście tu nie przybyli, gdybyście nie zaczęli wypytywać... Nikt się nie spodziewał, że to małe monstrum przeżyje do tej pory.

Lederg wpatrywał się w kobietę srogo, ale kontynuowała niespodziewanie śmiało:

— Widzicie, panie, wiedzieliśmy, że ten potwór jest przeklęty, od chwili narodzin. Jego twarz... była skażona.

— Skażona?

Worek na głowie — przypomniał sobie mężczyzna. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby czarni magowie byli zewnętrznie naznaczeni czy okaleczeni. Nie potrafił więc sobie wyobrazić, o czym dokładnie może mówić matka dziecka.

— Och, panie, nie chcecie tego zobaczyć! — zawołała kobieta, krzywiąc się z wielką odrazą. — Nie mogę zapomnieć, jak przyciskałam tę wstrętną małą główkę do własnej piersi! Bogowie, a potem pojawiły się te... obrazy, wizje. Jak tylko się go dotknie... Nie zrozumiecie, panie, sami musicie się przekonać. Wtedy pojmiecie, dlaczego chciałam udusić to monstrum własnymi rękami, żeby zgniło! Ale nie mogłam. — Nagle zaniosła się płaczem. — Nie mogłam, bo przecież doprowadzenie do śmierci dziecka... na dodatek własnego, bogowie! Jakie nieszczęście by to na mnie sprowadziło? Na całą wioskę! Więc odchowaliśmy tego potwora. Jak tylko wystarczająco podrośł, trzymaliśmy go w izbie dla zwierząt, zamykaliśmy go tam, by nie szwendał się po wiosce i nie straszył ludzi, ale on zawsze uciekał! Chował się w opuszczonej stajni, a gdy śniegi topniały, spędzał tam nawet noce.

Lederg nie potrafił wydusić słowa. Strach przed czarną magią nawet w połowie nie usprawiedliwiał postępowania, o jakim opowiadała mu ta kobieta. Gotowało się w nim, a jednak słuchał dalej.

— Za długo pozwalaliśmy mu żyć pośród nas — kontynuowała, głośno pociągając nosem. — Kiedy obudziły się w nim te... magiczne moce, starszyzna postanowiła, że musimy zaryzykować. Że nie możemy dłużej go tu trzymać. Należało go wygnąć i modlić się, by bogowie nie obwinili nas za jego śmierć.

— Ile cykli ma to dziecko? — Lederg wpatrywał się w przestrzeń przed sobą; ledwo przeciskał słowa przez gardło.

— Sześć, panie.

Wcześniej — pomyślał. Zwykle magiczne zdolności budziły się u dzieci po ósmym do dziesiątego cyklu. Choć moce płynęły w żyłach magów od urodzenia, potrzebowały czasu, by się aktywować.

— Czy jesteś pewna, że magia, której dziecko zaczęło używać, jest czarna?

— Panie, nie dało się jej z niczym innym pomylić. Czarny ogień na jego rękach, z niebieską poświatą. I te... bogowie, cóżkolwiek to jest, mógłby tym rozpruć, rozszarpać na kawałki!

Lederg poczuł, że ręce zaczynają mu drżeć. Zaciśnął je na kolanach. Przed oczami stanął mu pomiot cienia strzegący tunelu w jaskini. To ten chłopiec przyzywał demona — pomyślał ze zgrozą.

— Czy oprócz czarnej magii... zaobserwowaliście coś jeszcze?

Kobieta kiwała głową, ocierając łzy z policzków.

— Rzucił przedmiotami, podnosił nawet te dużo cięższe od siebie, nie dotykając ich! A kiedy za którymś razem mąż zbił go za to do krwi, on poświecił na siniaki blaskiem bijącym mu z rąk, i zniknęły!

Telekineza i zdolności uzdrawiające? — zdumiał się w myślach Lederg. Nie spotkał nigdy wcześniej maga, który posiadałby władzę nad więcej niż jedną magiczną zdolnością umysłu. Jeden żywioł, jedna zdolność — taka była zasada. Podniósł się z miejsca z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

— A więc uznaliście, że skoro to dziecko nadal żyje, jednak trzeba wziąć sprawę w swoje ręce?

Kobieta skuliła się jeszcze bardziej pod spojrzeniem, którym ją obdarzył. Pokiwała głową.

— Starsza była wściekła. Wszyscy sądzą, że po kryjomu pomagałam dziecku przetrwać. Jak mogłabym to robić?! A jednak starsza zażądała, bym je zabiła, ściągając gniew bogów na siebie. To okrutne! — zawyla, a Lederg poczuł do niej wstręt. — Dlaczego mam narażać się na nieszczęście, dlaczego? Czy niewystarczająco wycierpiałam, zmuszona odchowić tego potwora?! Czy niewystarczająco cierpiałam, znosząc oskarżenia o spółkowanie z demonami?!

Mag pomyślał, że to bardzo ironiczne, że wioska rządzona przez kobiety w pierwszej kolejności szuka winy u jednej z własnego grona. Z pewnością

przez myśl im nie przeszło, że to mąż Szebory mógł zawinić. Pewnie uznano go za ofiarę okrutnego losu. Lederg natomiast sądził, że wina prawdopodobnie leży po niczyjej stronie.

— Pozwól, że w czymś cię uświadomię, kobieto. Nawet ty musisz wiedzieć o Varanside. — Gdy roztrzęsiona szynkarka pokiwała głową, tłumaczył dalej: — Najpewniej wierzysz, że to od niej pochodzi czarna magia. A czy wiesz, jak ją przekazuje? Jeśli nie przez łądzwie swoich czarnych magów, krąży po świecie w postaci niewidzialnej energii. Krąży i może naznaczyć każde ludzkie dziecko, zarówno narodzone, jak i to noszone jeszcze pod sercem. Tak właśnie stało się z twoim: zostało dotknięte, gdy jeszcze byłaś brzemienna.

Szebora spoglądała na niego bez zrozumienia, szklącymi się oczami. Mag odwrócił głowę, nie mogąc na nią patrzeć.

— Zmierzam do tego, że zrodzenie czarnego maga nie musiało wiązać się z żadnym spółkowaniem. Warto, byś uświadomiła w tym resztę.

— Panie... Oni nie pojmą, nie uwierzą, a wy... Jesteście magiem. — Kobieta pochyliła głowę i uczepliła się jego szaty. Natychmiast wyszarpnął materiał z jej rąk. — Błagam was, panie... Zdejmijcie ze mnie to brzemię. Jeśli go nie zabiję, cała wieś mnie wyklnie. Jeśli zaś zrobię, czego chcą, spadnie na mnie gniew bogów. A wy...

— Mogę go zabić i uniknąć kary? — wtrącił się szorstko.

— Wy przynajmniej macie szansę się obronić!

Lederg chciał dziękować losowi za przekonania, jakimi kierowali się mieszkańcy wioski — dziecko przeżyło do tej pory tylko z powodu wiary w to, że mordercę spotka wielkie nieszczęście — lecz był wściekły. Wściekły na cały świat, wiedział bowiem, że nie tylko ci ludzie są gotowi zabijać ze strachu przed czarną magią. Wiedział, że gdyby to dziecko urodziło się gdziekolwiek indziej, spotkałby je taki sam albo nawet i gorszy los. Sam również się bał. Zdawał sobie sprawę, że chłopiec, któremu teraz z całego serca współczuł, w przyszłości mógł stać się niebezpiecznym szaleńcem.

— Czy dziecko ma jakieś imię? — zapytał, nie patrząc na Szeborę.

— Panie?

— Czy jesteś głucha, kobieto? Pytałem o imię dziecka.

— Starszyzna nie zgodziła się naznaczyć go imieniem, ale... — Siennik zatrzeszczał, kobieta kręciła się na miejscu nerwowo, jakby wzbraniała się przed wypowiedzeniem jakiegoś bezceństwa. — Namir... Kiedy jeszcze nosiłam tego potwora w swoim łonie, nie wiedząc, czym jest, chcieliśmy nadać mu imię Namir. Ten, dzięki któremu nastanie pokój.

— Namir... — Lederg skrzywił się z goryczą.

— Tak. — Kobieta była zgorzozna, głos nadal jej drżał, choć opanowała już płacz. — A jednak to tylko potwór niosący zło.

Mag odwrócił się gwałtownie, a kobieta jęknęła i zasłoniła się. Zamrugał... Mimo wszystko zawstydził się sam przed sobą, że już drugi raz zapragnął ją uderzyć. Ale nie potrafił, nawet pomimo całej głębokiej odrazy, jaką do niej żywił.

— Zajmę się twoim synem. — Gestem powstrzymał kobietę, która ponownie chciała ucześcić się jego szat. — Źle mnie zrozumiałaś. Nie mam zamiaru go zabijać. Żadne z was również tego nie robi. Spokojnie, poinformuję starszą o swoich planach. Zabiorę dziecko daleko stąd. Może wtedy twój los się odmieni, chociaż nie jestem pewien, czy na to zasługujesz.

Lederg powrócił w okolice jaskini jeszcze tego samego dnia. Na miejsce dotarł koło południa. Zanim zdecydował się wejść do groty, przeszukał pobliski bór, jednak po chłopcu nie było żadnego śladu.

Kiedy przemierzał głuche, ciemne tunele, tak jak poprzednio oświetlał sobie drogę płomieniem przyzwanym w dłoni. Wyteżał wzrok pełen skupienia i napięcia. Spodziewał się znów spotkać demona i nie miał pewności, czy tym razem nie zostanie przez niego zaatakowany.

Miejsce, w którym poprzednio natknął się na pozostałości obozu, dziś było opustoszałe. Przemierzał przestrzeń wzdłuż i wszerz, aż dotarł do ścian, których wcześniej nie miał okazji zobaczyć. W podziemiach tracił poczucie czasu. Nie wiedział, ile zajęło mu przeszukiwanie tej obszernej części jaskini, lecz kiedy był już pewien, że zbadał każdy zakamarek, musiał na chwilę zgasić płomień, by odzyskać siły.

Właśnie wtedy, otoczony nieprzeniknionymi ciemnościami, usłyszał ciche stukanie. Wstrzymał oddech, próbując namierzyć kierunek, z którego

dochodził dźwięk. Cokolwiek wydawało odgłos, zbliżało się i wkrótce zaczęło krążyć wokół niego. Widziało go, w tym kompletnym mroku miało nad nim przewagę.

Lederg miał świadomość, że jego magiczne siły są częściowo nadwyżone, więc tym razem zapalił między palcami tylko skromny płomyczek. To jednak wystarczyło... Zobaczył cień przemykający na granicy poświaty i ciemności, a potem świecące jak żar oczy. Potworne ślepia wyglądały na niego z mroku. Usłyszał zgrzyt długich pazurów po skalnym podłożu.

Przełknął ślinę, przez jakieś dwa oddechy pozostawał w bezruchu. Demon przemówił tym samym skrzekliwym tonem co poprzednio, wypowiadał te same niezrozumiałe słowa. Mag bardzo powoli uniósł wolną od płomienia rękę. Trzymając ją wyciągniętą w kierunku monstrum, zaczął się pochylać. Czerwone oczy przypatrywały mu się wrogo.

— Strzeżesz chłopca, prawda? — wydusił, sięgając po sakwę, którą rzucił na ziemię, kiedy zatrzymywał się na odpoczynek. — Chcę mu tylko coś przekazać.

Pomiot cienia przemieścił się wprzód, oczy zbliżyły się, lecz nadal nie przekroczył granicy, którą wydzielalo światło bijące od płomyka na ręce maga. Ten wsunął dłoń do sakwy i ostrożnie wyciągnął z niej zawinięty w płótno pakunek.

— Świeże ubranie, trochę jedzenia i woda — wyjaśnił, zmuszając się do patrzenia prosto w ślepia demona, co przychodziło mu z trudem.

Prowiant i czyste odzienie zdobył od wieśniaków, a właściwie wymusił na nich, by zorganizowali małą zbiórkę. Mógłby im zapłacić, akademia w pełni finansowała bowiem jego podróże badawcze i miał przy sobie jeszcze sporo enarów. Jednak pamiętając o okrucieństwie, jakiego dopuścili się mieszkańcy Purgii, uznał, że nie warto tracić na nich pieniędzy. Utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy przynieśli mu stare łachmany zamiast nowych ubrań, twarde jak kamień chleb i nadgniłe kawałki sera. Cisnąwszy te produkty mocą telekinezy, szybko uświadomił „darczyńców”, że nie takiej zbiórki oczekuje. Drugi raz nie popełnili tego samego błędu, lecz słyszał, jak mamrotali pod nosem, że marnotrawią jedzenie na dokarmianie potwora.

Teraz przed magiem stał prawdziwy demon, który wynurzył z cienia łeb i wyciągnął długą szyję. Mięśnie pod skórą Ledergera napięły się, oddech nieznacznie przyspieszył. Gdyby chciał na stwora zapolować, miał go na wyciągnięcie ręki. Był jednak zmęczony i tak samo wystawiony na atak, ponadto niepewny, czy chce likwidować pomiot przyzwany przez chłopca. Przynajmniej nie teraz i nie w ten sposób.

Demon pochylił głowę, przycisnął płaską twarz do leżącego na ziemi pakunku. Zdawało się, że bada jego zawartość, obwąchuje. Potem pochwycił zawiniątko w zęby i uniósł je. Przed oczami maga ziścił się groteskowy widok. Wyszczерzone na upiornie ludzkiej twarzy kły wbijały się głęboko w materiał. Lederger miał nadzieję, że pomiot niczego nie uszkodzi.

— Jestem przyjacielem, nie wrogiem — szepnął.

Demon przez mrozącą krew w żyłach chwilę dręczył go wzrokiem, po czym wycofał się w głęboką ciemność jaskini. Stukanie pazurów o skalne podłoże oddalało się. Gdy Lederger przestał je słyszeć, osunął się na kolana i otarł pot z czoła.

Mag pojawiał się w grocie co parę dni i powtarzał ten sam rytuał. Przybywał w to samo miejsce jaskini, gdzie demon wychodził mu naprzeciw, zostawiał zawiniątko zawierające głównie pożywienie i wodę, po czym oddalał się z duszą na ramieniu. Aż któregoś razu z ciemności wyłoniło się nie tylko monstrum, ale i towarzyszące mu dziecko...

Ledergera ogarnęły mieszane uczucia. Przekonawszy się, że dziecko nadal żyje — że nie porozumiewał się z pomiotem na próżno — odczuł ulgę. Jednak w wychudzonym chłopcu było coś tak przerażającego, że kiedy miał go już na kilka kroków przed sobą, odjęło mu mowę...

Jak na swój wiek, chłopak był bardzo wysoki. Ciepła, wełniana szata, którą dostał od maga, zwisała na długich i chudych kończynach. Zarzucony na głowę worek z dwoma wyciętymi otworami zakrywał również szyję. Jasne oczy błyszczały jak lód. Teraz Lederger miał okazję spostrzec, że prawe z nich jest mniejsze od lewego — przymrużone.

— Witaj, jestem Lederger, ten, który na polu jeno jest drogi — mówił mag ze ściśniętym gardłem. Coś podkusiło go, by zdradzić znaczenie swego

niechlubnego miana. — Czemu zawdzięczam twoją obecność?

Chłopiec milczał. Jego wzrok powędrował w kierunku sakwy.

— Tak, racja, dziś też coś dla ciebie mam. — Mężczyzna spróbował się uśmiechnąć, ale nie udało mu się. Sięgnął do sakwy i wydobyl z niej taki sam jak zwykle pakunek. — Proszę.

Dziecko nieufnie wpatrywało się w wyciągniętą z podarunkiem rękę. Towarzyszący mu pomiot wydał z gardła cichy warkot. Gęsia skórka wstąpiła magowi na ramiona, ale nie zrezygnował z pomysłu. Zachęcająco potrząsnął zawiniątkiem.

— Weź. Możesz mi zaufać.

Chude palce najpierw niepewnie dotknęły pakunku w miejscu dalekim od dłoni maga, a potem zacisnęły się jak pazury. Chłopiec wyrwał podarek i skrył się w mroku. Demon o czerwonych ślepiach pozostał w bezruchu i obserwował Lederga uważnie, ten nie zrażał się jednak, chcąc za wszelką cenę zrealizować plan, który ułożył jakiś czas temu.

Rzucił sakwę na ziemię i zbliżywszy płomień, oświetlił jej wnętrze. Wyszperał pergamin, na którym widniały rysunki kilku tutejszych gatunków zwierząt. Pozostawił tę kartkę na suchym fragmencie skał i wycofał się bez słowa.

Następne spędzane przy chłopcu dni nastrajały maga bardzo pozytywnie. Początkowo chłopiec — zawsze w worku zasłaniającym głowę — znikał momentalnie, jak tylko dostał swój niewielki zapas jedzenia, jednak któregoś razu zamiast uciec w mrok, przycisnął mały pakunek do piersi i wpatrzył się w maga w wyczekiwaniu.

— O co chodzi? — zapytał Lederg, po raz kolejny uświadamiając sobie, że spojrzenie chłopca może być dużo bardziej świdrujące od ślepiów nieopuszczającego go na krok demona.

Dziecko jak zwykle milczało. Wprawdzie mag wydobyl wcześniej z Szebory informację, że jej syn potrafi mówić, ale do tej chwili zdążył w to zwątpić. Chłopiec nadal nie wydawał z siebie nawet pomruku — po prostu milczał, ze wzrokiem utkwionym w sakwie leżącej u stóp mężczyzny.

Lederg przypomniał sobie o rysunkach, które zostawił mu jakiś czas temu. Zniknęły i teraz był już pewien dlaczego.

Wyszperał z sakwy kilka kartek pergaminu z paroma szkicami i notatkami na temat napotkanej w podróży roślinności. Były to same znane gatunki, lecz stan ich występowania oraz rozwoju również interesował wszystkie akademie. Szczególnie że na srogich niveloskich ziemiach roślinność poddawała się nieustannym zmianom, delikatnym i ledwo zauważalnym, lecz na przestrzeni wielu cykli były to zmiany znaczące, umożliwiające coraz sprawniejsze dostosowanie się flory do nieprzyjaznych warunków.

— To z pewnością nie zaciekawi cię tak jak poprzednie szkice, ale następnym razem mogę ci narysować coś bardziej interesującego.

Chłopiec telekinezą wyciągnął notatki z rąk maga i zaczął je przeglądać zaintrygowany. Lederg zamyslił się nad tym, co właśnie się stało, po czym wykonał niepewny krok w kierunku dziecka, by poświecić mu płomieniem.

— To ciemiernik — wyjaśnił, gdy chłopiec na dłużej zatrzymał wzrok na jednej z kartek. — Te piękne białe kwiaty to dzieci pewnej bogini. Mówi się, że można ją czasami zobaczyć kroczącą wśród śniegu, a za nią wyrastające jej spod stóp ciemierniki, jeden po drugim...

Lederg zamilkł, uciszony przesywającym spojrzeniem. Jasne oczy patrzyły na niego z pogardą niepasującą do dziecka. Przeszły go dreszcze. Chłopiec wydawał się urażony, że wciska mu się jakąś nedorzeczną bajeczkę.

— Hmm, a więc interesują cię tylko fakty? — Lederg uśmiechnął się nieznacznie, wcale nie traktując swojego pytania poważnie. Nie sądził, że chłopiec mógł go w pełni zrozumieć. Jednak ten skinął głową, a magowi po raz kolejny zrobiło się zimno. W tym dziecku była jakaś mądrość. Dojrzałość, która dodawała mu upiorności. — Dobrze, zdradzę ci więc, że ciemiernik ma właściwości zarówno uzdrawiające, jak i trujące. Pojawia się, nie bacząc na śnieg, tuż przed Białym Świętem odprawianym co cykl na cześć Nive. Czasami nazywany jest również białą różą.

Nie dowiedział się, ile z jego ogłoszonych w poczuciu trwogi słów rzeczywiście sięgnęło uwagi chłopca ani które z nich zostały przez niego zrozumiane, gdyż raptem zapłonął ogień.

Lederg odskoczył. Dziecko trzymało teraz pakunek i pergamin w jednej dłoni, a na drugiej dzierżyło gwałtownie przywołane płomienie. Czarne jęzory ognia przeplatały się z niebieską poświatą, rzucając wokoło zimne światło. Chłopiec ruszył przez obszerną jaskinię w kierunku tunelu, a mag po chwili wahania zgasił własny płomień i dołączył do chłopca. Demon o czerwonych oczach kroczył tuż za nimi...

Dziecko zaprowadziło Lederga do swojej kryjówki. Obóz złożony z legowiska ze szmat i przygotowanego paleniska mieścił się na brzegu podziemnego jeziora, do którego docierało się tunelem. Ze sklepienia ziało kilka szczelin wpuszczających odrobinę światła. Skąpy migotały w tym świetle śliskimi kamieniami, tafla jeziora była gładka i przejrzysta. Chłopiec zbliżył się do paleniska i podłożył czarny ogień. Odbijające się od wody promienie mieszały się z niebieską poświatą płomienia.

Dziecko złożyło pakunek z jedzeniem obok legowiska i usiadło ze skrzyżowanymi nogami na szmatach. Położyło przed sobą pergamin i wymacało na ziemi zwęglony kawałek drewna. Po chwili Lederg mógł obserwować, jak chłopiec skrupulatnie przerysowuje szkic kwiatu ciemiernika. Rozejrzał się intuicyjnie i wtedy spostrzegł malunki na skalnej ścianie. Przedstawiały zwierzęta z notatek, które zostawił dziecku uprzednio. Rysunki skalne zdążyły mocno się wytrzeć, ale i tak można było stwierdzić, że zostały wykonane ze starannością nieprzystającą do dziecka liczącego sobie tylko sześć cykli. Mimo wszystko mag uznałby całe to szkicowanie za zwyczajną dziecięcą zabawę, jednak w dziwnych oczach chłopca błyszczało zawzięte skupienie.

Lederg odnotował w myślach w milczeniu, że pomiot cienia położył się na skałach w pobliżu swojego małego pana. Chwilę trwało, nim chłopiec skończył rysunek, następnie począł wpatrywać się w kartkę z jeszcze większą uwagą. A potem zaczął przepisywać litery.

Mag zbliżył się i kucnąwszy naprzeciw, przyglądał się powoli powstającym symbolom. Zapiski sporządzono w języku trzech królestw. Litery na pergaminie były drobne i dziecko miało problem z ich odwzorowaniem. Tym bardziej że kawałek zwęglonego drewnianka, którym się posługiwało, nie nadawał się do tworzenia wąskich linii.

— Czy wiesz, jak to odczytać? — Lederg wskazał na narysowaną przez chłopca literę.

Ten najpierw podniósł na niego upiorne oczy, a potem odwrócił ukrytą w worku głowę i potrząsnął nią. Wydawał się zawstydzony swoją niewiedzą.

— To nic złego — zapewnił go mag i znowu się rozejrzał.

Przy ognisku znalazł inny węgielek — wziął go do ręki. Czuł się zaintrygowany, ale i nieco zatrwożony tym, jak ten chłopiec rwie się do pozyskiwania wiedzy. Lederga nie dziwiło, że chłopię nie potrafiło czytać. W wiosce takiej jak Purga nie było nikogo, kto mógłby je tego nauczyć. Jednak dziecko miało w sobie ciekawość świata. Mag poprzysiągł w myślach, że jeśli uda mu się zabrać je z tego przeklętego miejsca, nie pozwoli, by ten dziecięco szczyry głód nauki się zmarnował.

Ponownie kucnął, tym razem u boku chłopca. Ten poruszył się niespokojnie. Lederg obrócił węgielek w dłoni i zaczął zapisywać duże litery na skalnym podłożu.

— Spójrz tutaj — powiedział.

Dziecko odsunęło pergamin i z zaciekawieniem obserwowało, jak mężczyzna rysuje kolejne symbole. Czasami zerkano na kartkę, jakby szukało w tamtych notatkach liter, które teraz powstawały przed nim na skale.

— NAMIR — odczytał Lederg głośno i wyraźnie, wskazując każdą literę z osobna. Powtórzył ten proces dwa razy i przypatrzył się chłopcu. — Namir. To właśnie zapisałem.

Oczy spoglądające z otworów worka zmieniły wyraz — zmrużyły się, mniejsze z nich z lekkim oporem. Dziecko nie rozumiało, o czym mowa. Lederg z bólem serca uprzytomnił sobie, że do tej pory ani razu nie słyszało miana, które planowano mu nadać.

— To twoje imię — powiedział powoli.

Chłopiec wyprostował plecy, rozchylił powieki. Zza zakrywającego twarz materiału dobiegło ciche westchnięcie. Potem spuścił głowę, chwycił jedną ze szmat i zaczął pospiesznie wycierać literę po literze.

— Nie — odezwał się niespodziewanie, a zabrzmiało to bardziej jak chrobot czegoś ostrego przesuwającego się po skalach. Jego głos — mimo dziecięcej barwy — miał złowrogą, warkotliwą tonację.

Lederg nie reagował przez jakieś dwa oddechy. Przyglądał się temu, jak zapis liter znika ze skalnego podłoża, śmiało rozcierany przez chłopca. Nie był przygotowany na to, że dziecko przemówi, i sam również milczał. Wnet usłyszał gardłowy warkot i ku swojemu przerażeniu zobaczył, że pomiot cienia podnosi się ze swojego miejsca.

Mag również stanął na nogi, zrobił kilka kroków do tyłu. Demon wlepił w niego spojrzenie czerwonych oczu i szczyrzył długie zębiska w szyderyczym uśmiechu. Wydobywające się z jego gardła odgłosy dawały do zrozumienia, że Lederg już nie jest tu mile widziany. Mag uniósł obie dłonie w uspokajającym geście i począł się ostrożnie przemieszczać ku wylotowi groty. Chłopiec odwrócił się do niego plecami i zgarbił.

Znalazłszy się u wejścia do tunelu, mężczyzna zebrał się na odwagę, by powiedzieć coś jeszcze:

— Namir to ten, dzięki któremu nastanie pokój.

Odpowiedział mu — o wiele głośniejszy od poprzedniego — warkot pomiotu, więc obrócił się prędko i zanurzył w ciemności korytarza.

Rozdział IV

Konie pędziły na złamanie karku. Bagnista woda tryskała pod uderzającymi o grząskie podłoże kopytami. Pęd zrzucił kaptur z głowy Wallace'a i rozwiewał splecione włosy nieprzytomnej Irvette. Chłopak z bijącym sercem zerkał na przyjaciółkę, którą zwierzchnik Silvaru utrzymywał w siodle przed sobą przy pomocy swoich telekinetycznych zdolności. Czarne plamy pod skórą dziewczyny sięgały już prawej strony jej bezwładnej szyi i naznaczyły części szczęki. Zwiększyły swój obręb również na dłoni, z której Wallace ściągnął rękawiczkę, gdy spanikowany zerwał z ramienia dziewczyny bandaż i próbował bezskutecznie złagodzić działanie skażenia lawendową maścią.

Przebyli mokradła szybko niczym wiatr, niemal zajeżdżając wierzchowce. Gdy znaleźli się pod lasem, konie miały na sobie mnóstwo brudnej piany i szeroko rozwierały z wysiłku nozdrza.

— Dalej nie damy rady, musimy zwolnić.

Wallace nie odpowiedział na słowa pana Silvaru. Widok mrocznej gęstwiny, do której mieli za chwilę wkroczyć, wprawiał go w odrętwienie. Nigdy jeszcze nie widział tak potężnych, niebotycznych drzew o korze ciemnej niemal jak nocne niebo, rosnących niesłychanie gęsto przy sobie, splatających gałęzie i konary w silnym uścisku. Las ciągnął się na wzniesieniu ponad mokradłami, a zbocze porastała gęstwina ciernistych krzewów, korzeni i baniastych pnączy.

Zwierzchnik spał wykończonego karego wierzchowca, zmuszając go do jeszcze jednego wysiłku. Zwierzę z wytrzeszczonymi oczami zaczęło wspinać się po zboczu, obierając mniej zarośniętą ścieżkę. Wallace

poprowadził gniadosza tą samą trasą, a siwek dziewczyny — objuczony teraz tylko ekwipunkiem i przywiązany do gniadego — posłusznie podążył za nim.

Wnętrze lasu było przerażająco mroczne. Promienie słońca z ledwością przeciskały się przez zbitą kopułę ciemnozielonych koron. Okazałe korzenie wystawały z pokrytej mchem ziemi, tworząc gdzieś łuki tak wysokie, że przejeżdżali pod nimi z lekko pochylonymi głowami. Z gałęzi zwisały ciężkie liście, ostre pnącza rozpościerały się wszędzie. Gdy Wallace pozwalał sobie na rozglądanie się dookoła, kręciło mu się w głowie i ku swemu zdumieniu dochodził do wniosku, że nie jest w stanie stwierdzić, z której strony przybyli. Wśród tego gąszczy powietrze było ciepłe, a jednak chłopak trząsał się jak na zimnie. Strach i zmartwienie krążyły mu nieustannie pod skórą, co rusz napinając mięśnie. Twarz zwierchnika, bardziej szara niż zwykle, nie napawała Wallace'a spokojem. Tenare zmęczył się używaniem zdolności magicznych i jeszcze pod lasem, gdy już zwolnili, zaczął przytrzymywać dziewczynę samym ramieniem. Podróżowali mozolnie — kierowanie wierzchowcami między ciasnotą gargantuicznych drzew było okropnie trudne.

— Czy jesteś pewien, panie, że pamiętasz drogę?! — Wallace zmusił się do podniesienia głosu.

— Pamiętam — odpowiedział tenare przez ściśnięte gardło. — Mestyrio, miej nas w swojej opiece.

Po jakiejś świcy od wkroczenia do lasu drzewa wreszcie zaczęły się rozstępować i do poszycia docierało coraz więcej światła. Nie dodawało to jednak Wallace'owi otuchy, jako że zwierchnik poinformował go, że zbliżają się do kryjówki potwora. Wtedy to zsiadli z koni i pozostawili je przywiązane do pochylonych nad ziemią konarów. Wallace wziął nieprzytomną Irvette na ręce. Wzdrygnął się, poczuwszy gorąc bijący od chorej strony jej ciała. Mimo to przycisnął ją do piersi, w duchu dziękując bogom, że jest taka lekka. Oczami wyobraźni widział, jak potężne zębiska wrywają mu ją z rąk, a on nie może nic zrobić. Próbował odganiać te koszarne wizje, przypominając sobie, że tenare wypowiadał się o tym, u którego mieli szukać pomocy, częściowo jako o człowieku. Te pocieszenia jednak nie skutkowały — głos, który usłyszał niedawno przez Nexam, był zbyt upiorny, nieludzki.

Zwierzchnik głęboko wciągnął powietrze i począł się uważnie rozglądać.

— Namirze! — zawołał głośno.

Wallace potrzebował tylko chwili, by pojąć, że właśnie usłyszał prawdziwe imię Potwora z Damanor.

— Namirze!

Nie było żadnej odpowiedzi, lecz ich oczom ukazał się zarys polany porosłej z rzadka małymi drzewkami. Pośród tych drzewnych karzełek widniały dwie niezbyt spektakularne pod względem rozmiaru budowle. Wallace nawet z oddali spostrzegł, że zostały wzniesione przez tenare, a kiedy się do nich zbliżyli, tylko upewnił się w tym przekonaniu.

Mniejszy z budynków wykonano z gładkich bloków, drugi sprawiał wrażenie odlanego w skale niczym w gotowej formie — z tła tego litego budynku wyraźnie odcinały się drewniane drzwi i okiennica. O ścianę mniejszego opierał się stół, którego nadzwyczaj długie nogi upleciono z grubych konarów. Po obu jego stronach leżały różnego rozmiaru skrzynie, niektóre z nich zarosłe przy dnie trawskiem. Była tu też ławka z wyjątkowo jasnej kamiennej masy oraz krąg przygotowany na ognisko. Dalej dało się dojrzeć zielone usypisko i drzwi prowadzące do jego wnętrza. W pobliżu ciągnęły się grządki podłużnego ogródka. Na jego skraju zaś, w towarzystwie kilku drewnianych wiader, stała obejmowana splotami gałęzi wielka beczka z wbitymi dwoma kranikami. Wallace z bólem serca pomyślał, że Irvette zainteresowałaby się pielęgnowanymi na zagonikach ziołami. Tymczasem jej bezwładne, nagrzane ciało zaczęło raz po raz dygotać w jego ramionach.

— Gorzej z nią — wydusił, spoglądając na wyraźnie spiętego tenare.

Ten tylko skinął głową, lustrując otoczenie z czujnością.

Wallace rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby położyć drżącą Irvette. Jako że leże potwora nie okazało się tak straszne, jak przewidywał, nabrał odwagi i pomyślał o wdarciu się do jednej z chat. Zrobił dwa długie kroki w kierunku większej z nich i wtedy za jego plecami rozległ się mrozący krew w żyłach głos:

— Kazałem się wam wynosić.

Chłopak przelknął ślinę, zanim zdobył się na ruch. Gdy odwrócił się przez ramię, skóra mu ścierpła na widok tego, który chwilę temu przemówił.

Jeżeli był człowiekiem, to mocno wyrośniętym, na oko mierzącym jakieś siedem stóp. Wallace nie miał pewności, czy kiedykolwiek widział tak wysokiego tenare, a była to rasa charakteryzująca się okazałym wzrostem. Mężczyzna, a może potwór, odziany był w powłóczystą, czarną szatę; spodnie były luźne, a tunika szeroka, z długimi rękawami. Na głowie również miał okrycie, a twarz chował za długą zasłoną. Widoczne były jedynie oczy, jedno wyraźnie mniejsze od drugiego i lekko przymrużone — oba były przeraźliwie jasne i patrzyły lodowato.

Wallace chciał coś odpowiedzieć, jednak słowa uwięzły mu w gardle. Cofnął się o krok, ciało Irvette nagle zdało się cięższe. Pan Silvaru znalazł się u jego boku — nie wiedzieć kiedy.

— Namirze...

Dziwaczne oczy potwora skierowały swoją przenikliwość na chorą dziewczynę. Materiał zasłony drgnął od słyszalnego wydechu.

— Zabierajcie ją stąd.

— Namirze. — Zwierzchnik dał krok naprzód, po części zasłaniając Wallace'a. — Ta dziewczyna umiera.

— Czemu miałoby mnie to obchodzić?

Głos potwora nie był zdeformowany tak jak wtedy — gdy przemawiał przez wisior — a jednak jego brzmienie nadal przywodziło na myśl warcząca bestię.

Ciało Irvette, jak dotąd targane dreszczami jedynie raz na jakiś czas, niespodziewanie zadygotało w konwulsjach tak silnych, że Wallace prawie ją upuścił. Spomiędzy spuchniętych, sinych warg dziewczyny wydostała się piana, a czarne plamy rozlały się pod skórą prawego policzka. Tętno chłopaka przyspieszyło, w panice zaczął wołać przyjaciółkę po imieniu i prędko położył ją wśród niewysokiej trawy, obawiając się, że dłużej jej nie utrzyma.

— Co się dzieje, na bogów?!

Zwierzchnik klęknął na jedno kolano, łapiąc rzucające się ciało dziewczyny za ramiona. Natychmiast jednak cofnął ręce i syknął z bólu. Dłoń, która zetknęła się z ubraniem w miejscu skażenia Irvette, została dotkliwie sparzona.

— Namirze! Ona się zaraz wykończy!

Potwór stał nad nimi w bezruchu, z beznamiętnym spojrzeniem. Nie odzywał się.

— Namirze! — Zwierzchnik łypnął na niego rozgorączkowany. — Chcesz mieć kolejne niewinne życie na swoim sumieniu?!

Patrzył na podskakujące w konwulsjach ciało młodej dziewczyny i nie potrafił się poruszyć. Wspomnienia złośliwie migaly mu przed oczami, powstrzymując przed jakąkolwiek reakcją. Jeżeli jej pomoże, wpakuje się w coś, czego z czasem żarliwie pożałuje. Był tego pewien. Powinien opuścić te tereny, jak tylko Hasan wspomniał mu o dwójce podróżnych.

— Chcesz, żeby umarła u twoich stóp?! Chcesz mi znów udowodnić, że zasługujesz na swój przydomek, przeklęty potworze?! — Słowa Randisa wyrwały go z otępienia.

— Cofnijcie się. — Namir usłyszał wypowiedaną przez siebie komendę, jeszcze zanim zdążył o niej pomyśleć.

— Niedoczekanie! Co masz zamiar...

Namir odepchnął młodego chłopaka falą telekinezy i rzucił go na ziemię. Randis odskoczył z tenarskimi przekleństwami na ustach, a potwór kucnął przy dziewczynie i zawiesił dłoń nad jej trzęsącą się sylwetką. Obrócił ją na bok przy pomocy telekinezy i tym samym sposobem odsunął połę płaszcza oraz podwinął rękaw koszuli. Jej ramię — od nadgarstka wzwyż — było rozlegle skażone, gorzej niż szyja i szczeka. Czarne place pod skórą przelewały się jak gęste plamy tłuszczu na wodzie. Nie było to *Spellium* — tego zaklęcia nie miał kto kontrolować — lecz do złudzenia je przypominało. Nie było to również skażenie, które szpeciło jego własne ciało, przez co musiał ukrywać się przed światem. Nie było to niczym, co mógłby w tej chwili rozpoznać...

Jednak mógł coś zrobić, zaryzykować. Wziął głęboki oddech i skupił się na czarnej magii, która rozpychała się pod skórą dziewczyny. Chwycił czarną energię, zacisnął zęby. Paskudne pełzające na granicach umysłu pragnienie, by stracić kontrolę, było czymś, co dawno temu zapomniał. Teraz musiał ponownie stawić temu czoła. Nie bez wysiłku — kawałek po kawałku zaczął wyciągać z dziewczyny skażenie, a jej konwulsje stopniowo ustępowały.

Kątem oka spostrzegł, że chłopak pozbierał się już z ziemi i przypatrywał wszystkiemu z pewnej odległości, blady na twarzy. Randis miał równie nietęgą minę.

Zajęcie było wykańczające, a mazista czarna substancja wydobywająca się przez rozszerzające się na skórze pory wyglądała co najmniej nieapetycznie. Wkrótce obaj obserwatorzy odwrócili się od odrażającego widoku. Maź zmieniała się w czarne opary, które szybko rozplywały się w powietrzu. Miejsca na skórze, skąd plamy znikaly, robiły się mocno zaczerwienione. Wkrótce spuchnięte wargi dziewczyny drgnęły i wydostało się z nich mamrotanie. Powieki rozchyliły się delikatnie, a Namir przyszykował się na to, co miało nastąpić.

Zgodnie z jego przewidywaniami na obliczu dziewczyny wymalowało się przerażenie. Rozpaczliwie próbowała wykonać jakiś ruch, chyba chciała się odczołgać, lecz moment później ponownie straciła kontakt ze światem. Kiedy było już po wszystkim, Namir zamknął oczy i odgonił irytujące myśli o czekającej na niego mrocznej potędze.

— Co z nią...? — Głos chłopaka zadźwięczał mu w uszach jak natrętny owad. — Co jej zrobiłeś?

Podniósł na niego spojrzenie, sprawiając, że ten głośno przełknął ślinę, po czym wyprostował się i zlustrował dziewczynę leżącą mu u stóp.

Drzemała, oddech miała miarowy. Czerwone place nakrapiały podrażnioną skórę.

— Zanieś ją do chaty.

Chłopak zamrugał i przez moment gapił się bezmyślnie. Potem schylił się do dziewczyny i uniósł ją w ramionach. Kiedy przyjrzał się z bliska uszkodzeniom jej ciała, skrzywił się zarówno z odrazą, jak i ze współczuciem. Namir znał ten wyraz twarzy aż za dobrze.

— Zanieś ją. — Pokazał ręką na główną chatę.

Chłopak był nadal oszołomiony, ale spełnił polecenie. Stojący opodal Randis przyglądał się całemu zdarzeniu z podejrzliwością typową dla tenare. Namir skrzywił się, wiedząc, że zwierzchnik Silvaru nie mógł tego zobaczyć. Rozłożył ręce.

— Czy nie tego oczekiwałeś?

— Co się kryje za twoją nagłą zmianą zdania?

— Nie licz na zbyt wiele. Zabierzcie się stąd, jak tylko dziewczyna się obudzi i dojdzie do siebie.

Randis westchnął.

— Po prostu nie rzucaj już nikim więcej o ziemię.

Świat jeszcze długo był rozmyty, a głosy stłumione. Powracanie do przytomności w niczym nie przypominało budzenia się ze snu, nawet takiego pełnego koszmarów. Najmniejsze światło raziło w oczy, które niemiłosiernie piekły. Jeszcze kilkakrotnie opuszczała ją świadomość, a kurczowemu chwytaniu się jej towarzyszyły każdorazowo ściskające żołądek mdłości. Nie miała pojęcia, gdzie jest, a niepełne wspomnienia tego, co się zdarzyło, docierały do niej z trudem. Leżała na miękkim sienniku, do pasa przykryta drapiącymi kocami.

Gdy wreszcie odzyskała jasność umysłu i ostrość widzenia na tyle, by ujrzeć, co się przed nią znajduje, wstrzymała oddech.

W ciemnym pomieszczeniu przebywały trzy osoby. Wallace i zwierchnik Silvaru przyglądali jej się z uwagą, stojąc w pewnej odległości za sylwetką siedzącą przy pryczy. Właśnie ta postać obudziła w niej uczucie obezwładniającego strachu. Patrzyły na nią oczy o różnej wielkości, oba przeraźliwie jasne, błyszczące w otworach zasłony. Skóra wokół nich była lekko naciągnięta. Długie ciało było okryte czarnym odzieniem. Dłonie w rękawicach sunęły nad jej odsłoniętym ramieniem, nie dotykając go; było od nich jasne światło, wytwarzane tuż przed materiałem.

Irvette spróbowała się poderwać, raptem poczuwszy potrzebę ucieczki. Uzyskała tylko pulsujący ból, który wyrwał z jej gardła cichy jęk.

Zamaskowana postać zabrała rękę; upiorne oczy patrzyły bez wyrazu.

— Uspokój ją.

Irvette poznała ten schrypnięty głos. Już nie taki zdeformowany jak przy komunikacji Nexamem, ale nadal prowokujący dreszcze na karku.

Wallace zbliżył się niepewnie — trzymał się od mężczyzny w czerni na dystans.

— Jestem tu, Iv. Nic ci nie grozi.

Dopiero się zorientowała, że jej oddech jest przyspieszony. Nie potrafiła spojrzeć na przyjaciela. Przerazająca postać przyciągała wzrok wbrew rozsądkowi. Upiorne ręce w rękawicach cały czas wisiały w powietrzu. Powoli skinęła głową, przełknęła ślinę. Była prawie pewna, że ma obok siebie czarnego maga. Potwora z Damanor.

— Gdzie ja jestem? — wykrztusiła.

Mężczyzna bez słowa wrócił do naświetlania jej obolałej skóry uzdrawiającym blaskiem. Zwierzchnik w ogóle się nie odzywał. Po raz kolejny odpowiedział jej Wallace, lecz zrobił to ze sporym wahaniem:

— W bezpiecznym miejscu. — Zdawało się, że próbuje przekonać również siebie. — Już wszystko dobrze.

Pozwoliła sobie zamknąć oczy, nadal oszołomiona. Przysnęła i ocknęła się — nie wiedziała, ile czasu upłynęło. Czarna sylwetka właśnie podniosła się z taboretu i skierowała do wyjścia. Jej miejsce szybko zajął zmartwiony Wallace. Chwycił ją za dłoń, a ona przemknęła spojrzeniem po swoim ramieniu. Widniały na nim jeszcze nieznaczące zaczerwienienia i ślady jak po wielu owadzych ukąszeniach. Prawa część szczęki i szyi mrowiła ją lekko — skóra w tych miejscach musiała wyglądać podobnie.

— Czy to był...?

— Tak.

— Pomógł mi?

Wallace ważył słowa.

— Tak sędzę.

Oparty o ścianę zwierzchnik niczego nie komentował, jego oblicze wyrażało głębokie zamyślenie. Irvette obrzuciła spojrzeniem izbę.

Niedaleko dość długiej pryczy, na której spoczywała, był kominek uformowany w ścianie ze skalnej masy. Na nim — tak samo jak w podłużnej ściennej wnęcie nad wezłowiem — piętrzyły się różnego rodzaju naczynia: cynowe, gliniane, porcelanowe i srebrne. Pod przeciwległą ścianą mieścił się — z pewnością wykonany przez tenare — wysoki stół, a przy nim taboret. Na blacie stało kilka zamkniętych przykrywkami słoje, obok trochę suszonych ziół i różnego rodzaju sztućców. Pod stołem kryły się niewielka skrzynia

i wypełniony drewnkami kosz. U wejścia, na wystającym ze ściany paliku, wisiał płaszcz Irvette.

W otwartych drzwiach ponownie stanął czarny mag — przejście było dostosowane do jego wyjątkowo okazałego wzrostu. Irvette wytrzymała spojrzenie upiornych oczu. Wallace przesunął się wraz z taboretem, gdy mężczyzna zbliżył się do łóżka. W ściennej wnęcie złożył wypełnioną wodą miskę, szmatkę, puderko i fiolkę.

Gdy jeszcze raz opuścił pomieszczenie, zwierchnik bez słowa podążył za nim. Dziewczyna została sam na sam z Wallace'em. Odetchnęła z ulgą. Chłopak pomógł jej usiąść. W głowie nadal jej huczało. Ściągnęła koszulę — została w samej halce. Omiotła wzrokiem swój tułów i oceniła, że pozostałości po skażeniu obejmują już tylko całą długość ręki. Przyjaciel podał jej misę z wodą i płócienną szmatkę. Obmyła skórę z brudu i śladów wymiocin, po czym przyjrzała się zawartości fiolki i przysunęła nos do jej szyjki. Rozpoznała po zapachu odwar z bukwicy, więc przystąpiła do smarowania nim podrażnionej skóry. Gdy skończyła, zainteresowała się maścią. Po otwarciu drewnianego pudełeczka zmarszczyła nos. Akurat ten zapach był trudny do zniesienia — nawet na niej robił nieprzyjemne wrażenie. Wallace odwrócił głowę, zakrywając usta dłonią. Z odrobiną zdumienia stwierdziła, że nie rozpoznaje tego specyfiku — ostra woń nie wyróżniała się żadną znajomą nutą. Breja była zielona i odrobinę grudkowata. Nasmarowała nią zaczerwienione miejsca, nie pomijając szyi i twarzy. Mimo swej nieszczególnie gładkiej konsystencji — po dokładnym rozsmarowaniu cienkiej warstwy maść szybko wsiąkała, a potraktowana nią skóra bledła i stawała się przyjemnie chłodna.

— Odpoczywaj, Iv — poinstruował ją Wallace, odbierając od niej pudełko. Pospiesznie je zamknął i odstawił w najdalszy kąt wnęki. — Zamknij oczy i niczym się nie przejmuj. Będę tu cały czas.

Położyła się i nakryła kocem, a jej spojrzenie powędrowało w kierunku drzwi. Kimkolwiek był zamaskowany czarny mag, musiała przyznać, że ocalił jej życie — nawet jeżeli myśl o jego dziwnych oczach napawała ją strachem.

Namir wspierał się o stół przy składziku, nie spuszczał wzroku z chaty. Myśli o dziewczynie nie dawały mu spokoju. Nadal było mu trudno zaakceptować fakt, że trójka intruzów wtargnęła do jego domu, i to pod przewodnictwem tenare, który cykle temu zagwarantował, że w tym lesie Namir będzie mógł dożyć końca swoich dni w absolutnym spokoju wynikającym z odosobnienia. Niczego innego nie pragnął jak właśnie takiej spokojnej izolacji.

— Co możesz mi powiedzieć o jej skażeniu? — zapytał cicho.

— Wiem nie więcej niż ty — odpowiedział mu Randis opierający się o ścianę budynku za rogiem.

— Pod wieloma względami przypomina *Spellium*.

— Ale nim nie jest.

Namir odruchowo kiwnął głową, mimo że zwierchnik nie mógł tego zobaczyć.

— Nie jest.

— To nie moje zmartwienie — odezwał się tenare — lecz ten chłopak to syn mojego dobrego przyjaciela, a dziewczyna jest mu bliska. Czy myślisz, że to coś wróci?

Pytanie, które zadał Randis, jego też nurtowało.

— Na razie zniknęło — rzucił, siląc się na obojętność. — Przygotuję wam potrzebne maści, jeśli za nie zapłacisz, a dalej musicie radzić sobie sami.

— Namirze... Żaden z nas nie wyciągnie z niej czarnej magii. — Randis złapał oddech i zamilkł na chwilę. — Ta dziewczyna powinna przez jakiś czas... zostać przy tobie.

— Zwariowałeś!

— Chociaż na kilka dni. Dla pewności. Jeśli skażenie nie powróci, zabierzemy ją stąd.

— A jeśli powróci? Oczekujesz, że nadal będę używać mocy, których używać nie powinienem? Chyba zdajesz sobie sprawę, czym ryzykuję. Nie rozumiem, jak mogłeś wpaść na to, by ją tu przywlec.

— Po tym, jak widziałem, co potrafisz zrobić z tymi mocami, miałem jej tu nie przywieźć...? Być może uwierzyłem, że tym razem będziesz w stanie posłużyć się swoimi umiejętnościami w dobrym celu.

W Namirze narastała irytacja.

— Nagle zacząłeś we mnie wierzyć?

— Sytuacja zmusiła mnie do zmiany nastawienia.

— I dlatego teraz chcesz zostawić młodą dziewczynę w leżu potwora? —

Twarz pod zasłoną przybrała kwaśny wyraz.

Randis westchnął przeciągle.

— Może twoje towarzystwo byłoby łatwiejsze do zniesienia, gdybyś skończył się nad sobą użalać.

Namir zaśmiał się krótko, chrypliwie.

— Nie chcesz zaczynać tej rozmowy.

— Co u Hasana? Sądząc po zgromadzonych tu rupieciach, nadal od niego kupujesz.

— Jestem zaskoczony. Wielki pan Silvaru interesuje się życiem potwora i średnio majątnego kupca.

— No już, skończ wreszcie z tym sarkazmem. Przestał robić na mnie wrażenie kilka oddechów temu.

— Hasan ma się dobrze. Jeśli nie brać pod uwagę jego zaszczutego umysłu. Zdaje się nadal obawiać, że jego kochana pani czyha na niego na każdym kroku.

Zwierzchnik głośno wciągnął powietrze. Namir poczuł gorzką satysfakcję. Dobrze — pomyślał — niech te wspomnienia podręczą również ciebie.

— Ona nie żyje — przypomniał Randis.

— W tym rzecz.

Pełną zadumy ciszę przerywało drażniące uszy skrzeczenie ukrytego gdzieś wśród niższych drzew ptaka.

— Być może ta dziewczyna to twoja szansa, Namirze. Szansa na odkupienie śmierci, którą niegdyś zadałeś — zasugerował ostrożnie zwierzchnik.

Czarny mag wzdrygnął się na te słowa.

— Tej rozmowy również nie chcesz zaczynać.

Pan Silvaru wychynął zza rogu budowli i stanął naprzeciw niego.

— Ona nie ma nikogo innego, Namirze, a możliwe, że nadal potrzebuje pomocy. Jeśli chcesz jej odmówić, idź do niej i powiedz, żeby dalej radziła

sobie sama.

Namir zmierzył tenare chłodno, po czym minął go szybkim krokiem i ruszył do chaty. Nie chciał tego. Nie chciał kłopotów. Pragnął jedynie świętego spokoju.

Stanąwszy w progu, utkwił spojrzenie w dwójce młodych ludzi. Chłopak w instynktownym odruchu położył dłoń na rękojeści ukrytej pod płaszczem szabli. Odwrócił się na taborecie — tak by zasłonić dziewczynę. Mimo że jego twarz pozostawała kamienna, w oczach gościł strach. Próbował sprawiać wrażenie silnego obrońcy. Dziewczyna jednak zupełnie zignorowała jego postawę. Przytrzymując koc nad piersiami, uniosła się na łożku i wychyliła zza sylwetki Wallace'a.

Skóra na prawej części jej szczęki i szyi nadal była widocznie podrażniona i lekko opuchnięta, ale łagodzące działanie maści już robiło się widoczne. W najgorszym stanie było gołe ramię — jeszcze w plamach, ale teraz już nie czarnych, lecz czerwonych. Kasztanowe włosy, okalające piegowatą twarz z zadartym nosem, były rozrzucone w nieładzie, zmierzwił kosmyki wymykały się z rozpadającego się warkocza. Do Namira nagle dotarło, od jak wielu cykli nie widział ludzkiej kobiety.

Patrzyła na niego ze słabo skrywaną niepewnością, jednak brodę, którą jeszcze tak niedawno miała brudną od wymiocin, trzymała wysoko. Kiedy ich spojrzenia się zetknęły, wytrzymała zaskakująco długo, nim opuściła wzrok. Wyglądała na bardzo młodą, na oko dawał jej jakieś dwadzieścia cykli, miała przed sobą kawał życia. Czy warto było ryzykować, odsyłać ją mimo braku pewności, że skażenie nie wróci? Czy tak wielkim poświęceniem było wytrwanie w jej obecności kilku dni — nawet tylko po to, by tej pewności nabrać? Stawiał sobie te pytania i coś zaczęło się w nim łamać.

— O co chodzi? — Głos chłopaka uświadomił Namirowi, że od kilku długich oddechów stoi w drzwiach bez słowa, bacznie popatrując na swoich gości. Ten młokos był zapewne niewiele starszy od dziewczyny...

Namir szybko uspokoił gonitwę myśli i przemówił szorstkim tonem do Irvette:

— Musisz tu zostać kilka dni, pani.

Rozdział V

Irvette nie mogła uwierzyć, że Wallace jakoś dał się namówić na ten szaleńczy pomysł. Sama miała wątpliwości, czy postępują słusznie, lecz zwierzchnik Silvaru wyjaśnił jej, że przez jakiś czas musi być pod obserwacją, na wypadek gdyby jej choroba — czymkolwiek była, a to nadal pozostawało tajemnicą — miała powrócić. Początkowo Irvette zaproponowała, by w takim razie Wallace został razem z nią, ale to wznieciło w oczach czarnego maga taki gniew, że straciła ochotę na forsowanie swojego pomysłu. Ten mężczyzna nie chciał na terenie swojej pustelni nikogo obcego. Jej również.

Wallace miał wybrać się ze zwierzchnikiem Silvaru do O'rior — miasta leżącego dzień jazdy od tego lasu. Tam miał czekać, aż tenare zdecyduje, że mogą już po nią wrócić. Nie było innego wyboru — oboje musieli zaufać osądowi długowiecznego, tak jak zrobili to wcześniej.

Wallace przyprował do pustelni białego wierzchowca Irvette, z grzbietu zdjął mu worek z jej skromnym ekwipunkiem i zaniósł go do chaty. Kiedy zostali znów sami, wyściskał ją za wszystkie czasy, kazał na siebie uważać i podarował jej swój sztylet. Poradził, by schowała go pod poduszką i nie przyznawała się, że posiada broń. Choć w obu butach miała specjalne kieszonki — w jednym na mały, zakrzywiony nożyk do ziół, w drugim zaś na dłuższe i szersze ostrze — nie mogła wykorzystać ich do przechowania broni od przyjaciela, jako że rękojeść sztyletu Wallace'a częściowo wystawałaby z tych niepozornych schowków. Obuwie to wykonał dla niej znakomity szewc z Cirem, który brał od niej za swe usługi połowę ceny, odkąd podniosła jego żonę praktycznie z łoża śmierci, ale i tak posłuchała rady Wallace'a i ukryła sztylet pod poduszką.

Kiedy odjechali, zapadał już zmrok. Do tego czasu raz jeszcze nasmarowała podrażnioną skórę śmierzdzącą maścią. Czuła się znacznie lepiej i mogła poruszać się bez zawrotów głowy. Zniknęło też odrętwienie palców. A jednak nie spieszyło jej się do wstawania z łóżka — w nim czuła się najbezpieczniej, otoczona kocem i blaskiem bijącym z kominka.

Do tej pory nie poznała imienia czarnego maga, o ile w ogóle jakieś nosił. On sam okazał się inny od jej wcześniejszych wyobrażeń na jego temat. Nie mogła się nadziwić, że mężczyzna, który tak sprawnie prowadził kąśliwą dyskusję ze zwierchnikiem Silvaru, nagle stał się lodową górą — niewydającą z siebie prawie żadnych odgłosów. Nie narzekała z tego powodu, przeciwnie nawet: w tej chwili nie miała ochoty na rozmowy z jego udziałem i była wdzięczna, że zostawił ją w chacie samą. Dzięki temu otrzymała szansę oswojenia się z nową sytuacją.

Wrócił nie wiadomo skąd, kiedy już przysypiała. Wtargnął do chaty bez pukania, wyrywając ją z półsnu i wzmagając bicie serca. Spojrzała na niego z wyrzutem spod koców, co umiejętnie zignorował. Wśród tańczących po izbie cieni jego wysoka, odziana w czerń postać wyglądała jeszcze upiorniej. Jasne oczy błyszczały w otworach zasłony jak ślepiea bestii z najstraszniejszych koszmarów.

Na stole postawił miskę pełną parującej zupy pachnącej mięsem, po czym ulotnił się z pomieszczenia. Zsunęła nogi z łóżka i przez moment zastanawiała się, czy miał motywy, by ją otruć — po tym, kiedy dopiero co ją uratował. Nie mogła wiedzieć, czy nie zmienił zdania odnośnie do jej pobytu w pustelni. Dlatego gdy już usiadła na wysokim taborecie przy stole — ledwo sięgała posadzki czubkami palców — ostrożnie nabrała łyżkę stawy i najpierw powąchała intensywny zapach. Następnie zamoczyła jedynie usta w zupie i oblizwała je, by poszukać podejrzanych smaków. Nie odkryła nic, co mogłoby wzbudzić niepokój. Powoli zabrała się więc za jedzenie. Spojrzała na kolekcję sztućców wiszącą na ścianie, na najróżniejsze kształty, kolory i tworzywa, i pomyślała o srokach gromadzących przedziwne rupiecie, a zaraz potem o smokach pilnujących błyszczących skarbów.

Prędko pochłonęła całą zawartość miski, nawet wypięła resztki z dna. Zupa pięknie wypełniła pusty żołądek i ku jej zadowoleniu — nie wywołała nowych

mdłości.

Irvette włożyła świeżą koszulę, którą wygrzebała ze swojego podróżnego worka. Poprzednią spaliła w kominku — nie wiedziała, kiedy miałaby okazję ją wyprać, a niemiłosiernie cuchnęła rzygowinami. Do spania udała się w ubraniach wierzchnich. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zabarykadować drzwi, ale zrezygnowała z tego pomysłu — zastanowienie to trwało nie dłużej od mgnienia oka.

Sen przyszedł szybciej, niż się spodziewała — zmęczenie wygrało z niepokojem.

Ocknęła się o świcie, nieco obolała i z szumem w uszach. Podwinęła rękaw koszuli i zobaczyła, że skóra wygląda dużo lepiej: już nie było na niej śladów jak po wielu ukąszeniach. Czerwone place ładnie zrózowiały — oceniła, że chyba nazajutrz powinny zniknąć. Dotknęła twarzy, następnie szyi. Nie wyczuła żadnego obrzęku czy mrowienia, ale i tak sięgnęła do trzymanego przy łóżku worka, by wyciągnąć z niego małe lustro. Obejrzała się w nim — na widok swojego oblicza lekko zmarszczyła czoło. Oczy miała podkrążone, a prawą część szczęki jeszcze lekko zaczerwienioną. Wygrzebała z worka grzebyk i rozczesała roztrzepane włosy, ale zostawiła je rozpuszczone.

Wygramoliła się spod koca i wzdrygnęła na widok posiłku już czekającego na nią na stole. Potwór z Damanor przygotowuje mi strawę — pomyślała z nieco histerycznym rozbawieniem. Nadal potrzebowała czasu, by odnaleźć się wśród tylu nowości. W ciągu ostatniej fazy została wielokrotnie wzgardzona i wyrzucona za drzwi, gdy szukała pomocy. Udała się do królestwa, którego mieszkańcy od setek cykli trwali w uprzedzeniu do ludzi, otarła się o śmierć i ostatecznie uzyskała pomoc u czarnego maga — osoby takiej samej jak ta, która władała mocą odpowiadającą za jej chorobę.

W misce z posrebrzanej zastawy odkryła gęstą owsiankę, słodką od miodu. Nie powstrzymała głupowatego uśmiechu, a kiedy zjadła, schowała twarz w dłoniach, by zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami. Była na siebie zła, że poddaje się takiemu rozemocjonowaniu — zdecydowała się wyjść na zewnątrz, aby nieco ochłonić.

Miała w końcu sposobność rozejrzeć się po okolicy. Polana — otoczona gęstniejącym stopniowo borem w oddali zlewającym się w czarną ścianę drzew — była gdzieniegdzie usiana karłowatą roślinnością. Konary odstające od pni porastających skraj samotni układały się w kopułę odsłoniętą pośrodku, więc promienie słońca dostawały się przez nią swobodnie i docierały do całej polany. Chata, w której dotąd przebywała Irvette, była utrzymana w charakterystycznym tenarskim stylu, uformowana w pokrytej mozaiką szarości skalnej masie — niczym odlana idealnie forma kanciastej bryły. Druga, mniejsza budowla składała się z dużych gładkich bloków. Na jej tyłach wybudowano piec — niezbędny dla każdego zielarza niemal tak samo jak dla kowala. Ten tutaj miał szerokie palenisko, nad którym Irvette mogłaby warzyć wiele specyfików jednocześnie. Oba budynki, choć z wyglądu surowe i solidne, miały w sobie również jakieś hipnotyzujące piękno. Na podwórku znajdowały się także spore usypisko z drzwiami skrywającymi jakieś pomieszczenie i ogródek z wieloma grządkami. Dostrzegła tam niemało wschodzących dopiero ziół, ale już rozpoczynających walkę z silniejszymi chwastami. Być może gdyby nie roztaczający się dokoła mroczny las, miejsce nie wydawałoby się nawet w połowie tak nieprzyjazne.

Czarnego maga nie było nigdzie w pobliżu. Irvette nie miała pewności, czy chce wiedzieć, gdzie on jest i czym się zajmuje. Postanowiła wykorzystać sytuację, by dokładniej się rozejrzeć.

W skrzyniach stojących przy opartym o drugi budynek stole — zdecydowanie za wysokim, żeby mogła przy nim wygodnie pracować — znalazła pokaźne zapasy mikstur i wypełnione różnobarwnymi substancjami oraz fragmentami roślin słoje. Na ścianie budynku wisiało trochę suszonych ziół, a jeszcze więcej dostrzegła wewnątrz — zostały rozwieszane nad zagraconą fiolkami i płóciennymi woreczkami ławą, niższą niż stół na zewnątrz. Znajdowała się tu również długa prycza zasłana kocami oraz skórą, a wokół niej zbiorowisko przeróżnych, mniej i bardziej cennych rzeczy. Naczynia, luxańskie dywany, pękate sakiewki — wypchane najpewniej monetami. Jeszcze więcej szczelnie pozamykanych słoików i skrzyń, kosze przykryte chustami — w środku odkryła kolejne składowiska przedmiotów o rozbieżnej wartości i zastosowaniu — oraz zwisające ze stropu talizmany

i łapacze snów. Do ściany przyciśnięty był regał zastawiony grubymi tomiskami, cienkimi książeczkami i następną stertą pojemników i różności. Przez cały ten bałagan ciągnęła się jedynie wąska ścieżka, której jedna odnoga prowadziła do pryczy, druga zaś do ławy.

Po wycofaniu się z izby raz jeszcze zbadła wzrokiem polanę, po czym skierowała się do usypiska. Zatrzymała się w otwartych drzwiach, przy których wisiała pochodnia, lecz nie było jej jak zapalić. Odczekała chwilę, a gdy uznała, że nikt jej nie obserwuje, zeszła do środka po kilku kamiennych schodkach. Poruszała się w snopie światła słonecznego, który wpadał przez otwarte drzwi. Nie widziała, co znajduje się w głębi pomieszczenia, lecz zainteresowały ją półki wydrążone w ziemistej ścianie przy wejściu i wysoki strop umocniony solidną konstrukcją z konarów i gałęzi. Na półkach stały skrzynie i słoje, bił od nich chłód, niektóre pokrywała warstewka lodu. Znalazła w skrzyniach zarówno mięso, jak i nabiał. Po tych oględzinach wyszła na zewnątrz tak zamyślona, że niemal wpadła na wysoką postać.

Nie bez trudu złapała równowagę i wstrzymała oddech, przesyta wrogim spojrzeniem. Nie wiedząc, co powiedzieć, wyminęła mężczyznę i wróciła do chaty. Zamknąwszy za sobą drzwi, oparła się o nie i spróbowała przegonić obawy, bo w jej obecnym położeniu mogłyby ją przyprawić o postradanie zmysłów...

Randis i Wallace wyruszyli z kryjówki potwora, kiedy zapadał już zmrok, musieli więc zrobić postój w gęstwinie mrocznego boru. Wallace nie pamiętał koszmarów, jakie nawiedziły go tej nocy, ale obudził się spocony i z szumem w głowie. Z lasu wydostali się nazajutrz — zaraz po wschodzie słońca.

Całą drogę do fortu chłopakowi towarzyszyły myśli o Irvette. Przemierzając jard za jadem, coraz bardziej żałował, że przystał na propozycję potwora. Zwierzchnik namawiał go prawie świecę, tłumacząc, że jest to rozwiązanie konieczne, jeśli wszyscy chcą zyskać pewność, że skażenie Iv nie powróci. Ale ani zwierzchnik, ani zamaskowany nie potrafili mu powiedzieć, czym ono właściwie jest. To napawało go jeszcze większym niepokojem, a w myślach ciągle widział te upiorne oczy. Modlił się do Mestyrii i pomniejszych bogów, by trzymali jego przyjaciółkę w opiece. Wielokrotnie

dopytywał pana Silvaru, czy na pewno można wierzyć, że Namir nie zachowa się wobec dziewczyny jak najgorszy rodzaj bestii. Tenare robił wtedy dziwną minę i odpowiadał, że akurat o to Wallace nie musi się martwić.

Dotarcie do O'rior zajęło im niemal cały dzień. Do zmierzchu zostały jakieś dwie świece, kiedy leśną drogą dostali się na trakt wychodzący na rozległą dolinę. Za zielonym trawiastym terenem zaczynała się następna część szerokiego na setki stóp boru, a na jego skraju rysowały się wysokie mury miasta.

Zabudowania były otoczone przez głębokie rowy, z których sterczały ostre jak kolce korzenie wyrastające z głębi ziemi. Do bramy puszczony był zwodzony most, a mury zdawały się niknąć pomiędzy drzewami. Wśród koron rozpościerały się platformy łączące się między sobą linowymi mostami. Kręcili się tam strażnicy wyposażeni w łuki i Wallace zgadywał, że w istocie jest ich dużo więcej, niż był w stanie zaobserwować. Kryli się między gałęziami — w przyklejonych do pni posterunkach.

W dole miasto prezentowało się surowo, chociaż pomiędzy domami uformowanymi z kamiennych bloków i skalnej masy nie brakowało roślinności. Wśród alejek panował porządek, tenare zajmowali się swoimi sprawami w ciszy z rzadka przerywanej rozmowami. Chociaż miasto nie należało do małych, ulice nie były zatłoczone. Spotkali w nim niewielu ludzi, w przewadze kupców.

Tak jak w Cirem poszczególne alejki zamieszkiwane były przez konkretnych rzemieślników, tak i w O'rior można było doszukać się pewnego schematu. Najpotężniejsze budowle, przeznaczone dla żołnierzy oraz magów specjalizujących się w walce, znajdowały się w centrum miasta, skąd stopniowo rozchodził się pierścień mniejszych, piętrowych domów, sklepów i warsztatów rzemieślniczych. Jeszcze dalej sytuowały się drewniane chaty, ogrody i sady. Wszystko to, czego Wallace dowiedział się od ojca i nauczyciela prowadzanego do domu, teraz mógł odkrywać sam, a w razie wątpliwości podpytywał zwierzchnika.

Najwięcej kobiet przebywało w ostatnich kręgach miejskiego pierścienia. Pracowały przy roślinach i zwierzętach, z którymi miały szczególną więź dzięki wrodzonemu talentowi do posługiwania się żywiołem ziemi. Te, które

nie posiadały magicznych umiejętności, służyły pozostałym kobietom pomocą lub zajmowały się swoimi interesami. Wśród mężczyzn — magowie okupowali każde możliwe stanowisko: nie tylko w O'rior, ale i w całym królestwie. Byli naczelnikami fortów, dyplomatami i doradcami, budowniczymi, a także zwykłymi strażnikami czy rzemieślnikami. Spora ich część wstępowała do Strzegących — oddziałów pilnujących najgłębszych podziemnych tuneli, których odnogi, jak wierzono, prowadziły do ukrytego we wnętrzu ziemi legowiska smoczycy Varanside. Tymczasem ludzcy magowie oddawali się głównie nauce i badaniom. Wojsku królestwa służyli tylko w wyjątkowych sytuacjach, a nieliczni zasiadali wśród doradców królów i diuków.

To, co jeszcze rzucało się Wallace'owi w oczy, to rozsypane po mieście kapliczki Mestyrii, przedstawionej oczywiście na tenarski sposób. Wysokie i smukłe kolumny z wyrzeźbionym na nich wizerunkiem dziwnej, acz pięknej bogini piętrzyły się po same korony drzew. Obok nich mieściły się czasami mniejsze pomniki Caitriony — ukazanej jako tenare. Rasa tej legendarnej kobiety od zawsze stanowiła kwestię sporną.

Siedziba zwierzchnika Silvaru położona na wzniesieniu w wysuniętej na północ części miasta górowała nad sadami i chatami. Była to twierdza częściowo otoczona miejskim murem. Na dziedzińcu rosło kilka drzew, a platformy na nich łączyły się linowymi mostami z piętrami kamiennego kompleksu budowli.

Głównych wrót pilnowali strażnicy, grupka zwykłych żołnierzy i jeden mag. Zaraz za wejściem urządzono zbrojownię i posterunek. Podłużną stajnię przyłączono do zachodniego skrzydła, a nad nią ulokowano ptaszarnię.

Dwójka stajennych zajęła się ich wierzchowcami, a służba ekwipunkiem. Wallace'a ulokowano w komnacie we wschodnim skrzydle, tam też przygotowano mu kąpiel. Było to niemałe pomieszczenie z dużym kominkiem, miękkim łóżkiem zasłanym drogą pościelą oraz obszerną skrzynią na ubrania i ekwipunek. Kiedy już odświeżył się po podróży, zszedł na przygotowaną dla niego wieczorną strawę.

Przestrzeń wielkiej izby zajmował głównie długi stół przeznaczony dla wielu osób. Wallace zasiadł przy nim samotnie. Przez drzwi prowadzące do kuchni wybiegła młodsza służąca, postawiła na stole butelkę i czarkę.

Podziękował jej zmęczonym uśmiechem, a ona ulotniła się pospiesznie. Zdawała się nienawykła do podobnego zachowania, albo po prostu gardziła nim jak każdym innym człowiekiem. Nie umknęło mu, że usługujące w twierdzy dziewczyny wyglądały bardzo niekorzystnie. Nigdy nie uważał kobiet tenare za szczególnie atrakcyjne — z tymi ich obwisłymi bardziej niż u mężczyzn uszami sięgającymi czasami aż do połowy szyi, poprzekłuwanymi na najzmyślniejsze sposoby. Z ich zbyt pociągłymi twarzami i trójkątnymi brodami. Wszystkie jednakowo szczupłe, choć niektóre — głównie te zajmujące się myślistwem — bardziej umięśnione. Z szarą skórą i wielkimi oczami. A jednak służki były jeszcze bardziej odpychające — ubrane w workowate tuniki, z włosami upchniętymi w siateczki.

Popijając rozgrzewający miodowy trunek, wracał myślami do opowieści strażników miejskich Cirem, którym niejednokrotnie dał popalić w szermierskich potyczkach. Choć nazywali go młokosem, to darzyli szacunkiem i dzielili się pikantnymi opowieściami o tenarskich kobietach, podobno namiętnych i dzikich w łóżku. Już wtedy podawał w wątpliwość wszystkie te historie, a teraz tylko uśmiechał się kpiąco na ich wspomnienie.

Znowu napełnił sobie czarękę — sam już nie wiedział, po raz który — i opadł ciężko na oparcie krzesła uplecionego z gałęzi. Spojrzał na kandelabr zwisający ze stropu, rozświetlony płomykami wielu świec. Kręciło mu się w głowie.

Oczami wyobraźni znów ujrzał zamaskowanego. Dopadały go mdłości. Pod fałdami materiału musiał kryć się paskudny potwór. A on zostawił z nim Irvette...

Westchnął ciężko i pociągnął kolejny łyk.

Wtem do jadalni wszedł pan Silvaru. Uśmiechnięty kpiąco od ucha do ucha, zbliżył się pewnym krokiem.

— No, no, ostrożnie z tym, chłopaku. Nikt nie będzie taszczył cię do łóżka.

— Bogowie, co ja zrobiłem? — wymamrotał, nie patrząc na zwierzchnika.

Ten wydał z siebie pomruk znużenia.

— To, co musiałeś. Za kilka dni ją stamtąd zabierzesz.

— O ile dożyje tego czasu.

Tenare parsknął krótko.

— Przesadzasz, chłopaku.

— Czyżby, panie? — wybełkotał Wallace. — To czarny mag i nie bez powodu nazywasz go potworem, prawda?

— Są sprawy, o których lepiej nic nie wiedzieć.

Po zawstydzającym incydencie poprzedniego dnia czarny mag przyszedł do niej w popołudniowej porze i jak zwykle bez słów zostawił jej posiłek. To samo stało się wieczorem. Przez cały ten czas nie zamienili ani słowa i o ile wcześniej brak jakichkolwiek rozmów jej odpowiadał, o tyle teraz wiedziała, że ten stan milczenia musi się skończyć, bo w innym wypadku gotowa będzie zwariować. Potrzebowała chociaż zachować pozory normalności, by zapomnieć o tym, z kim w rzeczywistości ma do czynienia.

Już wychodziła z chaty po porannej srawie, kiedy raptownie zatrzymała się w drzwiach. Spostrzegła wysoką sylwetkę pochylającą się nad dopasowanym do swego wzrostu stołem. Zauważyła spoczywające na blacie moździerz i zioła, których ku swemu zaskoczeniu nie rozpoznawała.

Zebrała w sobie odwagę i ruszyła w stronę mężczyzny. Nie chcąc sprawiać wrażenia, że się skrada, chrząknęła cicho.

Najpierw lekko się zgarbił, potem wyprostował i spojrzał na nią przez ramię. Materiał zasłony zadrgał, kiedy zaczerpnął tchu. Milczał i lustrował ją — sprawdzał, czy jej skażenie nie powróciło.

— Powinnaś, pani, odpoczywać. — Ton zamaskowanego był szorstki.

Dało się wyczuć, że czarny mag zmusza się do mówienia, ale Irvette i tak była zdumiona, że w ogóle zdecydował się odezwać.

— Czuję się już całkiem dobrze. Cóż takiego przyrządzasz, panie?

Zbliżając się, starała się za bardzo na niego nie gapić. Nawet jeśli nie chciała wiedzieć, co znajduje się za warstwami materiału na twarzy, a dziwne oczy mocno ją niepokoiły, jego ogólna aparycja przyciągała uwagę.

Poruszył się z wahaniem, ale nie zrobił jej miejsca przy stole. Przysiadła na jednej ze skrzyń splecionych z grubych gałązek. Powiodła wzrokiem po uwalanym w sokach roślinnych blacie, na drugim jego skraju zobaczyła kilka przezroczystych słoików wypełnionych różnobarwnymi substancjami, w których nurzały się kawałki listków i łodyg. Widziała je już wcześniej.

— Nic, co mogłoby cię zainteresować, pani. — Znow wziął się do pracy. Dłonie odziane w rękawice z czarnej skóry zajęły się szatkowaniem soczystych liści. — Wracaj do chaty. Tam jest twoje miejsce.

Nie spodobała jej się ta odpowiedź. Zmierzyła go z wolna wzrokiem.

— Chociaż jestem w twoim domu, panie, nie życzę sobie żadnego rozkazywania.

— Jeżeli sprawiłem wrażenie, że jestem od wypełniania twoich życzeń, musisz mi, pani, wybaczyć. — Popatrzył na nią wymownie; zmrużone oczy sugerowały, że uśmiecha się pod zasłoną.

— Nie sprawiłeś, panie, żadnego wrażenia.

Cmoknął cicho ze złością i odwrócił się ponownie do stołu.

— Nie zrozumiesz niczego, co się tu odbywa.

Jego przekonanie o jej nieudolności czy też głupocie rozdrażniło ją. Zaczynała pojmować, dlaczego zwierzchnik Silvaru dawał mu się tak łatwo prowokować.

— Jestem zielarką. Zakładam, że zrozumiesz całkiem sporo.

— Co z ciebie za zielarka, pani, skoro nie potrafisz wywnioskować, cóż takiego przyrzadzam?

Zacisnęła zęby, by zapanować nad gniewem.

— Rośliny, których używasz, panie, są mi nieznane. Nigdy wcześniej się z takimi nie spotkałam.

Czarny mag westchnął, odłożył nożyk do krojenia ziół i odwrócił się do niej ze skrzyżowanymi rękami. Odruchowo się cofnęła, ale wyzywająco zadarła głowę.

— Nie występują na naszym kontynencie.

— Jak więc wszedłeś w ich posiadanie, panie?

— Stworzyłem je.

— W jaki sposób?

— U kogo terminowałaś?

— Słucham?

— Musiałaś mieć, pani, wyjątkowo niedoinformowanego mistrza, skoro twoja wiedza jest tak wybrakowana.

Powinłam była pozwolić mu milczeć — pomyślała zirytowana, lecz opanowała się i oznajmiła sucho:

— Uczylałam się u babki, odkąd skończyłam jedenaście cykli. Nie było w Cirem lepszej zielarki.

Pod zasłoną znów musiał pojawić się złośliwy uśmiech. Oczy zmrużyły się znacząco.

— Bez wątpienia.

— Bez wątpienia jesteś, panie, wielkim gburem.

Świdrując ją wzrokiem, sięgnął po jeden ze słoii. Włoski na karku stawały jej dęba.

— Tu właśnie powstaje szczep — oświadczył. — W przygotowanej odpowiednio substancji można dokonać złączenia wielu pędów w sadzonkę zupełnie nowej rośliny.

Kiedy wyciągnęła dłonie, by odebrać od niego naczynie, odstawił słoii na brzeg stołu. Nie skomentowała jego zachowania, tylko postukała w szkło palcem, przyglądając się gęstej, zielonej cieczy, w której pływały fragmenty roślin.

— Czy posiadasz, panie, notatki opisujące proces tworzenia poszczególnych gatunków? Chętnie się z nimi zapoznam.

— Wracaj do chaty, pani.

— Jak już powiedziałam, nie jestem kobietą, której można łatwo rozkazywać. Wygląda na to, że dysponujesz zielarską wiedzą, jakiej jeszcze nie poznałam. Zostanę więc raczej i poobserwuję, jak pracujesz.

Uznała, że skoro ma zostać przy czarnym magu jeszcze jakiś czas — nie była wszak pewna, kiedy stawią się po nią Wallace i pan Silvaru — nie pozwoli, by dni te mijały jej na kompletnej bezproduktywności. Mężczyzna wytrzeszczył na nią dziwne oczy, a zasłona na twarzy drgnęła, gdy wypuścił głęboki oddech.

— Niech będzie.

Następne dwa dni Irvette spędziła głównie poza chatą. Przyglądała się mężczyźnie pracującemu zarówno przy stole, jak i przy piecu. Ten znosił obserwacje dziewczyny z widocznym trudem, ale już jej nie przeganiał.

Odpowiadał nawet rzeczowo na pytania, które czasami rzucała, chociaż robił to niechętnie, krótko. Wyraźnie unikał nawiązania dłuższej konwersacji. Poprosiła go o notatnik i pióro. Odnalazł i jedno, i drugie w mniejszym budynku, który nazywał składzikiem. Podarował jej również ziele, którego lodygi po rozgnieceniu wydzielają ciemną substancję mogącą z powodzeniem zastępować tradycyjny tusz. Roślina była powszechnie znana, lecz rzadko używana ze względu na swój nieprzyjemny zapach — długo unoszący się nad poczynionymi zapiskami. Irvette to nie przeszkadzało. Notowała wszystko, co okazywało się dla niej nowe, i cieszyła się, że ma okazję poszerzyć swą zielarską wiedzę, chociaż część używanych przez czarnego maga receptur nie była jej obca, a inne zostały jedynie zmodyfikowane w nieznanym jej dotychczas sposób.

Jeszcze tego samego dnia, którego wywalczyła sobie więcej swobody, po wykonanej pracy mężczyzna zniknął gdzieś na dłużej, a ona — starając się nie myśleć, po co i gdzie mógł się udać — zajęła się pieleniem w ogródku. Przyłapał ją na tym, gdy powrócił, ale tylko popatrzył na nią dziwnie i nic nie powiedział. Ona również nie zamierzała mu się tłumaczyć. Kolejnego dnia zaskoczył ją, gdy doglądała białego wierzchowca pasącego się na trawie i skubiącego liście rosnących wokół drzewek oraz krzewów. Akurat napiła siwka i bezmyślnie głaskała piękną grzywę, gdy mężczyzna pojawił się obok niej bezszelestnie. Serce podskoczyło jej wtedy do gardła, a zwierzę zarżało. Czarny mag chyba skrzywił się w grymasie pod zasłoną, ale nie skomentował reakcji dziewczyny i konia na swoją obecność, tylko bez słowa rzucił jej zgrzebło do stóp. Nawet nie zapytała, skąd je ma — domyśliła się, że nigdy wcześniej go nie używał, jako że wiele obecnych w pustelni przedmiotów jedynie zalegało, na nic mu się nie zdając, jakby gromadził je bardziej dla samej chęci posiadania. Gdy nadchodziły pory posiłków, mężczyzna nigdy nie jadł razem z nią. Składniki na potrawy przynosił głównie z wnętrza usypiska. Nie chciała przypominać mu o dniu, w którym bezwstydnie tam myszkowała, dlatego ani razu nie spytała o magię, która utrzymywała chłód w skrzyniach i słojach.

Podrażnienia po skażeniu zniknęły i nie musiała już nakładać na skórę śmierdzącej maści. Mężczyzna raz czy dwa podpytał ją beznamiętnym tonem,

czy jej choroba nie wraca, a potem zapragnął się również dowiedzieć, kiedy właściwie to wszystko się zaczęło i jak przebiegało. Odpowiedziała mu wówczas, że pewnego dnia, ponad fazę temu, po prostu obudziła się z kilkoma czarnymi plamami na ramieniu, a te z czasem zaczęły się rozrastać i niemilosiernie piec.

— Czy jako czarny mag, panie, nie powinienes wiedzieć, co mi dolega? — odważyła się zapytać po kilku świecech milczenia w jego obecności.

Siedziała na wysokiej ławce, czubkami butów ledwo sięgając ziemi, z narzuconym na ramiona płaszczem. Kawałek przed sobą miała krąg kamieni, a dalej po prawej stronie — piec i usytuowane obok niego wiadro wypełnione wodą potrzebną na odwary. Kilka specyfików właśnie warzyło się nad paleniskiem w żeliwnych naczyniach.

Mężczyzna zaprzestał pracy, jego ręce znieruchomiały. Oczy o różnej wielkości chwilę się ociągały, potem spojrzały na Irvette.

— Być może już nic.

— W takim razie: co mi dolegało?

— Miałem pewne podejrzenia, ale nie sprawdziły się — wyjaśnił zimno.

— To znaczy? — dociekała.

Głęboko i ze świstem wciągnął powietrze.

— Twoje skażenie, pani, przypominało mi pewne zaklęcie.

— Jakie?

— Nie chcesz o nim nic wiedzieć.

Jego ton zmroził jej krew w żyłach.

— Jednak chcę.

— Nie chcesz, pani — wycedził.

Odpuściła, ale zastanawiała się nad tym przez chwilę. Wzięła głęboki oddech, nim ponownie wydobyła z siebie głos:

— Powinnam podziękować ci za pomoc, panie. Gdyby nie ty, prawdopodobnie byłabym martwa. Dlatego dziękuję. Te słowa padłyby wcześniej, ale jakoś... sytuacja była mało sprzyjająca.

Odwrócił wzrok, niedbale machnął ręką. Zapadła przejmująca cisza. Irvette przebywała tu już piąty dzień i choć mężczyzna dbał o to, by zawsze była najedzona, miała również inne potrzeby.

— Panie — odezwała się poważnie — muszę zażyć kąpieli.

— Co w związku z tym?

— Śmierdzę.

— Nic na to nie poradzę.

Zirytowała się.

— Potrzebuję balii lub jakiegokolwiek innego zbiornika z wodą.

Milczenie dłużyło się. Czarny mag trwał w bezruchu, w końcu pomasaował się przez materiał po karku.

— Niedaleko jest staw.

Odłożyła na bok pióro i notatnik — pozszywane kartki bez żadnej oprawy, a pomiędzy nimi upchniętych kilka odrębnych, luźnych papierów. Potarła rękami o wełniane spodnie i podniosła się z ławki, uważając, by nie strącić mózdzierza wypełnionego woniejącą, czarną substancją z rozgniecionego ziela.

— Nada się.

— Więc jednak doszło do tego, pani, że muszę wypełniać twoje zachcianki. Zaprowadzę cię.

Wahała się, ale tylko przez moment. Do tej pory nie zdradzał wobec niej żadnych niegodziwych zamiarów. Pomimo że na widok jego wysokiej upiornej sylwetki nadal dostawała dreszczy, a do brzmienia chrypliwego głosu trudno jej było przywyknąć, dostrzegała w nim coraz więcej z człowieka. Zwykle poruszał się jak zjawa, sunął wyprostowany, jednak zdarzało mu się wykonywać i niezgrabne ruchy, a nawet takie odznaczające się popłochem.

Wzięła dwie brudne koszule, które trzymała w chacie pod łóżkiem, i komplet świeżej bielizny z worka. Wyciągnęła też flakonik z pachnącym ziołowym olejkiem i płócienną szmatę, która miała posłużyć jej za ręcznik. Czarny mag poprowadził ją borem do stawu położonego zaledwie jakieś trzysta jardów od pustelni. Staw obrastała gęsta, wysoka roślinność. Chociaż dystans, który przemierzyli, był krótki, to kiedy zatrzymali się na brzegu, Irvette z niepokojem stwierdziła, że nie wiedziałyby, którędy wrócić do chaty.

— Przyjdę po ciebie, pani. Nie oddalaj się nigdzie beze mnie.

Wygłosiwszy bardziej żądanie niż prośbę, mężczyzna ulotnił się, nie zostawiając jej chwili na żaden protest. Zresztą tym razem nie miała zamiaru się sprzeciwić.

Wyprała ubranie i rozłożyła je na ręczniku. Skropliła się olejkami i rozpoczęła kąpiel. Woda nie była krystaliczna, ale zapachu, jaki po sobie pozostawiała, dało się częściowo pozbyć. Po umyciu odziała się szybko. Gdy po raz kolejny wykręcała mokre włosy, usłyszała głośnie chrząknięcie. Czarny mag już na nią czekał — w pewnej odległości, odwrócony plecami. Miała nadzieję, że dopiero co się zjawił...

Zawinęła pranie w ręcznik, odrzuciła wilgotne włosy za ramiona i ruszyła za mężczyzną do leśnej kryjówki. Pokonali drogę w milczeniu. Kiedy dotarli na miejsce, czarny mag rozpiął sznurek między dwoma niższymi drzewami rosnącymi przed skrajem polany, żeby Irvette mogła rozwiesić rzeczy do wyschnięcia. Poinformował ją, że popołudniowa strawa czeka na nią jak zwykle w chacie.

Niedbale rozczesła włosy i zjadła sporą miskę gęstej zupy z soczystymi kawałkami mięsa, potem zajrzała pod poduszkę. Sztylet leżał na swoim miejscu, nietknięty. Dziś po raz pierwszy, odkąd trafiła do pustelni, wydostała się poza jej teren. Obawiała się, że czarny mag wykorzystał ten czas nie tylko na przyrządzenie posiłku, ale także na przejrzenie jej rzeczy. Jeśli tak się stało, nie pozostawił po sobie żadnego śladu.

Gdy wyszła z chaty, zastała mężczyznę znów pracującego przy stole. Wzięła cynowy kubek i naląła sobie wody z beczki stojącej przy ogródku. Ponownie usiadła na ławce, z której mogła prowadzić dogodne obserwacje. Pociągnęła łyk chłodnego płynu.

— Przyrządzasz wiele mikstur, panie — zagadnęła bez większego przekonania, że nawiąże dłuższą rozmowę. — Nie sędzę, byś wykorzystywał je wszystkie sam. Co z nimi robisz? Sprzedajesz?

— Tak, sporadycznie widuję się z kupcem. Jak do tego doszłaś, pani?

Jego sarkastyczny ton ją zirytował.

— Ten kupiec musi być bardzo cierpliwym człowiekiem.

— Zaś moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

— Słucham?

— Jesteś, pani, jak natrętna mucha lgnąca do gnoju.

Powstrzymała chęć ciśnięcia w niego swoim kubkiem z wodą.

— Rozumiem, że to ciebie należy uważać za gnój, panie? — zapytała, ale nie odpowiedział, z wolna odkładając jedną z fiolek na stół. — Jeśli tak, to coś ci się niechybnie pomyliło. Lgnięcie do ciebie to ostatnie, o czym teraz myślę.

— Czy w takim razie byłabyś tak miła i przestała brzęczeć mi nad głową niczym upierdliwy robal? Nawet gzy na zadzie twojego siwka nie są w połowie tak denerwujące jak ty. Pani.

Tym razem nie wytrzymała. Rzuciła w niego kubkiem! Woda rozbryznięła się wokół, a naczynie zatrzymało w powietrzu — złapane mocą telekinezy. Jasne oczy popatrzyły na nią lodowato.

— Muszę przyznać: masz dobre oko.

Palce uniesionej dłoni powoli zaciskały się w pięść, a wraz z nimi cynowy kubek wyginał się i kurczył, miażdżony siłą umysłu. Irvette patrzyła mężczyźnie prosto w oczy, grzebiąc strach gdzieś głęboko w sobie. Zrozumiała jednak, że sztylet ukryty pod poduszką niewiele by jej pomógł w razie potrzeby. Tak samo jak nożyk schowany w bucie.

— Jeśli pragniesz mnie nastraszyć, panie, użyj bardziej adekwatnej do tego magii — zasugerowała zuchwale.

Cisnął rozgniecionym naczyniem o ziemię, zwrócił się do stołu i oparł oburącz o blat.

— Idź tam, gdzie twoje miejsce, pani.

— Nie mam zamiaru. Nie masz nade mną żadnej władzy, nieważne, kim jesteś.

Raptem odepchnął się gwałtownie od mebla. Kiedy zrobił krok w jej stronę, wstrzymała oddech i zacisnęła palce na krawędziach kamiennego siedziska.

— Pragnę ci przypomnieć, pani, że jesteś na mojej ziemi i podlegasz moim zasadom. Czy tego chcesz, czy nie. Raz ci darowałem i teraz srodze tego żałuję.

— Zasadom? Takim jak bezwarunkowe słuchanie twoich idiotycznych rozkazów? — zapytała, siłąc się na opanowany ton.

— Właśnie takim! — syknął. — Dlatego teraz wrócisz tam, skąd nie powinnaś wychylać nosa, i przestaniesz zakłócać mi spokój.

Podniosła się sztywno z ławki. Zniosła wwiercające się spojrzenie jego dziwnych ślepiów.

— Więc pan Silvaru słusznie mnie ostrzegał, że nie jesteś szczególnie przystosowany.

Zza zasłony, która poruszyła się od gwałtownego oddechu, dobiegło warknięcie. Zamaszysty ruch długiej ręki wskazał jej kierunek. Irvette z nieporuszoną wyrazem twarzy pokazała czarnemu magowi zgięty łokieć — gest potocznie uważany za obraźliwy. Następnie obróciła się w stronę chaty tylko po to, by po chwili ostentacyjnie skierować się jednak wprost do ogródka.

Dawno już nie czerpała takiej radości z bezdusznego wrywania chwastów.

Rozdział VI

Po kilku dniach od ostatniej wizyty w jaskini Lederg zdecydował się do niej powrócić. Zestresowany możliwą do spełnienia wizją pożywiającego się jego ciałem demona — stracił ochotę na poranną strawę i o pustym żołądku wyruszył z szynku. Słońce wskazywało już południe, gdy zatrzymał się przed grotą. Ze strachu ścisnęło go w trzewiach. Obsypane śniegiem drzewa poskrzypywały cicho.

Wrócił do tej groty wyposażony w wiedzę, która utwierdziła go w przekonaniu, że nie powinien więcej wspominać imienia chłopca. Przynajmniej nie w najbliższym czasie. Wcześniej dowiedział się od Szebory, że we wsi ciągle powtarzano chłopcu, że nie ma imienia — nazywano go potworem, monstrum bądź demonem. Kiedy się o tym dowiedział, zbeształ kobietę, choć resztkami silnej woli powstrzymał się przed potężnym zwyzywaniem jej, a ona odparowała mu wtedy z rozżaleniem, że sam zrozumie, jak tylko zobaczy oblicze dziecka.

Lederg musiał przed sobą przyznać, że coraz bardziej ciekawiło go, co kryje się pod tym paskudnym workiem, który chłopiec nosił na głowie. Nie chciał jednak popełnić błędu. Jedno nieostrożne pytanie mogło zaprzepaścić szanse na zdobycie zaufania tego dziecka. Uznał, że musi poczekać na bardziej odpowiedni moment. Miał czas. Chociaż właściciel przybytku nie był zadowolony, a starszyzna często wypytywała, kiedy w końcu pozbędzie się ich problemu, pozwolono mu przebywać w szynku bez opłat. Wytargował takie warunki w zamian za obietnicę, że zabierze chłopca z dala od wioski, a wtedy na pewno nie spadnie na nią żadna boska kara.

Wkroczył do jaskini z duszą na ramieniu, serce mu waliło, gdy przemierzał podziemia, jak zawsze oświetlając sobie drogę przywołanym płomieniem.

Gdy dotarł do rozległej części groty, z której wychodził korytarz prowadzący do jeziora, zatrzymał się, nasłuchując. Z prawej dochodził odgłos stukania pazurów o skały. Lederg zebrał się na odwagę i ruszył w kierunku dźwięku. Tak jak się spodziewał, po niedługiej chwili spostrzegł kroczącego na skraju mroku demona.

Pomiot zatrzymał się, by łypnąć na niego groźnie. W niemal ludzkich ustach, wypełnionych długimi kłami, trzymał truchło królika. Mag — bez zastanowienia nad tym, co robi — skinął demonowi głową na znak pozdrowienia. Monstrum zmrużyło żarzące się oczy, po czym skierowało się do tunelu. Lederg odetchnął z ulgą i podążył za pomiotem.

Dotarłszy do groty w dużej części zajętej przez jezioro, znalazł się wśród niebieskiego błysku bijącego od zapalonego czarnym płomieniem ogniska. Chłopiec ogrzewał sobie przy nim ręce.

Demon porzucił ciało królika na skałach obok paleniska. Dziecko uniosło głowę i spojrzało nieufnie na Lederga. Mag po raz kolejny skinął głową i wskazał na uwieszoną u swego boku sakwę. Chłopiec wahał się, po czym odwrócił wzrok. Podpełził do legowiska ze szmat i wygrzebał wśród nich nożyk wykonany z naostrzonego kamienia. Lederg zastanawiał się, czy dziecko ukradło to narzędzie z wioski, czy też zrobiło je samo. Chociaż druga możliwość wydawała mu się początkowo mało prawdopodobna, zaczął ją rozważać, kiedy ujrzał, z jaką łatwością chłopiec sprawnia królika.

Zaczął od skórowania. Wykonał na wysokości brzucha nacięcie idące dokoła ciała, uniosł zwierzę siłą umysłu i również przy jej pomocy począł zrywać z truchła skórę. Potem pozbył się wnętrza — wyciągał je telekinezą z wcześniej rozciętego brzucha i rzucał je na pożarcie zadowolonemu demonowi.

Oniemiały z wrażenia, przykucnięty wśród skał Lederg wyjął z sakwy pakunek. Pod uważnym spojrzeniem pomiotu cienia otworzył zawiniątko. Dzisiaj przyniósł ze sobą trochę suszonych warzyw i kiedy dziecko uporało się z mięsem, zaproponował, że przygotowuje mu zupę.

Niedługo później na prowizorycznym ruszcie, w naczyniu, które mag podarował chłopcu podczas jednej z poprzednich wizyt, parowała smakowicie pachnąca potrawa. Oczy chłopca błyszcząły w otworach worka, kiedy mag

nalewał zupę do mniejszych glinianych niecek. Najwidoczniej zapomniawszy o całej swojej urazie, dziecko telekinezą przyciągnęło naczynie, a z jego gardła wydobyło się coś jakby wesołe westchnienie. Lederg uśmiechnął się łagodnie, niemal ojcowsko, ale nagle cały czar pojednawczego momentu prysł...

Dłonie chłopca zadrżały, chude ciało napięło się. Bez słowa poderwał się na równe nogi i oddalił w miejsce, gdzie bijące od ognia światło niknęło w półmroku. Przysiadł na głazie otoczonym stalagmitami — odwrócił się do maga plecami. Mężczyzna nie powstrzymał wzbierającej w nim ciekawości, kiedy chłopiec sięgnął dłońmi do schowanej w ciemności twarzy, by częściowo unieść worek. Magowi nie udało się jednak dojrzeć oblicza dziecka.

Obaj zjedli swoje porcje w milczeniu.

Lederg wyszperawszy z sakwy notatki, zerknął z trwogą na chłopca, który właśnie zbliżył się do pomiotu cienia, by pogłaskać go po potwornej głowie jak najmilszego pupila. Mag przełknął ślinę, by zwilżyć suche ze strachu gardło, i zawołał dziecko do siebie — przypilnował się przy tym, by nie użyć jego imienia.

Następną świecę spędził na opowiadaniu o roślinach, których szkice zabrał ze sobą, mając na uwadze to, jak poprzednim razem chłopiec zainteresował się ciemiernikiem. Posługując się zwęglonymi kawałkami drewna, przepisywał niektóre mniej skomplikowane nazwy na suchych fragmentach skał i odczytywał je litera po literze. Dziecko słuchało go z uwagą i niezwykle zrozumieniem w oczach. Mag nie mógł się temu nadziwić. Ze studiów magicznych wiedział, że czarna magia ma wpływ na przyspieszony rozwój umysłu właściciela, jednak nie podejrzewał, że jest to możliwe aż w takim stopniu i w takich warunkach. Ponadto doszedł do wniosku, że powiązanie z mrokiem musiało również wzmocnić ciało i odporność chłopca, skoro mimo zaniedbania do tej pory nie zapadł na żadną poważną chorobę.

W chwili kiedy Lederg rysował na skale kolejną literę, dziecko wskazało na jego dłoń. Mag nie od razu zrozumiał, dopiero moment później zorientował się, że poparzenia, które gdzieniegdzie znakowały jego ręce, wyjaskrawiły się w niebieskiej poświacie.

— Och, to nic takiego — uspokoił chłopca. — To blizny z młodości, kiedy sam byłem takim chłopcem jak ty. Widzisz, magowie władający żywiołem

ognia ryzykują, gdy po raz pierwszy używają swoich mocy. Ogień to kapryśny żywioł i zanim początkujący mag nauczy się nad nim panować, może zdarzyć się wypadek. Wiesz, kim są magowie, prawda?

Dziecko pokiwało głową. Lederg kontynuował:

— Miałem więcej cykli niż ty, kiedy obudziły się we mnie magiczne talenty. Teraz nie mam już problemów z panowaniem nad swoim żywiołem, ale jako dziecko często miewałem małe wypadki. Zgaduję, że tobie twoje moce nie przysparzają żadnych kłopotów.

Chłopiec potrząsnął głową i ku zaskoczeniu maga wyciągnął obie ręce do jego oparzonej dłoni. Zatrzymał je w pewnej odległości i błysnęło mdłe, jasne światło energii uzdrawiającej. Mężczyznę ogarnęło wzruszenie.

— Dziękuję ci, drogi chłopcze — wydusił, lecz powoli zabrał dłoń. — Ale to stare blizny. Myślę, że nie jesteśmy w stanie nic już na nie poradzić. Nie przejmuj się.

Dziecko szybko wycofało ręce i pochyliło głowę.

— Jak wiele wiesz na temat zdolności uzdrawiających? — zapytał Lederg, by przerwać zaległe w jaskini milczenie.

Liczył, że chłopiec może znowu się odezwie, ale ten tylko rozsiadł się wygodnie wśród szmat legowiska i patrzył z wyczekiwaniem.

— Zgaduję, że nie słyszałeś na ten temat za dużo.

Dziecko pokiwało głową i ze wstydem odwróciło wzrok, a Lederg uśmiechnął się do niego pokrępiąco.

— Nie szkodzi — powiedział. — Nie miałeś skąd pozyskać takiej wiedzy. Powiem ci więc wszystko, co wiem. Widzisz, zdolności uzdrawiające same w sobie nie zawsze są wystarczające.

Chłopiec słuchał z uwagą. Mag, chociaż czuł się z tym dziwnie nieswojo, pilnował się, by mówić do niego jak do dorosłego studenta.

— Ta poświata, którą wytworzyłeś, jest w stanie poradzić sobie z powierzchownymi obrażeniami, zadrapaniami, siniakami czy płytkimi rozcięciami. Możesz też złagodzić nią czyjś ból, wysypkę czy właśnie oparzenia. Jeśli władasz mocami wystarczająco dobrze, jest szansa, że opóźnisz rozwój niektórych mniej groźnych chorób. Jednak wszystko to, o czym mówię, wymaga wsparcia zielarskimi miksturami. Oparzenia na moich dłoniach

wyglądałyby znacznie gorzej, gdyby nie pomoc miejskiej zielarki. Przygotowana przez nią maść wchłonęła większą część obrażeń i doprowadziła skórę do obecnego stanu. Głębokie obrażenia, śmiertelne choroby, złamania... Doświadczona zielarka czy zielarz poradzi sobie ze wszystkim, widziałem takie zielarki, które podniosły z łóżka umierającego...

Lederg zamilkł, by sprawdzić, czy jego słowa nie przeraziły chłopca. Dziecko nie zmieniło pozycji, a w jego spojrzeniu nie było krztyny strachu, jedynie wielka ciekawość.

— Człowiek znający się na zielarstwie bez problemu poradzi sobie bez zdolności uzdrawiających — ciągnął mężczyzna — jednak mag z samymi zdolnościami pozostaje mocno ograniczony. Z tego względu większość magów z chęcią szkoli się w zielarstwie.

Chłopiec poruszył się na swoim miejscu niespokojnie i zamrugał. Lederg popatrzył na niego poważnie, drapiąc się po gęstej brodzie.

— Ty też chciałbyś szkolić się w tej sztuce, chłopcze?

Dziecko pokiwało głową tak energicznie, że mag niemal się roześmiał. Powstrzymał się, nie chcąc go urazić.

— Niestety sam nie jestem zielarzem, ale znam kogoś, kto mógłby cię wiele w tej kwestii nauczyć. I mógłbym cię do tej osoby zabrać.

Lederg ze smutkiem obserwował, jak cały zapal w oczach chłopca gaśnie. Dziecko skuliło ramiona.

— Potwór zostaje w mroku. Potwór nie może stąd iść. — Chrypliwy głos chłopca wywołał ciarki na ramionach maga.

— Tak powiedzieli ci ludzie z wioski?

Dziecko nie powiedziało nic więcej. Poderwało się na nogi i pospiesznym krokiem skierowało w spowite ciemnością miejsce jaskini. Pomiot cienia podążył za nim, oglądając się parę razy za siebie. Mag wkrótce zrozumiał, że wizyta dobiegła końca.

Od kiedy Lederg zaczął odwiedzać chłopca, minęła już cała faza. Śnieg nadal zalegał w lasach otaczających Purę. Wioskowi coraz gorzej znosili obecność maga, starszyzna nalegała, by wynosił się razem z chłopcem albo... zabił go najszybciej, jak to możliwe. Lederg czuł, że niedługo zostanie

przyparty do ściany; że szykują się kłopoty. Jednak wiedział również, że w nadmiernym pośpiechu nie pozyska wystarczającego zaufania chłopca. Na razie każda próba napomknięcia, że może go stąd zabrać w bezpieczniejsze miejsce, kończyła się tym, że chłopiec zamykał się w sobie i uciekał w mroki jaskini.

Teraz znowu siedział ze skrzyżowanymi nogami na legowisku. Lederg zabrał poprzednim razem stertę szmat i dzisiaj przyniósł chłopcu ciepłe koce. Nawet jeśli wołał, by dziecko zaczęło się odzwyczajać od swojej więzi z grotą, przez cały czas starał się polepszać warunki, w jakich wciąż przebywało. Pragnął również pozbyć się wysłużonego worka, który zalegał na głowie dziecka, ale wszystko mówiło mu, że to temat nienaruszalny, którego na razie mag nie ma prawa dotykać.

— Dziś chciałbym ci opowiedzieć o naszych wierzeniach — oznajmił mag, a chłopiec spojrział na niego sceptycznie. — Och, wiem, że preferujesz fakty, ale to nieodłączna część naszej kultury. Sądzę, że warto, byś wiedział coś na ich temat i nie ośmieszył się w przyszłości brakiem tak podstawowej wiedzy.

Widząc, że trafił w czuły punkt, Lederg ukrył uśmiech i wydobyl z sakwy zwój pergaminu. Rozłożył go na wystającej z ziemi skale — niby na wojennym stole. Centrum pergaminu zajmowała mapa, skraje były zaś pokryte rysunkami i drobnymi notatkami. Zaciekawione dziecko zaraz znalazło się przy nim, lecz jak zwykle zachowało dystans. Przytrzymało zwijający się brzeg pergaminu chudą dłonią.

— Spójrz tutaj. — Mag wskazał na jeden z rysunków. — To Nive, bogini, o której już ci wspominałem. Podejrzewam, że nie jako pierwszy. Możliwe również, że widziałeś już jej wizerunek na kapliczce. Pozwól jednak, że zamiast zgadywać, ile o niej wiesz, zdradzę ci, co wiem ja. Z nadzieją, że cię nie zanudzę.

Nive została przedstawiona na pergaminie jako kobieta o długich włosach, w lodowej koronie na głowie. Miała surowy wyraz twarzy, a u jej stóp leżały śnieżne zaspy. Odziana była w grube zwierzęce futra sięgające do ziemi.

— To bogini lodu i śniegu, uważana za panią Nivelos, krainy, w której obecnie przebywamy. Choć największe uznanie Nive znajduje tutaj, na jej wiernych można natknąć się również w Aestos. To kraina sąsiadująca

z Nivelos. Pojmujesz, co mówię? — Po raz kolejny zdumiał się, zobaczywszy w oczach chłopca głębokie zrozumienie. — Spójrz na mapę. Granicę wydziela rzeka Una, to bardzo ważny punkt. Mówi się, że to miejsce spotkań bogini Nive i boga Madiusa. Są sobie bardzo bliscy. Związani ze sobą jak lód i woda, która to z kolei podlega władzy właśnie Madiusa. On jest władcą mórz i oceanów, największym uznaniem cieszy się w Aestos.

Wskazał chłopcu kolejny rysunek — przedstawiał wysokiego, umięśnionego mężczyznę z błonami między palcami i skrzelami na szyi. W dłoniach dzierżył wielki róg, z którego wylewała się woda.

— Madius jest również uważany za boga hucznej zabawy, ale teraz przejdźmy dalej. Czy nadążasz, chłopcze?

Spodziewał się ujrzeć oburzenie w dziwnych oczach, ale dziecko tylko skinęło głową.

— Dobrze, spójrz jeszcze raz na mapę. Czy widzisz Vaspern? Mieszkańcy tej krainy najczęściej wznoszą modły do bogini ciemności, Calige. Nie uważa się jej jednak za złe bóstwo, jest przewodniczką tych, którzy gubią się w nocy. Nie znajdziesz tutaj jej podobizny, ale przedstawia się ją jako kobietę w szacie z kruczych piór, z oczami przesłoniętymi opaską. Mówi się, że jasność ją oślepia, lecz nie potrzebuje wzroku, by kroczyć pewnie pośród ciemności.

Na tę ostatnią wzmiankę chłopiec zmrużył lekko oczy. Mag zobaczył w nich błysk rozbawienia. Poczul się jak bazarz próbujący wcisnąć tanią opowiastkę wielkiemu uczonemu. Włosy zjeżyły mu się na karku.

— Twoja reakcja nie spodobałaby się wielu kapłanom, chłopcze. Jednak najważniejsza bogini, za której obrazę w niektórych gronach mógłbyś stracić głowę, to Mestyria. Nad mapą masz jej wizerunek, możliwe, że już ci znany. To bogini wszechrzeczy. Pani nieba i ziemi, słońca i księżyca, stwórczyni świata. Podlegają jej wszyscy pozostali bogowie, jest ich panią tak samo jak naszą. Jej świątynie znajdziesz na całym zachodnim kontynencie. Z wyjątkiem jednej krainy. Leżące na południu Cesarstwo Luxy... Widzisz je na mapie? Dobrze. Według wierzeń jej mieszkańców nie istnieje żaden z bogów, o których do tej pory ci opowiedziałem. Natomiast wszelkie zasługi Mestirii przypisuje się tam innej bogini: kobiecie o imieniu Flammeth, której

włosy palą się żywym ogniem i która dzierży w swych dłoniach promienie słońca.

Dziecko przesuwalo palcem po pergaminie. Lederg uslyszal niewyraźny szept. Chłopiec próbował wypowiadać nazwy zaznaczonych miast. Spostrzegając poirytowanie jawiące się w dziwnych oczach, mag zrozumiał, że jego uczeń nadal ma trudności z czytaniem. Widocznie potrzebował więcej czasu, by przyswoić podstawy, choć bardziej zaawansowaną wiedzę chłonał bez najmniejszego problemu.

— Widzę, że moje opowieści cię nużą, ale chcę, żebyś wysłuchał jeszcze jednej legendy. Warto, byś dowiedział się czegoś na temat Varanside, smoczycy, od której pochodzi twoja czarna magia. Podejrzewam, że przynajmniej jej miano już obilo ci się o uszy.

Lederg wstrzymał oddech. Po raz pierwszy zdecydował się poruszyć temat mrocznych talentów, które skazały chłopca na wygnanie.

Dziecko znieruchomilo ze wzrokiem utkwionym w mapie. Za to pomiot cienia, który jak zwykle wylegiwał się na granicy niebieskiego blasku bijącego z ogniska, podniósł łeb i wyciągnął długą szyję.

Na skroń maga wstąpiły kropelki potu. Otarł je rękawem i złapał krótki oddech.

— Czy masz ochotę posłuchać na ten temat?

Po chwili, która zdawała się wiecznością, chłopiec pokiwał głową i niespiesznym krokiem wrócił na legowisko. Mag tymczasem zwinął pergamin i schował go do sakwy.

— Dobrze. Zacznijmy. — Usiadł na skałach naprzeciw dziecka i skrzyżował ręce na piersi, by ukryć ich drżenie. — Wydarzenie, o którym ci opowiem, uznaje się za początek naszej ery. Wierzy się, że ponad tysiąc cykli temu na nasz kontynent przybyła smoczycza Varanside, dziś twierdzi się, że pochodziła spoza naszego świata, jak sami bogowie. Wprowadziła terror, któremu nikt nie był w stanie zaradzić. Była tak potężna, że jednym ognistym oddechem mogła zmieść z powierzchni ziemi wielkie miasto. Przez wiele cykli siała spustoszenie, do czasu gdy nie wystąpiła przeciwko niej pewna kobieta, Caitriona. Dziś mówi się, że dzierżyła magiczną broń zesłaną jej przez Mestyrię z samego Księżyca. Oczywiście Luxanie powiedzą ci, że to Flammeth

podarowała Caitrionie broń wypaloną w ogniu słońca. Niezależnie od tego, którą wersję uznasz za prawdziwą, kobieta poskromiła smoczycę. Z pomocą magicznej broni uwięziła ją we wnętrzu ziemi, gdzie do dziś spoczywa uśpiona wiecznym snem. Mówi się, że Caitriona, wystawiona na tak potężną moc, niedługo potem umarła, a sama broń uległa zniszczeniu. Jej szczątki rzekomo znajdują się w świątyni u podnóża Szkarłatnych Gór, lecz kto może stwierdzić, czy są prawdziwe? Na cześć poświęcenia Caitriony do tej pory wznosi się posągi i kaplice, choć potęga smoczycy Varanside nadal daje o sobie znać. Wierzy się, że to w jej gorących od ognia trzewiach powstaje czarna magia, wydychana wraz z jej oddechem, przedostająca się na powierzchnię ziemi w różnej postaci. Mogą to być pomioty, podobne temu, którego sam przyzwałeś, a może to być jedynie energia, która dotyka wybranych. Tak jak dotknęła ciebie, gdy jeszcze byłeś w łonie swojej matki.

Chłopiec, przez całą opowieść nieruchomy niczym posąg, drgnął. Jego ramiona się napięły.

Lederg poczuł klucie w klatce. Nie radowało go utwierdzenie chłopca w przekonaniu, że jego moce pochodzą ze złego źródła. Jednak zdawał sobie sprawę z konieczności takiego zabiegu. Żywił nadzieję, że pokaże mu, jak prawidłowo wykorzystać swoje moce, nie tracąc się w mroku.

Nim przemówił po raz kolejny, zawahał się. Obdarzył dziecko poważnym spojrzeniem.

— Namirze. Pamiętasz, co oznacza twoje imię?

W oczach chłopca błysnęła wściekłość.

— Potwór nie ma imienia. — Do wycudzonych przez zęby słów zaraz dołączył warkot spoczywającego niedaleko demona.

Lederg tym razem nie dał za wygraną.

— Nie pozwól sobie tego wmówić, chłopcze. Nie jesteś potworem, choć możesz się nim stać.

Dziecko zerwało się na nogi, patrzyło lodowato.

— Już nim jestem. — Długimi palcami złapało za materiał worka, ale nie ściągnęło go z głowy; całe jego ciało oblały dreszcze.

Mag również dzwignął się z miejsca, zrobił krok i sięgnął do ramienia chłopca. Zaledwie całe od jego ciała poczuł gorąco. A gdy tylko go dotknął,

pojawiła się wizja. Zwęglone, skwierczące zwłoki wokoło, porozrzucane po jaskini, niektóre jeszcze w czarnym ogniu... Lederg zabrał rękę i obraz urwał się momentalnie. Dziecko spojrzało na niego z bólem, odwróciło się plecami i oddaliło o parę kroków.

— Namirze...

— Potwór nie ma imienia — powtórzył słabo.

— Właśnie ci je nadaję, Namirze. Będziesz tym, dzięki któremu nastanie pokój.

W odpowiedzi usłyszał jedynie łkanie, które powoli przechodziło w usilnie powstrzymywany szloch.

— Jeśli tylko zechcesz, jeśli tylko pozwolisz, bym pokazał ci, co jest słuszne... Masz wielki umysł i drzemie w tobie potężna moc. Musisz jedynie nauczyć się, jak z niej korzystać. Namirze, każda magia może być zła. Twoja wcale nie musi!

Pomiot cienia zbliżył się do swojego małego pana niespiesznym krokiem, rzucając Ledergowi wrogie łypnięcia. Demon będzie musiał w którymś momencie odejść — pomyślał mag z trwogą.

— Nauczysz mnie...?

Te ciche słowa pomieszane z płaczliwymi czknięciami wprawiły Lederga w osłupienie. Przez chwilę nie dowierzał, że właśnie usłyszał wołanie o pomoc.

— Jeżeli tylko zgodzisz się nosić nadane ci imię i obiecasz, że nigdy nie zapomnisz o jego znaczeniu.

Chłopiec pogłaskał towarzyszącego mu potwora niezgrabnymi ruchami i odwrócił się do maga. Jasne, niepasujące do siebie rozmiarem oczy były pełne łez.

— Namir — wyszeptał. — Moje imię to Namir.

Rozdział VII

Obudził się przed świtem. Łóżko w składziku nie było tak wygodne jak to, które zmuszony był odstąpić dziewczynie.

W ciągu kilku dni zagnieździła się w jego chacie — szybciej niż robactwo w padlinie. Zapatrzył się w obwieszony różnorakimi talizmanami strop i pograżył w myślach. Poprzedniego wieczora atmosfera zrobiła się napięta. Po ostatniej awanturze dziewczyna nie odezwała się do niego słowem, i pasowało mu to. Tak było dużo prościej, lepiej. Nie drażniła usilnymi próbami wciągnięcia w rozmowy, nie narzucała się ze swoją obecnością. Miał nadzieję, że lada dzień stawią się po nią Randis i ten jej chłopak, a wtedy wszystko wróci do normy. Wtedy znów zostanie sam.

Wysunął nogi spod zwierzęcych skór i sięgnął po ubrania. Kiedy już odział się po szyję, usiadł ciężko na łóżku i przesunął dłonią po zdeformowanej twarzy. Gdyby to zobaczyła — pomyślał — z pewnością trzymałaby się z dala.

Nagle rozległo się pukanie. Namir poderwał głowę, łapiąc głęboki oddech. Rozejrzał się w poszukiwaniu czepca i zasłony. Odnalazł je porzucone na skrzyni. Najpierw przywdział materiałowe okrycie chroniące głowę, kark i szyję, a potem pospiesznie doczepił zasłonę opadającą na twarz i gardło. Miał złe przeczucia.

Otworzył drzwi, zobaczył dziewczynę czekającą na kamiennym podeście ustawionym przed składzikiem. Chciał ją spytać, co tu robi tak wcześnie, czy aby nie wróciło jej skażenie, ale oniemiał na widok owsianki z kawałkami suszonych owoców wypełniającej dzierżone przez nią naczynie.

— Obudziłam cię, panie?

Wcale nie brzmiała na skruszoną, a jej nietęga mina sugerowała, że nadal jest zła.

Pokręcił głową i spojrzał na miskę pełną stawy.

— Wstałaś dziś wyjątkowo wcześnie, pani.

— Nie mogłam spać. — Odwróciła wzrok. — Uznałam, że skoro już raz jestem wcześniej na nogach, dla odmiany ja przygotuję poranną stawę.

Bezmyślnie pokiwał głową. Miał nadzieję, że jej urażone milczenie potrwa znacznie dłużej. Popatrzyła na niego jak na głupca i westchnęła.

— Jak długo mam jeszcze tak stać?

Wycofał się do izby i zgarnął różności z prawej części ławy. Dziewczyna już była wewnątrz, nie czekając na jego pozwolenie. Musiał wcisnąć się między sterty przedmiotów i przyłgnąć do ściany, by się o niego nie otarła. Postawiła naczynie na blacie, a kiedy wycofała się do progu, odetchnął.

— Nie myśl, panie, że zapomniałam o tym, jak zachowałeś się wczoraj.

— Ach tak? — wypalił, nadal zdeorientowany.

— Jednak niezależnie od tego, ile jeszcze mamy ze sobą wytrzymać, uznałam, że warto zakopać wojenny topór.

Wcale nie musieli ze sobą wytrzymywać — mógł się postarać, by ledwo się mijali, gdyby tylko zechciała dać mu spokój. Właściwie wystarczyło, by wskazał jej drogę przez las, a sama mogłaby stąd odejść, miała wszak swojego wierzchowca. Jednak Randis uznał, że to on wybierze dzień, w którym zwolnią dziewczynę z kwarantanny — widać obawiał się, że w innym wypadku zostałaby zbyt szybko wygnana — ona zaś najwidoczniej zawierzała osądowi wysoko postawionego tenare, posłusznie bowiem tego dnia wyczekiwała i jeszcze nie próbowała uciekać czy prosić o wcześniejsze wyprowadzenie jej z pustelni.

— Musisz tylko zrozumieć, panie — kontynuowała, korzystając z jego milczenia — że choćby miało to potrwać jedynie do następnego świtu, nie mam zamiaru przez cały ten czas grzecznie siedzieć w chacie.

To wyznanie wywołało kwaśny grymas na jego ukrytych za zasłoną ustach. Doszedł jednak do wniosku, że tego sporu z nią nie wygra.

— W porządku, niech będzie. A teraz zostaw mnie z moim jedzeniem, pani.

Jej wzrok prześliznął się po jego ukrytej za materiałem twarzy. Wstrzymał oddech, gotując się na pytania, które miały za chwilę paść.

— Niech będzie — odpowiedziała, naśladowując sposób jego wypowiedzi, po czym wyszła z izby giętkim krokiem.

Zostawiła go w głębokiej konsternacji. Nadal czekał na pytania. Nie wierzył, że wytrzyma pozostawiona w niewiedzy. A jednak nie pojawiała się, a on poczuł, że ściska go w żołądku, wcale nie z głodu... Zrozumiała na tyle, na ile mogła. Bez tłumaczeń. Uszanowała tajemnicę, jakby wiedziała, że jest zbyt straszna, by domagać się jej poznania.

Do wieczora mało rozmawiali, ale atmosfera przestała być ciężka. Dziewczyna, tak jak zapowiedziała, spędziła dzień poza chatą — w dużej mierze na wnikliwej i wyjątkowo milczącej obserwacji jego pracy. Do pomieszczenia udała się dopiero, gdy zmierzchało, a kiedy wszedł tam jakiś czas później z posiłkiem, siedziała przy stole, pochylona nad notatkami, które do tej pory sporządziła. Kasztanowe fale włosów opadające aż na plecy zebrała niedbale wstążką. We wnętrzu na ścianie paliła się świeca.

— Twoja strawa, pani — rzekł sucho, wrywając ją ze skupienia.

Rozchyliła usta, widocznie pragnąc coś odpowiedzieć, lecz raptem skrzywiła się z bólu i jęknęła przez zaciśnięte zęby. Namira ogarnął niepokój. Dał długi krok i odstawił misę z jedzeniem na skraj stołu. Kucnął u boku dziewczyny w komfortowej dla siebie odległości i bez pytania podwinął rękaw jej koszuli zdolnością telekinezy.

Skórę między łokciem a nadgarstkiem oblały czarne plamy, rozszerzając swój zasięg w zatrważającym tempie. Minęło kilka mrugnięć okiem, a zaczęły wspinać się ku barkowi. Dziewczyna przycisnęła ramię do siebie, drżąc.

— Ręka — rozkazał.

Wyciągnęła rękę i popatrzyła mu w oczy z przejęciem. Namir wziął głęboki oddech.

— Zaboli. — Zawiesił dłoń nad jej chorą skórą. — Kiedy robiłem to poprzednim razem, byłaś, pani, nieprzytomna.

Potrząsnęła głową i zamknęła oczy, starając się uspokoić oddech.

— Rób, co musisz, panie.

Nagle odkrył, że nie ma ochoty tego robić — wcale nie z powodu ryzyka, jakie podejmował. Wiedział, że zada jej cierpienie. Dalekie od tego, które Kharija zadawała swoim ofiarom przy użyciu *Spellium*, ale nadal znaczące. Również zamknął oczy, szykując się na podszepty zła, i skupił się na przepływie mrocznej energii pod jej skórą. Kiedy zaczął wydobywać ją z ciała dziewczyny, usłyszał głośny jęk bólu. Zmusił się, by kontynuować i na powrót otworzyć oczy. Z chorym ramieniem wyciągniętym w jego stronę wspierała czoło na dłoni sprawnej ręki. Jej usta były wąską linią, twarz zbladła. Ten widok wcale nie pomógł mu się skupić, ale chciał mieć dziewczynę na oku.

Proces nie trwał długo, jednak dawał w kość. Gdy Namir wyciągał ostatnie strzępki czarnej magii spod skóry dziewczyny, zaciskała palce tak, że bieleły jej knykcie. Po wszystkim odetchnęła chrapliwie i opuściła ramię. Na jej skroniach lśniły krople potu.

— Czy to na pewno wszystko? — wydusiła.

— Na pewno — wydobył z siebie głos z takim samym trudem.

Dziewczyna oparła się na łokciach o stół i schowała twarz w dłoniach. Jej oddech powoli wracał do normy.

— Jak się czujesz, pani?

Nie odpowiedziała. Przelknął ślinę i stanął na nogi, po czym bez słowa opuścił chatę.

Skierował się do stołu pod składzikiem, poruszając się przy bladym świetle księżyca. W jednej ze skrzyń wyszperał potrzebne specyfiki i płócienną szmatkę. Gdy wrócił do dziewczyny, zastał ją w tej samej pozycji. Odstawił fiolkę napełnioną odwarem z bukwicy i przesunął po blacie pudełko z maścią.

— Poprzednio użyłem maści, którą akurat miałem pod ręką — tłumaczył, ku swojemu zdumieniu nie mogąc znieść wiszącej w powietrzu ciszy. — Ta jest inna. Miałem czas, by przygotować korzystniej dopasowane składniki. Szybko złagodzi obrażenia, bez wspomagania energią uzdrawiającą.

— I nie śmierdzi jak zwłoki gnijące w rowie?

— Przekonaj się, pani.

W końcu podniosła wzrok, jej oczy błyszczały, zaczerwienione. Pociągnęła głośno nosem i wytarła się rękawem, ale nie uroniła ani jednej łzy. Była jeszcze blada, czoło miała zmarszczone. Drżącą ręką chwyciła za szmatkę, namoczyła

ją w odwarze i zaczęła przecierać spuchnięte ramię, znów pełne śladów jak po ukąszeniach. W rzeczywistości były to otwory, przez które wydostała się czarna magia i które widywał już wcześniej — zarówno w łagodniejszej, jak i w ostrzejszej formie — zanim jeszcze spotkał się z jej przypadkiem.

Namir nie ruszał się z miejsca. Gdy skończyła oczyszczać malutkie ranki, otworzyła pudełko. Zielona maź, tym razem idealnie gładka, wydzieliała delikatny i przyjemny zapach. Dziewczyna pochyliła głowę i powąchała specyfik.

— Korzeń mandragory, kwiat nagietka, żywokost... I coś jeszcze, czego nie rozpoznaję.

Namir i tak był pod wrażeniem jej czulego zmysłu powonienia. I tego, że była w stanie posłużyć się nim w takim skupieniu po tym, co właśnie przeszła. Patrzył, jak zanurza palce w kleistej mazi i rozsmarowuje sporą porcję na czerwonej skórze.

— Dotąd skażenie nie postępowało tak szybko, prawda? — Z wolna znów kucnął obok, chociaż całe jego ciało krzychało, że powinien się odsunąć. — Wspominałaś, pani, że zaczęło się od małych plam i rozwijało ponad fazę.

— Tak, teraz to było zupełnie co innego — potwierdziła, dokładnie smarując rękę, a po chwili dodała w zamyśleniu: — Zgaduję, że nie znasz żadnej maści czy mikstury, która powstrzymałaby samą czarną magię.

Wnet pojął, do czego dziewczyna pije.

— Jeżeli żywisz nadzieję, pani, że mogę ci przygotować specjalny specyfik albo też przepisać składniki na taki, który pokona twoją chorobę, byś mogła się z nią uporać sama z daleka stąd, muszę cię rozczarować. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie, nie znam żadnej takiej maści czy mikstury. Bowiem żadna taka nie istnieje. Póki co, wiemy jedynie tyle, że skażenie wróciło, i można podejrzewać, że nie po raz ostatni. Abym mógł zrozumieć, czym ono właściwie jest, potrzebuję więcej czasu.

— Do tej pory miałeś go za mało, panie? — wycedziła, ale zaraz pokręciła głową i dodała szorstko: — Wybacz. I tak zrobiłeś więcej niż ktokolwiek inny.

Wyprostował się gwałtownie, a dziewczyna powiodła za nim wzrokiem. Przez chwilę patrzył na nią z góry w milczeniu. W końcu zdobył się na słowa,

których wypowiedzianie przychodziło mu z trudem:

— A jednak nadal coś ci dolega, pani. Sugeruję, byś została, póki nie dowiemy się, jak temu zaradzić.

— I jesteś przekonany, panie, że nie masz nic przeciwko dalszemu znoszeniu mojej obecności?

— Lepiej tego nie roztrząsać.

Musiała zauważyć, że do aprobaty było mu daleko, bo w odpowiedzi otrzymał tylko bardzo chłodne „niech będzie”. Wsiąknięta maść już zaczynała działać. Czerwone ślady przybladły, otworki w skórze zamykały się, a opuchlizna zelżała. Uznawszy, że nie jest dłużej potrzebny, zostawił dziewczynę samą sobie.

Wrócił do składziku, pospiesznie odczepił zasłonę i nabrał głębokiego oddechu. Zapalił świecę umieszczoną w ściennym uchwycie. Ze wstrętem przesunął dłonią po swoim zdeformowanym obliczu i falą telekinezy odrzucił talizmany oraz łapacze snów ze swojej drogi. Zatrzymał się pod regalem i zlustrował grzbiety ksiąg.

Przygotowanie skuteczniejszej maści było jedynie uciszeniem sumienia, odwróceniem uwagi od niedbałości, jaką się wykazywał. Dotychczas kierował się nadzieją, że skażenie dziewczyny nie powróci, a ona sama już niedługo zniknie z jego życia. Jednak los, bogowie, a może demony... różne siły chciały — widać — inaczej. Nadszedł czas, by zająć się badaniami nad jej chorobą na poważnie. Dłużej już nie mógł sobie wmawiać, że sprawa rozwiąże się sama.

Mijał siódmy dzień pobytu dziewczyny na terenie jego pustelni. Do tej pory nie widział jej jeszcze przygnębionej. Chociaż znalazła się w tragicznej sytuacji, nie pozwalała sobie na smutek, a przynajmniej nie w jego obecności. Być może tworzyła przed nim pewne pozory, by przypisywał jej więcej siły, niż w rzeczywistości w sobie miała. Jednak niezależnie od tego, na ile jej dotychczasowa wytrwałość była prawdziwa, dziś dziewczyna zdjęła maskę z twarzy.

Jak zwykle po porannym posiłku przyszła obserwować jego pracę. Jednak kiedy od czasu do czasu spoglądał w jej stronę, widział, że w ogóle nie notuje,

co wcześniej robiła niemal nieustannie. Oczy miała wyjątkowo puste. Poczł w związku z tym dziwne rozdrażnienie i potrzebę zrobienia czegoś z jej złym nastrojem.

Bez słowa odszedł od stołu, wycierając rękawice w płócienną szmatkę. Dziewczyna nawet nie drgnęła, nie była ani trochę zainteresowana jego zamiarami.

Wszedł do składziku i rzucił okiem na rozrzucone wśród rupieci księgi, w których w nocy szukał czegokolwiek, co mogłoby go naprowadzić na rozwiązanie zagadki skażenia. Były to tomiska, które studiował wcześniej wiele razy, lecz teraz wertował je w poszukiwaniu konkretnych wskazówek; szukał w nieistotnych z pozoru treściach, na jakie do tej pory nie zwracał uwagi. Jednak w tej chwili to nie tych ksiąg potrzebował.

Ściągnął z regału jeden z cieńszych woluminów i przejechał palcami po obciążonym skórą grzbiecie. Wahał się przez moment, lecz wytarł okładkę z kurzu i wrócił do dziewczyny. Nadal go ignorowała. Dopiero gdy zbliżył się do niej z książką w ręce, podniosła na niego wzrok.

— Co to takiego?

— Spis receptur.

Jej brwi powędrowały do góry.

— Dlaczego mi go dajesz, panie?

Wzruszył barkami.

— Możesz go przestudiować i pochwalić się, jak wiele z tych receptur nie jest ci obcych, pani — rzucił z przekąsem. — Zakładam, że potrafisz czytać tenarski.

— Oczywiście, że potrafię! — zachnęła się. — Sądziś, że jakim sposobem przyswajałam sobie tenarskie zapisy?

— A co z wymową? — zapytał płynnym tenarskim.

— Niezbyt dobrze — odparła również w języku długowiecznej rasy, a on skrzywił się pod zasłoną: ledwo ją zrozumiał.

— Rzeczywiście, to nie brzmiało jak tenarski.

— Nie mam powodu, by się tym przejmować.

Chciała wyrwać mu książkę z ręki, lecz szybko się wycofał i posłał wolumin telekinezą prosto na jej kolana.

— Przebywasz, pani, na terenach królestwa tenare i sądzisz, że poprawna wymowa ich języka nie jest ci potrzebna?

— Przebywam w twojej kryjówce, panie — odparła sucho, już przesuając spojrzeniem po pierwszej stronie księgi.

Nie chciał kontynuować tego tematu, wiedząc, że wkracza na bardzo grząski grunt. Wrócił więc do pracy nad jedną z mikstur, którą przygotowywał już od kilkunastu dni. Niektóre mieszanki ziół potrzebowały odstać swój czas, nim dodało się do nich kolejne składniki.

Po jakiejś świecy pochłonięta dotąd lekturą dziewczyna nagle się odezwała:

— Mikstura, którą przygotowujesz, panie... — Założyła kosmyk włosów za ucho. — Jej skład przywodzi mi na myśl specyfik, jaki przepisywałam na zapobieganie brzemienności.

Pokiwał głową, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

— Jest jednak pewna znacząca różnica. Receptura nie przewiduje stosowania bylicy, jej miejsce zajmuje wyciąg z niejakiej kolokwinty. Czy to również roślina spoza naszego kontynentu? — zapytała.

— Nie, kolokwinta występuje na pustyniach Luxy, ale to fakt, że w tych okolicach trudno ją dostać. Nie wyrosłaby ze szczepu na naszych glebach, więc hoduję ją w słojach. Ma wtedy słabsze działanie, ale to i tak wystarcza.

— Wystarcza w jakim stopniu?

— Zwyczajowo działanie mikstury utrzymuje się przez fazę, z tak wyhodowaną kolokwintą może połowę — stwierdził.

— To nadal całkiem... praktyczne.

— Szczególnie dla nierządnic — odparował drwiąco. — Kiedy jeszcze przebywałem na ziemiach Aestos, właśnie po tę miksturę stawiało się najczęściej chętnych, nawet mimo panującej wówczas na tamtych ziemiach zarazy. Gdyby była mniej czasochłonna w przygotowaniu, a jej składniki łatwiej dostępne, mógłbym się wzbogacić na handlu nią samą, bez potrzeby... — Umilkł i odwrócił się do stołu.

Za późno się zorientował, że powiedział za dużo. Przystawał się przy tej dziewczynie pilnować. Czuł na sobie jej spojrzenie, ale o nic nie zapytała.

— Mogę zaoferować swoją pomoc w przygotowaniach.

Zaskoczony propozycją, zerknął na nią przez ramię.

— Czemu miałabyś to robić, pani?

— Nudzę się.

Zastanawiał się przez kilka długich oddechów. Coś mu mówiło, że przedstawiła mu tylko jeden z powodów. Nadal dręczył ją smutek. Chciała czymś zająć ręce.

— Niech będzie.

Dziewczyna odrobinę się rozpromieniła, a uśmiech, który zobaczył na jej drobnej twarzy po raz pierwszy, sprawił, że coś ścisnęło go w klatce. Odsunął się szybko, żeby zrobić jej miejsce przy stole.

Zbliżała się z ociąganiem i skonfundowaniem się na twarzy. Namir prędko zrozumiał problem, na który wcześniej nie miał potrzeby zwracać uwagi. Stół dostosowany był do jego okazałego wzrostu, tak by mógł pracować przy nim na stojąco, jak nauczyła go Tomira. Tymczasem dziewczyna miałaby spore kłopoty ze swobodnym przyrządzeniem czegokolwiek na tak wysokim meblu, wykonanym przez Randisa tym samym specjalnym sposobem co chata i składzik. Przygotowanie całości zajęło zwierchnikowi niemało czasu. Nie był wprawnym budowniczym, choć Namir podejrzewał, że żyjąc już ponad sto cykli, tenare brał się za niejedną fuchę. Podejrzewał — ponieważ nie rozmawiali wiele na temat jego przeszłości.

Gdy dziewczyna odkładała książkę na blat, tak samo jak ona rozejrzała się za rozwiązaniem i raptem przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Telekinezą odciągnął jedną ze skrzyń od ściany budynku i podsunął ją pod nogi dziewczyny. Przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem.

— Czy to jeden z twoich nieśmiesznych żartów, panie?

— Nie. — Skrzyżował ręce na piersi. — Śmiem twierdzić, że to konieczność.

Dziewczyna przygryzła wargę, po czym przysunęła skrzynię bliżej i stanęła na niej. Teraz mogła wygodnie opierać łokcie na blacie.

Namir poczuł, że jego wargi pod zasłoną wyginają się w uśmiechu. Pierwszy raz od wielu cykli ogarnęło go szczere rozbawienie i chrząknął cicho, żeby się nie roześmiać. Dziewczyna spojrzała na niego z naganą, co tylko pogorszyło sprawę, więc rozkaszał się, by powstrzymać — teraz już salwy śmiechu. Gdy już się uspokoił, sięgnął do innej skrzyni, w której między

wieloma miksturami i pudełkami krył się odmierzacz. W chwili kiedy położył go na skraju stołu, cień gniewu zniknął z twarzy dziewczyny. Wróciło zawodowe zainteresowanie i już po chwili obracała mały pojemnik w palcach. Zrobiony był z grubego, ale przezroczystego szkła — zarysowanego w paru miejscach i zwężonego pośrodku. Na jego dnie znajdował się gęsty, niebieski płyn. Na ściankach zaznaczone były równe odległości.

— Dokładne oznaczenia co ćwierć świecy, jak sądzę. Zgodnie z pomiarami akademickimi?

— To żadna marna podróbka, jeśli to sugerujesz, pani.

— Cóż, na rynku w Cirem roiło się od takich. A na pierwszy rzut oka niełatwo je rozpoznać. Prawda wychodzi na jaw dopiero, gdy wykonany pomiar czasu okazuje się na tyle niedokładny, by zaważyć na jakości mikstury.

Nie odpowiadał, ona zaś odstawiała urządzenie, zamysłona.

— Odkąd przyglądam się, jak pracujesz, nie widziałam, panie, byś użył odmierzacza chociaż raz.

— Nie mam takiej potrzeby. Wystarczy mi spojrzeć, by wiedzieć, że substancja odstała już swój czas.

Patrzyła na niego podejrzliwie. Nie dziwił się. Odmierzacz był stosowany przez zielarzy w przypadku tworzenia bardzo delikatnych mikstur. Specyfiki takie niejednokrotnie potrzebowały precyzyjnie wyliczonego czasu na uwarzenie się bądź odczekanie, aż między poszczególnymi składnikami zajdzie odpowiednia reakcja. Czasami wystarczył oddech za dużo bądź za mało, by cała praca poszła na marne. Nie winił więc dziewczyny, że podawała w wątpliwość jego umiejętność radzenia sobie bez dokładnych pomiarów. Nie mogła wiedzieć, że czarna magia wywierała na jego umysł dwuznaczny wpływ, zarówno korzystny, jak i niszczyielski. Nie mogła wiedzieć, a akurat tego nie miał ochoty jej teraz tłumaczyć.

— Do czego więc go używasz? Choć może nie powinnam pytać, biorąc pod uwagę, ile niepotrzebnych kłopotów gromadzisz na swojej pustelni.

— Może nie powinnaś, pani — potwierdził i wskazał ręką na stół.

Dziewczyna wzięła się za przyrządzanie specyfiku. W naczyniu przed nią, w odwarze z akacji, pływało już kilka zmieszanych, rozpuszczających się składników. Sięgnęła po jedną z fiolek stojących na stole pod ścianą

i odmierzała po kropelce, dodając substancji do suszonych listków już przygotowanych w moździerz. Cały czas zerkła na recepturę zapisaną w książce. Była skupiona, ręce ani razu jej nie zadrżały. Miała wycucie wprawionej zielarki. Rozgniotła skroplone liście na miazgę, lecz kiedy chciała dodać powstały kleik do odwaru, Namir powstrzymał ją gestem.

— Jeszcze nie.

— Według receptury ten składnik należy dodać od razu po przygotowaniu — zdumiała się.

— Poczekaj, aż zastygnie.

Zastosowała się do jego wskazówki. Sprawilo mu to dziwną satysfakcję.

— Eksperymentowałem z pewnymi recepturami. W przypadku niektórych zastosowałem drobne zmiany, które jednak mają wpływ na efekt końcowy.

— Zastygło. Co dalej?

— Nalej nieco odwaru na skorupę, poczekaj, aż ponownie się roztopi, i dopiero dodaj do całości w naczyniu. W ten sposób nowy składnik lepiej się przyjmie.

Zrobiła precyzyjnie, co kazał, i dalej postępowała według receptury aż do momentu, gdy powstała mieszanekę należało odstawić na dokładnie pół świecy. Dziewczyna obróciła odmierzacz. Przyklejona w górze substancja zaczęła odrywać się kropla po kropli, a nim spadała na dno, przeciskała się uprzednio przez wąski środek.

— W międzyczasie przygotuję coś jeszcze — oznajmiła i z błyskiem w oczach zaczęła przeszukiwać książkę.

Namir nie protestował. Z twarzy dziewczyny w końcu zniknął chmurny grymas. Zajął ją myślą czymś, co nie tylko wymagało od niej skupienia, ale i bez reszty ją porywało. Czasami gdy widział, że miała popełnić błąd, instruował ją, ale przez następne dwie świece, kiedy to przeskakiwała między jedną a drugą recepturą, głównie obserwował ją z nieznanym mu wcześniej zadowoleniem. Naprawdę wyśmienicie sobie radziła.

— Twoja babka rzeczywiście dobrze cię wyszkoliła, pani — oznajmił w końcu, wsparty plecami o ścianę składziku między jedną ze skrzyń a stołem.

Nie odrywając się od pracy, odparła bezemocjonalnie:

— To prawda. Nim zmarła, zdążyła mnie wiele nauczyć. Mimo wszelkich przeciwności.

Nie wiedział, jak powinien teraz zareagować...

— Widzisz, panie, zaczynałam inaczej niż większość zielarzy — kontynuowała mimo braku odpowiedzi z jego strony. — Rodzice trudnili się handlem. Czasami z nimi podróżowałam. Zadbali o to, bym umiała pisać oraz czytać, nauczyli o świecie tyle, ile zdołali. Jednak po ich śmierci, gdy miałam jedenaście cykli, musiałam zostać u babki, w Cirem. Wtedy właśnie zaczęła wdrażać mnie w tajniki rzemiosła, nie robiąc sobie zupełnie nic z mojej niechęci. Byłam jej jedynym uczniem. Rozpoczęłam dosyć późno, ale pragnęła, bym została wyzwolona na czeladnika w tym samym czasie co inni terminatorzy, więc nie dawała mi wytchnienia od swoich lekcji. Być może dobrze, że tak właśnie się działo. Nie miałam bowiem czasu na myślenie o zamordowanych rodzicach.

Pokiwał głową i przemknął po niej wzrokiem. Nadal pracowała w skupieniu, nie pozwalając, by emocje przejęły nad nią kontrolę. Ani drgnęła, szatkując korzeń mandragory na kolejną miksturę.

— Nie wiem, czemu ci to wszystko powiedziałam, panie — rzekła po chwili i otarła rękawem czoło.

Również nie pojmował tego, co właśnie się zdarzyło, lecz postanowił pociągnąć temat:

— Więc zostałeś teraz sama, pani?

— Niezupełnie. — Zaczęła miażdżyć poszatkowany korzeń w moździerz. — Connell Bennett, ojciec mojego przyjaciela Wallace'a, którego miałeś już okazję spotkać, odkąd pamiętam, był blisko z moją rodziną. W szczególności cenił sobie moich rodziców, choć nie byli szczególnie majątynymi kupcami. Pomógł mi, gdy tego potrzebowałam, i wiem, że zrobiłby to ponownie, chociaż wolałabym nie przyjmować więcej tego typu pomocy. Wallace, na którego również zawsze mogę liczyć, ma tendencję o tym zapominać.

— Czy mogę poznać naturę wspomnianej pomocy?

Zerknąwszy na niego, uniosła brew, najwidoczniej zdziwiona jego zainteresowaniem.

— Musiałabym ci przybliżyć przebieg mojej kariery zielarskiej, panie.

— Słucham więc.

Jeszcze bardziej zdumiona, powróciła do pracy, ale po oddechu wahania zaczęła opowiadać:

— Babka opuściła mnie, gdy miałam szesnaście cykli. Do tamtej pory zdołała mi przekazać ogrom wiedzy, a jako że poza zwykłymi nabywcami stawiało się u niej wielu pacjentów, doskonaliłam się również w praktyce. Była surową kobietą, ale to właśnie dzięki jej uporowi i naciskowi posiadałam w krótkim czasie ponadprzeciętne umiejętności. Gdy po jej śmierci planowano przydzielić mnie do innego mistrza, zażądałam, by poddano mnie egzaminowi. Oczywiście pierwszą odpowiedzią starszyczny było wzburzenie. Nie odbyłam jeszcze podróży, która winna być zwieńczeniem nauki każdego czeladnika. — Na moment przybrała teatralny ton, lecz zaraz go opanowała. — Co więcej, byłam za młoda i moje żądanie uznano za bezczelne. Starszyczna miała jednak na uwadze, kto mnie nauczał. Moja babka była wszak znaną i szanowaną mistrzynią. Po niedługim czasie starszyczna zmieniła więc zdanie, lecz zażądała ode mnie uiszczenia nonsensownie wysokiej opłaty. Ponadto uprzedzono mnie, że mam nie oczekiwać jakiegokolwiek wsparcia w trudnej sytuacji. Oddałam im niemal wszystko, co mi pozostawili po sobie rodzice. Egzamin zdałam bez większych problemów i dostałam, co chciałam, czyli zezwolenie na samodzielne prowadzenie pracowni. Nie przyznano mi jednak oficjalnego tytułu mistrza, starszyczna nie chciała narażać się na jeszcze większy gniew cechu, a ja prędko spotkałam się z konsekwencjami swoich decyzji. Gdy pracowałam pod okiem babki, nikt nie podważał moich umiejętności, jednak bez jej nadzoru stałam się w oczach innych jedynie dzieckiem niegodnym zaufania. Przez jakiś czas utrzymywałam się z majątku babki oraz z pieniędzy, które udało mi się jeszcze u jej boku zarobić, lecz nie starczyło tego na długo. Potem, jeśli już ktoś mnie odwiedzał, za moje usługi płacono mi złamaną monetą, ledwo wiązałam koniec z końcem. W dodatku nie mogłam podjąć się innej pracy. Nie chciano mnie nawet do czyszczenia podłóg w najgorszej knajpie. Wysztychano mnie, twierdzono, że powinnam spijać pianę, którą sobie nawarzyłam, że powinnam radzić sobie z następstwami swojej zbyt wybujałej ambicji. W końcu zgodziłam się skorzystać z pomocy

materialnej. Oczywiście to nie cech mi jej udzielił. Wspomógł mnie, i wspomagał przez następne kilka cykli, Connell Bernett. W tym czasie ludzie powoli przekonywali się do moich umiejętności i sama zaczęłam na siebie zarabiać, jednocześnie zorientowałam się, jak łatwo przywyknąć do żerowania na czyjejs' pomocy. Stopniowo więc z niej zrezygnowałam, aż wreszcie zyskałam niezależność.

Przez cały ten czas nie odrywała się od pracy, a on tylko słuchał, nie ośmielając się przerwać. Teraz wytarła wreszcie ręce w płócienną szmatkę i usiadła na skrzyni, która robiła jej za podwyższenie. Zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

— A jednak, mimo że moja wiedza zaskoczyła i wzburzyła starszyzną cechu, przy tobie poczułam się znowu jak początkujący czeladnik.

Jej uwaga wprowadziła go w dziwaczne zakłopotanie. Wykonał nerwowy gest, którym próbował odrzucić jej podziw — czy cokolwiek, z czym wiązało się jej wyznanie.

— Tak po prawdzie moje zarzuty odnośnie do twojej wybrakowanej znajomości zielarstwa mogły być... złośliwe i celowo niesprawiedliwe. Nie dane ci było osiąść wiedzy, którą dysponuję ja, jako że stoi ona na poziomie akademickim. A magowie z tej instytucji nie wszystkie odkrycia udostępniają równie chętnie co urządzenia w rodzaju odmierzacza. Pewną część swej wiedzy traktują niczym przysługujący im przywilej. Poza nimi takiego poziomu zaznajomienia z zielarstwem mogą osiągnąć jedynie tenare, oczywiście ze względu na ich silne powiązania z żywiołem ziemi. Oni też nie dzielą się chętnie swą mądrością, nie tak jak przed Wielką Wojną.

— Mówisz o wiedzy na akademickim poziomie, a jednak nie wyobrażam sobie, byś mógł studiować. W jaki sposób tak naprawdę się kształciłeś, panie?

Miała wyprostowane plecy i wpatrywała się w jego oczy z odwagą, z jaką rzadko się spotykał. Z dnia na dzień coraz lepiej panowała nad strachem, który w niej wzbudzał.

— Nie ma sensu, pani, abym zadreślał cię opowieściami o swym nudnym życiu.

— Jestem przekonana, że twoim historiom byłoby daleko do nudnych. Co ważniejsze, panie, opowiedziałam ci o sobie, gdy wyraziłeś swoje

zainteresowanie. Sądzę, że to odpowiednia pora, byś się odwdzieczył.

Wezbrała w nim irytacja, lecz zdusił ją prędko, po czym przycisnąwszy pięść do ust schowanych za zasłoną, pozwolił sobie na chwilę zastanowienia. Dziewczyna milczała, a on zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas nie odrywała od niego wzroku. Rozważył, czy przypadkiem go nie zahipnotyzowała... nie dowierzał bowiem, że odpowiedź padająca z jego ust mogłaby zrodzić się w jego umyśle samoistnie:

— Być może odpowiem na twoje pytanie, pani, choć nie licz na to, że wyczerpująco. W zamian za jeszcze jedną informację o tobie.

Tym razem nie było w niej zdziwienia, a być może dobrze je maskowała. Kąciki jej warg drgnęły w nikłym uśmiechu. Podniosła się ze skrzyni i skierowała ku ławce. Usiadłszy na niej, spoglądała wyczekująco. Zrobiła mu miejsce obok. Przez kilka oddechów nie reagował, ale ostatecznie dołączył do niej, przycupnąwszy na samym skraju siedziska.

— Co chcesz wiedzieć, panie? — zapytała.

Głos na moment uwiązał mu w gardle. Przełknął ślinę.

— Zdradź mi swoje imię, pani.

— Och. — Para zielonych oczu patrzyła na niego w osłupieniu. — To zabawne, że nie przedstawiliśmy się sobie do tej pory.

— Jak to swego czasu powiedziałaś, pani, sytuacja była mało sprzyjająca.

— Czy w zamian również poznam twoje imię, panie?

Westchnął krótko.

— Znasz je przecież. Wierzę, że Randis wielokrotnie wspominał ci o Potworze z Damanor.

— Mam na myśli twoje prawdziwe imię, panie.

— To właśnie prawdziwe.

— Bzdura!

Pochylił się w jej stronę, a ona ani drgnęła.

— Nie taka była umowa. Zdradź swoje imię, a uzyskasz odpowiedź na swoje pytanie.

— Zmieniam więc pytanie — oznajmiła — a w zamian za odpowiedź na poprzednie proponuję kolejną informację, jakąkolwiek sobie wybierzesz, panie.

— Interesująca oferta. Niech będzie. Jak więc brzmi twoje miano?

— Irvette Castire.

Wyprostował plecy, nagle spięty. Wcześniej — raz czy dwa — miał styczność jedynie z dziwnym zdrobnieniem, którym ten irytujący błazen wołał dziewczynę niczym swego pupila. Usłyszenie jej pełnego miana wprowadziło go w dziwne oszołomienie.

— A twoje imię, panie? Imię, nie mocno przesadzony przydomek.

Jej nagłe pytanie ledwo dotarło do jego świadomości.

— Namir z Damanor — wydusił.

Dziewczyna rozmyślała przez chwilę.

— Faktycznie brzmienie twojego miana kojarzy się z tamtymi stronami. W Cirem spotkałam się z kilkoma kupcami z Nivelos, niektórzy składali duże zamówienia na mikstury i maści. Hmm... gdy mi się przedstawiali, mieli w zwyczaju zdradzać znaczenie swoich imion. Czy twoje również coś oznacza?

Natychmiast ocknął się z transu.

— Nie. Wróćmy lepiej do twojego pierwszego pytania. Jeśli nadal chcesz uzyskać na nie odpowiedź, musisz wpierw wywiązać się ze swojej części umowy, pani.

— Irvette — poprawiła go.

— Irvette... — Wypowiedziane jego potwornym głosem imię nie dźwięczało już tak ładnie.

Zbecześcił je. Tak jak wszystko to, czego tylko dotknął swoimi paskudnymi rękami.

— Dobrze więc, Namirze. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Potrzebował chwili — tym razem, by oswoić się z melodyjnością, jaką jego imię zyskiwało w jej ustach. Gdy już ochłonął, przemówił z wahaniem:

— Ile wiesz na temat swoich przodków?

— O co konkretnie pytasz?

— Castire... — szepnął, na próżno mając nadzieję, że jego głos zabrzmie śpiewniej niż zwykle. — Odnoszę wrażenie, że gdzieś już to nazwisko słyszałem...

— Mogło obić ci się o uszy. To nazwisko rodowe, z tego, co opowiadała mi babka, mogło pojawić się w pewnych zapisach i księgach. Pradziadkowie mojej

babki byli dyrektorami jednego z dawnych oddziałów Akademii Vaspern. Niestety ich talent magiczny nie przeszedł na kolejne pokolenia, a po znamienitości rodu zostało jedynie nazwisko, o którym pamiętają nieliczni. Zapewne figuruje jeszcze w spisie rodów Akademii, ale po prawdzie dawno już zostaliśmy zdegradowani do roli prostych mieszczan.

— Nie masz czego żałować. Posiadanie magicznych zdolności to pewnego rodzaju przekleństwo. I nie mam na myśli jedynie czarnej magii.

— Jak to?

— Wśród ludzi każda odmienność jest szykanowana. Czy wiesz, czym jest stalaryt?

Irvette pokręciła głową.

— To bardzo rzadki minerał, z którego tworzy się między innymi urządzenia blokujące magię. Tworzą je ludzie dla ludzi. Nieuzdolnieni magicznie dla magów. Jestem przekonany, że gdyby jedni i drudzy nie mogli kierować nienawiści na tenare lub samych czarnych magów, skoczyliby sobie do gardeł. Pokój będzie panował między nimi tak długo, jak długo będą posiadać możliwość opluwania wspólnego celu.

Przytaknęła i przez kilka oddechów milczała w zadumie, a potem spojrzała na niego poważnie.

— Czy teraz mogę poznać odpowiedź na swoje pierwsze pytanie?

Z niechęcią pokiwał głową, żałując, że się w ten sposób zobowiązał.

— A więc, Namirze? Jak posiadłeś tak obszerną wiedzę?

Wziął głęboki oddech. Pod jej baczny spojrzeniem skóra cierpła mu na całym ciele. Miał jej mówić o sprawach, których wcześniej nie ujawniał przed nikim...

— Wiedzę na temat zielarstwa?

— Między innymi. Chociaż interesuje mnie również, jak opanowałeś tenarski w tak dobrym stopniu. Zgaduję, że nie za pośrednictwem zażartych dyskusji z panem Silvaru.

— Języka nauczył mnie... ojciec. Potem doskonaliłem go w kontaktach z kupcami w Aestos. Jeśli zaś chodzi o zielarstwo... Wszystko zawdzięczam... swej matce. Zresztą spora część całej mojej wiedzy, jeśli nie większość, pochodzi właśnie od tych dwojga.

— Oboje byli magami?

Przytaknął. Tak jak zapowiedział, nie było go stać na wyczerpującą wypowiedź na ten temat. Dziewczyna podciągnęła kolano pod brodę i objęła nogę szczupłymi ramionami. Wyraz jej twarzy sugerował, że odbiegła gdzieś myślami.

— Co się z nimi stało? Gdzie są teraz? — zapytała bardzo cicho.

— Nie wiem — odparł sztywno.

— Żyją?

— Nie wiem.

Rozdział VIII

Wallace naciągnął kaptur płaszcza na głowę, wpatrując się w półmrok panujący między ściśniętymi ze sobą pniami górujących nad trzęsawiskiem drzew. Wraz ze zwierchnikiem Silvaru wyruszył równo ze świtem. Teraz zajeżdżali konie, by dotrzeć do celu, zanim zacznie się ściemniać. Udało im się. Do zmierzchu mieli jeszcze ponad świecę, a już byli na miejscu.

Wierzchowce pokonały zbocze i wkrótce wjechali w ciemny las. Wallace poczuł chłód wkradający mu się pod ubranie i uciekł myślami do wspomnień, by choć na moment nie skupiać się na otaczającej go teraźniejszości.

Oczami wyobraźni ujrzał Irvette, gdy była jeszcze dzieckiem. Niesforna dziewczynka z zadartym noskiem i wyszczekaną buzią. Poznali się, zanim osiadła w Cirem na stałe. Najpierw regularnie przybywała do miasta ze swoimi rodzicami, kupcami, z którymi jego ojciec utrzymywał stały kontakt. Już wtedy mocno się przyjaźnili. Jednak to tragedia jej rodziny znacznie ich do siebie zbliżyła. W dniu, w którym bandyci zamordowali rodziców Irvette, ona trafiła pod opiekę babki. Miała szczęście. Wallace nadal pamiętał, jak odwiedzał ją, by pocieszać wspólną zabawą — przynajmniej w czasie, gdy babka nie nękała jej swoimi naukami, co zdarzało się rzadko. Ojciec z kolei od razu zaoferował pomoc, lecz babka Irvette była nazbyt dumna, by ją przyjąć. Po kilku cyklach nauczania i opieki nad dziewczyną — zmarła we śnie, choć nic nie wskazywało na to, że dręczy ją jakakolwiek choroba.

Odsunął od siebie ponure myśli i spróbował przywołać weselsze wspomnienia. Ich wspólne gonitwy po ulicach Cirem, nocne wypadki pod mury miasta, babka Iv nakładająca maści na jego siniaki i obtarcia po pierwszych wytężonych lekcjach szermierki, a potem sama Irvette zszywająca paskudne rozcięcie na jego boku, kiedy to zapędził się w potyczce

z jednym ze strażników miejskich. Była mu wtedy bliska jak siostra. Rodzoną stracił — przysłała na świat martwa i niedługo potem pociągnęła za sobą matkę, którą ledwo pamiętał, bo sam liczył sobie wtedy raptem parę cykli. Dopiero kiedy wystarczająco odrósł od ziemi, z goryczą pojął, dlaczego ojciec tak bardzo nalegał, by wspierać Iv, a potem przeżywał każdy moment, w którym to stopniowo przyjmowała coraz mniejsze kwoty. Aż wreszcie oświadczyła, że nie weźmie już więcej ani enara. Jego również to dotknęło, choć w inny sposób. Im mocniej się od nich odcinała, tym bardziej Wallace nie mógł myśleć o niej jedynie jak o siostrze.

Westchnął. Wyczuł niepokój swojego wierzchowca, więc poklepał go po grzbiecie. Przebywanie w tym mrocznym lesie wpływało na umysł, zagubione myśli same podążały w złe strony. Skierował wzrok na plecy podróżującego przed nim zwierznika. Tenare pewną ręką prowadził swojego karosza, doskonale znał teren. Podczas jednej z wieczornych rozmów przy słodkim trunku zdradził Wallace'owi, że znał ten las na długo przed tym, zanim przyprowadził w jego odmęty Potwora z Damanor. Powiedział też, że ziemie te są najprawdopodobniej od setek cykli zaklęte.

Pochyliwszy się pod ogromnym korzeniem, pod którym przejeżdżali, chłopak wzdrygnął się na myśl o zamaskowanym mężczyźnie. Próbował podpytywać o niego zwierznika, ale ten zawsze udzielał mu samych wymijających odpowiedzi. W mieście z kolei nikt o nim nie wspominał, a samą gęstwinę nazywano Lasem Nie Do Przebycia. Nikt się do niego nie zapuszczał. Wallace był w stanie pojąć czemu. Już z zewnątrz las wyglądał odpychająco, a ci, którzy do niego wkraczali, musieli mierzyć się z jego dziwnym oddziaływaniem powodującym trudność w określeniu kierunku przybycia czy liczby przebytych jardów.

Po dłuższej się przeprawie wreszcie dotarli do miejsca, gdzie między drzewami zaczęły pojawiać się pierwsze wyraźniejsze prześwity.

— Panie, jak myślisz, co zastaniemy? — wydusił przejęty Wallace.

Tenare spojrział na niego przez ramię.

— Możemy mieć tylko nadzieję, że jej nie zamordował. No już, chłopaku, chyba widzisz, że nie mówię poważnie!

W okamgnieniu poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy, w gniewie zacisnął szczękę. Nie bez wysiłku powstrzymał się przed oskarżycielskim komentarzem i po prostu zapytał:

— W ogóle nie odczuwasz niepokoju, panie?

Rysy twarzy zwierznika stwardniały, ale nic nie odpowiedział. Resztę drogi pokonali w pełnym napięcia milczeniu.

Gdy zza rozstępujących się drzew wyłonił się zarys uformowanej w skalnej masie chaty, żołądek Wallace'a skręcił się boleśnie. Dłonie mu się spociły, a po chwili poczęły lekko drżeć. Tak bardzo się obawiał, że nie ujrzy Irvette żywej albo że zobaczy ją w stanie, w którym każdy błagałby o śmierć.

Usłyszeli ciche rzenie konia. Własne uwiązali przy drzewach, pozostawili z nimi niewielki ekwipunek i ruszyli na polanę stanowiącą samotnię potwora. Gdy znaleźli się nieopodal chaty, wyszła z niej wysoka postać. Zmrużyła wrogo jasne, różniące się rozmiarem oczy.

— Randis... Od czego masz Nexam? Nie zapowiedzieliście się.

Wallace zrobił krok naprzód, nim zwierznik zdołał odpowiedzieć.

— Gdzie Irvette?

Potwór powoli przeniósł na niego przeszywające spojrzenie.

— Dokładnie tam, gdzie ją zostawiłeś.

— Namirze? — Głos dobiegający zza pleców zamaskowanego należał do dziewczyny.

Wallace słyszał wcześniej to imię tylko z ust zwierznika.

— Goście do ciebie... — Potwór długo nie spuszczał ich z oczu. — ...Irvette.

Pan Silvaru nie ruszał się z miejsca, z jakiegoś powodu oniemiały, Wallace poczuł natomiast wzrastającą irytację pomieszaną ze strachem. I jedno, i drugie rozplynęło się w momencie, gdy jego przyjaciółka wychynęła z chaty. Zamaskowany natychmiast zszedł jej z drogi, nagle odznaczając się niezgrabnymi ruchami.

— Iv! Cała i zdrowa! — Wallace ruszył w jej stronę i po dwóch długich krokach znaleźli się naprzeciw siebie.

Przygarnął ją w ciasnym uścisku, nim zdążyła zaprotestować. Roześmiała się jakoś sztywno i odsunęła go delikatnie. Przetoczył po niej spojrzeniem, szukając jakichkolwiek oznak, że działo się coś złego.

— Bogowie, te dni były dla mnie koszmarem! Teraz w końcu mogę zabrać cię do domu.

Irvette wyraźnie się zmieszala i spochmurniała. Poklepała go po ramieniu, po czym cofnęła się o krok.

— Muszę tu jeszcze zostać, Wallace.

Zdruzgotany, rzucił spojrzeniem na opartego o ścianę potwora. Ten nie zareagował.

— Namirze, jej skażenie wróciło? — przemówił wreszcie tenare.

Zamaskowany wzruszył barkami.

— Wróciło. Wyciągnąłem je, ale może wrócić znowu. Irvette zostaje, póki nie dojdziemy, co jej dolega i jak temu zaradzić.

Zwierzchnik przecesał włosy palcami i odszedł od towarzystwa. Potwór podsumował to cichym, ale zniecierpliwionym cmoknięciem. Wallace czuł, że serce zaczyna mu walić jak młot.

— Iv, czy to prawda...?

Pokiwała głową z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Nie zgadzam się — powiedział od razu. — Nie zostaniesz tu dłużej z tym potworem.

— Wallace, po pierwsze nie masz nade mną żadnej władzy. Po drugie zawdzięczam Namirowi życie, więc okaż nieco wdzięczności. Po trzecie: rozsądek nakazuje mi zostać.

— Rozsądek? — Nie wierzył w to, co mówiła. — Twoja decyzja nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. O ile to w ogóle twoja decyzja!

— Próbujesz coś sugerować? — Zamaskowany odepchnął się giętko od ściany i zbliżył.

— Namirze, nie wtrącaj się — stwierdziła szorstko Irvette.

— Śmiem twierdzić, że ta rozmowa dotyczy się również mnie.

— Możliwe, ale to nadal rozmowa między mną a Wallace'em.

Czarny mag świdrował ją wzrokiem, pochylony lekko w jej stronę i ze skrzyżowanymi rękami. W zamian mierzyła go chłodno tak długo, aż w końcu dał za wygraną.

— Niech będzie.

Potwór podążył w kierunku, w którym chwilę temu udał się zwierzchnik Silvaru. Irvette odetchnęła głęboko, potarła palcami twarz.

— Iv... — wydusił Wallace, kiedy już odzyskał głos. — O co tu chodzi?

— Proszę, wejdźmy do chaty. Na pewno jesteś zmęczony.

Podążył za nią do izby. Pomieszczenie oświetlał blask z kominka, na stole stała misa grzybowej zupy, jeszcze parującej. Usiadł na wysokim taborecie i śledził Irvette wzrokiem. Przycupnęła na skraju długiego łóżka. Cisza wisiała między nimi przez kilka oddechów.

— Naprawdę musisz zostać?

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

— Póki nie zyskam pewności, że skażenie nie wróci. Proszę, zjedz.

— To twoja stawa — zaoponował.

— Mam tu pod dostatkiem jedzenia, a ty jesteś po dniu podróży.

Sięgnął po leżącą na stole srebrną łyżkę, ale jeszcze nie zmusił się do jedzenia. Wypytywał przyjaciółkę, jak to możliwe, że ten przeklęty czarny mag nadal nie znalazł rozwiązania, czy w ogóle złapał jakiś trop i kiedy on, Wallace, będzie mógł ponownie ją odwiedzić.

— Nie wiem, Wallace. Namir może potrzebować czasu... Nie mam pojęcia ile.

Skrzywił się na dźwięk tego imienia. Tak dziwnie brzmiało w jej ustach.

— Na bogów, Irvette, traktujesz tego potwora jak człowieka, mam rację? To, jak z nim rozmawiałaś...

— Nazywasz potworem człowieka, którego twarzy nigdy nie widziałeś i na temat którego nie wiesz nic — przerwała mu i zmarszczyła brwi.

— A ty wiesz, Iv? Widziałaś, co kryje się pod tą jego zasłoną?

— Nie. I dlatego po prostu go nie oceniam.

— Z pełną naiwnością wierzysz, że to człowiek. Człowiek nie ma potrzeby ukrywania się w ten sposób, nie ma potrzeby zakrywania oblicza i ciała przed światem. Człowiek nie ma tak przerażającego głosu. I oczu, które prześwietlają duszę.

— Moja dusza nadal ma się dobrze! — rzuciła z rozdrażnieniem. — Kimkolwiek on jest i cokolwiek ukrywa, pomógł mi. Jaki potwór ocaliłby życie człowiekowi?

— Nie przyszło ci do głowy, że zrobił to dla własnych celów?

— Jeśli tak, już by je zrealizował — odparła sztywno.

Stuknął łyżką w dno miski i zamieszał jej zawartość. Już raz się zgodził, by tu została, i dręczące go obawy nie dawały mu spać po nocach. Wiedział, że jeśli przystanie na to po raz drugi, będzie jeszcze gorzej. Irvette za bardzo zawierzała jakiemuś dziwakowi. Kiedy widział ich razem, wydawała się swobodna. Nie miała oporów, by się mu postawić, co tylko potwierdzało jej wielką naiwność.

— Czy naprawdę nie ma innego sposobu?

— Gdyby był, skorzystałabym z niego.

Chłodny wiaterek pory deszczowej szeleścił liśćmi drzew rosnących wokół polany. Namir mrużył oczy, patrząc w ciemność zapadającą między dalekimi konarami. Stojący nieopodal Randis poprawił wysoki kołnierz barwionego na fiolet kaftana.

— Masz jakiś trop? Domyślasz się, co może jej dolegać?

— Pracuję nad tym.

— Jak... Jak się dogadujecie?

Czarny mag z wolna zmierzył rozmówcę.

— Poza tym, że dziewczyna jest uparta jak osioł, ma mnie za wielkiego gburę i ciska we mnie przedmiotami? Bez większych problemów.

Randis pobladł, zrobił dziwną minę.

— O co chodzi? — zapytał go Namir. — Coś z tego, co powiedziałem, wydaje ci się może niewiarygodne?

Zwierzchnik Silvaru westchnął, po czym odwrócił wzrok.

— W tej chwili istotniejsze jest to, o co muszę cię prosić. Namirze, pozwól, że rozbijemy obóz na noc na twojej polanie.

Gdyby Namir miał sierść, pewnie by się teraz zjeżył. Mięśnie napięły mu się pod skórą. Ciało zeszywniało.

— Nie.

— Ta dziewczyna jest tu od dobrych siedmiu dni.

— I to jest powód, dla którego miałbym znosić także was?

— Zmierzcha, Namirze. Nie mam ochoty wyprawiać się po omacku w las.

— A jednak zrobisz to.

— Jaki ma to sens, skoro możemy zostać tutaj?

— Nie możecie. Ostatnim razem wyruszyliście, gdy zapadał zmrok. Co powstrzymuje was teraz?

— Nie pozwolisz tej dwójce dzieciaków pobyc trochę ze sobą?

— Czemu ich relacja miałyby mnie obchodzić?

— Może dziewczyna przestanie być uciążliwa, kiedy dostanie trochę normalnego towarzystwa.

Zwierzchnik cofnął się pod jego spojrzeniem, ale nie przestawał się drwiąco uśmiechać.

— Jedna noc, nie więcej — przemówił Namir przez zęby, po czym spojrzał na chatę, z której właśnie wychodzili Irvette i Wallace. — Jeszcze jedno: jaką mam pewność, że ten błazen nie piśnie słówka o tym miejscu?

— Zadbam o to.

— Trzymam cię za twoje wątpliwej szczerości tenarskie słowo. Może jeszcze udowodnisz, że jest coś warte.

Po tym, jak pan Silvaru oznajmił, że rozbiją na noc obóz na polanie, radość mieszała się w Wallasie z niechęcią. Przyniósł plecaki i z pomocą zwierzchnika przygotował ognisko w kręgu kamieni. Kiedy rozciągnęli na ziemi płócienne śpiwory i uwiązali konie bliżej obozu, Wallace'owi rzuciło się w oczy, że Irvette kręci się przy chacie. Oświeślał ją słaby blask księżyca. Niebo było zachmurzone i na polanę padało niewiele srebrzystej poświaty. Dziewczyna zniknęła w budynku i zaraz wyłoniła się z niego ze świecą w miedzianym uchwycie.

Chłopak dał znać zwierzchnikowi — który sprawdzał kopyta swojego wierzchowca — że ma zamiar się oddalić, i ruszył dziewczynie naprzeciw. Zanim jednak do niej dotarł, spostrzegł upiorną sylwetkę wylaniającą się z cienia. Widziany z daleka potwór swym powłóczystym, ciemnym ubraniem niemal stapał się z mrokiem. Zaczęli rozmawiać, lecz na tyle cicho, że mógł zrozumieć tylko niektóre słowa. Zbliżał się do nich ze ściśniętym żołądkiem. Nie mógł się nadziwić, z jaką odwagą Iv stawiała naprzeciw tego przerażającego osobnika. Kiedy przebywała obok, tym bardziej podkreślała jego pokaźny

wzrost. Niesłychanie przy nim drobna, czubkiem głowy ledwo sięgała mu do piersi... Gdy znalazł się dostatecznie blisko, do jego uszu dotarła tym razem już pełna wypowiedź dziewczyny:

— Powinieneś się cieszyć. Możesz dziś znowu przespać się w swojej chacie. Ja mam zamiar spędzić noc na łonie natury.

Zamaskowany milczał i z wolna skrzyżował ręce, gdy Wallace zatrzymał się obok nich. Chłopak poczuł na sobie badawcze spojrzenie jasnych oczu, w których odbijał się słaby blask świecy.

— Chcesz przenocować w obozie, Iv? — zapytał.

Dziewczyna pokiwała głową. Uśmiechnął się do niej, ucieszony. Podejrzewał, że przyjaciółka — tak jak i on — pragnęła pobyc w towarzystwie kogoś, kto nie był jej zupełnie obcy. Wiedział też, że ze swoim silnym poczuciem terytorialności potwór nie zgodzi się na to, by ktoś jeszcze nocował w jego chacie. Zwierzchnik przestrzegał go, by niczego podobnego nie proponować, bo może się okazać, że raptem zostaną przegonieni w las. Według Randisa mieli wielkie szczęście, że potwór akceptował Irvette nie tylko na swoim terenie, ale i w legowisku. Dla Wallace'a stanowiło to tylko kolejny powód do zastanowienia się nad prawdziwymi zamiarami tego zdziwaczalego monstrum.

— Ach, w takim razie pozwól, że coś ci zaproponuję, Irvette. — Chrypliwy głos postawił mu włoski na karku. — Czy przypomnisz sobie, jaką miksturę przygotowaliśmy dziś rano?

— Niejedną — odparła chłodno do potwora.

— Kolokwinta. Mówi ci to coś?

Na twarzy Iv odmalowała się irytacja.

— Pamiętasz, jak mówiłam, że jesteś wielkim gburem? Myliłam się. Właśnie urosłeś w moich oczach do rangi zbereźnej świni.

Wallace wstrzymał oddech, a dłoń powędrowała mu na rękojeść szabli. Był przekonany, że zamaskowany nie przepuści takiej zniewagi. Ten jednak po prostu pochylił się nieznacznie ku dziewczynie.

— Utwierdzasz mnie w przekonaniu, że trafiłem. Randis się ulotni, jeśli tylko go poprosicie. Może mikstura jednak się przyda?

— Co najwyżej do rozbicia jej na twojej głowie.

Potwór cmoknął krótko, odwrócił się, po czym zaczął się niespiesznie oddalać.

— Weź jakieś skóry ze składziku. Baczcie tylko, by być cicho. Chcę się wyspać.

Wallace nie wiedział, czy powinien coś dodać. Dziewczyna złapała go za ramię i pociągnęła za sobą. W obozie zwierzchnik już układał się do snu i polecił, by nie zawracali sobie nim głowy. Najpierw jednak skierowali się do składziku. Tam Irvette podała Wallace'owi świecę, a sama zabrała się za ściąganie zwierzęcych skór z długiej pryczy. Izba była niemal cała zagracona. Sprawiała wrażenie terytorium jeszcze bardziej osobistego niż chata.

Gdy już ulokowali się przy ognisku, zwróćeni ku sobie głowami, długo wpatrywali się w gwiazdy na grafitowym niebie, szeptem wspominając dawne czasy. Wallace uznał, że to dobrze, iż w kryjówce potwora dziewczyna nadal może patrzeć na firmament — być może dzięki temu nie czuła się tak bardzo odcięta od świata.

— Wybacz mi — wyszeptał, gdy już skończyli wspominki.

— Cóż takiego miałabym ci wybaczać?

Ich mieszające się z trzaskiem płomieni głosy nie były w stanie obudzić zwierzchnika, który dawno już zapadł w twardy sen po drugiej stronie ogniska.

— Nie mogę być przy tobie, gdy tego potrzebujesz.

— Nie opowiadaj bzdur. Robisz, co możesz.

— Nie powinienem zostawiać cię tutaj samej.

— Nie mógłbyś tutaj zostać.

— To musi być straszne: przebywać w obecności tego potwora...

Westchnęła na jego słowa, ale mówił dalej:

— Chciałbym wierzyć, że nie będziesz zmuszona wyciągać przy nim broni, ale... nadal sypiasz ze sztyletem pod poduszką, tak jak ci poleciłem?

— To bez znaczenia. Na nic mi się nie przyda.

— A więc naprawdę mu ufasz?

— Nie w tym rzecz. To mag, Wallace. Co mogłabym przeciw niemu uczynić?

Chłopak poczuł, jak tętno mu przyspiesza, a ręce zaciskają się w pięści.

— Tym bardziej nie mogę cię tutaj zostawić. Bogowie, jak mogłem wcześniej na to przystać?

— Nie zaczynajmy tej rozmowy od nowa. — Westchnęła raz jeszcze. — Mam się na baczności, ale muszę również wierzyć, że Namir nie ma złych zamiarów.

— Nie próbował cię skrzywdzić?

— Ani razu. Jeśli nie liczyć kąśliwych uwag.

— A jednak chcę cię stąd jak najszybciej zabrać.

Poruszyła się pod skórą, milczała długo, nad czymś się zastanawiała. Wallace powrócił myślami do jej rozmowy z zamaskowanym.

— Iv? O co chodziło z tą miksturą?

— O nic ważnego. Śpijmy już.

— Coś cię bardzo zdenerwowało. Co to było?

— Nic, co by się nas tyczyło. Dobrej nocy.

Jej cierpki ton nie zachęcał do kontynuowania rozmowy. Chłopak życzył jej dobrych snów i sam również zamknął oczy. W ciemności znowu dręczyły go koszmary. Nad ranem już ich nie pamiętał i z jakiegoś powodu czuł, że to lepiej.

Zaczęli się zbierać, gdy świtało.

Namir obudził się jeszcze przed nimi i teraz w milczeniu obserwował, jak zwijają śpiwory i pakują je na końskie grzbiety. Irvette rozmawiała z chłopakiem i Randisem, do obu nikle się uśmiechając.

Bolała go głowa, spał bardzo źle. Budził się wielokrotnie i z trudem zasypiał. Łóżko pachniało ziołowymi olejkami, których dziewczyna musiała używać do kąpieli. Słodki zapach niesłychanie go drażnił.

Oparłszy się plecami o gładką ścianę ze skalnej masy, masował ukryte za materiałem skronie. Wkrótce spostrzegł, że dyskusja między Irvette a chłopakiem ożywiła się. Ten, którego dziewczyna nazywała przyjacielem, wskazał na Namira, nie siląc się na dyskrecję, a potem oboje skierowali ku niemu swoje kroki.

Gdy już się przed nim znaleźli, dziewczyna miała nietęgą minę, była pełna wątplenia. Chłopak zaś odchrząknął.

— Pragnę zamienić z tobą kilka słów, Namirze.

— Jakoś nie pamiętam, byśmy się sobie przedstawili.

Młodzian zacisnął szczękę, ale pod spojrzeniem Irvette wykrzywił usta w czymś, co z pewnością miało być uśmiechem. Namir zaczynał rozumieć, co się święci.

— Wallace Bennett, syn Connella Bernetta, rajcy wolnego miasta Cirem — przedstawił się wyćwiczonym tonem i wyciągnął rękę.

Namir zmierzył go z rozbawieniem. Chłopak był snobem, jakich mało. Nawet w podróży do gęstego boru nie odżałował brokatowej kamizelki, którą narzucił na bawełnianą koszulę z bufiastymi rękawami. Z pewnością nie był to jego najbogatszy strój, ale i tak świadczył o narcystycznym usposobieniu.

— Jestem pod wielkim wrażeniem. Więc, Bennett, jaką masz sprawę?

Irvette bacznie ich obserwowała. Wallace opuścił rękę wzdłuż ciała i zacisnął pięść.

— Pragnę ci podziękować za opiekę nad Irvette. Uzdrowiłeś ją, z tego, co mi wspominała, dwukrotnie, zapewniłeś schronienie i zadbałeś, by miała wszystkiego pod dostatkiem.

Teraz był już przekonany co do zamiarów Bernetta. Jedynym, czemu miało służyć to przedstawienie, było zrobienie na dziewczynie odpowiedniego wrażenia.

— W ramach uznania pragnę ci zapłacić — rzekł chłopak i sięgnął po uczepony u pasa mieszek.

Odsupłał ciasne wiązanie mocnego sznurka i wyciągnął garść enarów, złotych monet obowiązujących w granicach trzech królestw, z awersem o człowieczym wizerunku Mestyrii. Namirowi na moment skoczyło tętno.

— Nie potrzebuję tego.

— Jeśli wolisz tenarską walutę, mogę uzyskać ją w banku ojca, lecz jak sam wiesz, nie mamy pojęcia, kiedy wrócimy do Cirem, a bankier z O'rior jakoś niechętnie ze mną rozmawia. Znacząca uwaga wypowiedziana przez tego błazna w ogóle Namira nie obeszła. Kusilo go, by zaakceptować pieniądze, jego natura pragnęła dodatkowych skarbów do swojej kolekcji. Tymczasem Irvette wydała się rozeźlona.

— Wallace, znowu się zapominasz! Natychmiast schowaj te pieniądze.

— To moje pieniądze: wydaję je, kiedy chcę, i oddaję, komu chcę.

— Już nie jestem pod opieką twojego ojca, żebyś musiał za mnie płacić niczym za odratowane przez zielarza bydło.

Po tych słowach monety przestały uchodzić w oczach Namira za takie błyszczące. Teraz napawały go odrazą.

— Słyszałeś, Bernett, zabierz to.

Przez dłużący się moment we troje trwali w pełnej napięcia ciszy, wymieniając jedynie spojrzenia. Chłopak ostatecznie schował monety i uwiązał mieszek.

— W jednym masz jednak rację, Wallace — odezwała się raptem Irvette. — Same podziękowania nie wystarczą.

Kiedy skierowała się do wejścia chaty, Namir oddalił się o kilka długich kroków, nie mając ochoty przebywać dłużej w towarzystwie chłopaka, jednak ten nie tylko za nim podążył, ale i zastąpił mu drogę, demonstracyjnie oparłszy dłoń na rękojeści szabli, w nieudolnej próbie maskowania strachu butną postawą.

— Słuchaj, potworze — zaczął, ścisząc głos. — Powierzam ci opiekę nad Irvette tylko dlatego, że obecnie nie mamy innych możliwości. Musisz wiedzieć, że jest mi bardzo droga i jeśli spadnie jej choć włos z głowy...

— Zamordujesz mnie? — podsunął mu spokojnie myśl.

— Nie, ale wystaram się o coś zgoła innego. Wystarczy parę słów mojego ojca, a z Cirem wyruszy obława. Jeśli użyć odpowiedniej motywacji, ludzie przebędą każdą odległość, by zapolować na czarnego maga. Wykurzą cię z tego lasu, choćby mieli go palić kawałek po kawałku, dzień po dniu. A to nie wszystko. Jestem przekonany, że magowie akademicy również doceniliby informację o położeniu kryjówki potwora. Tak się składa, że mój ojciec może się z nimi dość prędko skontaktować.

Namir poczuł, że krew się w nim gotuje. Kusiło go, by mocą telekinezy unieść chłopaka nad ziemię i potrząsać nim tak długo, aż zwymiotuje. Może wraz z rzygowinami wydaliliby z siebie wszystkie niedorzeczne pomysły, które przedstawiał bez zastanowienia.

— Ty błźnie — wycodził. — Czy zdajesz sobie sprawę, że swoją pyszałkową postawą narażasz kogoś więcej niż tylko siebie? Któregoś dnia

twoja głupia brawura odbije się na bliskiej ci przyjaciółce. Jeżeli bardzo tego pragniesz, może się tak stać nawet dziś.

Oczy chłopaka rozbłysły mieszkanką trwogi i wściekłości. Wysunął szablę z pochwy, częściowo ukazał ostrze mieniące się w świetle poranka.

— Jeśli ją skrzywdzisz... — Zamilkł, z otwartymi ustami obserwując, jak klinga cofa się do pokrowca. Namirowi wystarczył nieznaczny ruch dłoni, by zadziałać na szablę telekinezą.

— Masz zbyt bujną wyobraźnię, Bernett. Jednak twoje śmiałe groźby mogą doprowadzić do tego, że dziewczyna będzie musiała szukać pomocy gdzie indziej.

Wallace przestał mocować się z bronią, ale szykował się do riposty, kiedy Irvette wybiegła z chaty. Zbliżając się, patrzyła na nich podejrzliwie. Trzymała w dłoni błyszczący przedmiot.

— Nadal to masz, Iv...? — spytał chłopak.

Dziewczyna ścisnęła w ręce bransoletę ze srebrnych oczek i drobnych szmaragdów.

— Czy taka forma zapłaty ci odpowiada?

Błyskotka wzbudziła w Namirze pewne zainteresowanie, więc rozważył słowa dziewczyny. Ponadto miał na uwadze, że gdyby jej odmówił, chowałaby do niego urazę i przez kilka kolejnych dni uprzykrzała mu życie.

— Niech będzie. Skoro już uparłaś się, że musisz mi coś podarować.

Wyciągnął rękę z zamiarem przyciągnięcia bransolety telekinezą, ale dziewczyna prędko wepchnęła mu ją między palce. Momentalnie pobladła. Szybko zabrał dłoń i schował bransoletę w kieszeń spodni. Nie chciał myśleć o tym, co się właśnie stało. Rzucił okiem ku czekającemu przy wierzchowcach Randisowi. Był gotów do odjazdu.

— Jeśli nie masz już nic do dodania — rzekł do Bernetta uprzejmie — wynoś się.

Irvette otrząsnęła się z otępienia, a chłopak wziął ją w ramiona i wyściskał. Coś do siebie szeptali, ale Namir nawet nie próbował ich słuchać. Gdy nieproszeni goście odjechali, dziewczyna długo patrzyła między drzewa z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Korzystając z jej zamyślenia, przestudiował wzrokiem jej sylwetkę.

— O czym mówiliście? — Niespodziewane pytanie wyrwało go z transu.

— O niczym istotnym, choć jedno mogę teraz stwierdzić na pewno. Pasujecie do siebie.

— Co to ma znaczyć?

— Oboje nie wiecie, kiedy trzymać język za zębami.

— Och, nie, to ty jesteś w tej sztuce niedościgniony, Namirze.

W drodze powrotnej przez mokradła zwierzchnik zrównał swojego karosza z wierzchowcem Wallace'a. Ten naciągnął kaptur płaszcza na głowę. Na niebo wpłynęły deszczowe chmury.

— Skoro masz zostać dłużej, znajdę ci jakieś zajęcie, chłopaku — zaczął pan Silvaru.

Młody jeździec spojrzął na pociągłą twarz tenare.

— Wysłałem kruka z wiadomością do ojca. Niedługo powinien odesłać odpowiedź. Jeśli uzna, że mogę go godnie reprezentować jako członka rady, pragnąłbym omówić w jego imieniu naglące sprawy.

Zwierzchnik roześmiał się cierpko.

— Sama zabawa w dyplomatę nie wystarczy, by zrekompensować swój pobyt na moich włościach.

— Co więc proponujesz, panie? — spytał chłopak, przelitykając przytyk.

— Hmm. Connell wspominał, że szkoliłeś się w szermierce u jakiegoś mistrza. Mam pomysł, jak wykorzystać twoje umiejętności. Masz doświadczenie w opiece nad dziećmi?

Wallace wytrzeszczył na niego oczy i pokręcił głową.

— W jaki sposób dzieci mają się wiązać z moimi szermierskimi umiejętnościami?

— Akurat przyjęliśmy do koszar nową grupę rekrutów.

— Miałbym szkolić tenarskie dzieci?

— Niejeden spośród tych dzieciaków, którymi tak gardzisz, ma walkę we krwi, zapewniam cię o tym. I nie szkolić, ale raczej służyć za ruchomy cel ćwiczebny.

Do chłopaka nagle dotarło, co oznacza ten pomysł zwierzchnika.

— Panie, uważasz, że jak długo jeszcze Irvette pozostanie na pustelni...?

— Należy zakładać, że całkiem długo. Nawet Namir nie jest pewien, z czym mają do czynienia. To śmierdząca sprawa. Obawiam się, chłopaku, że jeszcze trochę u mnie pobędziesz.

Rozdział IX

— Ogień, którym władasz, to najczystsza forma czarnej magii, jakiej jesteś w stanie używać.

Namir podniósł wzrok utkwiony dotąd w czarnoniebieskich płomieniach ogniska. Lederg zauważył, że coś zmieniło się w jego spojrzeniu. Jeszcze dzień temu było zimne i puste. Teraz dostrzegał w nim więcej żarliwości.

— To jedyna odmiana czarnej magii, której możesz używać bez obawy przed utratą kontroli.

— Utratą kontroli? — Chrypliwy głos wydobywający się zza worka nadal przywoływał na kark maga chłodne dreszcze.

Pokiwał głową, popatrzył na Namira poważnie.

— Używanie czarnej magii w nieodpowiedni sposób może doprowadzić do tego, że staniesz się tym, kim okrzyknęli cię mieszkańcy wioski.

Chłopiec znieruchomiał. To było ryzykowne zagranie. Nieczyste. Lederg nie czuł się dobrze, przypominając dziecku o jego drastycznych przeżyciach, lecz wiedział, że w ten sposób najlepiej zobrazuje faktyczny stan rzeczy. Czarni magowie w większości przypadków kończyli jako niebezpieczni szaleńcy. Pragnął go przed tym przestrzec.

— Potwór — szepnął Namir.

— Nie jesteś i nie musisz nim być.

Chłopiec pociągnął nosem. Nadzieja, którą Lederg dostrzegał w jego oczach, była wynagrodzeniem dotychczasowych starań.

— Pozwól, Namirze, że najpierw opowiem ci nieco o magach i samej magii. — Przyzwał płomienie między palcami. Rdzawa poświata próbowała rozpychać się pośród niebieskiej. — Teraz używam jednego z czterech żywiołów. Ognia, rzecz jasna. Każdy mag, kiedy tylko się narodzi, od razu ma

w sobie określonej esencji. Ta esencja przez kilka cykli kształtuje się, by potem obudzić się w postaci magicznych mocy. W jednym ciele jest się w stanie pomieścić esencja złożona tylko z jednego żywiołu oraz jednej z trzech predyspozycji umysłu: telekinezy, zdolności uzdrawiających bądź telepatii, choć ta ostatnia jest niezwykle rzadka. Ja władam ogniem i zdolnością telekinezy. Jeśli zaś chodzi o ciebie... jesteś wyjątkowy.

Ślepią w otworach worka błysnęły. Lederg z trudem opanował własne emocje. Ten chłopiec najprawdopodobniej po raz pierwszy usłyszał tak pochlebne słowa.

— Jak żaden z magów, władasz dwiema zdolnościami umysłu. Telekinezą oraz uzdrawianiem, zgadza się? — zapytał, a gdy Namir pokiwał głową, mag kontynuował: — Sądzę, że jest tak dzięki wpływowi czarnej magii na rozwój twojego umysłu. Co się zaś tyczy twojego żywiołu, tak jak w przypadku każdego innego czarnego maga jest nim mrok potrafiący przybierać różne postaci.

— W tym czarny ogień? Czy taki ogień pochodzi od smoczyca Varanside?

Lederg ucieszył się, że chłopiec zapamiętał jego opowieść.

— Owszem, jeżeli pragniesz opierać się na legendach.

— Czemu więc, jeśli pochodzi od niej, jest najczystsza odmianą czarnej magii?

— Przyznaję, że dosyć to ironiczne, biorąc pod uwagę fakt, że tym samym ogniem Varanside popielili nasz kontynent. A jednak ponad tysiąc cykli temu powstrzymała ją Caitriona, a moc jej broni nie tylko uspiła i zesłała smoczyce do podziemi, ale również oczyściła jej ogień. Być może właśnie dlatego Varanside zaczęła rodzić ze swoich trzewi czarną magię, nadal w desperackiej próbie przeciwstawiania się Caitrionie, w desperackiej walce z tą odrobiną światła, która została w niej zasiana. Tym właśnie jest twój ogień. Nieważne, jak bardzo mroczny, bo nadal jest drzemiącą w tobie światłością.

Teraz, kiedy chłopiec wreszcie zainteresował się wierzeniami, Lederg wołał nie wspominać mu o okrutnych badaniach, jakie magowie przeprowadzili na wyspie Belagos. Badania te udowodniły brak mrocznego wpływu czarnego ognia na umysł, jednak niosły ze sobą wiele ofiar. Mimo dziwnej dojrzałości

Namira — mag wolał oszczędzić mu opowieści o rzezi wśród jego pobratymców.

— Skoro czarna magia nie jest całkiem zepsuta, dlaczego ludzie nadal się jej boją? — W chrypliwym głosie zabrzmiała wyjątkowa powaga.

— Dlatego, że mało który czarny mag powstrzymuje się przed używaniem pozostałych odmian czarnej magii. Prawie żaden nie poprzestaje jedynie na czarnym ogniu.

Dziecko powoli obejrzało się na spoczywającego na skraju mroku demona. Czerwone ślepia pomiotu jak zawsze były otwarte, jak zawsze obserwowały. Lederg czekał, lecz Namir nie powiedział nic więcej.

— Tak — podjął ostrożnie mag. — Twój... towarzysz. Przywoływanie takich jak on to zastosowanie czarnej magii w bardzo nieodpowiedni sposób.

Chłopiec wciągnął powietrze przez nos i łypnął na Lederga groźnie.

— Nawet jeżeli nie wykorzystasz go do żadnych niecznych celów, energia czarnej magii, której używasz, by go kontrolować, może mieć bardzo zły wpływ na twój umysł.

Namir wstał.

— Nie. Nie odwołam go.

— Wrócimy do tego tematu. — Lederg wytrzymał mrożące krew spojrzenie dziecka. — Władza nad pomiotami to tylko jedna z niebezpiecznych odmian czarnej magii.

Jak na zawołanie chłopiec rozpostarł szeroko ramiona. Spod przydługich rękawów najpierw zasyczała czarna mgła, taka sama jak ta towarzysząca pomiotowi, a potem wydostały się czarne wstęgi o brzegach ostrych jak najostrzejszy nóż. Lederg widział to zastosowanie czarnej magii po raz pierwszy w swoim życiu. Miał nadzieję, że nie po raz ostatni.

Wstęgi plątały się w powietrzu. Swój początek czerpały z rąk chłopca — jedne wychodziły spod rękawów, inne wydobywały się z dłoni. Pory skóry otwierały się, a wydostająca się przez nie substancja wznosiła się w formie nitek, by zaraz sklejać się w dużo grubsze pasma.

Lederg powoli stanął na nogi i zrobił ostrożny krok w tył. Wijące się cieniste ramiona raptem ruszyły w jego stronę. Otworzył usta w niemym okrzyku, gdy zatrzymały się tuż przed jego twarzą, piersią i brzuchem. Poczuł

ohydne ciepło przywodzące na myśl palące się ciała. Wstęgi mogłyby przebić go na wylot i dosłownie rozczłonkować.

— Namirze... — Nie był pewien, czy faktycznie udało mu się wydobyć z siebie głos, czy też przemówił jedynie we własnych myślach.

Chłopiec stał po drugiej stronie ogniska. Niebieska poświata czarnych płomieni barwiła jego sylwetkę. Gdzieś na skraju cienia przemieścił się demon o czerwonych oczach.

Lederg nie poruszał się. Mięśnie miał napięte. Zmagał się z chęcią ucieczki, bo chociaż byłby w stanie walczyć, nie chciał zranić chłopca. Wiedział, że na jego twarzy musi malować się strach, lecz miał nadzieję, że pozostaniem na miejscu udowodni Namirowi, że jest godny zaufania.

Raptem chłopiec wycofał się, zrobił to szybkimi, drobnymi krokami, po czym skulił się na ziemi, prędko zabierając wstęgi. Schował je z powrotem pod ubranie i pod skórę. Objął głowę ramionami, a wielkie monstrum wyszło z cienia i niczym strzegący swego pana ogar usiadło u jego boku.

— Potwór nie może się bronić — szeptał Namir. — Nie ma prawa się bronić. Musi znosić karę za swoje istnienie.

Lederg zbliżył się niepewnie, kucając przed chłopcem na jedno kolano.

— Przede mną nie musisz się bronić. Jestem przyjacielem, nie wrogiem.

— Potwór — powtórzył chłopiec, wpijając palce w materiał worka.

— Nie, twoje imię to...

— Potwór!

Namir zerwał się na nogi i ściągnął nakrycie głowy. Lederg o mało nie upadł, zdjęty przerażeniem i obrzydzeniem, nad którymi nie był w stanie zapanować. Krótkie westchnięcie trwogi wydostało się z jego ust, zanim z całej siły zacisnął szczękę. Wcześniej, kiedy jeszcze nie widział deformacji chłopca, a tylko zgadywał, jak może wyglądać, był przekonany, że wieśniacy mocno przesadzają, określając go potworem. Teraz ich zrozumiał... Po raz pierwszy w życiu widział coś tak paskudnego. Przeklinał światło bijące z ogniska i to odbijające się od tafli jeziora, ale i tak cieszył się, że nie musi oglądać tego koszmarnego oblicza oblanego promieniami słońca.

Na chwilę zamknął oczy, uspokoił oddech. Usłyszał ciche, miarowe pociąganie nosem. Gdy rozchylił powieki, skreśliło mu żołądek na widok

upiornej twarzy pokrzywionej przez grymas głębokiego smutku. Bogowie — pomyślał. — Co pokarało go takim wyglądem? Dlaczego...? Nie słyszał o żadnym zdeformowanym czarnym magu. Nie wyróżniali się aparycją. Dlatego potrafili przez długi czas ukrywać się pośród zwykłych ludzi, zanim ktokolwiek dowiadywał się o ich mocach. Ten chłopiec nie miał szans na kamuflowanie się. Każdy, kto choć raz słyszał o czarnej magii, prędzej czy później musiałby zgadnąć, że Namir ma z nią do czynienia.

Lederg głowił się nad tym, co powinien uczynić. Nie mógł zdobyć się na żaden gest, na choćby słowo dodające otuchy. Wstręt, jaki mimowolnie odczuwał do chłopca, zmieniał się w odrazę do samego siebie.

— Tam! — dało się nagle słyszeć. — Wyjście z tunelu!

Za okrzykiem rozległ się odgłos wielu szybkich kroków. Ktoś w pośpiechu przemieszczał się korytarzem prowadzącym do grotty.

Zasmucone oblicze dziecka teraz przepełniło się przerażeniem.

— Uciekaj stąd — polecił Lederg, natychmiast odzyskując zimną krew. — Zatrzymam ich.

Dziecko zawahało się, lecz posłuchało go i pobiegło w mroki jaskini. Pomiot jak zawsze podążył za nim, nie spiesząc się.

Z tunelu, niczym robactwo, wysypali się mieszkańcy Purgi. Przewodziła im starsza wioski ciągnąca za sobą Szeborę. Było ich dwudziestu, byli wyposażeni w pochodnie, widły, motyki i inne narzędzia. Odziani w grube wełniane łachmany, z wysłużonymi czepcami na głowach, z ogorzałymi twarzami czerwonymi od gniewu i złowieszczonego podniecenia. Lederg spostrzegł wśród nich także ojca Namira — postawnego mężczyznę, na którego w ciągu ostatniej fazy natknął się może parę razy, a za każdym powstrzymywał się z trudem od wyrządzenia mu krzywdy. Spokojnie wyszedł im naprzeciw.

— Czego tu szukacie, ludzie?

— Nie udawajcie głupca, panie! Gdzie jest ten potworny chłopak?!

Słowom starszej zawtórowały oburzone okrzyki. Mag przeniósł zimne spojrzenie na matkę Namira, na co ta skuliła ramiona. Zasłonił ją jej mąż, który jeszcze nie tak dawno niemal całkowicie się jej wyrzekł.

— Obiecaliście zająć się problemem, przybyszu. Moja żona powinna być już wolna od swojego brzemienia!

— Uwolniłem ją, dziecko nie jest już dłużej waszym problemem. Możecie odejść i pozostawić sprawę w moich rękach.

— To za długo trwa! — wyrwał się ktoś z tłumu.

— Sprzymierzył się z potworem! Trzeba zabić ich oboje!

— Jeśli stąd nie odejdziecie, będę zmuszony poważnie was wszystkich skrzywdzić. — Lederg dał krok w stronę zbiorowiska, tłum cofnął się jednomyślnie niczym stado owiec.

— Głupiec! — krzyknęła starsza wioski zachrypniętym głosem. — To dziecko to przeklęty potwór! Czemu mu pomagacie? Jedyne, na co zasługuje, to śmierć!

Tłum przesunął się teraz do przodu, wymachując widłami i motykami. Kilka pochodni i kamieni raptem poleciało w stronę Lederga, ale wszystkie sprawnie odrzucił telekinezą. Ludzie natarli na niego z gromkim okrzykiem. Stał w nieznacznym rozkroku, wyciągnął obie ręce i odepchnął ich wszystkich potężną falą podmuchu. Popadali na ziemię, nie szczędząc przekleństw i pogrózek. Pochodnie i narzędzia niektórych z nich potoczyły się po skalnym podłożu. Zaczęli się pospiesznie gramolić na nogi, tym razem rozpierzchli się i musiał odrzucać ich pojedynczymi podmuchami telekinezy, co wymagało wielkiego skupienia. Choć udawało mu się odpierać te nadchodzące z różnych stron ataki dosyć długo, w końcu dopuścił do siebie jednego z wieśniaków, a cios wymierzony widłami spostrzegł za późno, by zdążyć go zatrzymać.

Nie poczuł jednak nic. Cztery zęby z siłą ostrzy nakłuły już jego szatę, lecz nie przebiły jeszcze skóry. Zdumiony chłop został rzucony na ziemię, a wyrwane mu z rąk widły obróciły się kilka razy w powietrzu i poszybowały w stronę pozostałych z prędkością wystrzelonej strzały. Trzonem uderzyły w pierś innego wieśniaka, rzuciły go na skały. W jaskini rozległy się przeraźliwe wrzaski, a oczy wszystkich skierowały się ku postaci wyłaniającej się z mroku.

Namir zatrzymał się u boku Lederga, z dłonią opartą o bok towarzyszącego mu demona. Nie miał worka na twarzy, paskudne oblicze wyrażało wielką wściekłość. W jasnych oczach błysnęła lodowata nienawiść.

Powalony nieopodal chłop odczołgał się w panice, drugi — ten uderzony w pierś — oddychał ciężko. Wieśniacy oniemieli, zdawało się, że po raz pierwszy są świadkami gniewu potwornego chłopca.

— Ty... — rozległo się nagle; najpierw słabo, a po chwili dużo głośniej: — Jak śmiesz!?

Ojciec Namira stawiał długie i szybkie kroki. Lederg już wyciągnął ręce, by użyć telekinezy, lecz spojrzenie rzucone przez dziecko zmroziło go. Chłop dyszał głośno, w oczach paliła mu się furia.

— Potomku demonów! Przeklęty bękarcie!

Namir wysunął się o kilka kroków. Przy swoim wielkim ojcu wydał się niespodziewanie drobny.

— Nie masz prawa się bronić! Z pokorą przyjmuj to, na co zasługujesz! — Mężczyzna zbliżył się w dwóch susach i wymierzył cios... Lederg nie zdążył zareagować.

Potężne uderzenie obaliło chłopca na ziemię. Jego ojciec potrząsnął głową, jakby odganiał ujrzone w głowie obrazy, lecz szybko wrócił do siebie. Wtedy to Lederg przestał się powstrzymywać.

Jęzory ognia wystrzeliły z jego dłoni, wściekłe i potężne. Niczym oddech bestii w moment pochłonęły sylwetkę mężczyzny, który właśnie zamierzał się do zadania skulonemu Namirowi potężnego kopniaka. Najpierw rozległ się wrzask, a potem wielki chłop padł na skały i zaczął się po nich turlać, próbując ugasić trawiący ubranie ogień.

Pozostali wieśniacy zbliżali się ostrożnie, pobladli na twarzach, przerażeni. Starsza puściła ramię zawodzącej Szebory, oderwała się od grupy, prędkim krokiem wysunęła się do przodu.

— Co zrobiliście, głupi magu?! — wrzeszczała. — Zabić go, zabić!

Wtem w jej stronę wystrzeliły czarne płomienie. Cofnęła się z okrzykiem na ustach, a wraz z nią gromada chłopów. Namir znów stał na nogach, z uniesionymi rękami. Lewa strona jego paskudnej twarzy puchła od ciosu, rozcięte wargi i nos krwawiły. Lederg poczuł odrazę pomieszaną ze współczuciem.

Chłopiec odszukał wzrokiem jęczącego na ziemi ojca — pokrywały go strzępy częściowo spalonego ubrania. Poparzenia dotkliwie poraniły mu skórę.

Namir z wolna podchodził w jego stronę; jasne oczy nabrały złowieszczonego wyrazu.

— Teraz jesteś paskudny jak ja.

Skinął lekko głową i pomiot cienia, do tej pory tylko obserwujący całe zajście, wyruszył ku wskazanej ofierze. Poparzony mężczyzna zawył, próbował się czołgać.

— Teraz to ty nie masz prawa, by się bronić.

— Namirze, nie!

Czarne wstęgi wyłoniły się nagle z dziecięcej sylwetki. Tym razem dobywały się również z twarzy — te były mniejsze od pozostałych, ale jeszcze bardziej odrażające, wijące się niczym glisty. Lederg zmartwiał na ten widok, nie bez trudu opanował mdłości.

Wielkim ciałem na ziemi wstrząsały dreszcze, oczy wytrzeszczały się, w kącikach warg pieniała się ślina. Wstęgi zawisły nad nim i kołysały się, szykując do ciosu niczym kobry z luxańskiej pustyni.

— Nie! — Lederg pokonał odrętwienie i rzucił się ku chłopcu, ale drogę zastąpił mu demon.

Odepchnął go telekinezą, lecz pomiot zgrabnie wyhamował pazurami po kamieniach, po czym skoczył na niego ponownie. Spanikowany, posługując się mocą umysłu na oślep, przewrócił się na twarde podłoże. Długie kły i czerwone ślepia znalazły się na moment tuż przed jego twarzą, odepchnął je ostatkiem sił — słabnął... Pazury rozerwały mu szatę, ale nie przecięły skóry.

— Namirze!

Chłopiec odwrócił się raptownie, rezygnując z bawienia się strachem ojca bliskiego omdlenia. Lederg dźwignął się na nogi, demon krążył przed nim w odległości kilku skoków, przymierzając się do kolejnego ataku. Starał się na nim skoncentrować, choć mającąca kawałek dalej odrażająca postać chłopca rozpraszała uwagę. Pomiot zaszarżował na niego z szerokim uśmiechem na prawie ludzkiej twarzy. Mag wystrzelił z dłoni płomień, lecz demon ominął go bez trudu i rzucił mu się do nóg. Wtedy telekinezą przycisnął łeb i długą szyję monstrum do ziemi, nim zdołało sięgnąć celu. Trzymał je tak przez chwilę, lecz czuł, że długo nie da rady.

— Namirze, odwołaj go!

Chłopiec nie poruszał się. Czerpiące się z jego skóry wstęgi miały się nad nim w złowrogim tańcu. Szaleńczy wyraz na paskudnym obliczu powoli zmieniał się w rozpacz, a wystające z policzków czarne glisty zaczęły się cofać.

Pomiot szamotał się, drapał długimi pazurami po skałach, pozostawiając na nich głębokie rysy. Ślepią jarzyły się dziką furją, a usta rozciągały w coraz szerszym uśmiechu. Lederg spojrział na chłopca błagalnie, dając mu do zrozumienia, że za kilka oddechów opadnie z sił. Mógł jeszcze spróbować użyć ognia, by uśmiercić demona, ale na pewno nie utrzymałby go wtedy zakleszczonego w miejscu.

W potwornych oczach Namira coś się zmieniło. Wyciągnął obie dłonie przed siebie i przemówił w dziwnie skrzekliwym języku. Demon wierzgnął na ziemi tak gwałtownie, że Lederg omal nie wypuścił go z objęć telekinezy. Otaczająca cieniste ciało mgielka poczęła wsiąkać w ziemię, przeciskać się przez szpary w skalnym podłożu. Pomiot wydał z siebie przejmująco ludzki okrzyk, który jednak zaraz przemienił się w upiorne wycie. Magowi pociemniało przed oczami pod wpływem pokładów mocy, których musiał używać, by przytrzymać cierpiącego demona. Upiorne cielsko przeistaczało się — część przeobraziła się w czarny pył i była wchłaniana przez ziemię, reszta bestii rozpadała się i rozpuszczała, wciskała między skały. Gdy Lederg zerknął na chłopca, zobaczył, że przeprowadza rytuał z zamkniętymi oczami, a po jego wstrętnych policzkach, dodatkowo podrażnionych po tym, co się z nich wcześniej wydostawało, ciekną łzy.

Wreszcie demoniczne stworzenie zniknęło, została po nim tylko czarna plama kleistej mazi. Lederg padł na kolano, wykończony, wycierając czoło z potu. Namir również klęczał, łykając łzy, wstęgi czarnej magii zniknęły. Wieśniacy obserwowali scenę w ciszy, stuporze i oszołomieniu. Starsza trzymała drżące dłonie złożone przed twarzą. Nie powstrzymała Szebory, kiedy ta zerwała się z miejsca chwiejnym krokiem.

Kobieta podbiegła do nieprzytomnego męża, siadła przy nim ciężko. Płakała głośno, a moment później dołączył do niej Namir. Popatrzyli na siebie, oboje zalani łzami. Szebora nie kryła obrzydzenia i opuściła głowę, jej twarz przykryła zasłona zmierzwionych włosów. Gdy chłopiec przysunął się bliżej

ojca, matka w popłochu zrobiła mu miejsce. Dziecko uniosło ręce i zaczęło wysyłać z nich uzdrawiające światło. Gardło Lederga się ścisnęło...

— Namirze — wyszeptał. — Ma zbyt rozległe obrażenia.

Chłopiec pokręcił głową, nie przerywając. Rozległo się niepewne wołanie:

— Dopuście mnie do niego! Jestem zielarzem!

Lederg dźwignął się z klęczek i spojrzał ku nadbiegającemu człowiekowi. Niektórzy zielarze po uzyskaniu stopnia mistrzowskiego osiadali we wsiach, by nieść chłopstwu pomoc i oświatę, lecz obecność człowieka uczonego w tym nieprostym rzemiośle właśnie tutaj, w Purdze, i tak budziła zdumienie. Najwidoczniej mężczyzna nie tylko został zaakceptowany przez to małe społeczeństwo, ale i sam poczuł się do niego przynależny. Wzięcie udziału w obławie było tego jawnym potwierdzeniem.

— Sroga Nive, schłodź jego rany. — Przykucnął po drugiej stronie poszkodowanego, a z sakwy powyciągał fiołki z odwarami, kawałki chust i puderka z maściami.

Szebora trwała w swojej rozpacz, Namir nadal próbował złagodzić oparzenia ojca uzdrawiającą energią. Zielarz omijał ich wzrokiem. W chwili gdy szykował opatrunki z nasączonego specyfikami materiału, ranny zaczął coś mamrotać, drzeć, pojękiwać.

— Odejdźcie stąd — przemówiła Szebora. — Wynoście się.

Namir przeniósł zrozpaczone spojrzenie na matkę, zdawało się, że jej słowa zadały mu fizyczny ból. Ale ona tkwiła wzrokiem w rzucającym się w konwulsjach mężu.

— Wynoście się.

— Mamo...

— Nie! — wrzasnęła na całe gardło. — Nie masz we mnie matki, przeklęty potworze! Urodziła cię sama Varanside, niech jej najgłębsze podziemia cię pochłoną! I ciebie też, morderco!

Lederg bez mrugnięcia wytrzymał ciskające piorunami spojrzenie, po czym podszedł do zgarbionego chłopca, który właśnie zgasił uzdrawiające światło dłoni. Nie ośmielił się go dotknąć, nadal pamiętając, jakie obrazy stanęły mu przed oczami poprzednim razem.

— Wstań, Namirze. Już po wszystkim. Zabiorę cię stąd.

Po potyczce w jaskini udali się do Purgi. Lederg zabrał swój ekwipunek i zaopatrzył również Namira, nie powstrzymując się przy tym nawet przed kradzieżą. Wieśniacy, którzy nie wybrali się z obławą, teraz chowali się w chatkach na widok chudego dziecka. Mag dziękował bogom, że chłopiec odszukał w grocie swój worek i jak tylko obmył obitą twarz w jeziorze i złagodził opuchliznę uzdrawiającym światłem, znów ukrył ją za materiałem. W chacie Szebory znaleźli jeszcze kilka podobnych nakryć głowy, które Lederg z bólem serca wręczył Namirowi. Jednocześnie odkrył, że niewdzięczne okrycie wykonane jest z cienkiego płótna pozwalającego w miarę swobodnie oddychać. Najwidoczniej matka chłopca zdobyła się na odrobinę troski...

Na noc rozbili obóz niedaleko wioski — w kotlinie między ośnieżonymi iglastymi drzewami. Od zdarzeń w jaskini Namir nie odezwał się słowem. Teraz tępo wpatrywał się w ogień płonący w kamiennym kręgu.

— Wybieramy się do Damanor, mojego rodzinnego miasta. Chcesz, bym wskazał ci je na mapie? — spróbował zagadnąć Lederg.

Chłopiec pokręcił głową. W jasnych oczach odbijały się płomienie.

— Skorzystamy z tunelu tenare, by dotrzeć w okolice miasta z portalem, a stamtąd przeniesiemy się do kolejnego, położonego bliżej naszego celu. Pewnie jeszcze nie miałeś okazji przebywać w korytarzach stworzonych przez tę długowieczną rasę.

Tym razem Namir nawet nie drgnął.

— Hmm, chyba niewiele ci o nich mówiłem, zgadza się? — Mag nie miał zamiaru łatwo się poddać. — Tenare, podobnie jak my, wierzą w Mestyrię, choć widzą ją zupełnie inaczej. Wypierają też istnienie pozostałych bogów. Uznają, że Caitriona, o której ci niegdyś opowiadałem, wywodziła się z ich rasy. Bardzo duże znaczenie ma dla nich Varanside. Widzisz, tenare są niezwykli pod tym względem, że potrafią władać jedynie żywiołem ziemi, ale w zamian panują nad nim w stopniu, o którym mało który człowiek może choćby śnić. Przekopują się przez glebę i skały niczym krety, tworząc zawile, acz piękne w swojej surowości korytarze. Część z nich łączy się z naturalnie powstałymi przejściami głęboko pod powierzchnią. Panuje przekonanie,

że przejścia te prowadzą do trzewi ziemi, w których drzemie smoczyca. Strzegą owych miejsc, polując na wyłaniające się z głębin pomioty.

— Będą mnie nienawidzić.

Lederg przełknął ślinę na dźwięk chrypliwego głosu dziecka.

— Jeśli ominie tunele, mocno nadłożymy drogi.

— Będą mnie nienawidzić. Mam władzę nad złem, przed którym oni strzegą. — Namir nie odrywał wzroku od trzaskającego ognia.

Mag uznał, że zaprzeczanie faktom mija się z celem.

— Nie musimy ich uświadamiać, że jesteś czarnym magiem.

— Będą chcieli zobaczyć moją twarz, a kiedy zobaczą, sami zrozumieją.

— Nie pozwolę im, chłopcze. Bądź o to spokojny.

W oczach o różnej wielkości zamigotały iskierki gniewu.

— Ty też chciałeś zobaczyć. Nie mówiłeś tego, ale chciałeś. A teraz się brzydzisz.

Lederg nie mógł się zdobyć na żadne słowa. Nerwowo głaskał gęsty zarost palcami. Chłopiec podciągnął kolana pod brodę, rękami objął długie nogi.

— Powiedz mi o portalach — zażądał bez przekonania.

Mag odkrył, że ma pustkę w głowie. Potrzebował chwili, by dotrzeć do ukrytej w zakamarkach głowy wiedzy. Odchrząknął.

— Portale to solidne lustra zaklinate przez magów. Drzemiąca w nich magia jest w stanie w okamgnieniu przenieść cię z jednego miejsca w drugie, na odległość od dziesiątek do setek mil. Do zaklęcia jednego portalu potrzeba co najmniej dwóch tuzinów magów władających żywiołem powietrza i tyle samo posiadających zdolności telekinezy oraz telepatii. Nie mogą to być jednak byle jacy magowie. Muszą być potężni, panujący perfekcyjnie nad swymi zdolnościami oraz żywiołami. Zaklęcie takiego portalu trwa wiele cykli, niekiedy nawet pięćdziesiąt, ponadto niektóre miejsca wyłamują portale, niszczą je. Dlatego występują nielicznie na naszym kontynencie. W całym Nivelos istnieją jedynie trzy, wszystkie na północy, w dobrze prosperujących miastach.

Namir wyraźnie się skulił. Zrobiło się ciemniej, nawet przy ogniu. Chmury przysłoniły księżyc, Mestyria pozwoliła rozpanoszyć się bogini ciemności. Calige nie sprzyjała tym ziemiom tak jak Nive, jednak Lederg wysłał do niej

kilka słów modlitwy, prosząc o bezpieczne noce dla siebie i chłopca, bo czekało ich jeszcze mnóstwo wyzwań, zanim dotrą do upragnionego celu.

— W miastach jest dużo ludzi? — Chłopiec wypuścił mroźne powietrze przez okrywający głowę materiał. Kropelki pary osiadały wokół miejsca, gdzie powinny widnieć jego usta. — Potwór nie może przebywać tam, gdzie dużo ludzi.

— Miasta są tłoczne, ale będziemy się trzymać na uboczu. Namirze, w razie potrzeby będę cię chronił, jak do tej pory.

— Dlaczego?

Lederg nie potrafił znaleźć prostej odpowiedzi na to pytanie. W jego myślach pojawiła się żona, która nie mogła dać mu dzieci. Pospieszenie przegonił ten obraz. Pogrzebał patykiem w ognisku, wzmacniając ogień.

— Czy mój ojciec żyje? — Słowa te padły niespodziewanie i były niesłychanie ciche, lecz nie umknęły uszom maga.

Gula urosła mu w gardle.

— Nie wiem, chłopcze — odparł.

Nie odczuwał żalu. Miał nadzieję, że niegodziwy mężczyzna cierpiał długie męki, zanim wreszcie skonał. Jednak poczucie winy również grasowało gdzieś na granicach jego świadomości. Podobnie jak obawa, że chłopiec będzie żywił do niego niemożliwą do pokonania urazę, na którą mag niechybnie zasługiwał. W jednym tylko znajdował pocieszenie — nie pozwolił, by opanowane furją dziecko dobiło własnego ojca. Pomimo swojego występku postanowił, że zadba, by Namir ciągnął ku światłu, a nie mrokowi uśpionemu w jego ciele i paskudnej głowie.

— Chciałbym, żeby umarł.

Lederg poczuł dreszcz na karku.

— Nie wolno ci tak myśleć, Namirze.

— Czemu?

— A czemu próbowałeś go ratować?

— Mama... — Oczy chłopca przybrały inny wyraz, pełen niezrozumiałej dla Lederga tęsknoty. — Płakała. Tak często przeze mnie płakała. Przeze mnie nikt jej nie kochał. Ojciec też. Ale płakała.

— Namirze... — Mag z trudem wydobywał z siebie głos. — Nigdy się przed nim nie broniłeś, zgadza się? Dlaczego?

— Za karę. Za to, że mama przeze mnie cierpiała.

Bogowie... Lederg wciągnął mroźne powietrze głęboko w płuca.

— Drogi chłopcze, jej cierpienie nie było i nie jest w żadnej mierze twoją winą.

— Potwór nie ma prawa się bronić — przemówił głucho Namir. — Potwór ma prawo tylko zdychać.

Cisza, jaka zapadła, potrwała może dwa oddechy. Raptem chłopiec jęknął i zeskoczył z koca rozłożonego na śniegu, przycisnąwszy do piersi lewą dłoń. Lederg poderwał się z miejsca i obszedł ognisko, by znaleźć się obok niego. Serce zabiło mu mocniej, gdy Namir ściągnął rękawicę. Na bladej, ale dotąd zdrowej skórze pojawiło się znamię. Poczęło się rozrastać, przepychać i przebijać na zewnątrz. Czarnymi plamami i pasmami wspinało się na chude palce. Chłopiec wrzasnął rozpaczliwie i uderzył dłonią w śnieg. Pocierał nią o ostrą białą powierzchnię, aż dokopał się przez jej cieńsze warstwy do zmarzniętej ziemi.

— Namirze, przestań!

— Nie, nie, nie!

Szorował ręką o skostniałą glebę, rozdrapywał skórę do krwi. Oddech mu przyspieszył. Lederg chciał chwycić go za ramię — zapomniał o strasznych obrazach, które wywoływała styczność z chłopcem. Jednak nim zdołał to uczynić, został odepchnięty silnym podmuchem telekinezy. Poleciał w śnieżną zaspę i stęknął, gdy jego plecy zderzyły się z czymś twardym.

— Nie, nie, nie, nie! — Krzyki chłopca mocno dźwięczały mu w uszach.

Dźwignął się na nogi i obejrzał. Pod sobą miał wielki głaz. Masując obolałe miejsce, pospieszył do Namira, który już nie tylko ręką, ale i głową z całej siły bił o zmarzniętą ziemię.

Tym razem złapał go za ramiona i poczuł parzące ciepło. Wokoło pojawiły się ciała pożerane przez czarny ogień. Wizja była tak realna, jakby oboje stali w centrum tego terroru. Zabrakło mu tchu, odskoczył do tyłu i z trudem utrzymał równowagę. Namir kontynuował swój szal, na nic nie zważając. Teraz to Lederg posłużył się telekinezą. Gdy tylko popchnięte

siłą umysłu dziecko przewróciło się na bok, przycisnął je do ziemi. Wiedział, że długo go w ten sposób nie utrzyma.

— Namirze, opamiętaj się!

Jeszcze przez kilka oddechów walił rękami po śniegu, wierzgał i szamotał się. Jednak krzyki z wolna przemieniały się w szloch i czkawkę, a potem w głośne zawodzenie. Przejmujący płacz postawił włoski na karku Lederga, budząc w nim więcej strachu niż współczucia.

— Już dobrze, Namirze, już dobrze — mamrotał mimo wszystko. — Uspokój się.

Chłopiec bezwładniał, lecz ciągle głośno płakał. Mag ostrożnie uwolnił go od działania telekinezy i przycupnął obok. Trwał tak bez słowa, cierpliwie czekając, aż dziecko wypłacze wszystkie łzy. Gdy zrobiło się wreszcie cicho, sięgnął po sznurowany plecak, do którego upchnęli wcześniej rzeczy Namira i trochę zapasów. Z bocznej kieszonki wydobył bukłak z wodą, którą pozyskali z rozpuszczonego śniegu.

— Proszę, obmyj rękę — odezwał się, i odkrył, że bardzo drży mu głos. — Pokaleczyłeś się, ale to nic, z czym nie poradzisz sobie swoimi uzdrawiającymi zdolnościami. Zgadza się?

Namir usiadł na śniegu, skulił się i wyciągnął bukłak z rąk maga, oczywiście telekinezą. Jasne oczy patrzyły pusto na odrapaną do krwi dłoń pokrytą świeżymi czarnymi znamionami — dopiero co zastygłymi, częściowo zarastającymi miejsca, w których ówczesnie widniały drobne rany. Odkorkował skórzany pojemnik, nie dbając o to, że go brudzi, i polał sobie dłoń odrobiną wody. Lederg wygrzebał z plecaka płócienną szmatkę — jedną z wielu, które bez wahania zabrał z domu Szebory.

Gdy chłopiec przetarł już ostrożnie brudną skórę, a potem, jeszcze w oszołomieniu, uzdrowił jej uszkodzoną powierzchnię, mag zebrał się na odwagę, by spojrzeć mu w oczy, choć te zdawały się go nadal nie widzieć.

— Namirze, muszę... Zobaczyć twój twarz.

Dziecko znieruchomiało, zaświszczało oddechem.

— Obawiam się, że uczyniłeś sobie krzywdę — próbował mu wyjaśnić. — Nie widzę krwi, ale wolalbym się upewnić.

— Nie — padła krótka odpowiedź.

— Drogi chłopcze, spojrzę tylko na moment. Pozwól mi o ciebie zadbać.

Namir pociągnął nosem. W upiornych oczach pojawił się cień bólu, ale i poruszenia. Złapał oburącz za worek i z ciężkim, niepodobnym dziecku westchnieniem ściągnął go jednym ruchem. Lederg wstrzymał oddech.

Oblicze dziecka było w okropnym stanie, w jeszcze gorszym niż wcześniej. Wcale nie z winy zaczerwienionego czoła obitego o skostniałą ziemię.

— Dobrze, dziękuję ci... Wszystko w porządku.

Chłopiec w pośpiechu wciągnął worek z powrotem na głowę. Opuścił wzrok i zgarbił się.

— Pogorszyło się?

— Urośnie ci wielki guz, jeśli w porę się tym nie zajmiesz, to wszystko — odparł wymijająco Lederg.

— Jak bardzo się pogorszyło?

Mag nie był w stanie mu odpowiedzieć. Nie chciał. Jego milczenie jednak wyrażało więcej niż słowa. Namir objął kolana i schował za nimi zakrytą materiałem twarz.

— Czy... — Lederg zawahał się, lecz musiał wiedzieć. — ...gdzieś jeszcze?

Dziecko, kołysząc się w miejscu, najpierw wskazało na lewą rękę, nerwowym gestem palców przemykając od dłoni po sam bark, a następnie zrobiło dokładnie to samo z drugą. Mag usiadł w śniegu i złapał oddech.

— Namirze, musisz mi coś obiecać. To, co... wypacza twoje ciało... bierze się z czarnej magii. Zaprześ używanie jej nieczystych odmian, a chociaż mocno je ogranicz. Rozumiesz mnie?

Namir nieznacznie pokiwał głową. Lederg nie nalegał na więcej. Taka deklaracja mu w tej chwili w zupełności wystarczała. Wiedział, że chłopiec jest na tyle mądry, by pojąć, co spowodowało rozwój skażenia jego skóry. Sam zaś dopuścił do siebie myśl, która już wcześniej krążyła mu po głowie, lecz nadal nie był przekonany co do słuszności swojego pomysłu. Znał kogoś, kto na temat czarnej magii wiedział dużo więcej od niego. Obawiał się jego reakcji na sprawę Namira, jednak po tym, czego był właśnie świadkiem, uznał, że trzeba zaryzykować.



Rozdział X

W ciągu kilku kolejnych dni Namir łapał się na tym, że zaczyna dopuszczać Irvette bliżej swojego kruszącego się muru. Coraz częściej zajmowały ich długie rozmowy, a on niechętnie je przerywał.

Ich wspólne dni wyglądały tak samo. Zwykle to on przygotowywał posiłki, lecz od czasu do czasu Irvette również się oferowała. Nigdy nie jedli razem i nie nalegała, by to zmienić, za co w duchu był jej wdzięczny. Większość czasu poświęcali na sporządzanie mikstur i maści, a dziewczyna udawiała mu, że nie bez kozery jest mistrzynią w swoim fachu. Szybko zapamiętywała receptury, do niektórych proponowała zmiany, o jakich sam nie pomyślał. Bez większej trudności nauczyła się tworzenia szczepów oraz hodowania roślin w zalanych specjalną substancją słojach. Szkolił ją także w wymowie tenarskiego — poprosiła go o lekcje, gdy tylko przełknęła upokorzenie — co jednak stało się powodem częstych sprzeczek, jako że Namir nie krył swojej dezaprobaty do jej powolnych postępów, a Irvette denerwowała się jego kąśliwymi uwagami, którymi kwitował jej językowe zmagania.

Drogę do stawu oznaczył dla niej łapaczami snów rozwieszonymi na drzewach. Mógł uwolnić się w ten sposób od przymusu prowadzenia jej tam za każdym razem, kiedy zachciała zrobić pranie lub zażyć kąpieli. Zażądał jednak, by zawsze zawiadamiała go, gdy wybiera się nad wodę, i nie spędzała tam więcej niż ćwierć świecy, bo może on uznać, że znów dopadła ją choroba, a w takim wypadku nie będzie zważać na jej prywatność. Bez marudzenia obiecała, że będzie się uwijać. Od czasu gdy jej skażenie wróciło, sam pozwalał sobie oddalać się jedynie na skraj lasu, a czasami nawet kiedy przebywał w pustelni, zdarzało mu się nasłuchiwać, czy dziewczyna przypadkiem go nie woła. Musiał być czujny, by w razie potrzeby w porę zareagować. W dzień

utrzymywał czujność bez problemu, jednak przed udaniem się na spoczynek wypijał miksturę powodującą płytki sen. Wieczory spędzał zwykle na wertowaniu ksiąg.

Kiedy czasami przyglądał się Irvette, jak rozwiesza pranie albo pieli ogródek, nie mógł powstrzymać napływających wspomnień. Przypominała mu o czasach, kiedy miał dom. Dom, w którym nie był całkiem sam. Te myśli go drażniły, bo przecież już dawno uporał się z poczuciem samotności, a wręcz był z nim za pan brat.

Pewnego popołudnia — po tym, jak zjadła popołudniową strawę — przyszła do niego akurat w chwili, gdy próbował zbliżyć się do białego wierzchowca. Już wcześniej zauważył, że zwierzę nieznacznie poszarzało przy chrapach i wokół oczu. Koń cofał się, kładł uszy po sobie i nozdrza drgały mu niespokojnie, kiedy Namir wyciągał ku niemu ukrytą w rękawicy dłoń.

— Może to go zachęci. — Dziewczyna miała ze sobą kawałki suszonych owoców, lecz wahała się przed wręczeniem ich Namirowi.

— Nie sądzę. Weź to. — Podał jej zgrzebło. Nie sięgnęła po nie, skrepowana, utwierdziwszy go tym samym w przekonaniu, że nadal pamięta, co zaszło, kiedy ich dłonie zetknęły się po raz pierwszy. Uśmiechnął się kwaśno pod zasłoną. — Racja, to paskudne uczucie.

Zamrugła, kiedy upuścił zgrzebło u jej stóp. Podniosła je zasmucona, co go zirytowało.

— Tylko mnie nie żałuj. Nie potrzebuję twojej litości.

— Nie żałuję cię — odparła chłodno i odwróciła się do wierzchowca. Zwierzę jadło smakołyki z jej ręki, a ona zaczęła szcztokować silny grzbiet. — Skąd się to bierze?

— Co?

— Wizje? Obrazy?

Jeszcze kilka dni temu taka bezpośredniość zdeprymowałaby go, jednak ostatnio coraz bardziej cenił odwagę dziewczyny.

— To przekleństwo. Tyle ci mogę powiedzieć.

— Czy każdy czarny mag...

— Nie, tylko ja — przerwał. — Zmieńmy temat — zaproponował stanowczo.

Nie patrzyła na niego, skupiła się na pielęgnacji zwierzęcia.

— Nigdy mi nie wyjaśniłeś, jak to jest, że niektóre skrzynie i słoje w spiżarni same mrozą to, co w nich przetrzymujesz.

— Są zaklęte.

— Zaklęte? Tak jak amulet, którym kontaktujesz się z panem Silvaru?

— Tak i nie. Po nałożeniu zaklęcia magowie aktywowali je tylko raz, a jego działanie będzie utrzymywać się jeszcze przez kilka cykli. Potem musi zostać odnowione. Nexam natomiast działa na zawołanie. Oczywiście po pewnym czasie zasób jego czaru również się wyczerpie. Mag jest w stanie nakładać zaklęcia na najróżniejsze sposoby, w zależności od żywiołu, zdolności umysłu, wprawy i poziomu mocy. Cóż, niekiedy zaklina się więcej niż przedmioty, bo nawet miejsca czy budowle, lecz to już nie lada sztuka. Ja i Randis mamy spore podejrzenia, że mój las został niegdyś zaklęty przez bardzo potężnych magów, ale tylko demony raczą wiedzieć, w jakim celu. Może żeby trzymać z dala nieproszonych gości, cokolwiek się tu wtedy znajdowało? Choć ja przychyliłam się raczej do twierdzenia, że to miejsce jest przeklęte. Jakakolwiek droga, którą przemierzysz wśród tych czarnych drzew, zapadnie ci w pamięć dopiero po paru cyklach wielokrotnego jej pokonywania.

Dziewczyna zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

— Jakie przedmioty możesz zakląć ze swoim żywiołem i zdolnościami? W jaki sposób?

Zastanawiał się, co odpowiedzieć, po chwili zaczął mu świtać pewien pomysł.

— Mogę na przykład zakląć dowolny przedmiot zdolnością telekinezy, tak by wprawiała powietrze w drgania tworzące barierę ochronną. Mniejszą lub większą, silniejszą lub słabszą. Wszystko zależy od tego, ile wysiłku i skupienia włożę w proces zaklinania. Jeśli chcesz... — Nabrał powietrza jak przed zanurzeniem w stawie. — Mogę zrobić dla ciebie taki przedmiot.

Łypnęła na niego z ukosa, jakby wietrzyła jakiś podstęp. Biały wierzchowiec przyjmował pielęgnację spod jej dłoni, lecz końskie nozdrza od czasu do czasu rozdymały się, a ślepia błyskały niepokojem.

— W jakim celu? I czy będę mogła go użyć, nie dysponując magicznymi mocami?

— Owszem. Musisz tylko sprawnie wypowiedzieć jedno słowo. Chociaż z twoim tenarskim...

— Prosisz się, bym czymś w ciebie rzuciła, Namirze. A w dłoni mam zgrzebło. Uderzenie bez wątpienia byłoby bolesne.

Kąciki jego warg drgnęły pod zasłoną.

— Śmiało. Skoro niczym obrażone dziecko nie potrafisz przyjąć szczerej krytyki.

— Może po prostu kiepski z ciebie mentor? Rozważyłeś taką możliwość?

— Nie narzekasz, gdy poszerzam twoją wybrakowaną zielarską wiedzę.

— Wybrakowaną z powodów, których jesteś doskonale świadom. I przez które, jeśli pamięć mnie nie myli, uznałeś swoją krytyczną ocenę za mocno niesprawiedliwą.

— Co nadal nie zmienia faktu, że możesz się jeszcze wiele nauczyć.

Raptem zrezygnowała z pracy przy zwierzęciu, wściekłym gestem odłożyła zgrzebło na ścienny występ zbudowanego z bloków składziku. Jej rozdrażnienie odpowiadało Namirowi bardziej niż smutek, dodatkowo powodowany współczuciem, któremu uparcie zaprzeczała.

Wytarła dłonie o wełniane spodnie, a potem wzdrygnęła się i objęła ramionami, gdy wiatr zaszeleścił liśćmi nawet wśród niższych drzew. Za kilka dni miała nadejść ostatnia faza pory deszczowej, pogoda jakby nie mogła się zdecydować, nastające coraz cieplejsze dni przeplatały się z niespodziewanie wracającym chłodem.

— Naprawdę mógłbyś coś dla mnie zakląć?

Gdy dostrzegł jej skrywane zafrapowanie, coś w jego sercu drgnęło radośnie.

— Tak, ale to zajmie kilka dni.

Podniosła wzrok i wtedy zauważył. Szybko doszedł do wniosku, że ujrany przez niego symptom musiał uwidocznic się niedawno, skoro spostrzegł go dopiero teraz. Natychmiastowa potrzeba przekonania się, że to nie przywidzenia, sprawiła, iż pochylił się ku niej gwałtowniej niż zwykle. Dziewczyna zeszywniała i zacisnęła palce na ramionach.

— Nie odwracaj wzroku. Patrz na mnie.

Dzielnie wypełniała jego polecenie.

— O co chodzi?

— Masz mocno rozszerzone źrenice.

— Co w związku z tym?

Nie odpowiedział jej. Zamaszystym krokiem udał się do składziku i ściągnął z regału książkę, która go interesowała. Wyszedł na zewnątrz, by czytać przy świetle dnia. Usiadł na podeście z kamiennej masy i szybko przeglądał strony, chcąc dotrzeć do treści, która potwierdziłaby, że prawidłowo powiązał zaobserwowany objaw z konkretnym zaklęciem. Pamięć zawodziła go niezwykle rzadko, ale przypadek dziewczyny był tak niecodzienny, że musiał się upewnić, czy aby czegoś nie pomylił. Irvette stała nad nim, zaniepokojona.

— Namirze?! — wołała go kilka razy, zanim oderwał się od tekstu.

— Chyba wiem, co ci dolega.

Z wrażenia usiadła na podeście obok, w stosownej odległości.

— Chyba...?

— Nadal nie mam pewności.

Mocniej objęła się ramionami. Patrzyła tępo przed siebie.

— Więc? Jakie są twoje podejrzenia?

— Żebyś zrozumiała, najpierw muszę zdradzić ci coś na temat czarnej magii. Jeśli nie masz nic przeciwko, by o tym słuchać.

Potrząsnęła głową, a on wziął głęboki oddech, zanim ponownie przemówił:

— Czarna magia przybiera różne formy. Jedna z nich, najczystsza, to czarny ogień. Jako jedyna nie ma wpływu na... stan umysłu. Pozostałe stanowią niebezpieczeństwo zarówno dla otoczenia, jak i dla samego maga, którego prędzej czy później zmieniają w niebezpiecznego szaleńca. To między innymi umiejętność przyzwania i kontroli pomiotów cienia, ale także... moc przybierająca postać podobną do tego, co wyciągałem z twojej ręki.

— Jeśli dobrze rozumiem, wyciągając to ze mnie, ryzykujesz utratę kontroli.

Miała nieodgadniony wyraz twarzy i odległe spojrzenie. Z wolna przytaknęła. Wtedy się wzdrygnęła i przygryzła wargę.

— Więc nie powinieneś więcej tego robić.

— Bzdura. Wbrew temu, co ci się wydaje, działając na twoje skażenie, nie używam wiele mocy. Jest to męczący proces i wymaga wielkiego skupienia, ale to nie wystarczy, bym się zatracił. Panuję nad tym. Jeśli dojdę do wniosku, że przestaję, dam ci znać.

Milczała, więc postanowił kontynuować:

— Czarna substancja, o której mówimy, może być częścią pewnych zaklęć. Twoje skażenie, gdy pierwszy raz je ujrzałem, przypominało mi jedno z nich. Wyglądało tak, jakbyś poddawana była *Spellium*. Jednak *Spellium* musi podlegać nieustannej kontroli maga. Ponadto służy do wyciągania z ofiary energii życiowej i przeistaczania jej w moc. Mag nie pozostawiłby cię, póki nie wysałby z ciebie ostatniej nici życia. Skażenie nie powróciłoby, bo dawno byłabyś martwa. To zaklęcie, które stosuje się tylko raz. Po to, by ograbić i zabić.

Irvette zrobiła się blada, choć ani drgnęła.

— Jeśli to nie *Spellium*, to czym jest moje skażenie?

— Myślę, że to zaklęcie blokujące.

Popatrzyła na niego bez zrozumienia, pustymi oczami. Oczekiwała wyjaśnień.

— Służy do blokowania magicznych mocy. Pozostawione bez kontroli, prowadzi do śmierci. Potrafią je stosować nieliczni czarni magowie, jedynie ci wyjątkowo potężni, wspomagając się stalarytem... Dostanie go to nieprosta sprawa.

— Czemu ktoś miałby rzucać na mnie zaklęcie blokujące, skoro nie posługuję się magią?

— To jeden z powodów, dla których do tej pory wykluczałem to właśnie zaklęcie. A jednak wspomniałaś, że twoi przodkowie byli uznanymi magami.

— Nie przekazali daru kolejnym pokoleniom. — W jej oczach pojawił się raptem bystry błysk. — Ale nawet jeśli pozostawałby on przez tych kilka pokoleń uśpiony, moce obudziłyby się we mnie, gdy byłam jeszcze dzieckiem, prawda?

— Tak właśnie powinno być, ale magia czasami potrafi zaskakiwać. Nawet nie wiesz, jak wielki wyjątek od reguły stanowią ja. — Odwrócił wzrok, lecz szybko otrząsnął się z goryczy. — Zaklęcie blokujące zwykle rozwija się

wewnątrz ciała, to kolejna przyczyna, dla której długo nie brałem go pod uwagę, jednak po pewnym czasie uwidacznia się. W postaci rozszerzonych źrenic.

Dziewczyna poprawiła włosy, dłoń odrobinę jej zadrżała.

— Czy jest sposób, by się tego pozbyć?

— Ten sam, który stosowałem do tej pory. Zakłęcie z jakiegoś powodu wydostaje się pod twoją skórę, co ułatwia nam sprawę. Zapewne powróci jeszcze nie raz, zanim wyciągniemy całość.

— Nie możemy pozbyć się tego świństwa za jednym zamachem?

— To zbyt ryzykowne. Zarówno dla mnie, jak i dla ciebie. Nie wiemy, z jak wielkim zasobem czaru mamy do czynienia. Obchodźmy się z nim ostrożnie.

Długo milczała, nieruchoma, ze skupieniem w oczach, przyciskając małą pięść do ust. Domyślał się, że potrzebowała nieco czasu, by przyswoić wiedzę, którą oto się z nią podzielił. Czekał z nieznaną sobie dotychczas cierpliwością.

— Namirze... Kiedy pozbędziemy się zaklęcia, czy obudzą się we mnie magiczne moce...?

— Pozostaje nam jedynie się przekonać.

Kiedy Wallace kilka dni temu stawiał się w koszarach w centrum tenarskiego miasta, nie był do sprawy pozytywnie nastawiony. Nawet pomimo słów zwierzchnika, który przygotował komendanta placówki na jego przybycie, strażnicy patrzyli na niego z pobłażliwymi uśmiezkami. Dzieciaki, z którymi miał walczyć na miecze zamiast ruchomej kukły, o czym właśnie się przekonał, również traktowały go z niechęcią.

Jednak po pewnym czasie wyraz twarzy Ledrisa, trenera sprawującego pieczę nad młodziami, zaczął się zmieniać. W jego ciemnych, dużych oczach pojawiło się uznanie. Wallace nie szczędził chwil na szafowanie swoimi niemałymi umiejętnościami. Mimo wszystko trener uciszał go, kiedy tylko próbował dawać dzieciom cenne wskazówki. Kpiąco wypominał Wallace'owi, że występuje tu wyłącznie w roli celu ćwiczebnego, a ten chował godność w kieszeni tylko z powodu Irvette. Musiał sprostać swoim nowym

obowiązkom, jeśli chciał pozostać w O'rior, a jego wysiłki i tak nie wynagradzały w pełni gościny twierdzy zwierzchnika.

Dzieciaki okazały się zaskakująco niełatwymi przeciwnikami. Część z nich posiadała magiczne moce i nie powstrzymywała się przed ich używaniem. Wallace wiele razy wywracał się, kiedy magia trzęsła mu znienacka gruntem pod nogami albo gdy oberwał podmuchem telekinezy. Imponował bachorom tym, że za każdym razem podnosił się twardo i potrafił wymierzyć natychmiastowy cios drewnianym mieczem, bijąc z siłą po nogach lub korpusach. Nie hamował się, pamiętając o swoim mistrzu szermierki, który twierdził, że siniaki i ból to najlepsi nauczyciele.

Czwartego dnia na placu ćwiczebnym — otoczonym z jednej strony wysokimi trybunami z kamiennych bloków, a z dwóch murami odgradzającymi miejsca wydzielone na treningi dużo starszych rekrutów — pojawiła się dziewczynka tenare. Podobnie do swoich rówieśników — wyglądała jak miniaturowa replika dorosłego. Miała pociągłą twarz o zbyt chłodnym, jak na dziecko, wyrazie i uszy nieco bardziej obwisłe niż u chłopców, ozdobione wieloma piórkami i niewielkimi miedzianymi obręczami.

Ledris, postawny mężczyzna o ciemnym odcieniu szarej skóry i odziany w skórzaną zbroję, przyprowadził ją do Wallace'a, gdy ten wymierzał celną ripostę ćwiczącemu z nim starszemu chłopcu. Młodziak dostał drewnianym mieczem pod żebra i krzyknął z bólu, a w jego oczach zaiskrzyła wściekłość.

— Zbyt często odsłaniasz ten bok. Każdy od razu to wykorzysta. Cios wymierzony stalowym mieczem będzie dla ciebie śmiertelny.

— Znowu się mądrzysz, człowieku? — przemówił trener grzmiącym tenarskim, czym obudził w Wallasie gniew, który musiał zdusić zaciśnięciem szczęk. Ledris machnięciem wielkiej ręki odprawił chłopca. — W porządku, nastąpiła mała zmiana planów, może jednak dostaniesz na to moje przyzwolenie. Przyprowadziłem ci kogoś specjalnego.

Wallace wsparł się o murek trybun, pozwalając sobie na chwilę wytchnienia po kilku potyczkach. Dziewczynka wlepiała w niego ciekawskie spojrzenie, memlając w ustach kosmyk długich, zielonych jak trawa włosów. Na oko ustalił, że musi ona liczyć sobie jakieś dziewięć, może dziesięć cykli.

Mógł ją poddawać takiej ocenie, ponieważ, jak wyjaśnił mu niegdyś ojciec, proces starzenia u tenare zwalniał dopiero po wkroczeniu w dorosłość. Ich dzieci dojrzewały w takim samym tempie jak ludzie.

Ledris odczekał chwilę i przemówił:

— To Nye'ra, sierota z Supras, wsi na północ stąd. Będzie od teraz pod twoją opieką.

Wallace uniósł brew, cały czas pozostając pod taksującym spojrzeniem dziecka.

— Co to znaczy: pod moją opieką?

— Chodzi o szkolenie. Będziesz jej trenerem, przynajmniej póki nie znikniesz z O'rior.

— Porozmawiajmy chwilę na osobności.

Odeszli od trybun, pozostawiając przy nich dziewczynkę, którą od razu zainteresowała się grupka chłopców. Za ich plecami rozległy się chichoty i przyciszone rozmowy, z których Wallace wylapywał tylko pojedyncze słowa.

— Czego nie rozumiesz, człowieku? — zapytał Ledris.

— Dziewczynka tenare szkoląca się na strażnika to raczej rzadkość. Jeśli koniecznie chce mieć broń w rękę, czemu nie idzie na termin do myśliwej? Tak po prostu bierzecie w swoje szeregi jakąś sierotę?

— Widzisz, człowieku... — Trener zmierzył go pogardliwie. — Udajesz, że tak dużo o nas wiesz, bo twój ojczulek jest za pan brat z panem Silvaru. Wygląda jednak na to, że muszę cię w wielu kwestiach uświadomić. Nie pozostawiamy sierot na pastwę losu, jak wasza bezduszna rasa. Kobiety z wioski w ustalonej kolejności zajmują się Nye'rą, a ona ma prawo decydować o swej przyszłości. Chce być strażnikiem, będzie strażnikiem. Nikogo tu nie obchodzi, że mało naszych kobiet decyduje się na podobny los.

Wallace sapnął z rezygnacją.

— Nie jestem badaczem waszych obyczajów, po prostu sugeruję, że dziewczynka wiodłaby bezpieczniejsze życie, zajmując się czymś niekoniecznie związanym z wojaczką.

— To głupie, brzydką panią trenujesz!

Wraz z Ledrisem spojrzeli na małą, która pojawiła się obok jak znikąd. Z zaciętą miną miętoliła w buzi kosmyk włosów.

— Pomyślałeś o treningach z brzydką panią, widziałam.

— O czym ty mówisz, dzieciaku... — wybąkał osłupiały Wallace.

— Ach, nie zdążyłem wspomnieć — wtrącił Ledris. — Nye'ra ma zdolności telepatii.

Dziewczynka nagle westchnęła i zaśmiała się w głos.

— Fuj, co za wstrętne myśli.

— Nie wiem, o czym mała mówi, ale chętnie posłucham więcej. — Trener wyszczerzył się, a Wallace poczuł się jak głupiec.

O zdolności telepatii wiedział jedynie tyle, że występuje wśród magów rzadko. Pierwszy raz spotkał się z osobą władającą tą umiejętnością.

— Nye'ra, tak? — Pochylił się ku wysokiej dziewczynce tenare, co najmniej o półtorej głowy wyższej od przeciętnego ludzkiego dziecka z podobną liczbą cykli na karku. — Nie powinnaś ot tak wskakiwać do czyichś myśli.

— Dlaczego?

— Możesz zobaczyć coś, czego nie chciałybyś widzieć.

— Nieprawda, chcę widzieć wszystko. Będziesz mnie trenował?

Wallace wyprostował się. Miał sporo wątpliwości. Musiałby przy niej nieustannie kontrolować myśli.

— To będzie niesłychanie irytujące. — Spojrzał na szeroko uśmiechniętego Ledrisa. — Tylko dlatego chcesz mi ją przydzielić, prawda?

Tego ranka Namir obudził się niewyspany, ale usatysfakcjonowany. Odkąd doszedł do tego, co może dolegać Irvette, przestał ślęczeć do nocy nad książkami. Teraz poświęcał ten czas na przygotowywanie dla niej przedmiotu. Pragnął rzucić zaklęcie o dużej mocy, a to wymagało wiele świec skupienia i umysłowego wysiłku.

Z odrazą przemywał twarz wodą z glinianej miski i pomyślał nagle, że dawno już nie pił porannej kawy. Obecność dziewczyny wpłynęła nawet na ten rytuał, a do tej pory rzadko kiedy go sobie odpuszczał.

Ubrał się jak zwykle, szczerlnie zakrywając głowę i twarz, po czym wyszedł na zewnątrz powitać świt. Zmrużył oczy od jeszcze szarawej jasności, boleśnie łupała go głowa. Spozrzegł Irvette, która ujrawszy go, przystanęła w pół drogi z małym koszem pod pachą i szmatą rzuconą przez ramię, po czym

obróciła się w stronę lasu, gestem dając mu do zrozumienia, że wybiera się nad staw. Skinął jej przyzwalająco.

Wypełnił żeliwny garnek wodą z wiadra przygotowanego przy piecu i rozpalił ogień. Od kiedy dziewczyna pojawiła się w jego kryjówce, nie używał płomienia czarnej magii, jednak tym razem sobie na niego pozwolił. Ta metoda załatwiała sprawę dużo szybciej niż krzesanie ognia hubką.

Wśród piramidy naczyń w składziku odnalazł pucharek i imbryk, spod ławy wyciągnął słój z kawą. Od zmielonych ziaren bił intensywny zapach. Napawał się nim, czekając na ławce, aż woda zacznie się gotować.

Wtem za plecami usłyszał kroki i zerknął przez ramię. Irvette wracała; kasztanowe włosy miała mokre, lekko poskręcane. Żywił nadzieję, że zaraz pójdzie zająć się swoimi sprawami, lecz ona zbliżyła się powoli do pieca. Palenisko było niebieskawą poświatą. Wpatrywała się w nie w zamyśleniu, a duże zielone oczy zaśniły delikatnie na upstrzonej piegami twarzy, niby jedna z kosztowności, które miał pochowane po skrzyniach w swojej pustelni.

— O co chodzi? — usłyszał raptem jej głos. — Namirze?

— Co?

— Gapisz się.

— Tak...?

— Tak.

Miał zeszytniały kark, gdy odwracał od niej wzrok.

— Zastanawiałem się, kiedy wróci twoje skażenie.

— Ach... — Ściągnęła brwi i poprawiła oparty o biodro kosz, którego dno pokrywała niewielka ilość prania.

— Im szybciej będzie powracać, tym szybciej się go na dobre pozbędziemy i będziesz mogła jechać do domu — wygłosił pospiesznie. — Nawet jeśli nasze podejrzenia okażą się słuszne i zyskasz magiczne moce. Z nimi pomogą ci już magowie w Cirem. O ile będziesz potrzebowała pomocy.

— Nie wiem, czy będą chcieli mieć ze mną do czynienia, nawet gdy skażenie zniknie. — Zmarszczyła zadarty nos i z kwaśną miną zapatrzyła się na słój kawy, który postawił na ławce. — Co tak śmierdzi?

— To aromat — wyjaśnił z powagą.

— Raczysz żartować! To coś ohydnie cuchnie.

— Nigdy nie piłaś kawy, jak mniemam.

— Kawy...?

Wyglądała na zawstydzoną swoją niewiedzą.

— To napój pity przez samych bogów — wytłumaczył. — Nic dziwnego, że o nim nie słyszałaś.

— Dlatego, że jest taki ohydny?

— Może spróbujesz, zanim poddasz ocenę?

— Wystarczy mi zapach. Pij sobie to paskudztwo. Zrobię poranną strawę.

Rozwiesiła pranie i zajęła się szykowaniem posiłku, w tym czasie Namir przelał gorącą wodę do zasypanego kawą imbryka i mimo niechęci dziewczyny postanowił przygotować dwie porcje. Zostawił wypełniony napojem pucharek w chacie, dla siebie przeznaczył inne naczynie — pierwszy lepszy kubek. Potem znów udał się do składziku. Zapalił uczeponą ściany świecę, by móc jeszcze chwilę przeznaczyć na zaklinanie przedmiotu dla Irvette. Pochylony nad obiektem, szepcząc raz na jakiś czas tenarskie słowa inkantacji, popijał gorzki napój małymi łykami. Wkrótce rozległo się ciche pukanie. Przyczepił zasłonę do powłóczystego czepca i otworzył drzwi.

Dziewczyna przygotowała jajecznicę — najpewniej z jaj, które znalazła uprzedniego dnia w drodze do stawu — z kawałkami tłustego mięsa i dodatkami ziół. Potrawa pachniała smakowicie. Pozwolił jej wejść i zostawić posiłek na ławie. Już zamierzała się do wyjścia, lecz przystanęła w progu.

— Z miodem nie jest taka zła.

— Co takiego?

— Ta twoja kawa.

— Z miodem? — Wytrzeszczył na nią oczy. — Raczysz żartować.

— Może spróbujesz, zanim poddasz ocenę?

Skrzywił się na samą myśl i wzdrygnął.

— Jednak odmówię, z pełnym przekonaniem.

Dziewczyna zwróciła się twarzą ku niemu.

— Tak po prawdzie: miałam okazję skosztować kawy dopiero dzięki tobie.

Usiadł na łóżku, wsparł łokcie na kolanach.

— Może jednak twój miły przyjaciel Bernett wcale nie jest taki majętny, na jakiego wygląda.

— Dajże mu już spokój. Zgaduję, że niełatwo dostać ten twój nektar bogów.

— Ziarna kawy są importowane ze wschodniego kontynentu do miast portowych Luxy. Jeżeli już kupcy sprzedają je poza granicami cesarstwa, to po niesłychanie wygórowanej cenie.

— A ty oczywiście wszedłeś w ich posiadanie.

— Mój znajomy kupiec dostarcza je specjalnie dla mnie w zamian za niespotykane mikstury.

— Muszę koniecznie go poznać.

Nie uświadomił jej, że już doszło do owego poznania. Nie miał ochoty tłumaczyć przed nią Hasana.

— Zmykaj, strawa mi stygnie.

Zawahała się, a jej wzrok prześliznął się po jego zakrytej twarzy.

— Jedz, na zdrowie.

— Nie chciałabyś tego widzieć — wyrzucił na bezdechu, po raz kolejny zatrzymując dziewczynę w progu. — Straciłabyś apetyt na kilka dni, jeśli w ogóle zechciałabyś tu zostać. Mój przydomek wcale nie jest przesadzony.

Irvette wyszła bez słowa.

Wierzgnęła na prycy, zrywając się ze snu. Czoło miała zroszone potem, kosmyki włosów przyklejone do skóry. Oczy ciężkie, a członki jeszcze nieco odrętwiałe, serce biło jej szybko. Odetchnęła i przewróciła się na plecy.

Od czasu rozmowy z Namirem przez dwie kolejne noce śniły się jej koszmary. Większość z nich zapominała nad ranem, jednak tym razem niechciana mara pozostała w pamięci. We śnie widziała, jak czarny mag ściąga zasłonę, a spod niej wychyla się tylko ciemność: w jego głowie ziała czarna dziura. Wizja ta długo nie opuszczała jej myśli. Dziewczyna wykopała się spod koców i usiadła na łóżku w samej halce i pantalonach. Jakiś czas temu przestała już spać w odzieniu wierzchnim, pozbyła się też sztyletu spod poduszki. Ugłaskała włosy, ubrała się i jeszcze półprzytomna — wyszła, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Mieszkając w pustelni czarnego maga, nauczyła się wstawać dużo wcześniej, niż niegdyś miała w zwyczaju, jednak tym razem poranną pobudkę

okupiła zmęczeniem. Nie kwapiąc się do robienia niczego konkretnego, usiadła na ławce. Dzisiejszego ranka ciepłe powietrze znów uległo schłodzeniu, a nad ziemią unosiła się cienka warstwa mgły. Irvette narzuciła na siebie płaszcz.

Wkrótce pojawił się Namir, niósł znad stawu wiadra wody, którymi uzupełniał wielką beczkę przy ogródku.

Irvette przysypiała na siedząco, gdy niespodziewany ból zalał jej prawe ramię. Stłumiła wrzask i zaciskając zęby, przygarnęła rękę do siebie.

— Namirze!

Odwrócił się, gdy akurat trzymał jedno z wiader w górze. Gdy spostrzegł, co się dzieje, niemal je upuścił, choć ostatecznie odstawił pospiesznie na ziemię. Znalazł się przy niej nadzwyczaj błyskawicznie, pokonawszy wcale nie małą przestrzeń długimi krokami.

Przykucnął obok, rozczapierzoną dłonią zapał się o ławkę.

— Ręka! — warknął.

Wyciągała palące ramię, a on bez wahania zerwał z niej płaszcz telekinezą, po czym tym samym sposobem podwinął rękaw jej koszuli. Proces wyciągania skażenia rozpoczął się natychmiast, czarnej mazi było więcej niż zwykle i ból prędko stawał się nie do zniesienia. Zaciskała zdrową dłoń na krawędzi ławki, by utrzymać równowagę, stłumionym jękiem próbowała radzić sobie z cierpieniem w godny sposób, lecz nasilające się doznania wreszcie doprowadziły ją na skraj wytrzymałości.

Zebrało jej się na wymioty, w głowie zawirowało. Pochyliła się do przodu i prawie upadła, kiedy chwyciły ją ręce Namira. Natychmiast doświadczyła tego, co w chwili zbliżenia ich dłoni kilka dni temu. Wówczas jednak wrażenie trwało ułamek momentu, zdążyła tylko poczuć gorąco bijące przez skórę rękawic i ujrzeć truchła lizane czarnym ogniem przetykanym niebieską poświatą. Teraz, choć jakby przez tafelę szkła, aż jeden długi oddech patrzyła na rozrzucone wokół płonące ciała, całe ich chmary, niektóre jeszcze drgające w konwulsjach. Poczowała odór, który był nieporównywalny z żadnym innym. Nie po raz pierwszy ujrzała ludzi na progu śmierci, lecz jeszcze nigdy nie widziała ich tak wielu, na dodatek umierających w tak ponury czy okrutny sposób...

Zwymiotowała, gdy ręce puściły ją, a w zamian chwyciły siły telekinezy.

— Siadaj, siadaj.

Ledwo dosłyszała chrypliwy głos, kiedy niewidzialny napór zmusił ją, by zsunęła się na ziemię i oparła plecami o szeroką nogę ławki z kamiennej masy. Namir kontynuował wydobywanie z niej czarnych wstęg i choć wizja płonących ciał zniknęła, nadal pozostawała wypalona w jej świadomości. Zaciskała zęby, zawodziła, by uwolnić się od bólu, a potem już tylko spazmatycznie wciągała powietrze. Nie miała pojęcia, jakim cudem całe to kleiste świństwo zmieściło się pod jej skórą. Nie chciała tego wiedzieć...

Gdy znacznie bolesniejszy niż poprzedni proces się zakończył, nadal jeszcze trzęsła się na całym ciele, szcękając zębami. Oczy miała mokre od cisnących się łez, piekące. Ani jedna kropla nie spłynęła jednak na jej policzki.

Kiedy powoli odzyskała ostrość widzenia, ujrzała swoją zarzyganą koszulę oraz ramię, czerwone i spuchnięte od barku po nadgarstek. Namir był tuż obok, wsparty o ziemię jednym kolanem. Prawy rękaw powłóczystej szaty miał poklejony jej wymiocinami. Nie zdążył w porę zabrać rąk. Teraz obie srodze mu drżały.

— Wybacz mi — wychrypiał ledwo słyszalnie. Nie wiedziała, czy przeproszał za cierpienie, które zadał jej zabiegiem, czy za straszliwe wizje, których doświadczyła pod jego dotykiem. — Na bogów, wybacz mi.

Jeszcze nie doszła do siebie na tyle, by mu odpowiedzieć. Czarny mag dźwignął się do pionu. Bez słowa pospieszył do składziku, by po niedługiej chwili powrócić z misą wody, szmatką i niezbędnymi specyfikami.

Irvette sięgnęła po kawałek płótna, namoczyła je i wytarła z ust oraz szyi pozostałości rzygowin. Potem oblała odwarem kraniec materiału i zaczęła przecierać piekącą skórę ramienia. Namir bacznie się jej przyglądał, jego jasne oczy były przepelnione żalem.

— Nie powinienem cię dotknąć — wycedził ze złością na siebie. — Do demonów z moimi przeklętymi rękami!

— Próbowaleś mi pomóc... — wycharczała.

— Nie! Byłem za bardzo skupiony na wyciąganiu tego świństwa! Twoje omdlenie zbyt raptownie mi przeszkodziło, zareagowałem odruchowo —

pospieszył z wytłumaczeniem, po czym z frustracją złapał za odzianą w czepiec głowę. — *Moec'ha!*

W przeciągu paru chwil wzywał bogów, powoływał się na demony, a teraz jeszcze klął po tenarsku. Powiódł zgnębnym wzrokiem po jej uwalanej koszuli i jęknął, zrywając się ponownie na nogi.

— Namirze! — zawołała za nim. — To nie przez ciebie! To nie przez twój dotyk.

Oczy o różnym rozmiarze zmrużyły się w zdumiewającym wyrazie. Zza zasłony wy dostał się rozgoryczony ton:

— Nie masz potrzeby kłamać, Irvette. Zdaję sobie sprawę, czego doświadczyłaś. Zostawię cię samą, żebyś mogła o tym nie myśleć i w spokoju doprowadzić się do ładu.

Patrzyła, jak mężczyzna udaje się w stronę stawu szybkim krokiem. Gdy oczyściła ramię, zajęła się nakładaniem maści — opuchlizna zmniejszała się pod jej wpływem niesłychanie szybko. Pieczenie ustępowało. Gdy poczuła się na siłach, ściągnęła brudną koszulę i halkę, po czym oblała tułów wodą z wiadra, by pozbyć się nieprzyjemnego zapachu. Wśród wysychającego na sznurku prania znalazła ręcznik i świeże ubranie.

Namir zniknął z pustelni na cały dzień. Kiedy wrócił, akurat szykowała sobie wieczorną strawę. Nie odezwał się do niej słowem, a ona jakoś również nie miała odwagi.

Drinel poprawił schowany w materiałowym pokrowcu kostur. Ułamana część broni nadal była na swoim miejscu. Przeciskał się przez zatłoczoną alejkę miejską. Ludzie spoglądali na niego wrogo, zresztą tak samo jak tenare, którzy byli w Teglur dość częstymi gośćmi, jako że miasto to leżało blisko granicy z Caelterra. Pomacał badawczo sakwę uwieszoną u biodra.

Odkąd wiele dni temu wyruszył ze Świątyni Caitriony, krajobraz niewiele się zmienił. Widok czerwonych gór z ośnieżonymi szczytami oddalił się, lecz nadal królowały szkarłatne piaskowe tereny na przemian z wyschniętymi stepami. Teglur nie wyróżniało się za bardzo z tła surowego krajobrazu południowych krańców Vaspern. Miasto miało wąskie uliczki pełne

budowli z czerwonych cegieł wypalanych z gliny wydobywanej z niedalekich kopalni.

Drinel umknął w alejkę piekarzy, nie tak zatłoczoną jak główna ulica. Ściągnął plecak i wyszperał z niego pergamin z ryciną. Na naszkicowanej odręcznie mapce miasta Najwyższy Kapłan Caitriony zaznaczył krzyżyk wśród labiryntu wielu wąskich przejść. Mieszaniec skrzywił się, zwątpił... Ten starzec raczy sobie ze mnie żartować — pomyślał. Mimo wszystko cierpliwie studiował mapkę, szukając miejsca, w którym się obecnie znajdował. Udało mu się dopiero po wielu oddechach.

Zarzuciwszy na ramię plecak po brzegi wypełniony ekwipunkiem i upewniwszy się, że obie części broni ma dobrze zabezpieczone, wyszedł z powrotem na zatłoczoną ulicę. Mijał ludzi poubieranych w powłóczyste szaty w pastelowych kolorach i z chustami na głowach. Ciemnoskórzy kupcy z Luxy przepychali się z wózkami i ustawiali kramy gdzie popadnie, nie szcędząc przy tym krzyków i nawoływania. Ich skrzekliwy akcent drażnił Drinelowi uszy.

Im bliżej był celu, tym większe otaczały go tłumy. Przyciskał małą sakwę do biodra i co chwila dotykał uwieszonego na plecach kostura. Robiło mu się duszno, zaczynał się pocić, a z czasem okazało się, że czeka go jeszcze wystawanie w kolejce do świątyni Wyroczni.

Długa kolumna ludzi skręcała z głównej ulicy w wąską alejkę — kolumna ta trwała w niemal absolutnym bezruchu, utrudniając przechodniom swobodne przemieszczanie. Drinel z rosnącym poczuciem zniecierpliwienia zatrzymał się na jej końcu. Pocieszał go jedynie fakt, że kilkaset stóp przed nim, pośród zwykłych piętrowych budynków o płaskich dachach, pięła się w górę strzelista wieża świątyni. Umieszczony na jej czubku dzwon zadźwięczał głośno i kolumna ludzi drgnęła do przodu. Wyrocznia dopiero co zaczęła przyjmować klientów.

Minęły całe dwie świece, nim Drinel zbliżył się do wejścia. Słońce przypiekało niemal jak w samej Luksie. W niepełnej lekkiej zbroi mieszaniec odczuwał coraz większy dyskomfort, ale i tak planował przyodziać coś solidniejszego po wydostaniu się poza te przypalane gorącym ziemię. W tej

części Vaspersn ciepła temperatura utrzymywała się przez cały cykl, jej intensywność malała wyłącznie w określonych porach świecy.

Do wrót świątyni, niewiele szerszej od zbudowanej na planie kwadratu wieży, prowadziły wąskie schodki pokryte pęknięciami. Wzdłuż nich ustawiono pomniki wzniesione na cześć Calige, bogini ciemności. Mieszaniec przez moment przyglądał się wyrzeźbionej w brązowym marmurze kobiecie, po czym odszukał wzrokiem dużo większą podobiznę Mestyrii — stała we władczej pozie tuż przed samymi wrotami świątyni. Z powodu swojej przynależności do obu ras, a także po długich cyklach spędzonych na naukach Najwyższego Kapłana Caitriony — Drinel nie gardził żadnym z bóstw. Posiadał o nich wiedzę, która pozwalała dostrzegać łączące je podobieństwa.

U wejścia do świątyni czekało dwóch ludzkich strażników odzianych w lekkie zbroje, z połyskującymi szablami u boków i w czepcach z jasnej tkaniny. Jeden z nich zatrzymał Drinela stanowczym gestem.

— Stać! — zażądał. — Broń pozostawisz tutaj.

Mieszaniec bez pośpiechu odpiął skórzaną pochwę z mieczem o szerokiej klindze. Swoją wielką dłoń o zgrubiałej skórze podał broń strażnikom. Jeden z nich odłożył ją na ołtarz z brązowego marmuru — do wydrążonej, głębokiej niecki połowicznie wypełnionej złotymi oraz srebrnymi monetami i przykrytej brązową kratą. Drinel uśmiechnął się szeroko na widok oczekiwania i zmieszania na twarzach strażników.

— O co chodzi, chłopcy?

— Broń zostaje tutaj — powtórzył z uporem ten sam co wcześniej.

— Oddałem wam ją, czyż nie?

— Co masz na plecach?

— Nic wartego waszej uwagi. To tylko nadgryziony przez ząb czasu kostur. Nieporęczny jako broń, prędzej posłuży za laskę.

Obaj położyli dłonie na rękojeściach szabli.

— To my to ocenimy. Złóż broń albo zawracaj.

Uśmiech nadal trzymał mu się na ustach, chociaż na skronie wystąpił pot. Nie mógł pokazać im broni. Istniało zbyt duże prawdopodobieństwo, że już ją widzieli. Jeśli nie podczas pielgrzymek do świątyni Caitriony, to na rycinach

lub przy posągach. Powstałoby zamieszanie, posypałyby się pytania, możliwe, że uznaliby go za złodzieja. Może ktoś połasiłby się na wyjątkowy łup...

Ludzie tłoczący się w kolejce u podnóża schodów niecierpliwiili się. Słyszał szmery rodzące się za jego plecami. Sięgnął do mieszka z pieniędzmi uwiązanego obok sakwy kryjącej ułamany fragment broni. Odwiązał woreczek, wsadził w niego silną dłoń i wyciągnął garść migoczących monet.

— Jeśli wrzucę pełną garść numos do ołtarza, nikt nie zwróci uwagi, kiedy kilka zgarniecie dla siebie, racja?

Twarze strażników stwardniały. Ten, który do tej pory rozmawiał z Drinelem, wysunął szablę z pochwy, ukazując połowę ostrza. Ostrzegawczy gest sprawił, że mieszaniec westchnął głośno, zrezygnowany.

— Za próbę przekupstwa pod świątynią Wyrocni czeka cię sroga kara, mieszany kundlu.

— A jak postępujecie w przypadku dyskryminacji rasowej?

Szabla błysnęła — najpierw jedna, potem druga. Obie skierowały swe ostre czubki na szeroką pierś Drinela, na co ten uniósł ręce, nie przestając się uśmiechać. Mógłby tych dwóch ludzików rozbroić w paru chwytach — bez sięgania po miecz. Nasłuchując okrzyków zdumienia wśród cisnącego się nieopodal tłumku, rozważał, ile czasu zajęłoby straży miejskiej dotarcie do świątyni w razie zamieszek. Zanim przepchnęliby się przez gawieź, zdążyłby zapewne wycisnąć z Wyrocni potrzebne informacje...

Mosiężne wrota zaskrzypiały i wyjrzała zza nich twarz młodej kobiety z włosami upiętymi pod długą chustą. Na widok gotowych do ataku strażników jej oblicze ściągnęła trwoga.

— Wyrocnia cię oczekuje, panie — wybełkotała, spojrziała na Drinela krótko i schowała się z powrotem za drzwiami.

— Słyszeliście panią, chłopcy.

Mężczyźni bez przekonania opuścili szable, obaj zesli mu z drogi, choć nie byli wolni od wątpliwości. Kierując się do wejścia, Drinel wyciągnął dłoń po swój miecz spoczywający na ołtarzu. Bardziej gadatliwy strażnik zgromił go spojrzeniem.

— Spocznij, żołnierzu — rzekł rozbawiony mieszaniec. — Czy wszyscy w południowym Vaspern są twardzi jak fallus kochanka Mestyrii?

Ukontentowany rozgniewanymi minami strażników, popchnął drzwi świątyni i odczuł ulgę, dostawszy się wreszcie do środka. Malutka kobieta, która uratowała go z opresji, czekała w długim, wąskim korytarzu. Była w białej szacie sięgającej ziemi.

— Tędy, panie — wyszeptała z pochyloną głową.

Poprowadziła go do znajdującej się na krańcu korytarza pastelowej zasłony, która zlewała się kolorem z tkaninami wyeksponowanymi na ścianach. Odsłoniła kotarę i wpuściła go do wewnątrz.

Wnętrze niedużej kwadratowej izby miało podobny wystrój. Płótna były wszędzie dookoła, z sufitu zwisał okrągły lampion jarzący się czerwonym światłem. W centrum pomieszczenia znajdowały się stół i dwa krzesła o miękkich z wyglądu, lecz wytartych już obiciach. Na blacie stały świece w złotych uchwytych, tańczyły na nich płomyki. Dalej dało się zobaczyć zakręcające w górę schodki, najpewniej prowadzące na szczyt strzelistej wieży. To na nich czekała postać starca odzianego w podobną do kobiecej szatę, tyle że z połyskującego w świetle lampionu materiału. Siwa broda i postrzępione rzadkie włosy okalały pobrużdżoną twarz o ślepych oczach.

— Drinel z rodu Nigrasval — przemówił słabym głosem i podpierając się o szeleszczące od tkanin ściany, pospieszył do stołu.

Drżącymi pomarszczonymi rękami odsunął krzesło. Zaskrzypiało przesuwane po posadzce z czerwonych płyt wypalonych z gliny.

— Zgaduję, że moje miano dotarło do ciebie niesione na ustach wielu kobiet. — Mieszaniec uśmiechnął się pod nosem, przyglądając starcowi. — Czy też może powiesz mi, że spodziewałeś się mojej wizyty?

— Widzę jedynie to, co terazniejsze — odrzekł mężczyzna zniecierpliwionym tonem. — Pokaż mi broń Caitriony.

— O czym bredzisz, staruszkule? Nie mam przy sobie nic podobnego.

— Czyż nie o broń przyszedłeś wypytywać?

— Czyż nie widzisz jedynie terazniejszości?

— Zobaczyłem cię przed moją świątynią i ujrzałem, co dzierzysz. To wystarczyło, by wywnioskować, w jakim celu przybywasz. — Mimo bielma na oczach starzec wpatrywał się prosto w twarz Drinela.

Mieszaniec podrapał się po gładkiej brodzie w zamyśleniu, po czym sięgnął po pokrowiec spoczywający na plecach, uczepony do grubego rzemienia zarzuconego przez ramię. Ściągnął go z siebie i położył na stole, następnie odpiął od pasa sakwę.

— Połamana, tak jak mówią. Och, a jednak bije z niej moc — wyszeptał stary mężczyzna z ekscytacją. — Broń się budzi.

Nerwowo poruszał drżącymi rękami po stole, głaskał drewniany blat, splatał i rozplatał palce. Drinel przez moment lustrował starca, zastanawiając się, co z nim począć. Nie podobało mu się jego zachowanie, lecz uznał, że poczciwy Collen nie wysłałby go do Wyroczni, gdyby nie ufał, że ta potrafi dochować tajemnicy. Odsunął więc krzesło i usiadł na nim ciężko naprzeciw ślepca.

— Powiedz mi, gdzie znajdę Powiernika bądź Powierniczkę Broni.

Starzec wyciągnął dłonie do leżących na stole przedmiotów. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby uważnie się rozglądał — przechylał głowę niczym czujna wrona. Jednak jego zakryte bielmem ślepie nie poruszały się.

— Tam, gdzie nie można się zgubić, lecz odnaleźć.

— Rzeczywiście, to niesłychanie cenna wskazówka. Masz jeszcze jakieś, którymi mógłbyś się podzielić? — Mieszaniec sięgnął po stojący opodal świecy pucharek z pewnością należący do Wyroczni.

Powąchał zawartość. Kordiał z czarnego bzu — pomyślał z zadowoleniem i pociągnął długi łyk. Rozcieńczony z zimną wodą — był idealny na gorące dni. Napój nie przypominał wprawdzie tenarskiego suvis — słodkiego przysmaku wytwarzanego z miodu wielkich pszczół zamieszkujących gęste bory Caelterry — ale wystarczająco przyjemnie łechtał podniebienie, a do tego orzeźwiał.

— Twardy kostur, twarde serce. Jej serce mięknie dla niego.

— Oho, coraz lepiej. — Drinel zakolysał trunkiem w pucharku. Był rozczarowany usłyszonymi słowami. — Sądziłem, że dobrze wystawiam się w języku trzech królestw. Powiedziałem: cenna wskazówka.

— Cenna — powtórzył za nim starzec, a po jego spękanych ustach błąkał się chytry uśmiech.

Mieszaniec wychylił resztę rozcieńczonego kordiału i jeszcze raz wsadził dłoń do mieszka. Wyszperał kilkanaście monet, po czym ułożył je przed sobą w równym rządku.

— Od ciebie zależy, staruszk, jak szybko przepelni się niecka na ołtarzu. Zdążyłem już sprawdzić twoich strażników. Głupcy nie potrafią docenić wartości pieniądza. Ale ciebie to z pewnością ucieszy.

Pomarszczony mężczyzna łapczywie zagarnął monety, uniósł jedną z nich i włożył sobie między oddzielone szczerbami zęby. Gryzł ją i miętolił wargami, po czym wypluł do kubka, z którego chwilę temu pił Drinel.

— Nie wybrzydź, widziałem, że przyjmujesz tenarską walutę. No, to jak będzie? — ponaglił go mieszaniec. — Dowiem się czegoś więcej? Jej serce to znaczy... właściwie czyje? Serce kobiety? Mam szukać Powierniczki...? Za każdą nową informację dam ci tyle samo. Wiem, że lubisz moje monety.

Starzec poruszył się raptownie na krześle, aż zaskrzypiało, i ponownie wyciągnął ręce do broni. Wystający poza krawędzie blatu kostur niemal zsunął się na posadzkę, ale Drinel w porę chwycił trzon przez pokrowiec. Potem podsunął starcowi sakwę z ułamaną częścią broni i pomarszczona ręka Wyroczni kurczowo zacisnęła się na materiale.

— Słoneczne włosy. Ognista twarz... Caelterra. O'rior. Las... Dużo słońca w nieprzebytej ciemności.

Starzec wyrzucił z siebie słowa na bezdechu i zadygotał.

— Lepiej. — Drinel sięgnął po więcej monet i przytrzymał je na stole, przykrywając dłonią. — Wszystkie trafią do niecki. Mów dalej.

— Irvette Castire — przemówił starzec zachrypniętym głosem. — Zielarka w kryjówce potwora.

— Potwora...?

— Potwór z Damanor.

— Potwór z Damanor i ludzka dziewczyna razem na terenach Caelterry. Coś mi się wydaje, staruszk, że masz odwagę łąć mi w oczy. A to znaczy, że niecka zamiast się napełnić, zostanie co do ostatniej monety opróżniona.

— Nie jestem łgarzem, ty skundlona kreaturo! — rozsierdził się starzec, wyciągając ręce ku kryjącym pieniądze dłoniom Drinela.

— Nie tak szybko. Powiedz mi więcej o potworze.

— Potwór wymyka się moim oczom. Moja wizja sięga tylko dziewczyny.

Mieszaniec wyciągnął z mieszka kolejne kilka numos, zamknął je w dłoni z pozostałymi monetami i wyszczerzył się szeroko.

— Teraz sięga dalej?

— Caelterra, O'rrior, Las Nie Do Przebycia — powiedział zniecierpliwiony starzec. — Przebywają tam razem. Pytaj o nich zwierzchnika Silvaru, Randisa Silvan'al, zaprowadzi cię do potwora, jeśli będzie chciał.

— Jeśli będzie chciał. Założmy jednak, że nie przyjmie roli przewodnika i będę zmuszony liczyć tylko na siebie. Powiedz mi, jak wygląda ten potwór, bym mógł odszukać go w tłumie.

— Potwór unika tłumu, jak pomyoty cienia świętej ziemi Caitriony.

— Po czym mam go poznać? — Drinel dołożył do kopczyka monet następne srebrne okręgi.

Starzec otworzył usta, lecz zamiast słów wydobył się z nich żaloszny jęk przerażenia. Pomarszczone dłonie chwyciły krawędzie stołu, lecz wiekowy mężczyzna i tak przechylił się do tyłu, razem z krzesłem. Z trzaskiem upadł na twarde płyty posadzki.

Drinel podniósł się powoli i obszedł stół, by ujrzeć skulonego na ziemi starca, z członkami trzęsącymi się jak galareta i twarzą odmienioną strachem. Spękane wargi rozchyłały się i łapały powietrze. Ślepe oczy były szeroko otwarte.

— Bogowie, słodcy bogowie — zabelkotał. — Za zasłonę, nie patrz za jego straszną zasłonę!

Drinel zbliżył się do starca, przycupnął obok i złapał go za ramię.

— O czym ty mówisz, staruszk?

— Odejdź, odejdź! — Starzec strząsnął jego dłoń, sycząc i plując śliną. Odczołgał się na drżących ramionach i na czworakach zaczął wspinać po schodkach prowadzących w górę wieży. — Niech cię bogowie mają w opiece! I tę biedną dziewczynę, towarzyszkę demona!

Mieszaniec westchnął zrezygnowany i podźwignął się z kucek. Informacje, które otrzymał, musiały mu wystarczyć. Nie uważał, by zastraszenie Wyrocni mogło w czymkolwiek pomóc. Skoro jakieś ujrzone w myślach obrazy sprawiły, że stary stracił zainteresowanie pieniędzmi, z pewnością nie powiedziałby nic

więcej, nawet jeśli wykryć mu ramiona i zagrozić połamaniem kończyn. Drinel dobrze wiedział, że dla takich jak ten staruch moneta ma dużo większą wartość niż zdrowie czy nawet życie.

Zabrał ze stołu broń i pieniądze, po czym skierował się do wyjścia. Kobieta na korytarzu przycisnęła się do ściany, struchlała i unikała jego wzroku. Zatrzymał się i odwrócił do niej. Posłał jej szeroki uśmiech, od którego rozpląszczyła się na ścianie jeszcze bardziej.

— No, ślicznotko, liczę na to, że cokolwiek słyszałaś, nie wyjdzie to poza ściany tego budynku. Inaczej musiałbym cię znaleźć. A wierz mi: zapamiętuję takie piękne twarze.

Kobieta potrząsnęła głową ze łzami w oczach, a Drinel poklepał ją pociesznie po małej głowie i szepnął słodko do ucha słodkie: *vale!* Kiedy wydostał się na zewnątrz, bezceremonialnie chwycił pozostawiony na ołtarzu miecz i wrzucił do niecki tylko parę monet spośród tych, które obiecał Wyroczni. Resztę schował z powrotem do mieszka, potrzebował ich bowiem na zakup konia. Kiedy już znalazł się na schodach, poczuł na plecach napastliwe spojrzenia strażników, więc szybko uniósł dłoń na pożegnanie.

Wracał tą samą uliczką, którą przybył do świątyni. Musiał przeciskać się między kolumną ludzi a ceglаныmi ścianami. Gdy już wydostał się z dusznej ciasnoty i wychynął na zatłoczoną główną ulicę, przemierzył ją w poprzek, by jak najszybciej dotrzeć do jednej z rzadziej uczęszczanych alejek. Po drodze przypomniał sobie o pewnym zleceniu z czasów, kiedy był jeszcze najemnym zabójcą. To jedno zabójstwo, które na zawsze odmieniło jego życie, dokonało się w Tsetoh, mieście cesarskim Luxy, daleko za Szkarłatnymi Górami. Miasto na pustynnych terenach niewiele różniło się od Teglor, chociaż budowle były tam bardziej żółte niż czerwone, a posągi przedstawiały wyłącznie wizerunki Flammeth, luxańskiej bogini. Ludzie ubierali się podobnie, lecz skrzeczeli w tym swoim nieprzyjemnym języku i mieli płaskie nosy na twarzach o ciemnej skórze. Chłopiec, którego Drinel wtedy zabił, miał jaśniejszą karnację oraz oczy przepełnione szaleństwem...

Uśmiechnął się kpiąco do własnych myśli i momentalnie wyrzucił je z głowy. Należało skupić się na bieżącym zadaniu. Powierniczka Broni czekała

na niego w Caelterze, u boku jakiegoś potwora. Te informacje poprawiły mu nieco humor. Zdawało się, że czeka go dosyć ciekawe towarzystwo.

Zapytał jakiegoś przechodnia o drogę do portalu. Miał szczęście, że Wyrocznia znajdowała się w mieście posiadającym tę wygodną formę transportu. Z tego, co wiedział, w Vaspersn istniały cztery miejskie portale, z czego jeden w mieście królewskim, a pozostałe trzy oddalone wieloma milami na północ, wschód i południe — właśnie w Teglur. Mimo ich przydatności ludzie korzystali z nich z wielkim strachem. Do nieszczęścia wystarczyło zaklęcie aktywujące wypowiedziane z nieodpowiednim akcentem. Dlatego nawet ci, którzy posługiwali się tenarskim — a niekiedy sami magowie, których wszak uczono języka na akademii — woleli nadkładać drogi, niż ryzykować, że zostaną wyrzuceni w jakieś przypadkowe miejsce lub... rozpadną się na kawałki.

Wielka aparatura przypominająca lustro o kamiennych ramach znajdowała się w północnej części miasta, na podwyższeniu z czerwonych cegieł. Przez pobliską bramę wtaczały się tłumy ludzi, wozy i jeźdźcy, lecz przestrzeń wokół portalu była pusta. Drinel z ulgą rozprostował ramiona i stanął przed magicznym urządzeniem. Opierając dłonie po obu stronach kamiennej ramy, mlasnął kilka razy i odchrząknął.

— *Ter ersus Sabmons.*

Odczekał, aż lustrzana tafla rozjarzy się mdłym światłem i pofaluje, zmieniając swoją strukturę. Spojrzał w opalizującą srebrną energię i wziął głęboki oddech. Portal powinien przenieść go na zachód, do oddalonego o ponad dwieście mil Sabmons, miasta na terenach królestwa tenare. Stamtąd mógł przemieszczać się na północ kolejnymi portalami, których w Caelterze było rozsianych więcej niż gdziekolwiek indziej na kontynencie. Jak wiedział dzięki naukom staruszka Collena, jeszcze przed Wielką Wojną, zanim stosunki między dwiema rasami uległy diametralnemu pogorszeniu, tenarscy magowie nierzadko korzystali z pomocy magów z ludzkich akademii — już wtedy wspaniale prosperujących. Wraz z nimi wzniesli na terenach swojego królestwa niemało portali, które przyjmowały się na owych ziemiach wyjątkowo dobrze. Teraz, dzięki ponadprzeciętnej liczbie tych właśnie portali, Drinel mógł

znacznie skrócić czas swej podróży. Wiedział jednak, że w pewnej części królestwa będzie zmuszony wsiąść na grzbiet konia i przebyć na nim wiele mil.

Odrzucił wszelkie myśli, by przypadkiem nie zakłócić nimi działania delikatnego zaklęcia, zamknął oczy i z przekonaniem, że jego tenarski akcent oddał sens czaru doskonale, wkroczył w poświatę portalu.

Rozdział XI

Atmosfera była napięta. Mało ze sobą rozmawiali, a mężczyzna często ulatniał się z leśnej kryjówki, oczywiście nie informując jej, gdzie się wybiera. Choć już nie zadreżczała się gdybaniem, co też czarny mag może czynić podczas takich nieobecności, niepokoiła się. Niepokoiła o niego — co uzmysłowiła sobie z zaskoczeniem. Gdy wracał ze swoich wędrówek, zadawała mu pytania odnośnie do zielarstwa, a on odpowiadał ze znikomym entuzjazmem, nie patrząc na nią. Teraz to głównie ona pracowała przy stole i piecu, bez jego asysty. Żałowała, że nie może słuchać jego cennych wskazówek. Lekcje tenarskiego w ogóle się nie odbywały.

Nastała ostatnia faza pory deszczowej. Ciepło gościło na coraz dłużej, choć nadal trafiały się chłodniejsze poranki i wieczory, bo ciężkie chmury jeszcze od czasu do czasu przepływały po niebie. W ogródku wschodziły już pierwsze warzywa i Irvette przyłapała się na myśli, że wkrótce będzie mogła przygotowywać bardziej urozmaicone posiłki. Wallace'a nie widziała od dawna i mimo że jego wizyta nie miałaby teraz sensu, ubolewała nad tym, że nie może zobaczyć jego twarzy i wymienić z nim chociażby paru słów.

Akurat poila wierzchowca, gdy zerwał się ciepły deszcz. Poprowadziła zwierzę w osłonięte miejsce, sama też schroniła się pod drzewami porastającymi skraj polany. W zamyśleniu wdychała rześkie powietrze, wpatrując się w grube krople z szumem lejące się z nieba na odsłonięty teren leśnej kryjówki.

Szelest kroków usłyszała dopiero, gdy Namir znalazł się w odległości może kilku stóp. Kiedy chciał, umiał się bardzo cicho poruszać. Nie odzywał się.

— Zaniedbujesz swój obowiązek, Namirze — zaczęła z przekazem. — Czy nie powinieneś w miarę możliwości mieć mnie na oku? Co, jeśli

znajdziesz się zbyt daleko akurat, gdy wróci moje skażenie?

Dziwne oczy popatrzyły na nią bez wyrazu.

— Nie sądzę, żeby było to moim obowiązkiem, jednak bądź spokojna. Zdarza mi się być w pobliżu nawet wtedy, gdy nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Na to wyznanie przeszedł ją niespodziewany dreszcz. Kilka kropli z mokrych włosów spłynęło jej po karku.

— Czy od teraz mam cię brać również za dziwaka podglądającego niewinne dziewczyny?

— Nie widzę tu żadnej niewinnej dziewczyny. — Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął z niej bransoletę ze szmaragdów. — Mam coś dla ciebie.

— Namirze, przecież dałam ci ją w ramach zapłaty.

— Chciałaś, bym zaklął dla ciebie jakiś przedmiot. Zrobiłem to. Ta błyskotka i tak na nic mi się nie zda. Poza tym odpracowujesz swój pobyt tutaj, ślęczysz nad ogródkiem i miksturami.

— To nie jedyna kosztowność, która w tej pustelni nie może ci do niczego posłużyć, a jednak nie sądzę, byś miał ochotę je rozdawać.

Kiedy zbył jej komentarz milczeniem, zmrużyła podejrzliwie oczy.

— Jesteś pewien?

— Tobie bardziej się przyda — stwierdził.

Z ciekawości sięgnęła po błyskotkę, lecz Namir zatrzymał jej gest samym spojrzeniem.

— Wystaw rękę — zażądał.

Zrobiła, jak kazał, a on upuścił bransoletę na jej otwartą dłoń.

— Dwa słowa: *o'bex*, *abssede* — powiedział, po czym ruszył między drzewami ku nadal zalewanej przez deszcz polanie. Irvette wpatrywała się w jego plecy. Chciał uciec, znowu.

— Wracaj tu! — krzyknęła ze złością.

Namir przystanął i obejrzał się na nią zdumiony.

— Co niby znaczą *o'bex* i *abssede*? Pokaż mi, jak to działa! — poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wrócił do niej po chwili namysłu, zatrzymał się naprzeciw, w mniejszej odległości niż poprzednio.

— Najpierw ją załóż.

Wsunęła błyskotkę na lewy nadgarstek i poprawiła zapięcie, tak by ciasniej przylegała do skóry. Oczka szmaragdów migotały do niej mimo cienia rzucanego przez chmury i drzewa.

— Wypowiedz słowo aktywacji. *O'bex*. Gdy będziesz chciała przerwać jej działanie, posłuż się komendą *absse*.

Tak samo jak w przypadku Nexamu — pomyślała. — Jego też aktywowano z pomocą języka długowiecznej rasy. *Tenarski ma w sobie prastarą potęgę, tłumaczyła jej kiedyś babka, gdy Irvette narzekała, że musi uczyć się odczytywać receptury w obcym języku, zapisywano w nim receptury i zaklęcia od niepamiętnych czasów, królowie nadają w nim nazwy swym ziemiom, a nasi magowie wykorzystywali go na długo przed Wielką Wojną. Coś w jego brzmieniu sprawia, że magia jest silniejsza, dźwięk może mieć duże znaczenie.* Była wdzięczna losowi, że słowo aktywacji nie jest w jakimś starszym dialekcie, od którego popłatałaby sobie język.

Wzięła krótki oddech.

— *O'bex*.

Nic się nie stało.

Namir westchnął przeciągle.

— Źle zrobiłem, że odpuszczałem ci naukę tenarskiego przez ostatnie dni.

— Zamilcz. — Zamknęła oczy i spróbowała jeszcze raz: — *O'bex*.

Usłyszała cichy świst, a gdy rozchyliła powieki — ku swojemu zachwytowi ujrzała przezroczystą barierę na kształt wielkiej, owalnej tarczy, która przykleiła się do jej przedramienia. Istnienie bariery zdradzało tylko lekko pofalowane, drgające powietrze. Tarcza przemieszczała się wraz z ruchem jej ręki.

— Pamiętaj, że nie działa jak skrzynie i słoje w spiżarni — poinformował ją Namir. — Aktywowane zaklęcie będzie utrzymywać się przez jakiś czas, lecz nie nazbyt długi. Nawet jeśli nie odwołasz tej osłony, w końcu sama zniknie.

W zamyśleniu patrzyła na przezroczystą tarczę, którą na próbę się osłaniała.

— Jak wymagające było przygotowanie tego zaklęcia? — spytała.

Uniosła ostrożnie drugą rękę i dotknęła nią magicznej powierzchni. Palce oparły się o drgającą niewidzialną ścianę, którą teraz trzymała na wysokości

twarży. Widziała przed sobą pofalowaną postać Namira. Deszcz lał się na polaną kilkanaście stóp za jego plecami, pod drzewami było raczej sucho. Czarny mag niezgrabnie poruszył barkami.

— Niespecjalnie.

— Potrzebowałeś kilku dni. Ile świąc dziennie temu poświęcałeś?

— Niewiele.

Przez chwilę bacznie mierzyła go wzrokiem, po czym wypowiedziała komendę *abssede* ibariera w mig się rozproszyła.

— Na pewno mogę ją zatrzymać?

Namir pokiwał głową.

— Za kilka faz jej działanie się wyczerpie. Będziesz musiała znaleźć maga znajdującego się na zaklinaniu. Raczej nie trafisz na kogoś, kto potrafi posłużyć się telekinezą w ten sam sposób co ja, więc szukaj osobnika władającego żywiołem powietrza. Odnowi zaklęcie.

— Przecież już znam kogoś, kto może to zrobić.

Szerzej otworzył swoje dziwne oczy... To mniejsze, przymrużone, prezentowało się w takich momentach jeszcze straszniej.

— Na razie zadbajmy o to, byś mogła wkrótce opuścić to miejsce.

— Tak. — Odruchowo dotknęła ramienia, na którym po ostatnim ataku skażenia nie było już śladu. Wspominając zdarzenie, jakie miało wówczas miejsce, przybrała kamienny wyraz twarzy. — Namirze... Ostatnim razem...

— Nie ma o czym rozmawiać — warknął.

— Bzdura. Musisz zrozumieć, że nie było w tym twojej winy.

— W tym, że widziałas palące się trupy? Czy też w tym, że obrzygałaś mnie i siebie? Ja zgaduję, że jedno z drugim nierozzerwalnie się łączy.

Nie dała się wyprowadzić z równowagi, choć czuła wzbierającą irytację. Nie spuszczała z rozmówcy oczu. Przelknęła zbędne emocje.

— To była reakcja na ból skażenia, doskonale o tym wiesz. Czemu tak usilnie wmawiasz sobie nieprawdę? Tak bardzo pragniesz sobie urągać?

Jego napięte ramiona zdrząły widocznie, cała sylwetka jakby urosła.

— Ach, więc sobie urągam? Więc po prostu wszystko to sobie wymyśliłem, ubzdurałem? Mój dotyk wcale nie przynosi koszmarów na jawie? W takim razie pozwól, że dotknę cię ponownie.

Po pełnych goryczy słowach zbliżył się raptownie i wyciągnął ku niej dłoń w rękawicy. Wstrzymała oddech i wytrwała w miejscu. Z całych sił powstrzymywała chęć ucieczki. Rzuciła Namirowi milczące wyzwanie.

Zatrzymał rękę w odległości, w której wizje jeszcze się nie pojawiały, jego palce zadrżały nad jej ramieniem. W jasnych oczach różnego rozmiaru spostrzegła szok i strach. Zapewne spodziewał się z jej strony zupełnie innej reakcji.

— Śmiało — rzekła spokojnie i zbliżyła się.

Cofnął się gwałtownie i objął ramionami. Nim zdążyła cokolwiek więcej powiedzieć, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył na polanę. Ze zmieszanym patrzyła, jak idzie przez gęsty deszcz, by zaraz zniknąć za składzikiem.

Wallace odpoczywał na stopniu schodków prowadzących na trybuny. Jeszcze raz pociągnął wodę z bukłaka i z wyrzutem spojrzał na uśmiechniętą złośliwie dziewczynkę tenare. Nakręcała zielony kosmyk włosów na palec i patrzyła na Wallace'a z tryumfem. Jej zdolności telepatii sprawiały, że musiał dawać z siebie dwa razy więcej wysiłku niż zwykle. Przewidywała jego ruchy i żeby ją trafić, musiał być szybki jak wiatr.

Otarł usta i dźwignął się z miejsca, podnosząc drewniany miecz.

— Musisz uważać, gdy używasz telepatii — oświadczył, patrząc małej w oczy. — To z pewnością wyzwanie dla twojego przeciwnika, ale nie możesz tracić czujności.

— Jeszcze raz! — zawołała w odpowiedzi i tanecznym krokiem wstąpiła na plac.

Stanęli naprzeciw siebie w pozycjach do walki. Wallace zmierzył ją: oszacował wzrokowo, z jaką pewnością mała trzyma drewnianą broń, i uznał, że przez tych kilka dni naprawdę wiele się nauczyła. Była bardzo pojętna, właściwie niewiele musiał jej tłumaczyć, bo większość nauk sama czytała wprost z jego głowy. Z wielką precyzją naśladowała ruchy i techniki, o których w danej chwili myślał. Z rzadka udzielał jej wskazówek — wiedziała o nich, nim zdążył je wypowiedzieć. W tak krótkim czasie zaczęła władać ćwiczebną bronią w sposób, którego przyswojenie zajmowało nierzadko kilka cykli.

Skinął głowę i dziewczynka skoczyła do przodu, biorąc zamach. Zablokował jej broń, odepchnął i zrobił szybki wypad. Uniknęła go bez trudu, wykonała półobrót i wycelowwała w jego ramię. Ponownie sparował cios, kierując jej broń w ziemię. Mógłby ją teraz uderzyć łokciem w brzuch, ale powstrzymały go skrupuły, czego szybko pożałował. Dziewczynka użyła władzy nad ziemią, by poderwać fragment gleby pod jego prawą nogą, co sprawiło, że stracił równowagę i zatoczył się do tyłu. Wojowniczką nie zmarnowała tej okazji, i to ona wcisnęła mu łokieć pod żebra. Przettrzymał ból i odskoczył od niej. Natychmiast na niego z powrotem ruszyła...

Wymieniali cios za ciosem, a Wallace z trudem wykonywał ruchy na tyle szybkie, by wyprzedzały zdolności telepatii Nye'ry. Uderzenia, riposty i wypadki następowały po sobie jeden za drugim, do chwili gdy przestał obmyślać każdy ruch i zdał się na instynkt. Kiedy zrobiła unik, pewna, że jak zwykle go przejrzała, zupełnie odruchowo zmienił kierunek ciosu i młoda tenare dostała drewnianym mieczem w czubek głowy. Zamarła w osłupieniu — jak zawsze, kiedy udało mu się ją trafić, lecz tym razem kompletnie nie mogła uwierzyć w to, co właśnie się stało. Po chwili zrobiła naburmuszoną minę.

— To nie w porządku! Oszukałeś mnie!

Wallace nie krył uśmiechu, cofając ćwiczebną broń.

— Również oszukujesz, używając przeciwko mnie mocy, których sam nie posiadam. Musisz być gotowa na to, że...

— Przeciwnik nie zawsze będzie uczciwy — dokończyła, czytając jego myśli.

— A to, że dłubiesz mi w myślach, jest tym bardziej nie w porządku — zawyrokował, udając urazę. — Ile razy mam powtarzać, że nikt sobie nie życzy...

— By zaglądać mu do głowy?

— Nye'ra, w tej chwili przestań!

— Nie muszę. — Wytknęła język, po czym znów ustawiła się w pozycji do walki. — Jeszcze raz, więcej nie dam się oszukać!

Po kolejnej świecy potyczek, które Wallace nie bez wysiłku zwyciężał, udzielając dziewczynce reprimend za zbyt duże poleganie na telepatii,

a za małe na umiejętnościach i bacznej obserwacji, usiedli oboje na trybunach. Przyglądali się ćwiczącym na placu chłopcom. Dziewczynka komentowała ich techniki, zwykle z uniesioną brodą krytykując co drugi ruch. Kiedy powoływała się na jego treningi i wspominała, że uczył ją zgoła inaczej, nieznane mu wcześniej rozczulenie chwyciło go za serce. Dziewczynka przypominała mu Irvette z czasów, gdy oboje byli dziećmi. Chociaż przyjaciółkę zaczął wdrażać w sztukę szermierki dużo później niż Nye'ra, obie były jednakowo zawzięte. Przez długi czas sprzeciwiał się treningom Irvette, lecz wspominając bezbronność jej rodziców w obliczu napadu, ostatecznie zdecydował, że nauczy ją tyle, ile tylko będzie w stanie. Ograniczał ich przede wszystkim czas, jako że dziewczyna większość dnia poświęcała na doskonalenie sztuki zielarskiej i na walkę o odzyskanie zaufania ciremczyków, a gdy walka ta stopniowo zaczęła przynosić efekty — również na coraz uważniejsze nadzorowanie interesu. Jednak zadbał o to, by poznała podstępne ciosy, jakie mogła wyprowadzać przy użyciu swojego nożyka do ziół, a później również sztyletu — którego sporadycznie jej użyczał, gdy wybierała się daleko poza miasto. Wiedziała, czym są wypady, finty, riposty i zwody, lecz miał wielką nadzieję, że nigdy nie będzie zmuszona zastosować ich w rzeczywistej walce — pomimo że z krótkim mieczem też radziła sobie niezgorzej. Ojciec Wallace'a zaproponował nawet, by zaczęła szkolić się u jego mentora, ale mistrz szermierki zażądał podwójnej zapłaty, na co Irvette się nie zgodziła. Nie chciała, by wydawali na nią dodatkowe pieniądze, których już wtedy jej użyczali.

Dziewczynka zachichotała, dyndając odzianymi w wysokie buty nogami.

— Znowu myślisz o brzydkiej pani.

— Nye'ra... — Łypnął na nią z naganą.

— Wszyscy ludzie są brzydzy, ale ona jest najpaskudniejsza. Ma nos jak prosiak.

Wallace zmierzwił małej tenare czuprynę, na co prychnęła obruszona.

— Ty zaś masz uszy niczym koza.

— Nieprawda! Mam najpiękniejsze uszy! Wszyscy chłopcy na nie patrzą!

— Którzy? Mam im dać nauczki?

Znów zachichotała i spojrzała na plac ćwiczebny. Dało się z niego słyszeć okrzyki i uderzenia drewnianych mieczy. Unoszący się z ziemi kurz otaczał zmagające się w treningu sylwetki.

— Kiedy będę walczyć prawdziwą bronią? — zapytała dziewczynka. — Twój miecz jest dziwny. Dostanę taki sam?

Wallace dotknął rękojeści szabli. Dostał ją od swojego mentora. Ojciec sprowadził mistrza szermierki z miasta obok Szkarłatnych Gór, z południowej prowincji Vaspern. Teglugur było miejscem chłonącym z kultury Luxan, mieszkańców cesarstwa leżącego za górskimi pasmami. Mentor wsławił się we władaniu wytwarzaną na ich ziemiach bronią. Wallace również ją sobie upodobał, chociaż mistrz szermierki nauczył go posługiwać się wieloma rodzajami ostrzy: sztyletem, krótkim i długim mieczem, szpadą oraz nożem bojowym. Wallace'owi nigdy nie przeszkadzało prowadzenie rodzinnego interesu i uwielbiał zajęcia związane z bankowością, lecz to do szermierki pałał wielką miłością. Ojciec odkrył jego pasję, kiedy przyłapał go na zakradaniu się do miejskich koszar, gdzie podpatrywał trenujących strażników.

— Idealnie wyważona broń z waszej lekkiej tenarskiej stali, z wąską głownią w sam raz do precyzyjnego trafiania w szczeliny zbroi — odpowiedział dziewczynce z uśmiechem, na co jej duże oczy roziskrzyły się. — Zadbam o to, byś taką dostała. Co ty na to?

Pokiwała energicznie głową, uśmiechnięta.

— Ale pamiętaj — zaczął srogo, pochylając się lekko w jej stronę — że jako strażnik będziesz się marnować. Widziałbym cię raczej na stanowisku naczelnika fortu, a może nawet w samej gwardii królewskiej. Powinnaś mierzyć wysoko.

Nye'ra patrzyła na niego zachwycona i rozbawiona, a Wallace już nie dziwił się temu, jak dużo i szybko mała pojmuje. Dzięki swojej zdolności telepatii była niezwykle mądrym dzieckiem, a on jako świadek jej prędko rozwijających się umiejętności szermierskich — właśnie porzucał wątpliwości, które z początku żywił odnośnie do kobiety na wojskowym stanowisku.

Uwagę dziewczynki przykuło jakieś zamieszanie na placu. Wallace spojrzał w tym samym kierunku. Ledris kroczył u boku zwierzchnika i jeszcze jednego wysokiego, smukłego tenare. Jego sylwetka sugerowała, że jest magiem

tak samo jak zwierzchnik. Trener wykrzykiwanymi poleceniami ustawił starszych chłopców w szeregu, choć niektórych z nich — tych nieposiadających magicznych mocy — odesłał na trybuny wraz z młodszymi. Od razu przybiegli na miejsca obok Wallace'a i Nye'ry, przekrzykując się i przepychając.

— Spokojnie, chłopcy. — Dziewczynka popatrzyła na nich wyniośle niczym królowa. — Miejsca wokół mnie starczy dla wszystkich.

Wallace powstrzymał parsknięcie śmiechem. Kilka dzieciaków usiadło obok niego, obdarzając go wesołymi spojrzeniami. Stanowiło to miłą odmianę na ich poważnych, zbyt dorosłych twarzach. Jakiś czas temu przestali nim gardzić, a odkąd ćwiczył jedynie z dziewczynką, zdarzało się, że przychodzili do niego po wskazówki.

— Chylcie głowy, szczeniaki! Odwiedza was sam zwierzchnik Silvaru, Randis Silvan'al! — Na te słowa ustawieni w rzędzie młodzicy z szacunkiem pochylili głowy. — A wraz z nim Ierin, dowódca oddziału Strzegących pod Silvarem!

— Co się dzieje...? — szepnął Wallace do najstarszego z siedzących w gromadce chłopców.

Ten spojrział na niego jak na głupca, ale zaraz wygrała w nim chęć wykazania się.

— Dowódca jest tu, by wskazać najlepszych i zabrać ich do najgłębszych podziemi.

— Będą zabijać pomioty! — dodał inny, nerwowo poruszając się na kamiennym siedzisku.

— Tylko ci, którzy się nadają! — ofukał go starszy.

— Ty na pewno się nie nadajesz!

— Spokój! — Wallace musiał ich rozdzielić, bo rzucili się na siebie z pięściami i dosyć ostrymi wyzwiskami.

Tymczasem na placu rozpoczął się pokaz. Chłopcy kolejno występowali z szeregu, by prezentować swoje magiczne moce. Wallace mógł obserwować, jak wrywają kawały ziemi i wydobywają kamienie spod piasku, by potem ciskać nimi za pomocą telekinezy. Niektórzy tworzyli na ziemi pęknięcia, które wędrowały przez plac jak błyskawice po niebie, a inni sprawiali,

że wyrastały zielone pnącza. Tumany kurzu wznosiły się i opadały, a zwierzchnik i dowódca Strzegących pod Silvarem obserwowali bacznie. Gdy pokaz się zakończył, plac wyglądał jak pobojowisko — chłopcy otrzymali więc zadanie uprzątnięcia wyrządzonych szkód: łatali dziury w ziemi i usuwali pnącza, po raz ostatni prezentując swoje magiczne zdolności. Potem zaczęły się zmagania na miecze z błyszczącej stali. Ledris poustawiał starszych chłopców parami i na jego polecenie rozpoczęli potyczki.

Dzieciaki rozsiadłe na trybunach wokół Wallace'a komentowały z ekscytacją, przerzucały się uwagami na temat strategii walczących, ich oczy błyszczały. Nye'ra była wśród nich najgłośniejsza, i nadal przechwalała się wiedzą zdobytą podczas treningów. Wallace'a rozpieiała duma, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał.

Po wszystkim chłopcy znów ustawili się w szeregu, a trzech dorośli tenare odeszli na bok i oddali się rozmowie. Wallace zaobserwował, że najstarszy chłopiec towarzyszący mu na trybunach ma nietęgą minę. Jako jedyny nie podzielał entuzjazmu rówieśników.

— W czym problem? — zagadnął go.

— To głupie — mruknął młodziak tenare. Duże ciemne oczy zmrużyły się w gniewie. — W potyczce na miecze pokonałbym każdego z nich, a jednak nie mogę zaciągnąć się do Strzegących.

— Sam jesteś głupi, Eidrel — zawyrokowała Nye'ra, ignorując karcące spojrzenie Wallace'a. — Pomioty to nie przeciwnicy dla zwykłego żołnierza.

— A ty skąd wiesz? — parsknął tamten. — Widziałaś jakiegoś?

— Tak. — Uniosła hardo brodę, a pozostałe dzieciaki zaśmiały się w głos. — To prawda! Widziałam w głowie Strzegącego, nie tylko na rycinach!

— Akurat! Łiesz jak kundel, którym jesteś! Głupia sierota!

Wallace zdzielił chłopaka przez ucho, ale wyraz twarzy Nye'ry już diametralnie się zmienił. Jej rysy stwardniały i odebrały dziewczynce resztki dziecięcości. W oczach zagotowała się furia.

— Ojciec znów za mocno cię sprął, Eidrel? — zapytała zimnym tonem. — Znów słuchałeś, jak w nocy gwałci twoją matkę?

Wśród dzieci zawisła nieprzyjemna cisza, a upokorzony chłopak zacisnął pięści i zęby. Wallace wpatrywał się zdumiony w odmienioną dziewczynkę,

a jego ciało oblał chłód. Nigdy wcześniej nie wykorzystywała swoich zdolności telepatii w ten sposób.

— Nye'ra, co ci mówiłem...

— Ciebie też spłodził w taki haniebny sposób — kontynuowała, nie spuszczać lodowatego wzroku z Eidrela. — Widziałam w głowie twojej matki, kiedy ostatnio obserwowała cię z trybun. Wspominała tę noc ze wstrętem i patrzyła wprost na ciebie. Wolę być sierotą niż mieć matkę, która się mnie brzydzi.

Starszy chłopiec rzucił się na nią z pięściami, nim Wallace zdążył zareagować. Dziewczynka przewidziała jego ruch, uniknęła ataku i jej napastnik runął na ławę z kamiennych bloków. Pozostałe dzieciaki odskoczyły i zaczęły skandować imię małej tenare. Szybko zdobyła ich serca.

Młodziak poderwał się i ruszył na nią znowu, chciał chwycić ją za włosy, lecz zgrabnym ruchem złapała go za nadgarstek i wykręciła mu rękę za plecy. Zawył z wściekłością, pokonany przez drobniejszą i niższą istotę.

Wallace oprzytomniał, odsunął chłopców na swojej drodze. W chwili gdy dziewczynka przygwoździła Eidrela, wciskając kolano między jego łopatki, złapał ją za kołnierz skózanego stroju i odciągnął stanowczo. Wierzgnęła z prychnięciem, ale nie puścił jej. Wśród gwizdów i wiwatów pozostałej gromadki Eidrel dźwignął się na ramionach. Z jego szarej wargi kapła ciemna krew. Splunął pod nogi dziewczynki, która mierzyła go triumfalnie, po czym oddalił się z pochyloną głową — przy akompaniamencie śmiechów i kpiących okrzyków.

Wallace zgromił zadowoloną Nye'rę wzrokiem pełnym nagany. Ku jego zaskoczeniu mina jej zrzędła, a pozostali popatrzyli na nich z konsternacją. Szepcząc między sobą, zaczęli schodzić na niższe stopnie trybun, by z bliska przyglądać się zdarzeniom na placu. Wallace też na moment rzucił okiem w tamtą stronę. Trener stojący w towarzystwie zwierzchnika i dowódcy tłumaczył coś ustawionym w szeregu chłopakom.

— Nye'ra, nie wolno ci tak więcej postępować.

— Obraził mnie. — Opuściła głowę, patrzyła na stopy.

— Więc trzeba było wyzwać go na uczciwy pojedynek, w którym upokorzyłabyś go na właściwych zasadach. To, co zrobiłaś, było niegodziwe.

— Ty też się wściekasz, gdy straszny pan pozwala sobie na zbyt wiele.

Skóra mu ścierpła, a zaraz potem zrobiło mu się gorąco. Nie było wątpliwości, o kim mówi dziewczynka.

— Nye'ra, co widziałaś w mojej głowie? — Usiadł ciężko na ławie, mocno przelękając ślinę, by pozbyć się suchości w ustach.

— Straszego pana w lesie — wyszeptwała i objęła się długimi ramionami. W jej dumnych oczach zamigotał strach, lecz zaraz się z niego otrząsnęła. — Nikomu nie powiem.

Wallace przeczesał włosy palcami, po czym położył ręce na kolanach i lekko je zacisnął.

— Rozumiesz, dlaczego ci nie wolno, prawda? Ten straszny pan ukrywa się nie bez powodu. Gdyby ktoś się o nim dowiedział...

— Zrobi się zamieszanie, będą na niego polować i twoja brzydka pani będzie miała kłopoty.

Nie tylko ona — pomyślał z paniką. Gdyby wieść o czarnym magu rozniosła się po O'rrior, a mieszkańcy dowiedzieliby się, że zwierzchnik od wielu cykli pozwala potworowi przebywać w okolicy miasta, z pewnością zakwestionowałiby jego zwierzchnictwo nad prowincją Silvar. Plotki niosły się szybko, a obok informacji o czarnym magu nikt nie przeszedłby obojętnie.

— A ty wyzwiesz straszego pana na pojedynek? — spytała nagle Nye'ra, znów na swój tenarski sposób wesoła. — Żeby zwrócił ci twoją panią?

Wallace zdobył się na słaby uśmiech.

— To nie takie proste.

— Pani jest chora...

— Nye'ra, proszę, nie zgłębiaj więcej tej sprawy. Jeśli chcesz zasłużyć na prawdziwy miecz, bądź mądra i trzymaj się od tego z dala. Dobry szermierz powinien wiedzieć, kiedy zrezygnować.

Zrobiła nadąsaną minę, niechętnie pokiwała głową, po czym utkwiała wzrok w placu. Przez parę oddechów nie odzywali się do siebie.

— Powiedziałeś — wyszeptwała w końcu mała tenare — że powinnam mierzyć wysoko, że powinnam być naczelnikiem albo żołnierzem królewskiej gwardii. Myślisz, że mogłabym być także Strzegącą?

— Myślę, że możesz zostać, kim tylko chcesz.

Trener wezwał oglądających pokaz chłopców, by wrócili do ćwiczeń, a sam odszedł na bok w towarzystwie dowódcy Strzegących. Zwierzchnik tymczasem ruszył giętkim krokiem na trybuny.

Wallace poprosił dziewczynkę, by przez jakiś czas potrenowała z rówieśnikami. Zamyślony, długo odprowadzał ją wzrokiem. Zwierzchnik wkrótce stanął u jego boku i splótł dłonie za plecami.

— Panie Silvaru — przywitał go Wallace i skinął przy tym głową, ale nie podniósł się.

Tenare uśmiechnął się kącikami warg. Przemówił w języku trzech królestw, który tutaj, w O'rior, Wallace miał okazję słyszeć tylko z jego ust:

— Zdaje się, że dobrze się czujesz w swojej nowej roli, chłopaku.

— Można tak rzec, panie. Miałeś rację, twierdząc, że te dzieciaki urodziły się z walką we krwi. — Wallace zastanawiał się przez chwilę, czy nie wspomnieć zwierzchnikowi o tym, że Nye'ra odkryła jego tajemnicę, ale zrezygnował w obawie, że ten wyciągnąłby wobec niej lub niego konsekwencje.

— Możliwe, że to przez naszych dosyć pierwotnych przodków. Jak donoszą nasi uczeni magowie, na długo zanim nastąpiła nasza era, póki Mestyria nie zstąpiła do nas ze swojego królestwa, przekazując nam przy tym ogrom wiedzy, zamieszkiwaliśmy głównie jaskinie i polowaliśmy na ludzi niczym bestie. Jestem niemal w stanie pojąć waszą wrogość do nas.

— A jednak, jak mówi historia, na długo przed Wielką Wojną nasze rasy żyły w pojednaniu, do jakiego obecnej sytuacji w najmniejszym stopniu nie da się przyrównać.

Zwierzchnik milczał w zadumie, po czym skrzyżował ręce na piersi.

— Jeśli chcesz zobaczyć dziewczynę, musisz wybrać się do Namira sam — oświadczył półgłosem. — Będę miał teraz urwanie głowy z tymi dzieciakami i Ierinem. Podjęcie decyzji o tym, którzy z tych chłopców nadają się do czuwania w najgłębszych tunelach, może zająć kilka dni. Trafiają do Strzegących pod Silvarem, wolę mieć nad wszystkim pieczę.

Wallace poczuł zimne dreszcze na karku.

— Bez problemu dotrę na mokradła pod lasem, ale co dalej? Potrzebowałbym cudu, by odnaleźć drogę w tym przeklętym borze.

— Dam ci Nexam. Powiadomisz Namira o swoim przybyciu. Twój tenarski jest zaskakująco dobry, nie będziesz miał problemów z aktywacją zaklęcia. Ach, przy okazji, weźmiesz ze sobą suvis, butelkę lub dwie. Ulubiony trunek Potwora z Damanor.

Wyruszył na długo przed świtem, pełnia na czystym niebie oświeślała mu drogę. W duchu dziękował Mestyrii za blask księżyca tak silny, że Calige, bogini ciemności, zmuszona była rozwiać swój mrok. W okolicy lasu potwora dostał się późnym popołudniem.

Chociaż mógł skontaktować się z nim dużo wcześniej, dopiero teraz się na to zdecydował. Sięgnął do kieszeni odzienia powszechnego wśród mężczyzn tenare — barwionego na fiolet kaftana z wysokim kołnierzem i ostro zakończonymi połami. Krawiec z O'rior wzbogacił jego strój o wstawki z połyskliwego jedwabiu — specjalnie na jego zamówienie, które złożył zaraz po tym, jak w końcu udało mu się dogadać z bankierem odnośnie do wymiany waluty. Pluł sobie w brodę, że nie zadbał o kwestie pieniężne jeszcze w Cirem, lecz był wtedy tak przejęty sprawą Irvette, że w paru kwestiach nie wykazał się logicznym myśleniem.

Wyciągnął amulet i przez ściśnięte gardło wypowiedział słowo, które miało wytworzyć połączenie z drugim, znajdującym się najbliżej Nexamem:

— *Seremo*.

Kulka rozjarzyła się słabym światłem. Stało się. Teraz pozostawało poczekać, aż druga strona zaakceptuje połączenie. W napięciu wpatrywał się w magiczny przedmiot, aż wreszcie blask zwiększył swoją intensywność i przemówił z niego zdeformowany głos:

— Randis, jak miemam. Przybywasz na próżno.

Wallace'a momentalnie zdjęła trwoga.

— Tu Wallace — sprostował szybko. — Co z Irvette?

Długa chwila ciszy pozbawiła go oddechu.

— Wracaj do O'rior, Bernett. Dziewczyna nadal musi u mnie zostać. Nie zabierzesz jej.

Jego dłoń mimowolnie ścisnęła łańcuch amuletu.

— Nadal nie zdołałeś jej pomóc, potworze?

— Nie. Sam ją odeślę, gdy będę mieć pewność, że jej skażenie więcej się nie pojawi. Zabieraj się z powrotem.

— Nie licz na to. Czekam już w cieniu twojego przeklętego lasu. Chcę ją zobaczyć.

— Nie ma takiej potrzeby.

— Chcę wiedzieć, że jest cała i zdrowa.

— Będziesz mi musiał zaufać.

Te sarkastycznie brzmiące słowa Namira wzbudziły w Wallasie gniew, lecz gdy już miał wybuchnąć, ze szklanej kulki znów dobiegły głosy:

— Co ty wyprawiasz...? Wallace! — wykrzyknęła Irvette.

— Iv! Kamień z serca! — Odetchnął głęboko i przelknął jeszcze gotującą się w nim złość. — Wszystko z tobą w porządku?

Usłyszał świst, jakby amulet przeszybował w powietrzu.

— To ja prowadzę rozmowę, uparta dziewczyno.

— Sprowadź go na pustelnię — padły stanowcze słowa. — Musimy mu powiedzieć o naszych podejrzeniach.

— Podejrzeniach...? — Serce Wallace'a zabiło szybciej.

— Minie świeca, zanim przedrę się przez las w jedną tylko stronę. Wiesz, że nie mogę na tak długo zostawiać cię samej — upomniął ją Namir.

— W takim razie pójdę z tobą. — Iv była kategoryczna.

— Czemu mielibyśmy się fatygować? Niech Bernett sam do nas przyjdzie, jeśli trafi. Możemy zacząć obstawiać, jak szybko zgubi drogę.

— Jeśli w tej chwili po niego ze mną nie wyruszysz, sama się wyprawię — zagroziła Namirowi.

— Ależ śmiało. Problem w tym, że nie rozwiesiłem łapaczy snów po całym lesie. Możesz sobie co najwyżej pospacerować do stawu i z powrotem — odciął się czarny mag.

Wallace przysłuchiwał się ich zażartej wymianie zdań, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

— Gościłeś już przecież Wallace'a w swojej kryjówce — odezwała się znów Irvette, tym razem już ze spokojem. — Czemu teraz stanowi to taki problem?

— W obu wypadkach wprosił się tu razem z Randisem.

— Nawet jeśli, za drugim razem przystałeś również na to, by obaj przenocowali. Dlaczego dzisiaj nie chcesz u siebie Wallace'a?

— Ach, więc o to chodzi. Liczysz na to, że pozwolę mu zostać na noc, żeby umiłał ci czas?

— Ty gburze, zbereźna świnio, skończ z tym wreszcie! — krzyknęła od nowa ze złością.

— Mam suvis — wydusił pospiesznie Wallace, chcąc jakoś wtrącić się w tę niekończącą się kłótnię.

Zapadła cisza, a chłopak zorientował się, że zwilgotniały mu dłonie. Cały czas zamartwiał się tym, co potwór mógłby zrobić Irvette, kiedy straciłby cierpliwość do jej temperamentu...

— Wspaniale, Bernett — wydobyło się wreszcie z amuletu. — Zostaw je pod lasem.

Wallace nerwowo przełknął ślinę — złość mieszała się w nim z troską o los przyjaciółki.

— Dostaniesz je, gdy zobaczę się z Irvette.

— Wystarczy! — oznajmiła dziewczyna. — Nie pozwolę wam się o mnie targować. Wyruszam w tej chwili. Namirze, twoje groźne łypnięcia dawno przestały robić na mnie wrażenie. Jeśli chcesz mnie zatrzymać, sugeruję użyć telekinezy.

Ze szklanej kulki do uszu Wallace'a najpierw dotarło coś jakby odgłos kroków, a potem przeciągłe, zirytowane westchnienie, którego brzmienie postawiło mu włoski na ramionach.

— Do demonów z waszą dwójką. Nie wiem, które z was jest bardziej uciążliwe. Wyczekuj sygnału z Nexamu, Bernett. Jeszcze się odezwę.

— To nie będzie to samo, co dostanie się do stawu — uprzedził ją Namir, zanim wyruszyli, i prędko pojęła, co miał na myśli.

Tak jak w drodze do stawu — teraz również liczba drzew najpierw rosła łagodnie w miarę oddalania się od polany, ale zaraz skoczyła tak gwałtownie, że utworzyła jak gdyby drzewny mur jedynie ze szczelinami umożliwiającymi przedzieranie się dalej. Jednak staw mieścił się zaledwie trzysta jardów od pustelni, więc tamtejsze konary nie sięgały tak wysoko, a między płataniną

liści przemykało więcej promieni słońca. Głębiny lasu, które przemierzali obecnie, były natomiast zdecydowanie mroczniejsze — drzewa wyższe, ich pnie masywniejsze. Ciernista roślinność wila się ciasno, przez poszycie z gęstego mchu przebijały ogromne korzenie. Wszystko to sprawiało, że Irvette czuła się niesłychanie zagubiona, a uporczywe rozglądanie się w półmroku przyprawiało ją o zawroty głowy. Bardzo szybko straciła orientację, z której strony wybyli...

Namir kroczył przed nią, z rzadka oglądając się za siebie. Szedł wolno. Nie odzywał się słowem. Pilnowała się, by ciągle mieć go w zasięgu wzroku; by mieć pewność, że nie zniknie jej za drzewami, gdy ona na moment się odwróci — a przed tym nie mogła się powstrzymać, kiedy zewsząd otaczał ją tak niesamowicie groźny widok. Raz niemal wdepnęła w gniazdo jakichś naziemnych stworzeń — stale musiała uważać, jak i którędy stąpa. Było raczej cicho, sporadycznie gdzieś wysoko skrzeczały jakieś ptaki. Na pniach i korzeniach rosło trochę nadrzewnych grzybów, ale w tej chwili błądziła myślami zbyt daleko, by się nimi szczególnie zainteresować.

Czas się dłużył, a oni po prostu kroczyli przed siebie w milczeniu. Do sakwy u pasa Namir wpakował niezbędne specyfiki, w razie gdyby skażenie Irvette wróciło. Wkrótce zaczął się zdawkowo odzywać, ale tylko po to, by nawiązać połączenie z Wallace'em przez Nexam i ustalić z nim, w którym dokładnie miejscu pod lasem mają go szukać. Gdy przyjaciel nalegał, by dała znać, że nie dzieje jej się żadna krzywda, czarny mag jedynie wyciągał na bok rękę. Nie zatrzymywał się, nie czekał, aż Irvette zbliży się do niego. Musiała więc podnosić głos, by jej słowa sięgnęły amuletu w jego dłoni. Cały czas miała wrażenie, że coś między nimi wisi, jakieś niewypowiedziane słowa, których nie potrafiła odnaleźć — i Namir najwidoczniej także tego nie potrafił.

Bez możliwości zerknięcia na słońce czy posłużenia się odmierzaczem miała trudność z ocenieniem, ile czasu minęło. Jednak gdy ostatecznie zaczęli się przebijać do krańca lasu — o czym Namir powiadomił ją w raptem kilku słowach — doszła do wniosku, że musieli podróżować dłużej niż świecę. Domyśliła się, że w pojedynkę czarny mag przecinał ten bór znacznie szybciej.

Pomału uświadamiała sobie, że za chwilę wydostanie się spod między potwornych, otumaniających drzew, by ujrzeć mokradła i rozległe równiny

za nimi, a wtedy do głowy wkradła jej się myśl, że tak właściwie znajdzie się zaraz na granicy dwóch światów.

Kiedy z lasu wyłonił się Namir, Wallace przeraził się, że potwór zostawił dziewczynę gdzieś po drodze albo — co gorsza! — że jednak uczynił jej krzywdę i teraz zamierza po prostu dopaść kolejną ofiarę. Ale Irvette wyszła na zbocze niedługo za czarnym magiem. Odrobinę niepewnie stąpała wśród pnączy i korzeni, rozglądała się. Chłopakowi zajęło chwilę, by pokonać paraliżujące uczucie strachu, które budził w nim widok sunącej z wolna czarnej sylwetki, a pomogła mu w tym właśnie jego przyjaciółka: ujrawszy go, przycisnęła kroku, wyminęła straszną postać i teraz zmierzała ku niemu z delikatnym uśmiechem na twarzy. Wszedł jej naprzeciw, czując, że przejmują nad nim kontrolę zupełnie inne emocje. Przygarnął ją do siebie w silnym uścisku, nim zdążyła zaprotestować. Poklepała go lekko po plecach.

— Cała i zdrowa — wyszeptał, a kiedy odsunął ją od siebie, kiedy spojrzał na znajome piegowate oblicze, za którym tak bardzo tęsknił, zupełnie już nie mógł nad sobą zapanować.

Drgnęła, gdy pochwycił ją za policzki, i cofnęła się tuż po tym, jak szybko i krótko pocałował ją w usta. Nie wiedział, jak odebrać konsternację, którą wywołał w niej swoim gestem i pocałunkiem. Z pewnością tego się po nim nie spodziewała. Nie miał jednak szans na rozważenie, czy jej oszołomienie podszyte było niechęcią, czy raczej onieśmieleniem, raptem bowiem zarżał czekający nieopodal wierzchowiec. Wallace zorientował się, że Namir — jeszcze oddech temu będący jakies dwa długie kroki od nich — jest na wyciągnięcie ręki od pleców Irvette.

— Moje *suvis* — oznajmił chrypliwym głosem.

Dziewczyna z wolna odsunęła się na bok. Wallace jeszcze czuł ślad pocałunku na swoich wargach, jeszcze do niego nie docierało, co takiego uczynił.

— Dostaniesz je, jak tylko wprowadzisz mnie na swoją pustelnię — odparł ze zmieszaniem, z oporem spoglądając potworowi w różnego rozmiaru oczy.

Te zmrużyły się, a Wallace spróbował w myślach przypisać do tego spojrzenia upiorny uśmiech, ale... szybko podziękował w duchu bogom, że jego

wyobraźnia nie sięga aż tak daleko.

— Dostanę je teraz. Zobaczyłeś się z dziewczyną, jak chciałeś. Do swojego domu nie mam zamiaru cię wpuszczać.

— Co takiego? — wydusił.

— Nie ma najmniejszej potrzeby, byś po raz kolejny wpraszał się na moją ziemię. Irvette zaraz wyjaśni ci, co jej dolega, po czym wzbogacony o tę wiedzę wrócisz do O'rior. Możesz podziękować Randisowi za podarunek w moim imieniu.

Dziewczyna podparła się pod boki.

— Namirze... — Jej głos był chłodny. — Powziąłeś już przecież decyzję. Czemu nagle ją zmieniasz?

— Nie przypominam sobie, bym chociaż raz stwierdził, że przeprowadzimy tego błazna przez mój las.

— Po co więc tu jesteśmy?

— Po moje suvis. Chciałem odebrać dostawę osobiście.

Wallace poczuł, że gotuje się w nim wściekłość, ale nim zdołał jakkolwiek zareagować, Irvette pociągnęła dyskusję:

— Wallace przejechał szmat drogi, zrobił to ze względu na mnie. Należy mu się strawa i nocleg.

— Możesz go ugościć tutaj, skoro tak bardzo ci zależy.

Zielone oczy dziewczyny przybrały lodowaty wyraz — jawiła się w nich silna determinacja.

— Chcesz tego czy nie, Wallace idzie ze mną — rzekła sucho.

Odwróciła się do niespokojnego gniadosza, chwyciła za wodze i zaczęła prowadzić wierzchowca ku zbocz. Potwór patrzył za nią bez słowa, ręce miał skrzyżowane na piersi. Wreszcie jednak westchnął, znowu wydając z gardła ten nieprzyjemny, skrzekliwy dźwięk, po czym przeszył Wallace'a wrogim spojrzeniem.

— Jutro wyruszasz skoro świt — oświadczył szorstko.

Prowadził ich przez mroczny las w milczeniu, kroczył między drzewami z wprawą i pewnością, bez wahania obierał kierunki. Wallace'em zaś trzęsło zimno i dręczyło nieustające poczucie zagubienia. Wiedział jednak,

że to nie wpływ boru powoduje, że jego wierzchowiec ociąga się i szarpie wodzami, które przezornie odebrał od Irvette już na początku drogi.

By jakoś umilić nieprzyjemny czas wędrówki, opowiadał dziewczynie o O'rior, o żyjących tam tenare i ich zwyczajach, o surowych budynkach, ale i leśnych drzewach rosnących dokoła miasta, częściowo stapiających się z jego murami. Opowiedział jej o koszarach i własnym udziale w treningu dzieciaków, a także o Nye'rze — choć przemilczał wyjątkowe zdolności swojej uczennicy.

Gdy już znaleźli się w przeklętej kryjówce potwora, przywiązał swojego gniadosza nieopodal siwka Irvette i z niechęcią sięgnął do juki po dwie butelki suvis przezornie owinięte płótnem. Ledwo się odwrócił, a zostały mu wyciągnięte z rąk siłą telekinezy. Rzucił Namirowi ostre spojrzenie, lecz bardzo krótkie — nadal nie dawał rady patrzeć na niego tak śmiało jak Irvette.

O podejrzeniach wobec dolegliwości przyjaciółki dowiedział się, gdy przyrządziła strawę i spożywali ją wspólnie przy stole w chacie. Przez całą przeprawę jakoś nie miał ochoty poruszać tego tematu, obawiając się odpowiedzi. Te okazały się nie tyle przerażające, co niewiarygodne. Trudno mu było wyobrazić sobie, że w Irvette mogłyby się przebudzić magiczne moce. Sama mówiła, że ani ona, ani Namir niczego jeszcze nie przesądzają, chociaż to jedyny trop w sprawie jej choroby. Powiedziała też, że więcej dowiedzą się dopiero po wyciągnięciu z niej całego schorzenia. Drażniło Wallace'a, z jaką łatwością dawała wiarę słowom tego potwora. Gdy zaś stwierdziła, że chce się udać za potrzebą, nie omieszkał rozejrzeć się po chacie.

Opróżnione naczynia i cynowy pucharek, od którego było mocnym aromatem, jakiego nie potrafił rozpoznać, już wcześniej rzuciły mu się w oczy. Podobnie jak mózdzierz woniejący substancją zastępującą atrament. Na kołku wystającym przy drzwiach wisiał płaszcz dziewczyny, na zasłanym kocami łóżku leżały notatnik i sterta luźnych arkusików pergaminu wypełnionych drobnym pismem. Oprócz informacji dotyczących się ziółarstwa notatki zawierały rzędy słówek tenarskich zapisanych wraz z wymową. Przy wertowaniu kolejnych kartek zauważył notatki o kolokwincie i miksturze zapobiegającej brzemienności. Przypomnił sobie sytuację sprzed wielu dni, kiedy Namir zdenerwował Iv żartami właśnie o tym specyfiku, który

to przygotowali razem, i krew zawrzała mu w żyłach. Chwycił za poduszkę i — zgodnie ze swoimi obawami — odkrył brak sztyletu.

Wybiegł wściekle na podwórzec obłany półmrokiem nadchodzącego zmierzchu, chcąc czym prędzej odszukać przyjaciółkę, by nawypominać jej, jaka jest lekkomyślna. Jednak zatrzymał się na widok zamaskowanego pracującego przy stole. Nagle uznał, że to z nim powinien się rozmówić. Szybko przemierzył dzielącą ich odległość i stanął nieopodal kamiennego kręgu na ognisko. Namir nie zareagował.

Wallace poczuł, że jakiś mięsień drgnął mu bezwładnie na twarzy. Złość przejmowała nad nim kontrolę, ale nie zamierzał jej pohamowywać. Była przecież słusznie ukierunkowana!

— Muszę z tobą pomówić, Potworze z Damanor.

Tak jak przewidział: użycie przydomka obudziło uwagę zamaskowanego. Mimo że nie zerknął na Wallace'a chociażby przez ramię, zaprzestał pracy, wyprostował plecy.

— Czego chcesz, Bernett?

— Iv podzieliła się ze mną opowieścią na temat waszych, a może powinienem raczej rzec: twoich podejrzeń. Rzekomo zostało nałożone na nią zaklęcie blokujące. Rzekomo ktoś lub coś powstrzymuje jej magiczne moce.

— Póki co: trudno stwierdzić, czy w ogóle je posiada. Lecz rzeczywiście istnieje taka możliwość.

— Tak — wycedził — to również mi wyjaśniła. Póki nie wydobędziesz z niej całego skażenia, nie dowiecie się, czy twoje podejrzania są słuszne.

— Owszem.

— Ile czasu musi minąć po wyciągnięciu tego świństwa, żebyś stwierdził, że więcej nie powróci?

— Trudno powiedzieć.

— Jeśli już pozbędziecie się go na dobre, ile czasu będzie musiała tu zostać, byś mógł stwierdzić, czy posiada magiczne moce?

— Trudno powiedzieć.

W tej chwili nad myślami Wallace'a zapanowały najpaskudniejsze podejrzania, których nie potrafił wyrzucić z głowy. Powróciły do niego sny, które co rano zapominał. Odżyły, wyłoniły się z zakamarków pamięci.

— Za bardzo chcesz ją przy sobie zatrzymać, potworze.

Zamaskowany odwrócił się z wolna. Jasne oczy popatrzyły na niego bez wyrazu.

— Celowo przedłużasz jej pobyt, zgadza się? — ciągnął Wallace, nie potrafiąc zatrzymać natłoku koszmarnych obrazów. — Czego od niej chcesz? Czy już próbowałeś zaspokoić to, czego brakowało ci przez ostatnie samotnie spędzone cykle?

Namir wykonał w jego kierunku gwałtowny krok i Wallace nie powstrzymał ciała przed obronnym odruchem. Cofnął się, dobywając szabli. Potknął się o kamienie kręgu, a krew odeszła mu z twarzy, ale uniósł ostrze, sztychem wskazując na zamaskowaną twarz.

— To dlatego mnie tutaj nie chcesz, zgadza się? Pragniesz mieć ją tylko dla siebie. Jaką mogę mieć pewność, że już nie położyłeś na niej swoich rąk? I tak wystarczająco zatrważający jest fakt, że patrzysz na nią tymi nieludzkimi oczami.

— Schowaj ten tępy kawałek stali i skończ się ośmieszać — polecił Namir.

Jego jasne ślepia były przeraźliwie puste, jednak czaiło się w nich coś nie do opisania. Coś, co sprawiło, że kolana Wallace'a poczęły niekontrolowanie drżeć...

— Wallace! Co ty wyprawiasz...?

Usłyszawszy głos nadbiegającej dziewczyny, raptem przypomniał sobie o tym, jak niegdyś Namir telekinezą zatrzymał ostrze jego szabli w pochwie. Teraz dał mu szansę na zdobycie broni, nawet nie próbował go powstrzymać. Chciał tego — pomyślał, czując, jak na skronie występuje mu pot — chciał, by to zobaczyła.

Ręka także mu drżała, gdy opuszczał szablę. Dziewczyna już była tuż przy nim — ewidentnie zagniewana, oczekująca wyjaśnień.

— Bronię jedynie twojego honoru, Iv — pospieszył z wyjaśnieniem.

Zrobiła wielkie oczy, minę miała dziwną.

— Mojego czego...?

Zdołał jedynie zaczerpnąć powietrza, szykując się do odpowiedzi, gdy raptem dziewczyna zgięła się z bólu, jęknąwszy przy tym. Kucnęła na ziemi, przycisnęła rękę do siebie. Dopadł do niej od razu i pomógł usiąść

na trawie, podtrzymując jej plecy. Nie chciał jej teraz sadzać na wysokiej ławce.

— Ręka, już — usłyszał schrypnięte warknięcie.

Obrzucił zamaskowanego wrogim spojrzeniem, lecz dziewczyna posłusznie wyciągnęła rękę, a jej mankietem błyskawicznie szarpnęła moc telekinezy. Wallace skrzywił się na widok ekspansywnie rozrastających się pod skórą plam, gęstszych i ciemniejszych niż te, które kiedykolwiek miał okazję widywać.

— Nie puszczaj jej. — Namir kucnął u prawego boku dziewczyny i wyciągnął odziane w rękawice dłonie nad skażenie.

— Nie mam zamiaru — odburknął Wallace.

Jednak gdy w trakcie zabiegu czarna maź wydostawała się przez powstające w ciele Irvette otwory, a jej usilnie tłumione pojękiwania mroziły mu krew, Wallace musiał walczyć z chęcią odsunięcia się od tego makabrycznego widoku. Ręce trzęsły mu się z bezsilności. Mógł tylko przyglądać się jej cierpieniu, powstrzymując się przed rzuceniem się na Namira z szablą. Tracił jasność, do jakiego stopnia zamaskowany jej pomaga, a od jakiego jedynie sprowadza na nią większy ból.

Nie był w stanie stwierdzić, ile czasu upłynęło, kiedy w końcu przyjaciółka zwiotczała w jego ramionach, oddychając płytko. Jej ramię było czyste od czarnej magii, jednak zaczerwienione, spuchnięte i pełne śladów po otworach. Pokonał ogarniające go obrzydzenie i przygarnął ją do siebie w delikatnym uścisku. Sapnęła cicho i schowała twarz na jego piersi. Głaskał ją po włosach i tylko kątem oka zaobserwował, jak milczący Namir oddala się od nich.

— Już dobrze, Iv — wyszeptał kojąco Wallace. — Spokojnie, nie jesteś sama. Bogowie, ten potwór...

— To nie jego wina — wystękała słabo, próbując się od niego odsunąć. — Gdzie on jest?

Wallace znów ujął jej drobną twarz i popatrzył w półprzytomne oczy. Jej wzrok gdzieś błędził, szukała czegoś, kogoś...

— Jestem. — Namir ponownie znalazł się obok, głos miał nieswój.

Przykucnął, na ziemi obok położył płócienną szmatkę, a na niej postawił fiolkę i puzderko. Irvette odepchnęła się lekko od piersi Wallace'a, lecz on nadal nie wypuścił przyjaciółki z objęć w obawie, że osłabnie i upadnie.

— Zajmij się nią, Bernett. — Potwór wyprostował się, popatrzył na nich z góry.

— Namirze...! — zawołała dziewczyna zmęczonym głosem.

— Nie teraz, Irvette. Doprowadź się do ładu i odpocznij.

Kiedy patrzyła za nim, jak odchodzi w las, Wallace już wiedział, że dzisiejszej nocy znów nawiedzą go paskudne koszmary.

Choć Irvette nie liczyła, że Namir na to przyzwoli, zaproponowała Wallace'owi rozłożenie śpiwora w chacie, lecz... czarny mag nie wygłosił nawet słowa protestu.

Kiedy już przyjaciel pomógł jej przy opuchliznie po skażeniu — na co nalegał mimo jej zapewnień, że poradzi sobie sama — próbowała dowiedzieć się, co zaszło między nim a Namirem. Wallace wymigiwał się od odpowiedzi, twierdząc jedynie, że nie wierzy w czyste intencje potwora. Drażniły ją te insynuacje, więc nie drążyła tematu. Nie wymienili również ani słowa na temat pocałunku. Nie chciała usłyszeć tego, co podejrzewała — nie pierwszy zresztą raz. Nie mogła zaoferować mu uczuć, których najwidoczniej od niej oczekiwał.

Obudziła się w środku nocy. Przez okiennicę dostrzegła, że na polanie jest dziwnie jasno. Wyśliznęła się spod koców, ostrożnie ominęła śpiącego przed kominkiem Wallace'a i odszukała spodnie. Wciągnęła je, a na halkę zarzuciła płaszcz.

Powoli uchyliła drzwi i wyjrzała przez nie. Nieopodal ławki z jasnej masy paliło się nieduże, otoczone kamieniami ognisko. Czarny ogień przetykały niebieskie blaski — był to ten sam rodzaj płomienia, który widziała w strasznych wizjach i który równocześnie uznawano za najczystsza formę czarnej magii. Część dziwnego światła zatrzymywała się na siedzącej na ziemi postaci zwróconej do niej plecami.

Cicho wyszła na zewnątrz i kroczyła ku ognisku spokojnie, póki nie zorientowała się, że w jednej dłoni Namir ściska swoją zasłonę, a w drugiej

odbijającą płomienie butelkę przywiezionego przez Wallace'a suvis. Wtedy znieruchomiała... nie wycofała się jednak.

Mężczyzna podniósł butelkę do twarzy i długo jej nie odkładał. Drugie naczynie, nadal pełne, leżało obok na trawie. Po chwili namysłu zbliżyła się jeszcze odrobinę i odezwała, wciąż lekko ochryplym po pobudce głosem:

— Mogę dołączyć?

Gwałtownie odstawił butelkę, którą właśnie unosił po raz kolejny. Zgarbił się i poderwał rękę, w której trzymał zasłonę. Na głowie miał czepiec i to w nim utkwiała teraz wzrok, cierpliwie czekając. Przez krótką chwilę robił coś dłońmi przy twarzy, zgadywała, że przyczepiał materiał.

— Czemu nie śpisz?

Jego szorstkie słowa zabrzmiały jak zarzut. Obejrzał się na nią, jasne oczy zamigotały w otworach zasłony. Wzruszyła barkami i skrzywiła się.

— Prawdopodobnie z tego samego powodu co ty.

— Wątpię.

— Więc jaki jest twój powód? — zaciekawiała się.

Podeszła spokojnym krokiem, wyminęła go i usiadła na ławce. Namir położył przedramiona na kolanach i zapatrzył się w ogień.

— Chęć napicia się w samotności na łonie natury.

— Rozumiem — odpowiedziała smętnie i kiedy już miała się podnosić, cmoknął z poirytowaniem.

— Siadaj. Nie obrażaj się jak dziecko.

Szczelniej otuliła się płaszczem, a butelka suvis powędrowała do niej w powietrzu, posłana mocą telekinezy. Złapała ją w obie dłonie i powąchała wydobywającą się z szyjki woń. Znała ją. Takim samym napojem częstował ją zwierzchnik Silvaru.

— Pij. O ile nie brzydzisz się Potwora z Damanor.

— Żaden z ciebie potwór. Co najwyżej gbur.

— Nie mam pewności, co gorsze.

Wzięła duży łyk, słodki trunek rozpałił jej gardło. Pociągnęła nosem i otarła usta. Spostrzegła, że Namir bacznie jej się przygląda.

— Jak twoja ręka?

— W porządku. Dzięki twojej maści.

Połknęła następny haust, zemdliło ją od palącej słodczy i zakryła usta, powstrzymując beknięcie.

— Ostrożnie. Już nie pamiętasz, jak skończyło się twoje ostatnie omdlenie? — wytknął jej.

Telekinezą wyciągnął jej butelkę z rąk, po czym odwrócił się do niej plecami. Mogła tylko domyślać się, że odchylił materiał zasłony, kiedy sięgnął dłonią do twarzy, by następnie pociągnąć spory łyk trunku. Odwróciła wzrok, uznawszy, że nie powinna teraz patrzeć nawet na tył jego głowy. Nie chciała zawieść jego zaufania, którym ją właśnie obdarzał, a którego nie spodziewała się otrzymać od niego tak szybko.

— Namirze...

— Hmm?

Odesłał jej butelkę, wykonując giętkie gesty dłonią, ale nie odwracał się. Napila się znowu, wcale nie ostrożniej, po czym rzekła z przekonaniem:

— Nie jesteś żadnym potworem.

— Skoro mój dotyk cię nie przekonał, może jednak powinienem pokazać twarz.

— Tylko jeśli chcesz.

— Jesteś naprawdę lekkomyślna.

— Roztrzaskałabym tę butelkę na twojej głowie, ale szkoda mi zawartości.

Namir zaśmiał się chrypliwie. Tak jak wtedy, gdy pierwszy raz stanęła przed wysokim stołem na podwyższeniu ze skrzyni. Tyle że tym razem się nie pohamował. O ile wówczas dźwięk wydawał jej się nieprzyjemny, teraz jej nie przeszkadzał. W połowie opróżnione naczynie ponownie powędrowało do niego. Gdy pociągnął jeszcze jeden łyk, opuścił zasłonę i odwrócił się, butelką wskazał na miejsce przy ognisku.

— Chodź. Siadaj bliżej ognia — zaproponował.

Zsunęła się z ławki i przygramoliła po trawie, usiadła tuż przy nim. Nie odsunął się i nie zaprotestował. Podał jej butelkę, zaciskając rękę na wysokości szyjki. Nie użył telekinezy. Ostrożnie złapała za spód naczynia, uważając, by ich dłonie się nie zetknęły. Poczula się dziwnie pod jego spojrzeniem, przeszywał ją tak przenikliwie, że zrobiło jej się najpierw zimno, a potem gorąco.

— Gapisz się — wypaliła.

— Tak?

Pokiwiała głową, szybko przelknęła kolejny haust. Różnego rozmiaru oczy nadal ją lustrowały.

— I czujesz odrazę?

— Nie.

Teraz odwrócił głowę i głośno zaczerpnął powietrza.

— A powinnaś.

— Nie będziesz mi mówił, co powinnam.

Zaśmiał się ponownie, lecz teraz krótko i z nutą żalu.

— Nie wiem, czy zesłały cię demony, czy bogowie — sparował.

Popatrzyła w ogień. Powieki miała ciężkie, w głowie jej szumiało.

— Któreś z nich najwidoczniej chciało, by nasze drogi się przecięły.

Rozdział XII

Pierwsze kłopoty napotkali już na wejściu do podziemnego tunelu. Strażników wartowni mocno niepokoiła aparycja chłopca. Przewodziła im kobieta tenere, wielka, umięśniona, z szerokimi ramionami. Lederg nie bez zdziwienia pozdrowił ją skinieniem głowy. Wśród tenere kobieta będąca żołnierzem stanowiła jeszcze większą niż u ludzi rzadkość, nawet między tymi władającymi magią, chociaż myślistwem parały się stosunkowo często. Po krótkiej rozmowie, w której Lederg zdradził, że on i jego podopieczny zmierzają do najbliższego miasta z portalem, ciemne oczy dowódczyni oddziału zmierzyły Namira od stóp do głów.

— Co z nim jest? — zapytała bez ogródek, trzymając się pod boki.

Jej szara skóra miała lekko siny odcień. Wygolone po bokach włosy były zebrane z tyłu głowy w długi koński ogon. W obwisłych uszach brakowało jakichkolwiek ozdób. U pasa sterczała rękojeść szerokiego miecza.

Lederg był wdzięczny losowi, że chłopak nie rozumie tenarskiego, którego sam, podobnie jak luxańskiego, nauczył się w czasie studiów magicznych. Mógł porozmawiać z tą kobietą bez owijania w bawełnę.

— Jest zdeformowany — odparł. — Prowadzę go do maga, który być może będzie w stanie mu pomóc. To wszystko, co należy wiedzieć.

— Sama zdecyduję, co muszę wiedzieć, człowieczku. — Tenare uśmiechnęła się nieładnie. — Niech go zobaczę, inaczej nie przejdziecie.

— Nie możecie nas zatrzymywać. — Z odwagą popatrzył wielkiej kobiecie w oczy, jednak nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. — Ludzie mają takie samo prawo przemieszczania się tymi tunelami jak wy.

Płomienie tańczące na wetkniętych w ściany pochodniach oświetlały zgromadzone sylwetki strażników. Lederg podejrzewał, że byli wśród nich

tacy, którzy posługiwali się magią. Gdyby doszło do walki, nie miałby wielkich szans na wygraną. Chyba że zaangażowałby w nią Namira, a tego pragnął za wszelką cenę uniknąć. Tenare szeptali między sobą, a ich dowódczyni uśmiechnęła się szerzej.

— Możemy zatrzymać każdego, kto nam się nie podoba. Niezależnie od rasy. No już, człowieczku, nie prowokuj mnie. Rzucę sobie okiem na chłopaka i zaraz będzie po bólu.

Oczywiście nie mógł się na to zgodzić. Gdyby tenare zobaczyli twarz Namira, lub chociażby jego ręce obrośnięte znamionami, od razu zgadliby, z kim mają do czynienia. Wątpił, by taki obrót sprawy zakończył się jedynie przepędzeniem ich na zewnątrz.

— Pozwól, pani, że porozmawiam z tobą w cztery oczy — zasugerował i po chwili wzajemnego lustrowania się, kobieta odeszła z nim na bok.

Lederg stanął tak, by jej potężna postać osłaniała go przed pozostałymi strażnikami. Obawiał się, że z ciekawości zbliżą się nadto do Namira, który skulił się teraz pod skałami jak zaszczute zwierzę, lecz oni na szczęście tylko przypatrywali mu się bacznie z daleka.

— Twarz tego chłopca to coś, czego nie powinnaś oglądać, pani. Wierz mi, spowodowałabyś jedynie kłopoty. Na mnie, na siebie i na swój mały oddział — podjął, a gdy tenare skrzyżowała ręce, pełna podejrzeń, on sięgnął do swojej podróżnej sakwy i z jednej z wewnętrznych kieszonek wyciągnął miseczkę pełną monet. Podrzucił go w dłoń. — Myślę, że powinienem uzupełnić prowiant na drogę. Gdybyś zechciała mnie, pani, zaopatrzyć, słono zapłacę. W enarach.

Twarz dowódczyni pozostawała kamienna, lecz ciemne oczy zamigotały. Propozycja była kusząca. Cichy brzęk monet, z których każda jedna była warta więcej niż trzy numos, działał jak hipnotyczna melodia. Tenare wahała się, lecz wreszcie kąciki jej szarych ust drgnęły w uśmiešku.

— To będzie bardzo drogi prowiant.

Dostali zapas wody, sera, suszonego mięsa, a nawet trochę owoców. Obdarowano ich również świeżymi kocami, nowymi butami ze skóry oraz dodatkowym workiem, jako że sakwa Lederga i plecak Namira były już wypchane rzeczami i prowiantem zabranymi z Purgi. Wszystko to było

jedynie przedstawieniem granym przed strażnikami, a ich dowódczyni policzyła sobie za przysługę dużo więcej, niż ta w rzeczywistości była warta.

Kontynuowali swoją podróż wyposażeni w mapę i pochodnie. Namir przez większość czasu zachowywał milczenie. Jasne jak lód oczy patrzyły tępo, odbijały w sobie blask płomieni.

— Chcę nauczyć się ich języka — zakomunikował raptem.

— Pomyślmy o tym, kiedy opanujesz pisanie i czytanie w zadowalającym stopniu. — Lederg obdarzył go łagodnym, acz znaczącym spojrzeniem, na co chłopak ze wstydem pochylił głowę.

To właśnie nauce poświęcali najwięcej czasu przez następne dni podróży spędzone w podziemnych tunelach. Namir z zachwytem przyglądał się stworzonym przez tenare konstrukcjom, wypytywał o historię tej rasy, o ich zwyczaje, a nawet o charakterystykę zamieszkiwanych przez nich terenów. Na każdym postoju sporządzał wraz z Ledergiem notatki, ćwicząc przy tym zapisywanie i odczytywanie liter. Słuchał o kontynencie, magii, a także z coraz większym zapałem przyswajał wiedzę o mitach i legendach. Lederg wpajał mu, że są one nieodłączną częścią tego świata, której nie należy wykluczać. Nie zabraniał mu kwestionować i zastanawiać się nad ich sensem, czego jako oddany badaniom mag sam wielokrotnie się dopuszczał, a jednak przestrzegał przed kompletnym niedawaniem im wiary i pouczał, by okazywać bóstwom należyty szacunek. Chłopiec dopytywał nieraz, czy jego zakazana magia faktycznie pochodzi od Varanside. Mag odpowiadał mu wtedy, że powinien wierzyć, iż istnieje taka możliwość, i nieustannie pamiętać o źródle swojej mocy, co pomoże mu się jej wystrzegać.

Droga od Purgi była rzadko uczęszczana, więc nieczęsto natykali się na podróżnych, a gdy już do tego dochodziło, omijali ich bez słowa, nie zważając na ciekawskie spojrzenia. Nie było tu też podziemnych oberży, które na bardziej zaludnionych szlakach stanowiły normę. Dlatego też przeprawili się przez tunele bez większych trudności i wreszcie wydostali na ośnieżone równiny.

Najbliższe miasto znajdowało się wiele mil na południe. Czekало ich jeszcze kilka dni marszu z niedługimi przerwami na sen i odpoczynek. Z każdym kolejnym postojem Lederg dostrzegał coraz więcej zmian

zachodzących w chłopcu. Im dalej był od swojej rodzinnej wioski, im silniej zajmował swój umysł nauką, tym więcej blasku zyskiwały jego zimne potworne oczy.

Trzymali się z dala od traktu, przez co niejednokrotnie zmuszeni byli poruszać się gęsto zaśnieżonymi terenami, wydłużając podróż o dodatkowe świece, a jednak nie uniknęli jednego niefortunnego spotkania...

Późnym popołudniem Lederg wybrał się do rzadkiego iglastego lasu po chrust, pozostawiwszy Namira w małej kotlinie między pagórkami, gdzie rozbili swój bardzo skromny obóz w postaci kilku rozrzuconych koców i miejsca przyszykowanego na ognisko. Chłopiec pilnował ekwipunku i uzupełniał zapasy wody, rozpuszczając czysty śnieg do bukłaków. Miał też wypatroszyć i oskórować zająca, którego ostatnio udało im się upolować. Kiedy mag wracał do obozu, usłyszał głosy i drwiące śmiechy. Ponaglił kroku, lecz gdy znalazł się w miejscu, z którego mógł dogodnie obserwować zaistniałą sytuację, zatrzymał się.

Dwóch napastników, jeden z pikowaną ćwiekami maczugą, drugi zaś z krótkim wyszczerbionym mieczem, zbliżało się do Namira niepewnymi krokami. Chociaż byli potężnie zbudowanymi bandytami, którzy z pewnością zabili już niejednego na swej drodze, przy tym upiornym, wychudzonym chłopcu zachowywali ostrożność. Zupełnie jakby podchodzili do jadowitego skorpiona. Ten czekał na nich, nie podnosząc się z ziemi, siedząc na kocu z kolanami podciągniętymi pod brodę.

— To jak będzie, chłopcze? — zagadał jeden z mężczyzn. — Oddajesz po dobroci prowiant, a my pozwalamy ci żyć? Hej! Rozumiesz, co do ciebie mówię, przygłupie?

— Przyjrzyj mu się — odparł drugi. — Wygląda na jakiegoś opóźnionego. Nie traćmy czasu, zabierajmy, co się nam należy.

Jak tylko oprych odwrócił się w stronę porzuconych na kocu pakunków oraz rozciągniętego na kamieniu oprawionego zająca, Namir wyciągnął rękę i mężczyzna pofrunął do tyłu, ciśnięty w śnieg. Stęknął, próbował się pozbierać, podczas gdy jego towarzysz, zamachnąwszy się mocno, przystąpił do ataku. Najpierw maczuga poszybowała w powietrzu, a potem jej właściciel został rzucony jeszcze dalej niż poprzednik.

Chłopak wyprostował się, ubranie z grubego materiału zwisało na chudym ciele, oczy w otworach worka błyszczały z daleka. Głos, którym przemówił, był cichy, tak że Lederg ledwo go usłyszał, a jednak zabarwiony groźną, budzącą trwogę nutą:

— Odejdźcie stąd. Tym razem potwór będzie się bronił.

Napastnicy, gramoląc się na nogi, rozglądali się za porzuconą bronią. Jeden z nich porwał z ziemi miecz, drugi zaś skoczył do zakopanej w śniegu maczugi. Spojrzeli po sobie, zawahali się, a potem rzucili się na Namira wściekle, wykrzykując obelgi. Bez trudu powalił ich na ziemię, po czym pochwycił jednego za nogi i poderwał go w górę. Gdy ofiara wierzgała i wrzeszczała, dziecko zdawało się na coś koncentrować. Minęły może dwa oddechy i trzasnęła łamana kość, a przejmujący wrzask zmroził krew w żyłach Lederga. Rzucony z powrotem na śnieg oprych złapał się za nogę, skulił się i zawył. Jego towarzysz bezmyślnie przypuścił następny atak.

— Ty pieprzony dziwolągu! — zaklął, wymachując maczugą.

Zdołał przemieścić się może o dwa długie kroki, gdy nagle Namir zatrzymał go w miejscu siłą umysłu i zacisnął rozczapierzone palce uniesionych dłoni, jakby dusił kogoś za gardło.

Lederg zerwał się z miejsca i zgubił zebrany chrust. Zbiegł po zboczu, zatapiając nogi głęboko w śniegu.

— Namirze, nie! Wystarczy!

Chłopak nie zareagował. Oprych trzął się na całym ciele, krztusił i charczał. Twarz mu siniała, oczy wybałuszały się.

— Przestań w tej chwili!

Namir cmoknął cicho, z poirytowaniem — wcale nie jak dziecko. Ostentacyjnie opuścił ręce wzdłuż ciała, a mężczyzna upadł na ziemię i schwycił się za gardło. Łapiąc hausty powietrza, kopał nogami w śniegu w desperackiej próbie dźwignięcia się do pionu. Lederg szybko go ominął, tak samo jak tego ze złamaną nogą. Gdy znalazł się u boku chłopca, osłonił go ramieniem, chociaż to nie on potrzebował teraz ochrony. I nie jego mag w tej chwili ratował.

— Zabierajcie się stąd, póki możecie! — poradził oprychom i dla podkreślenia powagi sytuacji przywołał na dłoni płomienie. — Ty tam,

nawet nie myśl o zostawieniu swojego ziomka! W innym wypadku najpierw spłonie on, a niedługo potem ty — zagroził.

Oprych, jeszcze świszcząc oddechem i mamrocząc pod nosem przekleństwa, podniósł ze śniegu jęczącego towarzysza. Oddalali się w panice, z wielkim trudem pokonując nieszczęśliwie strome zbocze.

Po całym incydencie zapanowało nieprzyjemne napięcie. Lederg szybko wrócił po rozsypany niedaleko chrust, potem przygotował ognisko i napełnił niewielki garnek wodą. Tak jak niegdyś w odmętach jaskini, nad połyskliwym jeziorem, tak teraz znów przygotował zupę na świeżym mięsie. Nalał porcję Namirowi, a ten wybrał sobie na spoczynek najodleglejsze miejsce na kocu. Lederg pozostał blisko ognia.

— Czemu mnie powstrzymałeś? — Pytanie to przecięło ciszę, kiedy już kończyli posiłek.

Mag nie miał śmiałości spojrzeć na chłopca.

— Zrobiłbyś coś, od czego nie ma odwrotu.

— Byłeś zdziwiony, że się nie bronię. Teraz zacząłem. Teraz potwór ma prawo.

— Nie zawsze trzeba posuwać się tak daleko. Wystarczyło ich przepłoszyć.

— Oni by się nie zawahali. Mordowali wcześniej. Na pewno.

— To nie powód, by stawać się podobnym do nich.

Z gardła chłopca wydobył się chichot. Lederg nie bez problemu przełknął ostatni łyk zupy.

— A ty jak się czujesz z zabiciem mojego ojca? — Głos Namira był inny niż zwykle, dużo bardziej głęboki.

— Chłopcze... — Drżącymi rękami odstawił naczynie na bok. — Nie ma pewności... Nie, masz rację, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że przeżył. Błagam cię o wybaczenie.

Nadal nie odczuwał żalu, chociaż świadomość, że najpewniej zabił drugiego człowieka, nie dawała mu żadnej satysfakcji. Czuł się zagubiony — z jednej strony pałał do siebie wstrętem, z drugiej nadal trzymał się nadziei, że ojciec Namira konał w męczarniach... Z wolna się obrócił, zebrawszy się na odwagę, by jednak stawić czoła upiornemu spojrzeniu chłopca, lecz napotkał widok zgarbionych pleców.

— Namirze...

— Nie. — Dziecko potrząsnęło głową. — Dziękuję ci.

Lederg długo nie wiedział, co powiedzieć.

— Muszę cię przed tym chronić — rzekł wreszcie. — Przed podszeptami zła w twojej głowie, przed czynami, które mogą rodzić więcej tych podszeptów. Ty w zamian musisz obiecać mi, że nie będziesz tych głosów słuchać, a przed morderczymi czynami będziesz się wzbraniać.

— Dlatego, że jestem czarnym magiem...?

Tak pewny jeszcze parę chwil temu głos chłopca — teraz załamywał się.

— Każdy, kto zabija, wkracza na pewną ścieżkę — wyjaśnił Lederg. — Niektórzy już z niej nie wracają.

Namir nie odpowiadał, a Lederg zastanawiał się, do jakiego stopnia czarna magia zdołała już naruszyć umysł dziecka. Zanim się spotkali, używał zakazanych mocy przez parę faz, a więc musiały na niego wpłynąć, tak jak wpłynęły na jego skórę. Być może był już odrobinę szalony, a z pewnością przejawiał wybuchy agresji. Co by się stało, gdyby pozwolił temu nadwyrężonemu umysłowi karmić się odczuciami związanymi z zadawaniem śmierci? Odpowiedź nasuwała się sama i była przerażająca. Dlatego musiał pokazać mu, że mord to czyn godny największej pogardy i wstydu. Musiał uczyć go pokory i samokontroli.

Gdy najedzeni już i wypoczęci wyruszyli w dalszą drogę, obaj obwieszeni pakunkami, zaczął prosić śnieg, lecz nie zatrzymywali się. Zimno wkradało się pod ubrania pomimo nagranych kamieni, które nosili w kieszeniach szat.

— Namirze, muszę z tobą porozmawiać o telekinezie — napomknął w pewnym momencie Lederg.

Oczy błyszczące w otworach worka spojrzały na niego z uwagą i zrobiło mu się jeszcze zimniej. Wiedział, że nigdy nie przywyknie do tego świdrującego spojrzenia, niezależnie od sympatii, jaką zaczynał do chłopca żywić.

— Już wcześniej zauważyłem, że twoje zdolności telekinetyczne są wyjątkowe. Musisz na nie uważać. Kontrolować je — powiedział chłopcu.

W mroźnym powietrzu ciężki oddech Lederga zamieniał się w obłoczki pary. Śnieg chrząścił pod nogami, stopy nurzały się w nim po kostki. W duchu cieszył się z solidnych butów, które zdobyli od dowódczyni tenarskiego oddziału wartowni, choć te, które dostał Namir, były na niego za duże i musieli je wypchać szmatami.

— Wyjątkowe? — zaciekał się wychowanek maga.

Widocznie to jedno słowo sprawiło, że chłopiec rozweselił się na swój sposób. Lederg poczuł ból w sercu, wyjątkowość tego dziecka była bowiem niebezpieczna i musiał mu to uświadomić.

— U większości magów zdolności telekinezy, jeśli je posiadają, nie są tak... rozwinięte. Naszą podstawową umiejętnością jest uderzenie podmuchem, to właściwie proste odepchnięcie powietrza znajdującego się przed nami. Możemy też unosić i unieruchamiać ludzi oraz przedmioty, lecz dla większości z nas jest to dosyć męczące, wymagające wielkiego skupienia i silnego umysłu. Ty natomiast... Nie dość, że niemal się nie męczysz, to jeszcze potrafisz manipulować telekinezą w sposób niezwykle rzadko spotykany. Umiesz skupić siłę swojego umysłu na poszczególnych fragmentach ciała bądź przedmiotu, co wymaga niezwyklej koncentracji, na jaką stać niewielu. W całym swoim życiu spotkałem może jednego maga potrafiącego coś tak niezwykłego. — Powiedziawszy to, Lederg przypomniał sobie, jak Namir odzierał królika ze skóry, ciągnąc ją jednocześnie w dwie strony.

Sam nie byłby w stanie wykonać telekinezą czegoś podobnego. To samo tyczyło się chwytania poszczególnych członków ludzkiego ciała, poruszania nimi, łamania ich. Taki poziom koncentracji osiągnęli najpotężniejsi magowie, a ten chłopiec dopiero niedawno odkrył swoje moce.

— To źle? — zaniepokoił się Namir, jego jasne oczy przygały.

— Nie. To znaczy, że musisz być bardzo ostrożny i mieć w sobie wiele pokory, by nie wykorzystywać swych niesłychanych zdolności w niegodziwy sposób.

— Tak jak chciałem to uczynić?

Lederg pokiwał sztywno głową. Przeraziła go świadomość, że to dziecko mogło mu w każdej chwili skrócić kark, bez większego wysiłku. Namir odwrócił od niego wzrok — najwidoczniej zauważył jego strach.

— Ciebie nie skrzywdzę — oznajmił cicho.
Lederg bardzo pragnął w to wierzyć.

Rozdział XIII

Wallace spiął wierzchowca i popędził go w dół po wzgórzu. Wioska Supras — składająca się z uformowanych zarówno z drewna, jak i z kamiennej masy domostw rozrzuconych po zielonej równinie wśród nielicznych drzew — gdyby tylko otoczyć ją murem, mogłaby spokojnie uchodzić za małe miasto. Pieszko dało się z niej dotrzeć do O'rior w ciągu jednej świecy. Taką trasę niemal codziennie pokonywała Nye'ra — traktem, który częściowo niknął w tenarskim borze. Wallace'a uspokajał jedynie fakt, że dziewczynka nie była samotną podróżną na szlaku. Często musiał rezygnować z galopu, by nie stratawać przemierzających się między O'rior a Supras wieśniaków i kupców.

Minąwszy pierwsze parterowe budynki, zsiadł z konia i poprowadził go dalej przez wioskę, wiodąc wzrokiem dokoła.

Na obrzeżach znajdowały się domostwa wioskowych wojowników oraz ich rodzin. Jak zaobserwował, trafiali się wśród nich zarówno barczyści tenare w skórzanych zbrojach, jak i smukli magowie w typowych dla rasy kaftanach. Niektórzy siłacze dzierżący broń również posługiwali się żywiołem ziemi — Wallace spostrzegł, że bawili się podrzucaniem wyrywanych z podłoża kamieni.

Dalej wznosiły się chaty prostych rzemieślników i rolników, a w centrum widniał strzelisty obelisk z wizerunkiem tenarskiej Mestyrii. Wallace zatrzymał jakiegoś dzieciaka, a ten, choć z nieufnością, wyjawiał mu, że tam, w wielkim domostwie mieszka wioskowy szaman — ich duchowy przewodnik i zarazem osoba najważniejsza w osadzie. Po chwili rozmowy wyciągnął od dziecka również informację o tym, gdzie obecnie przebywa Nye'ra.

Podążając we wskazanym kierunku, powrócił myślami do sytuacji sprzed kilku dni, która nadal nie dawała mu spokoju...

— Zjawię się tu znowu za jakiś czas — obiecywał Irvette, która parę chwil temu wyłoniła się z chaty jakaś niemrawa i średnio wyspana. Osiodłany i gotowy do drogi gniadosz czekał już na skraju lasu, oni zaś rozmawiali nieopodal budynku, wyglądając potwora, który miał ich oboje poprowadzić przez las. — Niezależnie od tego, czy będę mógł cię zabrać, czy nie. Choć liczę na to, że sytuacja niedługo się rozwikła.

Irvette patrzyła na niego mało przytomnym wzrokiem, nieznacznie kiwając głową.

— Również na to liczę. Chciałabym nabrać wreszcie pewności, co mi dolega.

— Jeżeli faktycznie obudzą się w tobie magiczne moce, poszukamy pomocy u miejskich magów w Cirem.

Dziewczyna pomasaowała palcami kąciki oczu.

— Będą mnie kojarzyć ze skażeniem, z czarną magią. Nawet jeśli zostanę uzdrowiona.

— Cóż, w tej chwili nie ma sensu dyskutować. Jeszcze nie wiemy, czy wasze podejrzenia się sprawdzą. O ile nie są jedynie wymysłem tego potwora.

W tym momencie na obrzeżu polany zamajaczyła czarna wysoka postać. Nie chcąc się zastanawiać, skąd zamaskowany może wracać, Wallace nadal skupiał się na rozmowie z przyjaciółką. Nie pierwszy raz w oczy rzuciła mu się błyskotka obejmująca jej rękę zaraz nad nadgarstkiem.

— Zwrócił ci bransoletę?

— Zaklął ją dla mnie.

Gdy Wallace wpatrzył się w nią zdumiony, kontynuowała:

— Pod wpływem odpowiedniego słowa wytwarza się bariera, którą mogę się posługiwać niczym tarczą.

— I nosisz to przez cały czas? Nie obawiasz się, że ukrył w tej błyskotce inne zaklęcie? Na przykład takie, którym mógłby cię kontrolować?

Cień dezaprobaty przemknął po jej bladej twarzy.

— Wallace, uspokój swoją bujną wyobraźnię.

— Jeszcze nie tak dawno twierdziłaś, że masz się przy nim na baczności. Odmieniło ci się, bo obdarowuje cię prezentami? Czy w jakiś inny sposób pozyskał twoje zaufanie?

Zielone oczy błysnęły lodowato.

— *O'bex*.

Z bransolety wydostał się świszczący podmuch, a powietrze wokół ramienia dziewczyny w okamgnieniu uformowało się w przezroczystą tarczę. Wallace musiał się cofnąć, by bariera nie uderzyła go z impetem w nos. Postać Irvette była rozmazana za pofalowaną, owalną powierzchnią.

— Wiem, że brednie, które opowiadasz, biorą się z troski — zaczęła chłodno dziewczyna — ale może ten widok nieco cię uspokoi. To narzędzie obrony, którym w razie potrzeby nie zawaham się posłużyć. Potrafię o siebie zadbać, Wallace.

— A czym przed nim się obronisz? Jego własnym tworem? Nadal uważam, że ten przedmiot może mieć właściwości, o których nie masz pojęcia.

— A ja nadal uważam, że jesteś mocno przewrażliwiony.

Wziął głęboki oddech, powstrzymując narastającą wściekłość.

— Nie chcę tylko, by twoja lekkomyślność doprowadziła do tragedii.

Iv westchnęła krótko i szepnęła tenarskie polecenie: *abssede*. Gdy tarcza posłusznie zniknęła, zobaczył jej wykrzywione w zrezygnowaniu oblicze.

— Odpowiedziałabym ci, co jest prawdziwą tragedią, ale chyba nie mam ochoty na bezsensowną sprzeczkę.

Zamaskowany, którego Wallace do tej pory skutecznie ignorował, właśnie szedł ku nim od strony ogródka. Irvette spojrzała przez ramię i zrobiła jeszcze bardziej znękaną minę.

— Zgaduję, że nie wzgardzisz bukłakiem zimnej wody na drogę. — Dłoń w rękawicy podała dziewczynie skórzane naczynie, trzymając je od góry. Odebrała je ostrożnie, chwytając za spód. — Chociaż nie jesteś tak wczorajsza, jak oczekiwałem, sądzę, że oprócz lekcji tenarskiego przydałoby ci się trochę nauki w picciu *suvis*. Mam nadzieję, że następnym razem dostarczysz nam więcej niż dwie butelki, Bernett.

Irvette spojrzała z ukosa na oddalającego się ku drzewom Namira, a ten ponaglącym gestem dał im do zrozumienia, że jest gotowy spełnić swoją rolę

przewodnika. Dziewczyna uczepiła bukłak u pasa. Zaciskała usta, by powstrzymać je przed uśmiechem.

Całą drogę przez bór Wallace zmagał się z chęcią zarzucenia Iv pytaniami. Gotowało się w nim, w przeciwieństwie bowiem do poprzedniej przeprawy, kiedy to dziewczyna szła u jego boku, teraz zrównała krok z Namirem, a on mógł jedynie przyglądać się ich plecom i cierpliwie prowadzić za sobą ociągającego się wierzchowca. Czasami Namir i Irvette wymieniali słowa i spojrzenia — potwór z rękoma splecionymi z tyłu przechylał się lekko w jej stronę, ona zaś zadzierała głowę, by patrzeć prosto w jego zamaskowaną twarz.

Jeszcze przed lasem powstrzymał się — choć nie bez trudu — przed prawieniem przyjaciółce morałów. Miał masę podejrzeń i obaw, ale nie chciał rozstawać się z nią w gniewie. Ostatecznie odezwał się więc tylko jakby nieswoim głosem:

— Obiecuj mi, że będziesz rozsądna.

Dziewczyna złożyła tę obietnicę i porozmawiali jeszcze trochę. Odciągał chwilę pożegnania, a gdy już do niej doszło, pochylił się ku Irvette, wyczekując jej reakcji. Przytuliła go i tym sposobem rozwiąła wszelkie nadzieje. Chociaż Wallace nie mógł spostrzec wyrazu oczu Namira oczekującego na nich spokojnie na zboczu, miał nieodparte wrażenie, że ten potwór spogląda na nich z wielkim rozbawieniem.

Między Irvette a Namirem rodziła się jakaś dziwna zażyłość, obok której nie potrafił przejść obojętnie. Coraz silniej obawiał się, że ten potwór prędzej czy później wykorzysta zaistniałą sytuację w niegodziwy sposób.

Tak pograżył się w myślach, że niemal wyminął chatę zamieszkałą przez obecną rodzinę zastępczą Nye'ry. Ocknął się, kiedy już miał wkraczać na prowadzącą na zachód odnogę piaskowej drogi błędzącej między domostwami. Pociągnął gnidosza za wodze i zawrócił.

Przed drewnianą chatą — przypominającą swoją konstrukcją typowe tenarskie meble plecione z konarów — stała kobieta w wełnianych chłopskich szatach. Nieopodal studni, z której właśnie nabierała wody, siedziały dzieci: dwóch chłopców i jedna dziewczynka. Przycupnęli na wystających z ziemi korzeniach rosnącego tuż obok drzewa. Ramię w ramię spożywali posiłek

z jednej miski. Jakieś trzydzieści stóp dalej Nye'ra posilała się w samotności z niedużej niecki.

Nawet wśród tenare dbających o sieroty w całkiem skoordynowany sposób — pozbawione naturalnych rodziców dzieci pozostawały wyrzutkami. Wallace pomyślał, że to wielkie szczęście, iż — jak wyjaśnił mu zwierzchnik Silvaru — tenare z chęcią szkolili w koszarach każdego, kto tego zapragnął i wykazywał zainteresowanie dalszą służbą królestwu. Ich zapotrzebowanie na wykwalifikowane wojsko nigdy nie malało. Dzięki temu dziewczynka zaznała nieco innego środowiska i znalazła rówieśników, którzy traktowali ją jak równą sobie.

Pod bacznym spojrzeniem pani domu, której Wallace skinął na powitanie głową, przywiązał wierzchowca do drewnianego płotka zrobionego z ciasnych splotów gałęzi. Zbliżywszy się do kobiety, której obwisłe uszy ustrojone były w barwne pióra i małe korale, usłyszał za sobą szepty dzieci, a potem wesole zawołanie podopiecznej:

— Wallace!

Opiekunka dziewczynki wzięła się pod boki.

— Więc ten bachor wcale nie kłamał.

— Oczywiście, że nie kłamałam! — oburzyła się Nye'ra. Zatrzymała się przy jego boku, jej duże oczy błyszczały dziecięcą ciekawością, kontrastującą z nazbyt dojrzałą twarzą. — Przyniosłeś, prawda? Masz go?

Wallace spojrzał na nią z udawaną surowością i polecił, by jeszcze chwilę na niego zaczekała. Odeszła zrezygnowana na wcześniejsze miejsce, a on tymczasem upewnił się, czego też opiekunka dziewczynki dowiedziała się od niej. Kobieta niechętnie zdradziła mu, że Nye'ra uprzedziła ją o jego wizycie, a ona nie chciała uwierzyć, że jakiś człowiek miesza się w trening tenarskich dzieci. Nie przyznał, że zmusiła go do tego sytuacja. Gdy zmierzał już w kierunku dziewczynki, czuł na plecach badawcze spojrzenia. Takie same towarzyszyły mu, gdy przemierzał się przez wioskę. Wieśniacy z Supras byli bardziej podejrzliwi i uprzedzeni wobec ludzi niż mieszcianie z O'rior.

Nye'ra żuła suche kawałki mięsa, wierząc się niecierpliwie. Wallace przysiadł obok niej na jakimś korzeniu. Nim zdążyła się odezwać, uciszył ją gestem dłoni.

— Najpierw skończ jeść.

Zacząła pałaszować duże kawałki mięsa tak szybko, że niemal się zakrztusiła. Skończyła w parę długich oddechów, stłumiła beknięcie i wytarła buzię rękawami prostej płóciennej sukienki.

— Już. — Poderwała się na nogi, wyprostowała i orzekła uroczyście: — Obiecuję, że nie będę zaglądać ci do głowy przez następnych kilka dni!

— Hmm, nie taka była umowa.

— Przez całą fazę!

— Jakoś ci nie wierzę. Nie dasz rady dotrzymać tej obietnicy.

— Przysięgam! I nigdy więcej nie nazwę twojej pani brzydką.

Wallace parsknął i klasnął dłońmi o uda. Dźwignął się do pionu, po ustach przemknął mu uśmiech. W chwili gdy odgarnął połę płaszcza i zaczął odpinać od pasa miecz ukryty w skórzanej pochwie, mała tenare wstrzymywała oddech.

— Jest twój — oznajmił, wręczając broń Nye'rze.

Westchnęła krótko w zachwycie, jeszcze zanim wyciągnęła ostrze z pokrowca. Na rękojeści lśniły wzory przypominające pnącza, kształty odwzorowujące splecione gałązki tworzyły jelec oraz zaokrągloną główkę. Wąską obusieczną klingę z lekkiej tenarskiej stali zdobił misternie wykonany grawerunek.

— To w języku trzech królestw. Może dzięki temu nie zapomnisz swojego pierwszego mistrza szermierki, kiedy już zostaniesz Strzegącą.

Nye'ra nadal oglądała ostrze, z lekko rozdziawioną buzią. Nie wiedział nawet, czy jego słowa do niej dotarły, ale i tak uznał, że miecz wart był zachodu. Złożył zamówienie u tenarskiego kowala i mieczownika z O'rrior, jeszcze zanim wyruszył odwiedzić Iv w kryjówce potwora. By zapłacić za miecz, musiał zaciągnąć dług u zwierzchnika. Nigdy wcześniej nie miał potrzeby pożyczania pieniędzy i nadal jeszcze palił go ten nowo poznany rodzaj upokorzenia. Na całe szczęście w ostatnim liście do ojca poprosił go o wysłanie kilku zaufanych ludzi w towarzystwie karawany pocztowej, którzy mogliby dostarczyć szkatułkę z jego oszczędnościami, najlepiej w tenarskiej walucie.

— Co to... Co to znaczy? — spytała dziewczynka.

Nigdy wcześniej nie słyszał, by Nye'ra przemawiała z takim poruszeniem.

— Obrońca. Abyś pamiętała, do czego ma ci służyć. Dobywaj go tylko wtedy, kiedy pragniesz bronić siebie bądź bliskich.

Dziewczynka zachichotała pomimo zaszklonych oczu.

— Więc dlaczego ty atakujesz straszego pana w gniewie?

— Nye'ra... — wypowiedział jej imię chłodniej, niż zamierzał. — Rozmawialiśmy o tym.

Pociągnęła nosem i zadarła głowę, niezrażona jego tonem.

— To ostatni raz, obiecuję. Więcej nie dotknę twoich myśli. Nigdy!

Złapał ją delikatnie za chude ramiona i pochylił się tak, by jego twarz znalazła się na równi z jej wzrokiem.

— Czy nie prosiłem, byś więcej nie zgłębiała tej sprawy?

— Ale...

— Nie, Nye'ra. Musisz się trzymać od tego z daleka, zrozumiałaś?

Najpierw zrobiła naburmuszoną minę, lecz po chwili opuściła głowę i kiwnęła.

Zatrzymał wzrok na jej szarej, małej dłoni. Zaciskała palce na pięknej rękojeści miecza.

— Nawet jeśli sam się nią czasami kieruję, złość nie jest dobrym doradcą. Podnoszę broń w obronie przyjaciółki, o której zdrowie i bezpieczeństwo bardzo się martwię. Jednak możliwe, że pod wpływem gniewu popełniam błędy. Nie powtarzaj ich po mnie.

Po raz kolejny dziewczynka przyznała mu rację ruchem głowy.

— Czy mogę ci zaufać, zostawiając Obrońcę w twoich rękach? Czy będziesz go dzierżyć tylko w dobrej sprawie?

Cofnęła się o dwa kroki i wbiła czubek ostrza w ziemię. Głownia błysnęła w bystrym słońcu, ostatnio coraz częściej wychylającym zza rzedniejących chmur.

— Przysięgam na Mestyrię, panią wszechrzeczy, to ostrze będzie ścinać głowy pomiotów, a żadna bezbronna istota nigdy nie ucierpi z mojej ręki.

Wallace popatrzył na nią z uznaniem i powagą, jaką z trudem zachowywał. Nye'ra uroczyście podniosła z ziemi pochwę, którą wcześniej porzuciła u stóp, przyczepiła ją do mocnej wstęgi opasującej jej sukienkę i schowała ostrze.

Wtem rozległo się dęcie w róg. Przedłużający się głośny dźwięk zmroził krew w żyłach Wallace'a. Zmagając się z paraliżującym zmysły niepokojem, zacisnął rękę na rękojeści szabli.

— Co się dzieje...?

Mało dziecięce rysy Nye'ry jeszcze bardziej stwardniały.

— To sygnał wojowników. Ktoś atakuje wioskę.

Kobieta tenare wyłoniła się z chaty, otwarłszy z hukiem drzwi. Pokrzykując na dzieci, zaciągała je do domu pomimo ich protestów. Te młodsze od Nye'ry były ciekawskie i nie rozumiały wagi nadchodzącego zagrożenia. Sygnał zabrzmiał ponownie — teraz był dłuższy, jeszcze dotkliwiej działający na nerwy.

— Skryj się z pozostałymi — rozkazał Wallace.

— Nie.

Dziewczynka sięgnęła po swój nowo zdobyty miecz, lecz nim wyciągnęła ostrze z pochwy, delikatnie położył dłoń na jej przedramieniu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Widział w jej spojrzeniu wiele determinacji, lecz nie wyobrażał sobie pozwolić dziewczynce na prawdziwą walkę. Jeszcze nie.

Wreszcie Nye'ra dała za wygraną. Pobiegła w stronę chaty i kilka razy walnęła pięścią w drzwi. Dopiero wtedy dorosła tenare zainteresowała się nią i wpuściła do środka, wykrzywiona w trwodze, bledsza niż normalnie.

Wallace szybko odwiązał wierzchowca od płotu i wskoczył na siodło. Popędził przez wioskę, kierując się na południowe obrzeża, skąd dobiegał dźwięk rogu. Tenare umykali do chat, porzucali swoje prace, zamykali drzwi i okiennice na zasuwę. Jednak część z nich podążała w tę samą stronę co on. Uznał, że to wieśniacy posługujący się magią ziemi. Nawet jeśli zazwyczaj używali jej głównie do uprawy roli czy hodowli zwierząt, co odważniejsi rwali się, by wykorzystać ją w walce.

Kiedy zbliżał się do rubieży, usłyszał szczęk stali, świst ciskanych kamieni, komendy wykrzykiwane przez dowódcę wojowników, wrzaski. W pewnym momencie mało nie stratawał uciekającej kobiety. Wierzchowiec stanął dęba, Wallace nie bez problemu się na nim utrzymał, a tenare padła na piaskową drogę kawałek dalej.

— Durnie! Łapcie to bydlę! — dało się słyszeć ryk dowódcy.

Gniadosz uderzył kopytami o ziemię. Chłopak zeskoczył z siodła, nie czekając, aż zwierzę się uspokoi. Poczul zimno we wnętrzościach, kiedy ujrzał monstrum wybiegające zza budynków.

Było to czarne cielsko niemal wielkości konia, nad którym unosiła się równie mroczna mgła. Z głowy osadzonej na długiej szyi spozierała przerażająco ludzka twarz, lecz jej szeroki uśmiech wypełniały potworne, ostre kły. Cztery potężne kończyny opierały się na srogich łapach o długich, zakrzywionych pazurach.

Bezbronna kobieta, zawodząc żałościwie, zerwała się na nogi i pognąła przed siebie. Wallace szybko ocenił, że nie ma ona najmniejszych szans na ucieczkę. Niewiele myśląc, wyciągnął szablę i z wrzaskiem ruszył na demona. Bojowy okrzyk poskutkował. Pomiot, zamiast rzucić się w pościg za dotychczasową ofiarą, skupił całą uwagę na nim.

Jednym susem pokonał dystans dzielący go od Wallace'a i machnął wielgachnym łapskiem. Chłopak zrobił unik — o włos ustrzegł się trafienia, które prawdopodobnie pozbawiłoby go ramienia. Ale nie zdążył zripostować — demon natychmiast skoczył do kolejnego ataku. Wallace rzucił się na bok, przeturlał po ziemi i szybko zerwał na nogi. Pomiot krążył przed nim, czujnie stawiając krok za krokiem. Z jego gardzieli dobywał się charkot przypominający drwiący śmiech. Wallace ustawił się w lekkim rozkroku, z bronią w gotowości. Serce zabiło mu dziko, ręce miał spocone... Monstrum skoczyło, rwąc ziemię pazurami.

Rozległ się świst, a zaraz za nim huk. Pomiot runął na piaskową drogę parę stóp przed Wallace'em. Chmury kurzu wzbily się nad okropnym cielskiem. Wallace obserwował oszołomiony, jak z wolna opadają i rozpraszają się w przyległej do demona czarnej mgiełce. Nie prędzej niż po długim oddechu zorientował się, że wokół kończyn pomiotu oplątują się grube, ciemnozielone pnącza — jakby rośliny ożyły — a gdy monstrum zaszamotało łbem, zawodząc wściekle, ni stąd, ni zowąd wyrosła kolejna odnoga twardego, ożywionego pnącza. Przebiła korpus stwora na wylot i wystrzeliła z pleców, rozpryskując szeroko czarną maź.

— Odrąb mu łeb!

Wallace otrząsnął się, lecz ręce zaczęły mu drżeć, co jeszcze nigdy mu się w trakcie żadnej walki nie zdarzyło. Na końcu piaskowej alejki, wsparty o ziemię kolanem i rękami, trwał w skupieniu barczysty tenare. Obok niego, w podobnych pozycjach, stali jego szczuplejsi towarzysze. Kontrolowali rośliny. Z dala dobiegały odgłosy innych walk w wiosce.

Pomiot chrapliwie łapał powietrze i nie zważając na nadziewające go pnącze, uparcie wierzgał. Długa, gruba szyja i łeb szurały po piachu. Brudna od chlupoczącej mazi roślina rosła i kołysała się, aż sięgnęła do karku demona i oplotła mu gardziel. Unieruchomiła głowę, odsłaniając idealne miejsce na uderzenie szabli.

Wallace na sztywnych nogach przybrał pozycję do wymierzenia ciosu, wznosił ostrze. Oczy monstrum, jarzące się jak utkwione w obliczu węgle, patrzyły z nienawiścią. Szeroki uśmiech zmieniał się w grymas gniewu, a spomiędzy kłów wypływały niezrozumiałe słowa — w języku, jakiego Wallace nigdy wcześniej nie słyszał. Pod wpływem tych palących uszy dźwięków opuścił szablę z okrzykiem, który miał mu dodać siły. Klinga przecięła cienistą skórę i utknęła w twardym ciele. Demon wrzasnął skrzekliwie, czarna maź spłynęła po wyszczerzonych zębach. Chłopak zaparł się nogą o łeb pomiotu i ze stęknieniem wyciągnął ostrze. Potem opuszczał je raz za razem, rąbiąc do chwili, aż długa szyja została przepołowiona.

Ochlapany dziwnie ciepłą mazią, oddychał ciężko. Dłonie miał polepione brudem i potem. Ustępowała adrenalina, pojawiały się skręcające żołądek mdłości. Przycisnął wierzch dłoni do ust i zamknął oczy. Silnie zakręciło mu się w głowie. Ciałem wstrząsnęły dreszcze. Kiedy po dłużącym się momencie rozchylił powieki, zobaczył u swoich stóp wielki łeb z twarzą naznaczoną bólem. Z przepołowionej szyi wciąż wylewała się czarna maź. Taka sama jak ta, którą Namir wyciągał spod skóry Irvette.

Wycofał się od tego widoku chwiejnym krokiem. Tenare rozproszyli się, pnącza rozluźniły swe sploty, zrobiły się bezwładne. Jego wystraszony gniadosz musiał gdzieś pierzchnąć. Okrzyki wojowników dobiegające zza domostw powtarzały się już dużo rzadziej. Mimo to skierował tam swe kroki, wycierając ostrze szabli o zachlapane spodnie.

Sytuacja na samym skraju wioski przeraziła go. Truchła pomiotów i martwe ciała tenare leżały na ziemi okaleczonej pazurami, straszliwie popękanej, pełnej dziur po wyrwanych kamieniach. Zwłoki spoczęły wśród połamanych płotów, pomiędzy nieruchomymi pnączami. Cielsk pomiotów o różnych rozmiarach było sześć — jedno pod stertą odłamów usypujących się z dziurawej na wylot ściany. Obok — dwoje rozciągniętych zwłok tenare. Ubrania i ciała porane pazurami, kobieta miała odgryzione ramię, a mężczyzna pół twarzy. Kawalek dalej spostrzegł jeszcze jednego trupa, ale zrezygnował z jego oględzin. Wojownicy nie poświęcali martwym uwagi, zajęli się rannymi towarzyszami, paru z nich było w ciężkim stanie. Wallace patrzył na makabryczny widok w osłupieniu, dopóki silna dłoń nie chwyciła go za ramię.

Barczysty tenare, dowódca, który wcześniej uratował mu życie, spoglądał z góry surowo. Skórzaną zbroję na piersi miał rozerwaną, ślady pazurów naznaczyły szarą skórę do krwi.

— Jesteś człowiekiem pana Silvaru, zgadza się?

— Można tak rzec — odparł Wallace, sunąc wzrokiem po truchłach demonów, które dotąd widywał jedynie na rycinach.

— Jak tylko rozmówię się z szamanem, natychmiast wyruszamy do O'rior — zawyrokował dowódca. — Jak długo żyję, Strzegącym nigdy nie wymknęła się tak silna grupa pomiotów. Musiał je wezwać czarny mag.

Tego ranka Namir obudził się późno. W nocy męczyły go mary. Mikstura, która sprawiała, że sen miał płytki, nie pomagała. W rezultacie zasnął zmęczony niedługo przed świtem. Wizje, jakich doświadczał tej nocy, nie były mu obce, jednak wzbogaciły się o nowy element. Dotychczas śnił jedynie o pobojuwisku pełnym spalonych, zwęglonych ciał i tych, które jeszcze wiły się w agonii. Teraz stała pośród nich dziewczyna o kasztanowych włosach, w lekkiej kolczudze, zasłaniająca się wielką, przezroczystą tarczą o owalnym kształcie. W prawej dłoni dzierżyła krótki miecz, lśniący tak oślepiającym srebrzystym blaskiem, że nie mógł dostrzec zarysów klingi. W pewnym momencie odwracała się do niego z uśmiechem na ustach, nieprzejęta otaczającymi ją zewsząd trupami.

Kiedy wychynął ze składziku, osłaniając oczy przed słońcem, zobaczył Irvette przy stole zastawionym fiolkami i słojami. Właśnie odwróciła odmierzacz i odstawiła miseczkę z gęstym płynem. Spostrzegłszy go, skinęła głową.

— Nie jesteś dziś rannym ptaszkiem, Namirze.

Rozłożył ramiona i uśmiechnął się pod zasłoną.

— Skoro wzięłaś się do pracy, zgaduję, że zjadłaś już poranną strawę.

— Owszem, a ty powinienesz być wdzięczny, że cię na nią nie zbudziłam. W twoich oczach nadal widać zmęczenie.

Po raz kolejny nie mógł wyjść z podziwu, jak szybko ta dziewczyna wyzbyła się strachu przed jego spojrzeniem. Dochodziło do tego, że to on odwracał wzrok, nienawykły do tego, że ktoś bez skrepowania i z taką odwagą zagląda mu w oczy.

Ominął ją i usiadł ciężko na pobliskiej ławce.

— Wizje, których ludzie doświadczają, gdy ośmielą się mnie dotknąć, od czasu do czasu pojawiają się również w moich snach.

Chwilę patrzyła na niego w zamyśleniu, jej twarz przybrała poważny wyraz. Wreszcie kąciki jej warg drgnęły w nieznacznym uśmiechu.

— Przygotowuję właśnie miksturę wzmacniającą. Jest dobra na katar i duszności, ale nada się też na przewlekłe zmęczenie.

— Dziękuję za twą bezcenną wiedzę, osławiona zielarko z Cirem, to paskudztwo nie jest mi obce — odparł z przekąsem, po czym zlustrował ją bacznie. — Nie czujesz się gorzej...?

— Jeszcze nie, ale zawsze z nadejściem pory suchej podupadam na zdrowiu, jeśli nie wspomagam się ziołami. — Westchnęła krótko, niezadowolona. — Zresztą Wallace też łapie wtedy katar. Powinnam była przygotować mu kilka fiolek, kiedy odwiedził nas ostatnim razem.

Na wspomnienie tego błazeńskiego chłopaka Namira ogarnęła wściekłość.

— Nie dziwię się, że trwa przy tobie niczym pies, skoro tak bardzo nad nim skaczesz.

Dziewczyna łypnęła na niego spode łba.

— Ty zaś zrzędzisz niczym starzec.

— Może jestem stary.

— Szczerze w to wątpię.

— Skąd ta pewnoś?

Oparła się tyłem o blat wysokiego stołu, stojąc cały czas na podwyższeniu ze skrzyni. Rozpuszczone włosy lśniąco opadały na ramiona, które odsłaniała w prostej bawełnianej koszuli o szerokim dekolcie. Skórę na nich miała nakrapianą drobnymi piegami.

— Zgaduję po głosie.

Parsknął głośno, uderzając dłońmi o kolana.

— Muszę przyznać: z każdym dniem dowcip ci się wyostrza.

— Mówię poważnie.

Nie odpowiadał, a ona nie spuszczała z niego poważnego wzroku. W końcu nie wytrzymał, dźwignął się z miejsca, wyprostował.

— Lepiej napijmy się kawy.

Kiedy on zajął się gotowaniem wody, dziewczyna wyszperała ze składziku naczyń. Na blacie stołu postawiła imbryk i dwa cynowe kubki, którym przyjrzał się z powątpiewaniem.

— Żartujesz? Kawę należy pić tylko w pucharach, jak bogowie.

— Nie widziałam, żebyś miał tu jakieś wysadzone diamentami — odparowała drwiąco.

— To bluźnierstwo uważać naszych bogów za tak dalece nieskromnych.

— Śmiej się, że wszyscy są nadętymi bufonami.

— Większymi niż twój przemiły przyjaciel Bernett?

Spiorunowała go ostro i prychnęła jak kotka, a on wyszczerzył się pod zasłoną. Choć może nie powinien się cieszyć, tylko raczej szykować na atak, jako że w zasięgu ręki miała kilka naczyń.

— W jednym jesteście sobie podobni. Kiedy już nienawidzicie, to z wielką pasją — wygłosiła, a kiedy złapała za kubki, jego mięśnie się napięły.

Jednak nie wykorzystała żadnego z naczyń, by dać upust swojej złości.

— Nienawidzenie tego błazna byłoby stratą czasu. Jeśli już, po prostu niesłuchanie działa mi na nerwy.

Nie odpowiedziała, zmierzyła go tylko z powątpiewaniem, po czym zabrała się wraz z naczyniami do składziku.

Podszedł do stołu i odstawił odmierzacz, który odlał już odpowiedni czas. Dodał do mieszanki wcześniej wyparzone kwiaty mniszka i zalał wszystko olejem z czarnuszki, by poddać specyfik ponownej maceracji. Płyn wyglądał i pachniał paskudnie, lecz słynął ze swojej skuteczności.

Tymczasem Irvette wróciła z dwoma srebrzystymi pucharkami i miną sugerującą, że jego rytualne wręcz podejście do picia kawy uważa za mocno przesadzone. Stwierdził, że zmieni zdanie po kolejnej fazie raczenia się tym błogosławionym napojem. Milczała, nabierając łyżeczki zmielonych ziaren ze słoja. Zgadywał, że zastanawiała się, czy faktycznie będzie musiała zostać w jego pustelni jeszcze tak długo. Sam powstrzymywał się przed rozmyślaniami na ten temat, bo obawiał się wniosków, jakie mogłyby pojawić mu się w głowie.

Kiedy już rozlała gotowy napój z imbryka, a on pochwycił swoje naczynie z zamiarem skrycia się z napitkiem w składziku, zatrzymała go słowami:

— Wypita na łonie natury smakuje znacznie lepiej, zupełnie jak *suvis*.

Wzięła drugi nagrany pucharek w obie dłonie i podeszła do ławki z kamiennej masy. Przysiadła na jej skraju, odwrócona do Namira plecami. Serce zabiło mu mocno, dłoń zadrżała. Długo nie mógł się zdecydować. Było jasno, słońce oświetlało polanę mocnym blaskiem. Nie odpowiadało mu to. Jednak przywołując wspomnienie wieczoru nad ogniskiem, zebrał się w sobie i w końcu usiadł na drugim krańcu ławki, tyłem do dziewczyny. Wbił wzrok w zawartość pucharka.

— Nadal się upieram, że powinieneś spróbować, jak smakuje z miodem — zagadnęła Irvette. — Z cynamonem też jest całkiem niezła. Poza tym szkoda, że skończyło się już mleko, myślę, że i je można by rozważyć jako dodatek.

— Cóż za szalone pomysły — odpowiedział, z trudem przeciskając słowa przez gardło.

Sięgnął po zasłonę i odsunął ją na tyle, by móc ze swobodą pociągnąć nieduży łyk gorącego płynu. Czuł ucisk w klatce, miał napięte nerwy. Picie razem z Irvette o zmroku nie było nawet w połowie tak stresujące jak ryzyko, które podejmował przy pełnym świetle późnego poranka.

Spędzili w ten sposób jakieś pół świecy, głównie w milczeniu, choć od czasu do czasu wymieniali się krótkimi spostrzeżeniami. Dziewczyna

nie była wścibska, nie zerkąła za siebie, nie wierciła się. Swoim wyważonym zachowaniem sprawiała, że się rozluźniał.

— Może wybierzesz się dziś ze mną zbierać zioła? — zaproponował w pewnej chwili. Po tym, jak kilkakrotnie zniosła dzielnie przeprawę przez mroczny bór, zaczął rozważać, czy nie mogliby odbyć wyprawy w celu innym niż dotychczas. Tym bardziej że odkąd tu była, sam wyprawiał się po zioła nie dalej niż na skraj lasu. — Moje zapasy są już mocno przetrzebione, a te z ogródka to jednak nadal za mało.

Nie odpowiadała przez moment, a on bawił się pustym już pucharkiem, obracając go nerwowo w dłoni.

— Hmm... dlaczego by nie? Nie pozwolisz mi się zgubić, mam rację?

— Czy pozwoliłem na to ostatnimi razami?

— Gdyby nawet do tego doszło, zapewne natychmiast podjąłbyś poszukiwania.

— I nie przerwałbym ich, póki bym cię nie znalazł.

Zapadła cisza. Namir poczuł się dziwnie skrepowany. Podniósł się z ławki i odstawił naczynie na stół. Stały na nim fiolki wypełnione miksturą wzmacniającą, którą Irvette dokończyła, gdy jeszcze czekali, aż woda na kawę zacznie wrzeć.

— To będzie dobra okazja do wykopania trochę korzeni kozłka na twoje problemy ze snem — oznajmiła dziewczyna.

— Nie mam problemów ze snem — odparł i odwrócił się, ale ona już zmierzała w kierunku chaty.

Zaczął się zastanawiać, czy właśnie powziął słuszną decyzję, czy jednak bardzo jej pożałuje.

Wróciła w narzuconym na ramiona płaszczu. Z jej buta wystawała rękojeść sztyletu, którego wcześniej nie widział. Była wyjątkowo rozpromieniona. Zielone oczy błyszczały niemal tak samo olśniewająco jak drogie kamienie w splocie jej bransolety. Mimo woli na chwilę zawiesił na dziewczynie wzrok, po czym z wbitego w blat haka ściągnął dwie spore sakwy na zioła. Podał jedną Irvette, a ta odebrała ją ostrożnie i przymocowała do pasa prostych, brązowych spodni, w które jak zawsze wcisnęła pomarszczony dół koszuli.

Na początku poprowadził ją przez gęstwinę w miejsca, które przypominały jego pustelnię. Zaskoczyła ją okazała liczba małych polanek, które rozsiane były po jego mrocznym lesie. Choć na ten czas znajdowali głównie korzenie i pnącza, w osłonecznionych miejscach nie brakowało także kwiatów mniszka, podbiału czy rumianku, i było ich znacznie więcej niż na skraju jego kryjówek. Gdy wracali między wielkie drzewa, miewała zawroty głowy, ale nie wyglądała na przerażoną. Zdecydował się więc zabrać ją w najmroczniejsze zakamarki lasu. Była zaintrygowana roślinnością porastającą korę drzew i wystającą z ziemi korzenie, zwłaszcza że sporą część tego stanowiły zioła dobrze jej znane. Wyjaśnił jej, że to odmiany zmutowane, które dostosowały się do nieprzychylnych warunków, a potem podjęli dyskusję na temat tego, czy do podobnego zjawiska mogłoby dojść poza granicami królestwa tenare, na którego ziemiach roślinność nie tylko zieleniła się szybciej, ale i była znacznie wytrwalsza i podatniejsza na rozwój. Z zaskoczeniem odkrywał, że mając partnera do rozmowy, przestaje liczyć czas, i już nie wiedział, ile go w rzeczywistości upłynęło, gdy wreszcie skończyli swoje zielarskie deliberacje.

Przyglądał się jej, teraz już bez reszty pochłoniętej zbiorami. Nie pamiętał, kiedy ostatnio interesowało go kobiece ciało — wszak zdawał sobie sprawę, że przyjemność płynąca z obcowania z płcią piękną leżała poza jego zasięgiem. W tej chwili również chęć obserwowania Irvette brała się raczej z ciekawości niż żądz, jednak odczuwał wstyd, gdy przesuwiał wzrokiem po smukłej sylwetce niczego nieświadomej towarzyszkii. Nie pierwszy raz spostrzegł, że jest całkiem zgrabna, szczupła, wręcz drobna. Biła od niej tymczasem jakaś pewność, siła, którą zaczynał podziwiać. Zawzięty wyraz twarzy i nierzadko chłodne spojrzenie nie umniejszały jej uroku. Nadal miał wrażenie, że w tym ciemnym nawet w środku dnia lesie dziewczyna jest jak promień światła. Zaniepokojony coraz dalej idącymi myślami, pozwolił sobie na chwilę spuścić ją z oka. Potrzebował odetchnąć, czuł przemożne pragnienie ściągnięcia zasłony. Wówczas spostrzegł między oddalonymi drzewami znajomy kształt.

Znieruchomiał. Słyszał trzask leśnego poszycia pękającego pod stopami Irvette. Wycedził jej imię zduszonym głosem i poczuł ulgę, kiedy dziewczyna posłusznie się zatrzymała. Bez słowa spojrzała we wskazanym przez niego kierunku. Zmrużyła oczy, po czym nieco poblądła.

Wśród grubych drzew krążyła wielka kreatura. Z daleka pomiot przypominał przerośnięte psisko. Tylko ta spłaszczona, niewiarygodnie ludzka twarz, która właśnie zwróciła się w ich stronę... Długie kły odłoniły się w uśmiechu, a intensywnie czerwone oczy błysnęły złowrogo.

Irvette nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nie wykonywała gwałtownych ruchów, nie okazywała strachu — chociaż Namir był przekonany, że dziewczyna się boi. Wysunął się naprzód i zasłonił ją ramieniem, tym samym dając jej do zrozumienia, by nie ruszała się z miejsca. Pomiot musiał zostać zlikwidowany — wypuszczenie go z lasu oznaczałoby, że prędzej czy później dotrze do szlaku i napadnie na nieostrożnych podróżników lub wymorduje jakieś liczne stado trzody. Ponadto zostali przez niego zauważeni. Gdyby się wycofali, podążyliby za nimi.

Namir kroczył spokojnie, z wysoko zadartą głową zbliżał się do demona, cały czas zachowując czujność. Ostrożnie stawiał stopy między wystającymi z ziemi korzeniami, przechodził pod tymi, które wybijały wysoko nad ziemię, odgarniał zwisające z drzew grube pnącza. W gęstwinie boru łatwo było się potknąć, zaklinować stopę albo rozedrzeć ubranie o ostre kolce niektórych krzewów. Monstrum również się przemieszczało — wychodziło mu naprzeciw. Z pewnością rozpoznało w nim czarnego maga.

Gdy znaleźli się w odległości jakichś dziesięciu stóp od siebie, wyprostował ramię i rozczapierzył palce. Przemawiając w skrzekliwym języku demona, nakazał mu powrócić tam, skąd przybył. Skoncentrował się, mgielka otaczająca ciało monstrum zafalowała pod jego kontrolą, a uczucie potęgi, kuszącej, by ją wykorzystać, prześliznęło się pod skórą jak drążące mięso robaki. Zacisnął szczękę.

Pomiot cienia dobył z siebie parszywy, charkotliwy rzekot, tak bardzo podobny do tembru samego Namira. Nie zareagował na to wezwanie, a to mogło oznaczać tylko jedno. Opuścił rękę wzdłuż ciała i ponownie przemówił w języku demona:

— Kto jest twoim panem?

Pomiot nie raczył odpowiedzieć, a spojrzenie jego jarzących się na czerwono ślepiów powędrowało na bok. Zrozumiawszy, że monstrum

spogląda na znajdującą się dalej dziewczynę, wziął głęboki oddech i powtórzył pytanie. Pomiot zaskowyczał i długimi susami puścił się między drzewa...

Namir natychmiast wyrzucił ramiona przed siebie, chcąc pochwycić monstrum telekinezą, lecz moc jego umysłu napotykała na swej drodze szerokie pnie drzew, między którymi demon zwinnie przeskakiwał. Pomimo wielkich rozmiarów sprawnie umykał przed schwytaniem, śmiejąc się w głos.

— Irvette!

Czarny mag zawrócił w pośpiechu i nie bacząc na konsekwencje, zerwał z dłoni rękawice. Stwór jednak dotarł do dziewczyny pierwszy, a ta... nie próbowała uciekać. Dosłownie na jedno mrugnięcie oka przed atakiem zasłoniła się ramieniem i pewnym głosem wykrzyknęła tenarskie słowo:

— *O'bex!*

Tarcza pojawiła się w doskonałej chwili, z hukiem odbijając napastnika. Zatrzymawszy się, monstrum postąpiło w miejscu, w oszołomieniu potrząsnęło łbem. Dziewczyna, przycupnięta w kuckach, wyciągnęła sztylet z wysokiego buta. Zasłonięta błyskającą barierą, z dłonią mocno zaciśniętą na rękojeści, z oczami przepelnionymi zimną determinacją, jaką widywało się raczej u wprawionych w walce żołnierzy, rzucała przeciwnikowi nieme wyzwanie.

Pomiot odzyskał równowagę i jadowitym tonem wyśpiewał kilka ordynarnych inwektyw. Dziewczyna nie знаła demonicznego języka, więc spokojnie wyczekiwała kolejnego ataku. Ataku, do którego Namir nie dopuścił.

Wykorzystał nieuwagę demona i uderzył go potężną falą telekinezy. Pomiot zaryczał, z hukiem wbity w ziemię. Namir obrócił dłoń i w tym samym momencie wykręciła się długa szyja monstrum, lecz ono nadal wierzgało i wrzeszczało. Drugą ręką wypuścił falę czarnego ognia i gdy płomienie pochłonęły cieniste cielsko, otoczenie przeszył przejmująco ludzki krzyk. Nie pozwalając demonowi na wyrwanie się z więzów telekinezy, Namir podsyczał ogień tak długo, aż przestał czuć opór. Wtedy wystrzelił ogień również z drugiej dłoni. Czarnoniebieskie jęczory pochłaniały ciało demona w zatrważającym tempie, zmieniając je w czarny pył i kałużę kleistej substancji.

Gdy było już po wszystkim, opuścił ręce wzdłuż ciała, odrobinę zmęczony. Nad tym, co pozostało z pomiotu, unosiły się smużki dymu, a gęsta maź skwierczała, wydzielając krzywiący nos smród.

Irvette wyglądała na lekko otępiałą. Nadal jeszcze nie odwołała tarczy, po rękojęści jej sztyletu spływały strużki krwi.

— Jesteś ranna? — Namir zbliżył się do niej, dając długi krok nad pozostałościami demona.

W porę przypomniał sobie, że nie powinien jej dotykać. Powstrzymał się też przed uniesieniem jej ramienia telekinezą. Otrząsnęła się, choć jej oddech jeszcze się nie unormował.

— *Absse* — wyszeptała, a kiedy tarcza zniknęła, włożyła sztylet do lewej dłoni i obejrzała krwawiącą rękę. — To tylko niewielkie rozcięcie. Musiałam zahaczyć o jakiś cierni, kiedy wsparłam się o ziemię.

— Pokaż — zażądał i mocno przełknął ślinę.

— Zajmę się tym, gdy wrócimy na pustelnię.

— Proszę.

Wysoko uniosła brwi, a następnie bez słowa pokazała mu rękę. Rozcięcie rzeczywiście nie było bardzo głębokie, ale krwawiło. Przesunął dłoń nad ranę i przywołał uzdrawiającą poświatę. Z niepokojem uświadomił sobie, że jego skóra jest odsłonięta, lecz nie przerwał zabiegu. Jasny blask odbijał się w wypełnionych zadumą zielonych oczach Irvette.

Po upłynięciu kilku długich oddechów płytkie rozcięcie zasklepiło się. Dziewczyna wyglądała na zmieszaną.

— Dziękuję — szepnęła. — To nie było konieczne, ale dziękuję.

Pokiwał głową i splótł ręce za sobą. Nie potrafił zgadnąć, czy ta chwilowa niepewność obudziła się w Irvette z powodu jego nadgorliwej reakcji, czy też na widok jego skażonej skóry. Uznał, że jeszcze nadejdzie czas, by się nad tym zastanawiać.

— To twoje pierwsze spotkanie z pomiotem, jak mniemam.

— Tak. — Spojrzała na resztki stwora stygnące na poszyciu, jej twarz przybrała kamienny wyraz. — To raczej za rozprawienie się z nim powinnam ci dziękować. Nie wiem, czy byłabym w stanie długo się przed nim bronić.

— Nie byłaś absolutnie bezbronna, a to już coś — skwitował bez złośliwości, w zamyśleniu. — Nie reagował na moją moc.

— Co to oznacza?

— Pomioty, które samodzielnie wydostały się z podziemnych korytarzy, nie mogą opierać się mocy czarnego maga. Potrafią to jedynie te, które zostały przez kogoś przyzwane... Które mają już pana.

— Chcesz powiedzieć, że gdzieś w okolicy przebywa inny czarny mag?

— Może w okolicy, może już daleko stąd.

— I nasłał na nas tego demona?

Z wręczonych Namirowi dawno temu ksiąg o czarnej magii — z zapisów obejmujących wiele cykli działalności jego niechcianych braci i sióstr — wiedział, że czarni magowie wcale nie stronili od swego towarzystwa i łączyli siły, jeśli tylko mieli ku temu okazję. Na własnej skórze doświadczył zresztą, jak obsesyjnie czarny mag może pragnąć zatrzymać przy sobie drugiego, zaślepiiony wizją wspólnej potęgi... Irvette przypatrywała mu się z poważnym oczekiwaniem, niezwykle opanowana po tym, co ją właśnie spotkało.

— Nie twierdzę, że go nasłał — odezwał się w końcu. — Żaden czarny mag nie zapoLOWałby bez powodu na swojego pobratymca. Jeśli jakimś sposobem dowiedział się o mojej obecności w lesie, najpierw spróbowałby się ze mną skontaktować. Gdyby zaś istniały powody, dla których pragnie mnie zabić, wysłałby więcej demonów, wiedząc, że z jednym uporam się bez problemu.

Na obliczu dziewczyny widniała konsternacja.

— Co, jeśli wysłanie demona to właśnie próba skontaktowania się z tobą?

— Gdyby tak było, zabroniłby mu jakiegokolwiek ataku. I przekazał przez niego wiadomość. Tak, te skrzekliwe słowa, które słyszałaś, faktycznie mają znaczenie. To nieskomplikowany język, ale wystarczający, by się porozumieć.

— Nie sądziłam, że pomioty są tak...

— Inteligentne? Cóż, tylko pod wpływem maga. Ale to nadal przede wszystkim krwiożercze bestie.

— Może to ja byłam celem — zasugerowała, nadal spokojna. — Może demona nasłała osoba odpowiadająca za moje skażenie. To na mnie się rzucił.

Napięcie, jakie ogarnęło go na te słowa, zniknęło szybko, gdy tylko głębiej się nad nimi zastanowił. Poprawił splecione ramiona — pilniej ukrył

dłonie. Pokręcił głową.

— Rzucił się na ciebie, bo uznał cię za łatwiejszą zdobycz — ocenił. — Jeśli pan tego pomiotu wie o twojej obecności tutaj, musi wiedzieć również o mnie. A w takim wypadku, jak wspominałem, nasłalby więcej demonów. O ile ta bestia faktycznie polowała, to raczej nie na konkretną zdobycz, lecz z powodów, których wolałbym ci teraz nie wyjaśniać. Może innym razem.

— Masz zamiar podjąć w związku z tym jakieś działanie? — zapytała po dłużącej się chwili milczenia.

— Nie — odparł stanowczo, po czym westchnął, jakby znużony. — Jeśli jakiś czarny mag rzeczywiście o nas wie, najlepszym wyjściem jest schronienie się na pustelni, do której łatwo nie dotrze, o ile w ogóle zdoła. Nawet demony będą miały z tym problem. Jeśli zaś o nas nie wie, a ja spróbuję go odszukać, jedynie niepotrzebnie zdradzę swoją obecność.

Irvette zaakceptowała jego odpowiedź. Wytarła brudną od krwi rękę o liście, to samo uczyniła z rękojeścią sztyletu. Potoczyła czujnym wzrokiem wokoło. Kilka kosmyków kasztanowych włosów przykleiło jej się do skroni, zdradzając, że pomimo zewnętrznego spokoju była mocno zestresowana.

— Może dla pewności sprawdzimy okolicę? — zaproponowała.

— Niech będzie. Ale trzymaj się blisko mnie.

Nie natknęli się na żadne ślady kolejnych pomiotów czy też ich pana, więc powrócili w milczeniu do swojej kryjówki. Obmywając ręce przy beczce wody, Irvette zastanawiała się, jak często Namir stykał się z podobnym niebezpieczeństwem, skoro z taką łatwością przechodził nad nim do porządku. Nie miała innego wyjścia, jak pójść w jego ślady. Nie było to łatwe. Udało jej się zachować zimną krew w starciu z pomiotem, lecz teraz — na wspomnienie monstrum i w zderzeniu ze świadomością, jak niewiele brakowało, by została przez nie rozszarpana — ścisnęła ją w klatce. Przekonywała się, że osądy Namira są słuszne i obcy czarny mag tak naprawdę nie ma pojęcia o ich obecności w lesie. Powrót do codziennej pracy był dobrym sposobem na odsunięcie zmartwień na bok, więc zdecydowała się pomóc Namirowi w oporządzaniu świeżo zebranych ziół.

Oddzielała kwiaty, liście i wierzchołki pędów i układała je na przepuszczających powietrze włóknistych szmatkach, które następnie wiązała. Całe rośliny krępowała w luźne pęczki i rozwieszała je na konopnym sznurku, wierzchołkami do dołu. Na boku gromadziła te, które miała zamiar jeszcze dziś wykorzystać. Nadrzewne grzyby o różnorodnym zastosowaniu zarówno w ziołarstwie, jak i w kuchni — wrzucała do miseczki, by później je oczyścić. Niestety nie udało jej się znaleźć kozłka, czego żałowała, bo rzeczywiście chciała przyrządzić z tego korzenia napar na spokojny sen. Podejrzewała, że tego wieczora przydałby się również jej.

Namir pracował u jej boku, znów w rękawiczkach. Odszukał je wśród leśnego poszycia, ku swej uldze. Mimo woli zatrzymała na nich wzrok. Przywołała w myślach wygląd jego rąk. Długie palce i wierzch dłoni pokrywały znamiona z czarnej mazi. Substancja nie przelewała się pod jego skórą niczym woda, jak było w przypadku jej skażenia. Plamy i pasma pokrywające jego ręce wydostały się na zewnątrz i były zastygnięte, płaskie.

— Wybacz, naraziłem cię na oglądanie tego paskudztwa.

Z wolna podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. Chociaż słowa wypowiedział drwiącym tonem, w jego oczach widziała ból i wstyd. Nim zdołała odpowiedzieć, kontynuował:

— Jeśli sądzisz, że moja twarz prezentuje się podobnie, muszę cię rozczarować. Jest z nią o wiele gorzej.

Nie próbowała sobie nawet wyobrazić, co miał na myśli. Wróciła do segregowania ziół.

— To skażenie, z którego nie można cię uzdrowić, zgadza się? — skonstatowała.

Zamiast okazywania nadmiernego współczucia wybrała raczej próbę pokazania mu, że temat nie jest dla niej odstręczający. Sztywno pokiwał głową, nadal starannie oddzielając liście od łodyg. Duże dłonie z niemalą sprawnością radziły sobie z drobnymi roślinami i nożykiem.

— Ktoś już próbował, to niemożliwe. Wyjaśniono mi, że czarna magia nie przyjęła się w moim ciele. Dlatego je wypaczyła. — Wziął tak głęboki oddech, że gdy już wypuścił go z płuc, materiał zasłony poruszył się widocznie. — Wspominałem ci, że istnieją różne odmiany czarnej magii.

Pewne z nich mają negatywny wpływ na umysł tego, który nimi włada. W moim przypadku: nie tylko na umysł.

Przeraźliwie jasne oczy już na nią nie patrzyły. Za każdym razem gdy ten dziwny człowiek mówił jej o sobie, chociażby z wielkim oporem, czuła, jakby powierzał jej tę część swojej duszy, której przed nikim jeszcze nie odsłaniał. Znaczenie jego słów docierało do niej wraz z zimnem budzącym się w trzewiach.

— Więc gdy próbowałaś zapanować nad demonem, po raz kolejny ryzykowałeś nie tylko utratę kontroli, ale i rozwój skażenia na swoim ciele? Co więcej, za każdym razem, gdy wyciągasz chorobę ze mnie, ryzykujesz postępem własnej?

Niedbale machnął ręką i potrząsnął zamaskowaną głową.

— Już ci mówiłem, to tylko odrobina mocy. Zagrożenie pojawia się przy użyciu dużo większych jej pokładów. Lub przy korzystaniu z nich zbyt często.

— Do tej pory nie było często?

— Nie.

— A jednak ryzyko istnieje zawsze, mam rację?

— Powinniśmy zakończyć tę rozmowę.

— Dlaczego tyle dla mnie ryzykujesz, Namirze?

— Nie planowałem tego.

— A jednak robisz to. Dlaczego?

Nie odpowiadał jej, skoncentrowany na pracy, zgarbiony nad stołem.

— Nie mogę na to dłużej przystawać, Namirze — rzekła znów po chwili. — Powinnam natychmiast odejść.

— Zrobisz to, jak tylko nabierzemy pewności, że twojemu życiu nic nie zagraża. Póki co: przestań opowiadać bzdury i nie zaprzataj sobie głowy stanem kogoś takiego jak ja. Nie zasługuję na niczyją troskę. Zdaję sobie sprawę, że wołałabyś od nikogo już nigdy więcej nie zależeć, jednak jeszcze przez jakiś czas będziesz zmuszona polegać na mnie. Nie krępuj się korzystać z tego wymuszonego przywileju. Potwór, którym niechybnie jestem, rzadko ma okazję udzielić pomocy istocie twojego pokroju. Pozwól mi to robić, póki posiadam taką możliwość.

Po tej wypowiedzi, która zdawała się pozbawić go oddechu, głośno przełknął ślinę. Irvette patrzyła na niego zszokowana, zaskoczona jego szczerością. Obróciła się ku niemu powolutku. Nim zdobyła się na zabranie głosu, długo szukała stosownych słów, a serce waliło jej z przejęcia.

— Narażasz dla mnie swoje ciało i duszę, dajesz schronienie i dzielisz się wiedzą. Gdyby nie zaklęty przedmiot, który dla mnie przezornie przygotowałeś, byłabym martwa. Zaslugujesz na wiele. Z pewnością jednak nie na miano potwora. Nie pozwolę, by nadal ci je przypisywano.

Przerwał pracę, z wolna oparł dłonie na blacie. Rozciągnął palce, które zdawały się być zeszywniałe.

— Przeceniasz mnie. To ja pozwoliłem demonowi uciec, to przeze mnie miał szansę cię dopaść. Zakląłem bransoletę, bowiem uznałem, że ktoś tak lekkomyślny jak ty musi mieć możliwość obrony. Okazuje się jednak, że to ja jestem głupcem. Nie powinienem zabierać cię do tego przeklętego lasu, kiedy nie ma takiej potrzeby.

Słyszając gorycz w jego głosie, przełknęła zniewagę. Ciągle unikał jej spojrzenia, nadal wyraźnie podenerwowany.

— Ten las nie jest przeklęty. Ty również nie.

Sięgnęła do jego ramienia — pewna tego, co chce uczynić. Wizja rozrzuconych wokół ciał — palących się oraz tych doszczętnie już zwęglonych, leżących przy skrzyni, na której stała, i wokół składziku oraz na kamiennej ławce — szybko zniknęła. Namir gwałtownie się wycofał.

— Co ty wyprawiasz?!

Nie odpowiedziała, tylko z zastanowieniem omiotła wzrokiem stół.

— Cokolwiek próbujesz udowodnić... — Urwał, kiedy podniosła z blatu puste żeliwne naczynie, po czym złapała go za rękę.

Zignorowała jego protesty i roztaczając się ponownie wizję. Wepchnęła mu garnuszek w dłoń, po czym przykryła jego palce własnymi, dużo drobniejszymi.

— Przydałby mi się odwar z pokrzywy — powiedziała mu zwyczajnie. — Jest kilka specyfików na jego bazie, które chciałabym przyrządzić.

Patrzył na nią — rozbity, zdumiony, zdezorientowany. Wyczuwała, jak bardzo jest spięty. Nakazywała sobie nie zwracać uwagi na otaczające ich

ciała trawione czarnym ogniem, nawet udało jej się delikatnie uśmiechnąć. Zdawała sobie jednak sprawę, że krew odpłynęła jej z twarzy.

— Przygotujesz go dla mnie? — poprosiła. — Ja dokonczę segregowanie zbiorów.

Powoli zabrała rękę i odwróciła się do stołu. Kątem oka spostrzegła, że Namir wpatruje się bezmyślnie w swoje dłonie, kurczowo ściskające bogom ducha winne naczynie. Nie odpowiadając jej choćby skinieniem głowy, po prostu w pośpiechu udał się w stronę pieca.

Nadal czuła na palcach dotkliwe ciepło, jakie przebijało nawet przez solidny materiał rękawic Namira. Był jak ognisko, które chwilę temu srogo ją poparzyło, a jednak nadal pragnęła przy nim usiąść.



Rozdział XIV

Mała jaszczurka o grubym ogonie przemknęła po ścianie z kamiennych bloków i błyskawicznie wdrapała się po stole z czarnego drewna, przy którym zwierzchnik raczył się poranną strawą i głęboką czarką suvis. Obgryzając z mięsa kaczę udo, wyciągnął dłoń, by zwierzątko wspięło się na jej wierzch.

Wallace obserwował go w napięciu. Został wezwany do jego komnaty na piętrze centralnej części twierdzy. Wyposażenie izby stanowiło połączenie surowości i luksusu. Baldachim wielkiego łoża uszyty był z eleganckiej czarnej satyny, lecz ściany pozostawały gołe i zimne. Drewniane meble zrobiono z gałęzi splecionych ze sobą w wymyślny sposób, a krzesła wyglądały jak wyniesione z królewskiego dworu. Skrzynia na ubrania, stojąca w nogach łożka, mogła w sobie wiele pomieścić, na misternie wykończonym regale stały zadbane tomiska o skórzanych grzbietach.

Pan Silvaru odłożył udziec na talerz i sięgnął do pojemniczka uczepionego grzbietu jaszczurki. Z jego wnętrza wy dobył nieduży zwój pergaminu. W milczeniu studiował wiadomość wzrokiem.

Wallace poprawił się na krześle. Trzy dni temu, gdy wraz z wojownikiem z Supras doniósł zwierzchnikowi o napaści pomiotów, ten natychmiast wysłał jaszczurczego posłańca do dowódcy Strzegących pod Silvarem. Był to najszybszy sposób na skontaktowanie się z oddziałami przebywającymi w najgłębszych tunelach. Niepozorne zwierzątko przemieszczało się w podziemiach szybciej niż kruki po niebie czy karawany na powierzchni.

— Jak brzmi odpowiedź, panie? — Wallace nie mógł pohamować zniecierpliwienia.

Tenare minę miał nietęgą. Szara skóra o ciemnym odcieniu teraz stała się bledsza, a brwi zmarszczyły się nad czarnymi oczami, zwykle wyrażającymi

beztroskie lekceważenie. Zwierzątko pomknęło na regał, gdzie wśród ksiąg stała sporych rozmiarów złota klatka. Ukryło się w malutkiej grocie z ustawionych jeden na drugim kamieni. Zwierzchnik wstał bez słowa. Wytarł dłonie o płócienną szmatkę. Wysunął spod blatu szeroką szufladę i wyciągnął z niej niewielki woreczek. Z jego wnętrza zaś wydobył kilka martwych świerszczy.

Wallace czuł, że tętno mu przyspiesza. Wezbrał w nim gniew, który groził niepohamowanym wybuchem w każdej chwili, a na coś takiego nie mógł sobie teraz pozwolić.

— Panie...? — wydusił.

Obserwował, jak wysoki tenare podaje zwierzątku owady. Szeroka główka gada wyglądała co rusz z kryjówki, a małe szczęki błyskawicznie chwyciły pokarm, sprawnie omijając palce właściciela.

— Pomioty, które zaatakowały Supras, nie wydostały się z podziemi — odezwał się w końcu zwierzchnik.

Wrząca w żyłach Wallace'a wściekłość momentalnie ostygła i uleciała, jej miejsce zajął nieprzyjemny chłód. Przez ostatnie dni odbył ze zwierzchnikiem wiele rozmów na temat demonów i przyczyn ich ataku. Wiedział, co oznaczają ogłoszone przed chwilą słowa.

— Przez ostatnią fazę pod całym Silvarem nie odnotowano ani jednej próby wymknięcia się pomiotów na powierzchnię — kontynuował tenare. — Najgłębsze podziemia były ostatnio wyjątkowo bezpieczne. Z całą pewnością żaden pomiot, a tym bardziej duża grupa nie mogła wyleźć żadnymi tunelami.

Wallace utkwiał wzrok w butelce *suvis*. Tenare wrócił do stołu, skinął przyzwalająco i podsunął mu drugą czarkę. Chłopak nalał sobie trunku i pociągnął duży łyk. Słodycz piekła w gardło, lecz okazała się nieskuteczna w walce z pełnymi gorzcy myślami.

— A więc demony zostały przyzwane przez czarnego maga, na powierzchni — stwierdził z przekonaniem. — W okolicy żyje tylko jeden. Obaj to wiemy, panie.

Zwierzchnik odchylił się na oparcie krzesła. Pokręcił głową, widocznie zirytowany sugestią.

— Nie myślisz logicznie, chłopaku. Namir niczego by nie zyskał na tak bezsensownym ataku.

— Przecież sam oskarżyłeś go niegdyś o coś podobnego. Zgadza się, panie?

— Moje poprzednie oskarżenie tyczyło się ataku na znacznie mniejszą skalę. Ponadto bardzo się wtedy myliłem.

— Może potwór zmienił priorytety. — Wspomnienia przywróciły gniew, lecz Wallace przełknął go wraz z kolejnym łykiem suvis. — Ma przy sobie Irvette.

Zwierzchnik przeszył go surowym spojrzeniem.

— Co w związku z tym?

— Może pomieszało mu się w głowie. Nie byłeś tam ostatnim razem, panie. Nie widziałeś ich razem.

— Chłopaku. — Usta tenare rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. — Twoja zazdrość jest rozbijająco śmieszna. Ilość cykli, które przeżyłeś, wskazywałaby na to, że wkroczyłeś już w dorosłość, a jednak nadal rozumujesz niczym dziecko. W sytuacji niemałego zagrożenia skupiasz się na osobistych konfliktach z potworem, który odbił ci dziewczynę? Pomijając fakt, że twoje podejrzenia są niedorzeczne i żołądek mi się wywraca na samą myśl, naprawdę jesteś aż tak skoncentrowany na czubku własnego nosa? Zdawało mi się, że Connell odchowwał mądrzejszego syna.

Upokorzony Wallace porywczo wychylił resztkę trunku. Ostentacyjnym gestem odstawił naczynie na stół i zaczął krążyć po komnacie, zmagając się z narastającą furią. Pomyślał o Nye'rze i o tym, jak często polecał jej, by nie poddawała się złości. Tymczasem trudno mu było zastosować się do własnych rad.

— Skoro to nie ten przeklęty potwór, to kto?! — ryknął, odwracając się do zwierzchnika i łypiąc na niego bez należącego mu szacunku.

Tenare zmierzył go złowrogo, bez wątpienia pragnąc mu uświadomić, że po raz kolejny się zapomina. Nie wyrzekł ani słowa. Wrzucił do ust kawałek oderwanego od kości mięsa i żuł je przez chwilę, obnosząc się ze swoją impertynencją. Następnie położył obie dłonie na stole i wyprostował plecy.

— Namir to nie jedyny czarny mag na naszym kontynencie. A ten, który się właśnie ujawnił, ma z pewnością mniej pokojowe zamiary.

Wallace uspokoił płytki oddech. Podrapał się po brodzie pokrytej kilkudniowym zarostem. Ostatnie wydarzenia tak go zdeprimowały, że nie dbał o swój wygląd i nie wysypiał się. Widział się parę razy w lustrze — sińce wokół oczu z dnia na dzień stawały się coraz ciemniejsze.

— Czy Strzegący pod Silvarem mogą go wytropić? Zdaję sobie sprawę, że zwykle trzymają się podziemi, ale chyba czynią wyjątki dla spraw takich jak ta?

— Nie mylisz się, chłopaku — odparł zwierzchnik. — Z chęcią podejmę się schwytania czarnego maga, szczególnie po tym, co uczynił. W zaistniałej sytuacji powinienem powołać oddział poszukiwawczy złożony zarówno ze Strzegących, jak i z moich żołnierzy, i jeszcze z wojowników z paru wiosek.

— Coś cię jednak powstrzymuje... Zgadza się, panie?

— Cóż, odnalezienie czarnego maga może graniczyć z cudem. Póki nie ujawni swoich mocy na naszych oczach, nie jesteśmy w stanie ich wykryć. Poza tym, biorąc pod uwagę bydlaki, które przywołał, dysponuje niczego sobie mocą. Nie ma sensu, bym trwonił czas na bezowocne poszukiwania lub narażał moich tenare, nawet jeśli ostatecznie mieliby powrócić z głową tego obłąkańca na tacy. Nie ma sensu, skoro istnieje inny sposób.

— Inny sposób, panie?

Spojrzenie ciemnych oczu zwierzchnika przeszło go na wskroś i Wallace wnet pojął, że odpowiedź mu się nie spodoba. Złapał za kunsztowne sploty oparcia krzesła, czekając na cios.

— Poprosimy Namira o pomoc.

Ze wszystkich możliwych odpowiedzi właśnie tej obawiał się najbardziej.

— Ma nam pomóc w schwytaniu swojego pobratymca? Raczysz żartować, panie!

Tenare nadal patrzył na niego sztyletującym wzrokiem.

— Posłuchaj, chłopaku! Nie mogę rzec, że mnie i Namira łączą więzy przyjaźni, co najwyżej wspomnienia z pewnego etapu przeszłości. Przeszłości, której wolałbym nie pamiętać. Przeszłości, ze względu na którą, po tym, jak tylko spłaciłem swój dług, na wiele cykli zerwałem z nim wszelkie kontakty. Gdy je zaś wznowiłem, to tylko z powodu niesłuszných podejrzeń. Zawdzięczam mu życie, lecz byłem też świadkiem wielu strasznych zdarzeń.

Zdarzeń, które długo nie pozwalały mi obdarzyć go znaczniejszym zaufaniem. Ty i ta twoja dziewczyna zmusiliście mnie, bym jednak spróbował. Mogło wydawać ci się inaczej, lecz nie było mi łatwo powziąć tej decyzji. Nie miałem żadnej pewności, czy ten potwór będzie umiał dziewczynie pomóc, do tamtej pory widziałem jego mroczne moce wykorzystywane jedynie ofensywnie, w celu zadania śmierci poprzedzonej wielkim cierpieniem. Gdy zaś zasugerowałem, by dziewczyna z nim została, długo potem dręczyły mnie wątpliwości. Obawiałem się, jak to wszystko może się potoczyć, choć z zupełnie innych pobudek niż twoje...

Wallace słuchał go przez cały czas ze skręconym żołądkiem. Dreszcze biegały mu po plecach, gdy przypominał sobie chwilę, w której zwierzchnik zaprowadził ich do leża potwora. Świadomość, jak wiele mogło potoczyć się inaczej, była druzgocząca. Namir wcale nie musiał ratować Irvette tamtego dnia. Mógł zostawić ją na pastwę losu. Mógł ją zabić. A może nawet uśmiercić całą ich trójkę.

— A jednak — kontynuował zwierzchnik Silvaru — ten potwór ocalił zupełnie obcą sobie osobę, ryzykując przy tym więcej, niż myślisz. Ocalił i nadal jej pomaga, chętnie czy też nie. Nie skrzywdził jej, a wiem, że mógłby to zrobić. Na wiele sposobów. Choć, jak wierzę, z wykluczeniem tego jednego, który nie daje ci spać po nocach.

— Do czego zmierzasz, panie?

— Do tego, że dowiódł swej przydatności, a może i czegoś więcej. Do tego, że spróbowałem mu w pewnej kwestii zaufać i nie zawiodłem się. Dlatego też wytrwam w swoim postanowieniu, a tobie radzę przemyśleć swoje stanowisko.

Dni były coraz cieplejsze, poranki jaśniejsze, a noce krótsze. Namir nie przepadał za tym etapem cyklu. Pocił się pod ciemnymi ubraniami zakrywającymi go od stóp do głów. Chociaż miał przygotowane na nadchodzącą porę suchą szaty z materiału przepuszczającego powietrze, dostosowanego do wielkich upałów, to pod zasłoną oddychało mu się ciężiej, jego ruchy robiły się mozolne, a ostre promienie słoneczne drażniły go.

Irvette, w przeciwieństwie do niego, odżywała razem z naturą. Kasztanowe włosy nabrały zdrowego połysku mieniącego się w słońcu. Alabastrowa skóra obsypana piegami też prezentowała się promiennie.

Ku uldze Namira — od potyczki z pomiotem nie zdarzyło się nic niepokojącego. Ataki demonów nie powtórzyły się, a po czarnym magu nie było śladu. Mimo wszystko zabrał Irvette bransoletę ze szmaragdów, uznawszy, że musi wzmocnić zaklęcie. Chciał, by w razie następnego zagrożenia tarcza była solidniejsza; by znosiła znacznie silniejsze ciosy i dłużej się utrzymywała. Potrzebował wielu dni na usprawnienie działania przedmiotu. Poświęcał kilka świec każdego ranka i wieczora, a czasami w ogóle odmawiał sobie płytkiego snu. Nie przyznawał się do tego dziewczynie, ale po jej bystrym wzroku poznawał, że go przejrzała. Na szczęście darowała sobie komentarze, czasami tylko uśmiechała się pod nosem, kiedy z pucharkiem kawy witała go po nieprzespanej nocy. Pili kawę wspólnie — w kojącym milczeniu.

Tego ranka również oddał się pracy. Ława w składziku, który stał mu się domem, była wyjątkowo uprzątnięta. Rupiecie zrzucił na posadzkę, część fiolek i woreczków z ziołami i przyprawami pochował po skrzyniach i w ściennych wnękach. Wspierając się na łokciach o blat, koncentrował na błyskotce moc telekinezy i szeptał zaklęcie po tenarsku, a od czasu do czasu wplatał słowa ze starszego dialektu. W głowie huczało mu po kilku świecach wytężonej pracy umysłowej. Nexam — który zawsze miał gdzieś przy sobie, teraz schowany w kieszeni spodni — błysnął krótko, bijąc światłem przez materiał. Ktoś próbował się z nim skontaktować. Namir zacisnął zęby w irytacji. Mógł odebrać połączenie słowem aktywacji, mógł je zignorować i poczekać, aż natręt da sobie spokój, a mógł je również wygłuszyć. Wybrał trzecią możliwość — szepnął dźwięczne słowo *suraditas* i ukryta w kieszeni kulka zgasła. Nie na długo. Po paru oddechach ponownie rozbłysła, dając znać, że ktoś nadal próbuje się z nim skomunikować. Wyciągnął urządzenie z kieszeni i rzucił je na ławę.

— *Seremo* — wycedził wściekle, po czym od razu warknął: — Czego?

— Uprzejmy jak zawsze. Chcę cię tylko powiadomić, że możesz spodziewać się gości, Namirze.

Światło zgasło, dając do zrozumienia, że tym razem to Randis wygłosił połączenie.

Rozdrażniony Namir przez pól świecy na próżno próbował skupić się na wzmacnianiu właściwości bransolety. Raptowne pukanie do drzwi zadźwięczało mu w uszach ze zdwojoną siłą.

— Namirze!

Słodki głos Irvette nie był pozbawiony stanowczości. Odszukał czepiec rzucony na jedną ze skrzyń, wciągnął go na głowę i w pośpiechu przyczepił zasłonę. Zakrył zaklęty przedmiot kawałkiem materiału, podniósł się z miejsca i ruszył do drzwi.

Napotkał twarde spojrzenie dziewczyny. Usunęła mu się z drogi bez słowa. Na polanie czekała dwójka gości, którzy pozostawili osiodłane konie pod drzewami i kroczyli właśnie w jego kierunku. Wyszedł im naprzeciw.

Twarz Randisa pozbawiona była zawiadackiego uśmiechu. Sunący u jego boku Bennett również nie wyglądał na ukontentowanego. Wyjątkowo nie miał na sobie modnego wdzianka z brokatu czy jedwabiu, tylko praktyczny strój ze skórzaną kamizelką spinaną paskami na piersi. Na przystojnej twarzy nosił zaś dużo gęstszy niż zwykle zarost i wyraźne oznaki srogiego niewyspania.

— Czego chcecie tym razem?

Na obu męskich obliczach odmalowało się zaskoczenie. Irvette lekko uniosła brwi. Dopiero po krótkim oddechu zrozumiał niedorzeczność swego pytania.

— Znowu przybywacie na próżno — pospieszył z wyjaśnieniami. — Skażenie nie wraca od wielu dni. Ale musimy poczekać. Jeszcze nie wiemy, co nastąpi dalej.

Po obliczu Bernetta, który właśnie dotykał włosów i ramion dziewczyny, jakby sprawdzał, czy ta wszystko ma na miejscu, przemknął cień irytacji. Nie powiedział jednak słowa. Randis natomiast odezwał się poważnym głosem:

— Przybywamy w innej sprawie, Namirze. Wszystko ci wyjaśnię, tylko pozwól nam chwilę odpocząć. Podróżowaliśmy nocą, nie tracąc czasu na postoje.

Niechętnie zgodził się ich ugościć.

Irvette rozpała ogień w zewnętrznym piecu i po jakiejś świecy przygotowań poczęstowała strudzonych podróżnych strawą oraz gorącymi ziołami. Usiadła z nimi na ławce, a Namir obserwował całą trójkę wsparty plecami o stół.

Przyciszona rozmowa, która odbywała się między Irvette a Bernettem, działała Namirowi na nerwy, jednak nie komentował, w ciszy czekając na wieści zwierzchnika. Po jego nietęgiej minie poznawał, że raczej nie będą to nowiny radosne. Wreszcie Randis odstawił opróżnione naczynia na bok ławki.

— Czas, bym zdradził ci powód naszej wizyty, Namirze. Supras zostało zaatakowane przez liczną grupę pomiotów. Nie obyło się bez kilku śmierci.

Kątem oka spostrzegł, że Irvette pobladła. Bernett świdrował go wyczekującym wzrokiem. Czarny mag ze świstem wypuścił powietrze z płuc — poczuł, jakby niewidzialne szpony zacisnęły mu się na żebrach.

— Ach, rozumiem — wycedził, krzywiąc się w uśmiechu pod zasłoną. — Któż inny mógł je nasłać, jeśli nie ja, zgadza się?

Mierzył się z Randisem wzrokiem, lecz tenare szybko tę potyczkę przegrał. Odwrócił głowę niby od niechcienia, sprawdził, czy aby na pewno wypił wszystek z kubka.

— Tym razem nie mam zamiaru cię oskarżać — mówił cicho, taka zakłopotana postawa była u niego rzadkością. — Potrzebuję twojej pomocy.

Podczas gdy Namir trwał w osłupieniu, zmagając się z pragnieniem wyrzucenia z gardła gromkiego śmiechu, Irvette odezwała się pewnym głosem:

— Kilka dni temu nas również odwiedził demon.

Zwierzchnik i Bernett zgodnie unieśli brwi.

— To prawda — potwierdził Namir. — Jeden pomiot zapuścił się do mojego lasu.

— Udało ci się go odesłać?

— Nie, musiałem go unicestwić. Miał już swojego pana.

— To tylko potwierdza moją teorię. — Tenare przesunął dłonią po szarej twarzy. — Pewnie za jednym i drugim incydentem stoi ten sam sprawca. Jest to wielce prawdopodobne.

— A ty potrzebujesz przysługi. — Namir przycisnął pięść do ust schowanych za zasłoną i stał tak przez jakieś dwa oddechy. — Jakiego rodzaju?

Ponownie zapanowało milczenie, a zwierzchnik wiercił się na swoim miejscu niespokojnie. Wreszcie dźwignął się do pionu, wyprostował plecy i oparł dłonie na biodrach. Desperacko próbował maskować swoją niepewność.

— Potrzebuję, żebyś wywabił czarnego maga z kryjówki. Nie mamy jasności, gdzie obecnie przebywa, ale jestem przekonany, że dasz radę zwrócić na siebie jego uwagę nawet z dużej odległości.

— Następnie mógłbym go zabić, zgadza się? — zapytał drwiąco Namir i natychmiast poczuł na sobie przeszywające spojrzenie Irvette.

Miała kamienny wyraz twarzy, lecz w jej oczach widział wiele emocji, których nie potrafił nazwać.

— Jeśli sytuacja będzie tego wymagać — odparł sucho Randis.

— Nie — zaproponował czarny mag.

— Namirze...

— Nie mam zamiaru przykładać ręki do czyjejś śmierci — przerwał Randisowi. — Nie mam zamiaru ściągać na siebie uwagi osobnika, z którym nie chcę mieć nic wspólnego. Nie mam zamiaru narażać Irvette na spotkanie z niechybnie szalonym człowiekiem odpowiadającym za bezsensowny mord.

Tym razem to Bennett zerwał się z miejsca, odtrącając rękę dziewczyny, która najwidoczniej próbowała go powstrzymać. Miał roziskrzony oczy, zacisnął usta i pięści. Gniew bardzo szybko przejął nad nim kontrolę.

— Od początku byłem przeciwny temu niedorzecznemu pomysłowi! — Dał w stronę Namira odważny krok. — Od początku wiedziałem, że będziesz jedynie robić problemy, potworze.

— Jeżeli niechęć narażania życia twojej przyjaciółki uznajesz za problem, winszuję.

— Nie próbuj się nią zasłaniać, ty fałszywe monstrum! Dbasz tylko o siebie.

Raptem Irvette podniosła się z wysokiej ławki i ze złością chwyciwszy przyjaciela za łokieć, odwróciła go ku sobie, po czym przemówiła chłodno:

— Jak śmiesz mówić coś podobnego, mając o sytuacji tak nikłe pojęcie? Nie zdajesz sobie sprawy, ile Namir dla mnie poświęca. Ile ryzykuje!

Przychodzicie tu prosić, by dokonał morderstwa, po czym żywicie pretensje, że odmawia? Jakby tego było mało, ważycie się nazywać go potworem...? Nie chcę słyszeć tego słowa ani razu więcej! Nie po tym, ile dla mnie uczynił, nie pragnąc w zamian niczego.

— Nie pragnąc w zamian niczego...? Ha! — Bennett popatrzył na dziewczynę z góry, z furią szpecącą przystojną twarz. — Poczekaj tylko, aż zażąda zapłaty w naturze!

— Czy naprawdę właśnie to zaprzęta ci teraz myśli? — odparowała.

— Uprzedzam jedynie fakty, Irvette. — Chłopak łypnął na Namira, po czym zaskakująco długo patrzył mu w oczy. — Moje myśli zaprzęta to, że prosimy o pomoc czarnego maga, a ten odmawia, chcąc, by szalone morderstwa uszły jego pobratymcowi na sucho.

Namir powoli odsunął się od stołu, krzyżując ramiona na piersi. Hamowane pragnienie rozszarpania Bernetta na kawałeczki wprawiało jego dłonie w silne drżenie. Ten chłopak nie miał o niczym pojęcia, jak słusznie zauważyła Irvette — tak walecznie stojąca w jego obronie. Wallace nie miał pojęcia, jak bardzo niedorzeczne są jego oskarżenia.

— Chyba nie dosłyszałeś, Bennett. Powiedziałem już, jakie są przyczyny mojej odmowy.

Randis zacisnął smukłą dłoń na barku młodego człowieka, wpijając palce na tyle boleśnie, że ten skrzywił się w brzydkim grymasie.

— Wystarczy, chłopaku. Dyplomata z ciebie żaden. Siadaj posłusznie i słuchaj, zanim doprowadzisz do tragedii. — Popchnął Bernetta w stronę ławki, ale ten z buntowniczą miną pozostał na nogach, nie usiadł. Tenare wziął głęboki oddech. — Namirze, przemyśl to. Wiesz, akurat ty doskonale wiesz, że nie ma innego sposobu. Ten mag musi zginąć. Ilu jeszcze zamorduje, jeśli mu nie przeszkodzisz?

— Zbierz więc swoich żołnierzy i wojowników, zbierz swoich Strzegących, znajdźcie go i zabijcie. Dlaczego mam przykładać do tego rękę?

— Bez twojej pomocy odnalezienie go może zająć ogrom czasu. Czasu okupionego stertą trupów.

— Jeżeli przystanę na twój wariacki plan, jeśli spróbuję zwrócić na siebie uwagę, zdradzę położenie swojej kryjówki najpewniej nie tylko temu

przekłętemu magowi. — Miał ochotę zdjąć zasłonę, by swobodniej oddychać. Słowa skrzeczały mu w gardle. — Poza tym oczekujesz, że ściągnę go tutaj, do Irvette? Ten błazen Bernett nie po to ją do mnie przywłókł, bym teraz wystawiał jej życie na niebezpieczeństwo. Nie po to trudzę się z wyciąganiem z niej tego czarnego świństwa. Jeśli ona zginie, cały mój wysiłek pójdzie na marne.

Niespodziewanie mała dłoń Irvette znalazła się na jego przedramieniu, zaraz przed łokciem. Chwyciła go tak, jak chwilę temu uczyniła to ze swoim przyjacielem, lecz bez złości, z niesamowitą delikatnością. Nawet nie zauważył momentu, w którym podeszła. Nie wahała się, lecz w jej oczach, błyszczących na twarzy o stanowczym wyrazie, dało się spoznać niepokój. Serce zabiło Namirowi szybciej, całe ciało zeszywniało.

Randis wyglądał na zszokowanego. Wiedział, z czym wiąże się bliski kontakt z Potworem z Damanor. Sam niegdyś doświadczył wizji wywoływanych jego przekleństwem. Teraz wstrzymywał oddech, jakby nadal oczekiwał, że dziewczyna odskoczy spłoszona... Że ucieknie z piskiem i płaczem. Ona natomiast trwała w miejscu — z uniesioną głową, stoicko spokojna.

— Nie jestem w tej chwili najważniejsza, Namirze — przemówiła zdecydowanie.

— Co nie znaczy, że powinnaś się lekkomyślnie narażać — odpowiedział jej przez zaciśnięte gardło.

Chciał złapać jej rękę i oderwać ją od siebie, by dłużej nie wystawiała się na paskudne wizje, lecz nie potrafił poruszyć choćby palcem.

— Gdybyś zechciał mnie wysłuchać, wiedziałbyś, że o wszystkim pomyślałem — odezwał się zwierzchnik Silvaru. Mówił z niepasującym do swojego głosu drzeniem. — Dziewczyno, błagam, zabierz tę rękę. Nie mogę na to patrzeć...

Irvette ściągnęła brwi i z wolna zabrała dłoń. Namir odetchnął w duchu, jego mięśnie się rozluźniły, lecz w sercu rozgościł się żal.

— A więc jesteś, panie, niezwykle mięczakiem — wytknęła Randisowi.

Na ten przytyk tylko uśmiechnął się krzywo, szarą twarz miał bledszą niż zwykle. Przetarł czoło z potu. Bernett obserwował całą sytuację

bez zrozumienia, podejrzliwie, palcami wodząc po rękojeści szabli.

— Namirze, posłuchaj mnie. — Tenare poprawił kołnierz barwionego na fiolet kaftana. Próbował odzyskać twarz, zawadiacki grymas błąkał mu się na ustach, rozbijany przez nerwy. — Znam odpowiednie miejsce, poza twoją kryjówką, poza lasem, z dala od mokradeł. Tam mogłoby dojść do twojego, cóż, właściwie naszego, spotkania z magiem. Nie zamierzam beczynnie czekać, wziąłbym udział w walce, do której najpewniej dojdzie... Poczekaj, wiem, co chcesz powiedzieć: dziewczyna i jej skażenie. Ktoś musi ją mieć na oku, na wypadek gdyby znów wróciło. Dlatego wybrałaby się z nami, ale pozostała w ukryciu. W miejscu, w którym poczekałaby razem z chłopakiem. W miejscu, do którego będziesz miał szansę w porę do niej dotrzeć. Nawet jeśli miałyby to oznaczać opuszczenie mnie w trakcie walki, jak tylko chłopak zawiadomi nas o kłopotach przez Nexam.

Namir odwrócił się, masując twarz przez materiał zasłony. Cofnął się do stołu i pochylił nad nim, popadając w zamyślenie. Rozważał wszelkie za i przeciw.

— Czy na tego maga nie ma innego sposobu? — usłyszał za plecami pytanie Irvette. — Czy naprawdę jedynym rozwiązaniem jest zamordowanie go?

— Znam twoje zielarskie zasady, Iv — odpowiedział jej chłopak, już nieco bardziej opanowany. — Znam twoje przywiązanie do życia i to właśnie dlatego winnaś rozumieć przymus zlikwidowania tego maga. Nie wiemy, ilu już zginęło z jego ręki, zanim zjawił się w okolicach O'rrior. Jeśli puścimy go żywego, ta liczba bez wątpienia wzrośnie. Mag zasługuje na śmierć — wyjaśnił jej. — Namirze — zwrócił się dużo spokojniej niż wcześniej, lecz wciąż hardo — skoro jesteś zbyt tchórzliwy, by odebrać życie jednemu ze swoich, ściągnij go pod mój nos, a sam chętnie zatopię w nim ostrze.

Namir skrzywił się na dźwięk swojego imienia w ustach tego błazna, po czym odpowiedział mu głośnym śmiechem. Obrócił się niespiesznie do zgromadzonych i ujrzał przerażenie na dwóch męskich obliczach. Dziewczyna pozostawała niewzruszona.

— Jesteś taki pewny, że dałbyś sobie radę, Bernett? Śmiem twierdzić, że nie miałbyś szans na kiwnięcie choćby palcem. Nawet Randis jest cię

w stanie połamać jednym podmuchem telekinezy, jeśli tylko bardzo się postara.

— Namir ma rację — poparła go Irvette. — Rwiesz się do zabijania, pławiąc się w mylnym przekonaniu, że to jakiś rodzaj brawury. Mylisz się. To jedynie żądza mordu, żeby nie powiedzieć: zwykła głupota.

— Ja również dzielę twoje przekonania, dziewczyno. — Randis gestem powstrzymał Bernetta od odpowiedzi. — Jednak musisz zrozumieć, że z pewnymi osobnikami należy odpowiednio postępować. Ten mag nie wahał się zabijać, a my nie możemy pozostać mu dłużni. Nie nam osądzać, na co zasługuje, to nie miejsce i czas na rozmyślanie, jak wyglądało jego życie i jakimi pobudkami się kierował, choć dla mnie są oczywiste. Zabijał bez skrupułów, stał się zwierzęciem, które należy upolować. Niech Mestyria osądzi jego duszę, nasze także. Ale dopiero po tym, jak pozbawimy go życia.

Zielone oczy przygasły, docierała do niej konieczność podjęcia tej decyzji. Namir przyglądał się piegowatej twarzy i powoli zdawał sobie sprawę, jak bardzo nie chce tej dziewczyny zawieść. Wierzyła w niego, przypisywała mu cechy, których nikt inny w nim nie dostrzegał. A teraz miał to wszystko zrujnować — pokazać jej, jak niesamowicie się co do niego pomyliła. Pokazać, że rzeczywiście jest tylko potworem...

Popatrzyła na niego, zajrzała prosto w jego paskudne oczy.

— Decyzja należy do ciebie, Namirze. Uczyni to, co uważasz za słuszne — rzekła.

Rozdział XV

Po wielu trudnych dniach podróży Lederg i Namir dotarli do najbliższego miasta z portalem. Było to jedno z mniejszych miast Nivelos, otoczone małą liczbą wiosek, prosperujące głównie dzięki znajdującemu się w nim oddziałowi Akademii. Do miejscowości ciągnęli magowie i ludzie szukający u nich porad. Handel zaklętymi przedmiotami, miksturami i magicznymi usługami był tym, co utrzymywało mieszkańców przy życiu. Wielu z chęcią parało się pracą pod okiem hojnych uczonych magów.

Zanim wkroczyli do miasta, Lederg wybrał się na rynek, by zdobyć odpowiednie odzienie dla Namira. Znalazł chłopcu ciepłą szatę z głębokim kapturem i chustę, którą mógł owinąć swoją tragiczną twarz. Zakamuflowany w ten sposób, nie rzucił się w oczy tak bardzo jak z workiem na głowie.

Weszli przez północną bramę, którą przechodziło najmniej podróżnych. Ledergowi krajało się serce, gdy raz po raz zerkał na Namira, sprawdzając, jak radzi sobie w tej zupełnie dla niego nowej sytuacji. Potworne oczy były cały czas szeroko otwarte i przepelnione trwogą, wysokie, chude ciało drżało widocznie, a nogi wiele razy odmawiały posłuszeństwa. Zatrzymywali się wielokrotnie, bo chłopiec dostawał ataków paniki i mamrotał o tym, że chce wracać do swojej jaskini. Mag musiał mu przypominać, że dawno już zostawili jego kryjówkę daleko za sobą.

Poruszali się uliczkami ciągnącymi się wzdłuż murów — od czasu do czasu przechodzących w drewniane parkany. Ludzie oglądali się za nimi i szemrali z ciekawością. Namir zwracał na siebie uwagę — nawet jeśli nie aparycją, to płochliwym zachowaniem. Lederg musiał dbać, żeby gapie trzymali się z dala od chłopca; nie mógł wszak dopuścić do tego, by ktokolwiek chociażby się o niego otarł.

Wreszcie, po świecy czy dwóch świecach pełnych stresu i strachu, znaleźli się pod drzwiami wyróżniającego się na tle innych domu. Kamienny, szeroki, otoczony niewysokim murkiem — odstawał od parterowych chat krytych strzechą, należących do zamieszkujących obrzeża biedniejszych mieszczan.

— Czemu tu jesteśmy? — zainteresował się Namir, a tłumione przez chustę i zaciśnięte gardło słowa ledwo dobiegły uszu Lederga. — Mieliśmy... udać się do portalu.

— Wybacz, że wcześniej ci nie powiedziałem, chłopcze — odparł ostrożnie. — Znam kogoś, kto być może będzie w stanie ci pomóc.

— Pomóc?

Mag nie odpowiedział. Sam nie był pewien, jakiego rodzaju pomocy może oczekiwać. Wstąpił na kamienny schodek i załomotał kołatką o hebanowe, szerokie drzwi. Spłoszony Namir podskoczył w miejscu, rozejrzał się nerwowo, błędził wzrokiem w poszukiwaniu kryjówki. Usłyszeli spokojne kroki, a potem drzwi zaskrzypiały, uchylając się z wolna.

Wyjrzał zza nich zgarbiony, posiwiały człowiek, brodaty i pomarszczony, w długiej, ciemnej szacie. Na widok Lederga szeroko rozchylił powieki, zaniemówił. Następnie szerzej otworzył drzwi i przypatrywał się gościowi ze zdumieniem. Tymczasem mag uśmiechnął się do niego kącikami warg.

— Ileż to cykli upłynęło, profesorze?

— Lederg — wykrztusił po paru oddechach staruszek. — Na bogów... co tu robisz?

Spotkanie z Izborem Almanusem Lederg uznał za udane. Staruszek był jego niegdysiejszym mentorem i wykładowcą — w przeszłości Izbor uczył na Akademii Nivelos i odwiedzał jej macierzysty oddział w Damanor. Nie obyło się jednak bez niezręcznych sytuacji — były nieuniknione, biorąc pod uwagę obecność zamaskowanego zdziczałego dziecka.

Po tym, jak wyjaśnił mentorowi, że przybywa do niego w sprawie pomocy dla chłopca — którego staruszek zaraz zmierzył od stóp do głów — ten próbował pospiesznie się ulotnić. Lederg musiał podążyć za nim aż do jednej z alejek, która zaczynała się w bardziej zaludnionej części miasta. Tam chłopak, przerażony rosnącą liczbą przechodniów, zawrócił i rozplakał się

w kolejnym ataku paniki. Mag poświęcił niemal pół świecy na przekonywanie go, że nic mu nie grozi ze strony profesora.

Izbor ugościł ich ciepłą strawą, którą zjedli przy kominku w salonie, siedząc na drewnianych, kunsztownie wykonanych fotelach. Namir oczywiście odwrócił się do nich plecami, a na głowie pozostawił narzucony kaptur oprószone śniegiem — rozpływającym się szybko w ciepłe bijącym od płomieni.

Przez jakiś czas staruszek nie poruszał tematu dziecka, wypytując Lederga o jego karierę i życie. Mag nie bez poczucia dumy przedstawiał mentorowi swoje osiągnięcia, opowiadał o wielu odkryciach, których dokonał, z chęcią pochwalił się uznaniem, jakim darzyli go najważniejsi z niveloskich dyrektorów. Izbor był wszak tym, który towarzyszył mu podczas jego pierwszych podróży badawczych, i już wtedy był w mocno dojrzałym wieku. Wykładał także wiedzę o czarnej magii oraz naukę o przekleństwach. Potem przeszedł na emeryturę, osiadł w — skromnej jak na uczonego — posiadłości i stał się miejskim magiem. Przynajmniej tak głosiła oficjalna wersja, ale Lederg znał niewygodną prawdę: Izbor zrezygnował ze stanowiska uczonego, nie zgadzał się bowiem z tym, czego dopuszczali się magowie na wyspie Belagos. Plotki o tym, co wyprawilo się na tej odległej ziemi, dosięgły również uszu Lederga, a ze względu na to, z jaką powagą były wygłaszane, szybko dał im wiarę. Otóż tamtejsi magowie — przysyłani tam z akademii trzech królestw — przeprowadzali w odizolowanej placówce nierzadko niehumanitarne eksperymenty. Żaden z królów nie przeciwstawiał się tym zachodzącym na wyspie incydentom — przede wszystkim z dwóch powodów. Jednym z nich była obawa przed wywołaniem otwartego konfliktu z magami, obecnie przynajmniej pozornie posłusznymi królestwom, drugim zaś niechęć do przyznawania zasług laborantom z Belagos, jako że ich eksperymenty przyczyniły się do wielu rozwojowych rozwiązań. Jedyne Cesarstwo Luxy nie uczestniczyło w podejrzanych przedsięwzięciach na wyspie — w głównej mierze dlatego, że cesarz w pełni kontrolował szkoły magiczne działające na jego ziemiach i dbał o to, by nie dosięgały ich wpływy akademii. Trzymał swych magów krótko, sam bowiem był jednym z nich — tak jak każdy poprzedni władca cesarstwa.

Od kiedy Izbor stał się miejskim magiem, Lederg odwiedził go raptem parę razy — przy okazji swoich podróży. Był lubiany przez mieszkańców, którzy w pierwszej kolejności po pomoc zgłaszali się właśnie do takich jak on. Dla Lederga zaś obecny zawód mentora stanowił tylko kolejny powód do tego, by go cenić. Sam wywodził się z rodziny miejskich magów, przez co na Akademii Nivelos długo traktowany był jak wyrzutek i potrzebował wielu cykli, by udowodnić swoją wartość. Jeszcze więcej czasu Lederg potrzebował, by zwrócić na siebie uwagę Tomiry Venetus, obecnie jego żony, która to miała za sobą całe drzewo genealogiczne znamienitych uczonych akademii. To dzięki niej wspiął się o szczebel wyżej w hierarchii. Poprzez małżeństwo wcieliła go do swego rodu — jeszcze zanim dyrekcja zdecydowała, czy nadać mu nazwisko w zamian za osiągnięcia naukowe. Choć teraz — zadowoleni z jego wyników — zapewniali, że prędzej czy później otrzymałby je.

Bliscy prostemu ludowi miejscy magowie uważani byli za tych niższej kategorii, a większość z nich stanowili osobnicy niewystarczająco zdolni, by dostać się do elitarnych szeregów. Zdobywali więc niezbędną wiedzę samodzielnie bądź z niewielką pomocą uczonych, niekiedy byli uznawani z tego powodu za szarlatanów. Jednak trafiali się też tacy jak Izbor — zrzuceni z akademickiego stołka po cyklach służby.

Wreszcie po paru świecach przywoływania dawnych czasów i dzielenia się wiedzą zapadła cisza, która zapowiadała zmianę tematu. Izbor pogładził długą, siwą brodę, spojrzenie mądrych oczu utkwiał w oparciu fotela, za którym chował się cichy jak mysz Namir.

— To dziecko, Ledergu... Zgaduję, że przyprowadziłeś je, bo podlega jakiejś klątwie.

Mag zacisnął dłonie na poręczach fotela, poprawił się nerwowo na obitym twardym materiałem siedzeniu.

— Zgaduję również, że przekleństwo ma jakiś związek z jego wyglądem, skoro zakryłeś biedakowi twarz — ciągnął starzec.

Lederg zerknął niespokojnie na fotel Namira. Nie podobało mu się to, że nie może zobaczyć jego reakcji.

— To... nie takie proste. Namirze, czy mógłbyś... tu podejść?

Następną dłużącą się ciszę przerywało jedynie trzaskanie płomieni w palenisku. Kiedy dziecko podniosło się ze swojego miejsca, zrobiło to niemal bezszelestnie. Wyloniło się zza fotela zgarbione, trzymając kaptur naciągnięty mocno na głowę.

— Zanim zaczniemy. — Lederg wziął głęboki oddech. — Namirze, bardzo cię proszę, obiecaj mi nie uczynić niczego... niemądrego. Niezależnie od reakcji profesora nie możesz zrobić mu żadnej krzywdy. Czy jest to jasne? Nie kiwaj głową, chcę to usłyszeć.

— Obiecuję...

Na brzmienie schrypniętego głosu dziecka Izbor wyraźnie się wzdrygnął.

— Obiecujesz: co?

— Nikogo nie skrzywdzić.

— W porządku, zaufam ci. Teraz wybac mi, profesorze, twoja kolej. Przysięgnij mi, że to, co zobaczysz, pozostanie między nami, a jeśli uznasz, że nic nie możesz dla nas zrobić, odeślesz nas, nie wszczynając żadnego niepotrzebnego zamachu na życie tego chłopca.

Rysy starca stwardniały.

— Za kogo mnie uważasz, bezczelny chłopaku? Czy nie nauczyłem cię nawet odrobiny pokory?

Lederg nie dawał za wygraną.

— Przysięgnij mi, profesorze. Nie prosiłbym, gdybym nie wiedział, że to konieczne.

Profesor westchnął i machnął ręką.

— Dobrze już, niech będzie. Przysięgam powstrzymać się przed bezmyślnymi reakcjami. Chłopcu nic nie grozi z mojej strony.

Mag przełknął ślinę, szykując się na to, co miało nastąpić. Gestem nakazał Namirowi podejść jeszcze kilka kroków. Chłopiec niechętnie stanął przed dwoma mężczyznami, płomienie w kominku tańczyły za jego plecami, ich blask oświetlał jego wysoką sylwetkę.

— Namirze... Proszę, zdejmij kaptur.

Dziecko wykonało polecenie — spod kaptura wyloniła się głowa szczelnie owinięta w chustę. Jasne oczy różnego rozmiaru, dotąd chowane w cieniu kaptura, spojrzwały prosto na starca, sprawiając, że ten szybko pobladł.

— Dobrze, spokojnie — kontynuował Lederg. — Teraz, proszę, zdejmij chustę.

Chłopiec zamknął oczy. Sięgnął do twarzy drżącymi rękami. Złapał za wiązanie na karku, rozprawił się z nim nie bez trudu, po czym przeszedł do powolnego odwijania materiału.

Izbor siedział sztywno w fotelu, z oddechu na oddech blednąc coraz bardziej. Lederg dziękował w duchu bogom, że ten stary człowiek niejedno już w życiu widział i nie dawał się łatwo przestraszyć. Nie było jednak szans na to, by pozostawał niewzruszony.

— Na demony — wymamrotał, po czym zakrył usta i przycisnął je na chwilę dłonią. — Co za los go tak pokarał?

Namir pochylił głowę, mocno napiął ramiona.

— Profesorze, proszę, powstrzymaj się przed...

— To paskudne dziecko jest czarnym magiem, zgadza się? — Staruszek ani myślał się hamować. — Nie ma innego wyjaśnienia dla tych znamion. Już, już, dzieciaku, zakładaj tę chustę z powrotem, zanim zwrócę poranną stawę. Ten dywan był całkiem drogi.

Chłopiec zgrzytnął zębami i uciekł za bezpieczną zasłonę swojego fotela — wskoczył nań gwałtownie. Lederg rzucił mentorowi ostre spojrzenie, ale ten nic sobie z tego nie robił. Gładził się po brodzie, zadumany, marszczył pobrużdżone czoło.

— Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego — oświadczył. — Choć czytałem o takich przypadkach.

Lederg zatrzymał dłoń, którą sięgał właśnie po kubek ziołowego naparu, zaparzonego już po raz wtóry. Wysoko uniósł brwi. Nie odezwał się słowem, czekał na wyjaśnienia profesora.

— Doniesienia, które mam na myśli, tyczą się zamierzchłych czasów i nie możemy wiedzieć, na ile są wiarygodne. Jednak natrafiłem swego czasu na dokumenty traktujące o podobnych skażeniach. Rzekomo występowały u czarnych magów rodzących się zaraz po zesłaniu Varanside do głębokich podziemi, a więc wtedy, gdy czarna magia dopiero zaczynała się wytwarzać. Co, jak sam doskonale wiesz, miało miejsce ponad tysiąc cykli temu. Od tamtej pory nie widziano podobnych przypadków.

Lederg powoli zacisnął palce na naczyniu i uniósł je do ust w drżącej dłoni. Nie mógł się zdobyć na pociągnięcie chociaż łyka napoju.

— Skąd się bierze to skażenie? Jest jakiś sposób, by się go pozbyć?

Profesor spojrział na niego z ukosa jak na dziwaka.

— W tamtych czasach czarna magia dopiero zaczynała zakorzeniać się w ciałach, hmm... wybrańców, a może lepiej rzec: swych ofiar. Nie było więc nic dziwnego w tym, że ludzkie organizmy nie zawsze ją przyswajały i podlegały wypaczeniu. Po tak wielu cyklach zdawałoby się, że nie może więcej dojść do czegoś podobnego. A jednak! Czarna magia nie przyjęła się w ciele tego dzieciaka. Nie wiem, czy można coś na jego schorzenie poradzić. I nie rozumiem, czemu miałoby ci na tym zależeć.

Lederg przycisnął krawędź naczynia do warg. Para omiotła mu twarz.

— To... To tylko dziecko. Niczemu nie jest winne. Nie wiesz, jak wyglądało jego dotychczasowe życie, profesorze...

— To czarny mag — wtrącił Izbor surowym głosem. — Jedyne, co możesz dla niego uczynić, to zabić go, zanim on zacznie zabijać.

Namir jęknął — nie... wręcz zawył — głosem, który stawiał włoski na karku. Przez moment mężczyźni milczeli, w oczekiwaniu, w przerażeniu. Nic się jednak nie wydarzyło. Lederg przełknął ślinę, zanim znów się odezwał:

— Wierzę, że istnieje inne rozwiązanie, że można jeszcze zapobiec jego szaleństwu. Można nadal...

— Nadal nie znaleźliście sposobu na bezpłodność twojej kobiety, mam rację, Ledergu?

Mag zeszywniał. Szok, a zaraz potem wściekłość sprawiły, że zrobiło mu się gorąco. Odstawił naczynie, zbyt ostentacyjnie uderzając nim o blat stolika. Twarde rysy starca ani na moment nie złagodniały.

— To nie ma tu nic do rzeczy.

— Och, naiwny chłopaku, oczywiście, że ma. Myślisz, że ten oszalały, spaczony dzieciak będzie dla ciebie synem? A co na to twoja kobieta? Sądzisz, że powita go z otwartymi ramionami? Bo zgaduję, że zamierzasz zabrać go do waszego domu.

— Namir różni się od czarnych magów, o których do tej pory słyszałeś. Udało mi się już nie raz przemówić mu do rozumu. Może takich jak on jest

więcej, może po prostu nikt nie miał dotąd odwagi się o tym przekonać.

Izbor westchnął ciężko i pokręcił głową z politowaniem.

— Wiesz, jaki czeka go los? I ciebie, jeśli zdecydujesz się nim zaopiekować? Myślisz, że ukryjesz go przed ludźmi? Prędzej czy później stawią się pod waszym domem, z widłami i pochodniami. A jeśli poradzisz sobie z ich furią, sprowadzą ci pod drzwi magów z akademii. Jak uważasz: co zrobi dyrekcja, kiedy się zorientuje, że jeden z ich uczonych przetrzymuje pod swoim dachem czarnego maga bez ich wiedzy? Najpierw pozbawią stanowiska twoją żonę i ciebie, a potem zabiorą tego bachora prosto na Belagos. Ach, swoją drogą! Że też ci szaleńcy nie odkryli jeszcze remedium na bezpłodność! Podejrzewam, że przetrzymują tam wiele biednych kobiet, na których dzień w dzień przeprowadzają okrutne eksperymenty... I po co to robią? By wesprzeć wytwarzanie perfum urozmaiconych o pobudzające feromony? Gdyby zajęli się tym, co należy, może do tej pory spłodziłbyś sobie gromadkę krzyczących bachorów i nie ciągnąłbyś małego potworka do swojego domu...?

Lederg poderwał się na równe nogi, dłońmi uderzył o poręcz fotela.

— Wystarczy! — wrzasnął, czując, jak łomocze mu serce, a całe ciało niby płonie w ogniu. — Powody, dla których Namir jest dla mnie ważny, to wyłącznie moja sprawa! Przyszedłem do ciebie, licząc na twą pomoc, profesorze. Nie chcę słyszeć opinii na temat mojego życia oraz podejmowanych przeze mnie wyborów. Jeżeli pragniesz, byśmy stąd zniknęli, powiedz mi to w tej chwili, a potem zapomnij o tym spotkaniu.

Izbor długo patrzył na niego bez słowa, spojrzenie miał surowe jak zwykle. Potem powoli zamknął oczy, pogłaskał się po brodzie i jeszcze raz odetchnął.

— Siadaj, Ledergu, nie odstawiaj mi tu przedstawienia, ale i nie oczekuj ode mnie zbyt wiele. Cyklami uczyłem się o czarnej magii, lecz nie po to, by pomagać tym, którzy nią władają. Raczej w celu zapobiegania zniszczeniu, które sięją.

Lederg usiadł ciężko na wcześniejszym miejscu i wreszcie wziął kilka łyków naparu. Potrzebował chwili, by się uspokoić.

— Znasz się również na przekleństwach — stwierdził sucho.

— Bycie przeklętym czarną magią to trochę co innego — powiedział Izbor. — Sami czarni magowie twierdzą, że to dar, że zostali dotknięci przez samą Varanside. Nie jest to przekleństwo, które można odczytać.

— Nie o tym mówię. — Lederg utkwiał wzrok w oparciu fotela, zza którego ciągle dobiegała niepokojąca cisza. — Namirze, podejdź do nas jeszcze na chwilę. Namirze...?

— Nie.

— Namirze, niezależnie od szorstkich słów ten człowiek może ci pomóc, jeśli tylko...

— Nie!

Fotel podfrunął, a potem poszybował do przodu i z trzaskiem uderzył o kamienny łuk przejścia z salonu do korytarza. Rozbił się na kawałki. Obaj mężczyźni poderwali się ze swoich miejsc, zatrwożeni i zdumieni. Chłopiec stał wyprostowany, jego ramiona unosiły się i opadały na głębokim oddechu. Potem wyrzucił ręce w bok i z zajmującego całą ścianę regału wymiół telekinezą wszystkie książki. Część posypała się na usłaną miękkimi dywanami podłogę, po drodze trafiając w głowę staruszka. Jęknął... Inne śmiało przecięły powietrzny dystans, aż wylądowały w kominku. Płomienie buchnęły wysoko. Tomiszczka ominęły jedynie Lederga. Rzucił się w stronę chłopca, w dwóch susach znalazł za jego plecami. Jednak nie miał śmiałości chwycić go za ramiona. Jedynie zawiesił nad nim dłonie, próbując uspokoić go samą swoją obecnością.

— Namirze, opamiętaj się! Obiecałeś mi...

Jedyną reakcją ze strony chłopca było wzniesienie w górę fragmentów roztrzaskanego fotela. Niebezpiecznie ostre i twarde szczątki uderzyły jednak tylko o ścianę, gdyż kamienna podłoga pod dywanem zatrzęsła się i Namir musiał złapać równowagę. Nim Lederg się przewrócił, zdołał jeszcze odejść od chłopca chwiejnym krokiem. Wiedział, kto wykonał ten atak — kto wstrząsnął podłogą. Izbor był znany z niezwykle sprawnego władania żywiołem ziemi. Niektórzy twierdzili, że mógł równać się z samymi tenare, choć nikt nigdy nie widział, by Izbor zmieniał konsystencję skał.

Raptem powierzchnia pod stopami Namira wybrzuszyła się. Chłopiec upadł, a wyrywane z podłogi kamienie unosiły się i opadały, tak że turlały go

wprost pod nogi rozgniewanego Izbora.

— Rozkapryszony bachor! — wrzasnął profesor.

Pochylił się nad skulonym dzieckiem i srogo pochwycił je za ubranie. Widocznie chciał postawić chłopca na nogi, może potrząsnąć nim, jak to nieraz robił z Ledergiem, gdy ten okazywał swojemu mentorowi nieposłuszeństwo. Ale ledwo go dotknął, natychmiast puścił, rozdziawiając usta. Taka trwoga nieczęsto gościła wśród rysów staruszka.

— Słodcy bogowie... — wymamrotał, cofając się i chwytając za oparcie pobliskiego fotela.

Lederg przeniósł spojrzenie na Namira gramolącego się właśnie z ziemi. Chłopiec cały drżał, oczy na szczelnie owiniętej chustą głowie błyskały gniewem. Kiedy stanął już na nogi, długimi krokami ruszył w stronę wyjścia.

Mag poderwał się prędko do pionu i zastąpił chłopcu drogę. Namir w pierwszym odruchu rzucił mu wyzywające spojrzenie, lecz zaraz jakby oprzytomniał i opuścił głowę ze wstydem. Lederg wziął głęboki oddech.

— Uspokójmy się wszyscy — powiedział.

Po całym incydencie Izbor stał się milczący i zamyślony. Zaproponował im, by przenocowali i dali mu czas na przemyślenie sprawy. Namir nie był zadowolony, ale uspokoił się, gdy Lederg zamknął się wraz z nim w pokoju gościnnym. Była to nieduża izba, lecz posiadała własny kominek, dwie usłane skórą prycze, skrzynie na ubrania i podłogę okrytą miękkim dywanem. Okiennice były szczelne, a na ścianach wisiały cztery kinkiety, każdy z dwoma świecami. Nie zapalali ich jednak, wystarczał im blask bijący ze skromnego kominka.

Chłopiec długo się nie odzywał i nie reagował na monologi Lederga, który próbował przekonywać go, że mogą zaufać profesorowi. Radził chłopcu także, by nie zważał na nieprzystępny charakter Izbora. Do wieczornej stawy, po którą Lederg wymknął się z pokoju, kiedy Namir drzemał na swojej pryczy, dostali po kubku ciepłego mleka. Napój ten zwabił czarnego kota, na noc szukającego schronienia w domostwie swojego pana. Mag postanowił go nie przeganiać, mając nadzieję, że towarzystwo zwierzęcia dobrze wpłynie na nastrój dziecka, które przecież pewną część swojego dzieciństwa spędziło

właśnie u boku swoich braci mniejszych. Wtedy to odkrył kolejną tajemnicę przekleństwa Namira.

Kot trzymał się od niego z daleka, jeżył sierść na grzbiecie za każdym razem, gdy ten wykonał gwałtowny ruch, i wydawał z siebie ostrzegawcze odgłosy. Wreszcie stracił zainteresowanie posiłkiem gości i zaczął desperacko drapać w drzwi. Gdy tylko Lederg uwolnił zwierzę, odwrócony do niego plecami Namir wziął spory łyk mleka i przemówił swoim chrypliwym głosem:

— Odkąd pojawiły się wizje, zwierzęta mnie nie lubią... — Przerwał, by przeżuć kawałek ciemnego pieczywa z serem. — Kiedyś spałem razem z prosiakami, tuliłem się do nich, nie bały się mojej twarzy. Ale potem... wszystkie zaczęły uciekać w kąt.

— Widzą to samo co ludzie? — zapytał ostrożnie Lederg, wracając do spożywania posiłku.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Wyczuwają coś, jeszcze zanim zdołam je dotknąć.

Mag nie drażył tematu.

Rankiem Izbor oświadczył, że może dać im schronienie na całą fazę i w tym czasie spróbuje udzielić Namirowi pomocy, jak dodał: tylko ze względu na stare, dobre czasy. Nakazał im jednak, by nie wychylali nosa z jego domu i siedzieli cicho w izbie dla gości, gdy zjawią się jacyś mieszkańcy szukający rady.

Izbor zapewnił im naprawdę dogodne warunki i sute posiłki. Częstował ich różnego rodzaju mięsami, które przechowywał w zaklętych chłodem skrzyniach. Wszystkie mięsiwa były smakowicie przyprawione, a profesor podawał je zawsze z dodatkami — najczęściej w postaci aromatycznych suszonych grzybów, ale... pobyt w tym domostwie nie mijał im na samych przyjemnościach. Mnóstwo chwil poświęcali na próby zdjęcia z Namira przekleństwa. Lederg posiadał jedynie podstawową wiedzę na temat klątw, lecz wspomagał profesora, jak tylko mógł, zwykle po prostu postępując według jego wskazówek. Razem przygotowywali oddzielną izbę do odczyniania, wysypywali na posadce wzory z soli i ziołowych proszków, wtykali kadzidla w kopczyki ziemi pomieszanej ze śmierdzącym nawozem, kredkami z węgla rysowali runy na ścianach, obwieszali sufit talizmanami. Czasami mag brał

również udział w wygłaszaniu inkantacji, jak bowiem twierdził Izbor: słowa płynące z ust dwóch magów mogły szybciej poradzić sobie z przepędzeniem przekleństwa. Jednak mimo wszelakich prób sytuacja Namira nie polepszała się. Po kilkunastu dniach nieustępliwych zmagania cała trójka uzyskiwała jedynie podkrążone oczy, przekrwione od dymu kadzideł. Mieli ciężkie głowy, zdarzało się im tracić oddech i zanosić suchym kaszlem.

Pewnego wieczoru, kiedy zmęczony chłopak oddawał się drzemce w izbie dla gości, a Lederg przesiadywał w salonie przy kominku, towarzyszący mu profesor odezwał się znużonym głosem:

— To na nic, Ledergu. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z podobnym przekleństwem, choć nie mam wątpliwości, że tym właśnie są te paskudne wizje. Pozostaje mi spróbować najbardziej niebezpiecznych metod, które sprowadzą tego dzieciaka na granicę życia i śmierci, więc potrzebuję twojej zgody na ich zastosowanie.

Lederg patrzył w rozświetlające mrok izby palenisko, lecz choć przyglądanie się tańczącym płomieniom w jakiś sposób koło jego myśli, to nie przynosiło żadnych podpowiedzi.

— Masz moją zgodę — szepnął w końcu, zrezygnowany. Ciężar zdecydowania się na takie ryzyko natychmiast przygniótł mu barki. Poczul, jakby zapadał się w fotel, twardy pomimo obicia. — Co z jego... znamionami? Z jego twarzą?

Jakiś mięsień drgnął na starczym obliczu Izbora.

— Nie sądzę, bym mógł cokolwiek zrobić w tej sprawie — zawyrokował. — Za stan jego skóry z pewnością odpowiadają mroczne moce. Może nie jestem zielarzem, lecz bez wahania mogę stwierdzić, że żadne maści nie pomogą. Ponadto obawiam się, że próby pozbycia się znamion mogłyby skończyć się dla dzieciaka tragicznie. Niestety miałem okazję przyjrzeć się temu świństwu z całkiem bliska. To coś jest częścią jego ciała, wygląda, jakby zakorzeniło się gdzieś głęboko, i nie wykluczam, że zareagowałoby złośliwie, gdyby próbować to... usunąć. Możliwe, że wtedy narosłoby dwukrotnie, a z pewnością nie goiłoby się zbyt ładnie. Jedyne sposoby na poradzenie sobie z jego brzydotą to ukrywanie jej przed światem.

Lederg pokiwał sztywno głową. Nie spodziewał się innej odpowiedzi.

— Zrób z jego przekleństwem tyle, ile możesz. Odniesiemy sukces, jeśli pozbedziemy się chociaż części klątwy. Namir jest niezwykle wytrzymały. Przetrwa, cokolwiek mu zgotujesz — przekonywał sam siebie.

— Namir... — powtórzył w zamyśleniu profesor. — Zastanawiałem się nad symboliką jego imienia, jednak bez skutku. Dobrze, że dbamy o zachowanie, choćby w szczątkowej formie, naszego rodzimego języka. To ważne, nawet tak długi czas po ukształtowaniu się języka wspólnego dla trzech królestw. A jednak sam pamiętam raptem kilka słów, mój umysł nie młodnieje, nie jestem w stanie przypomnieć sobie znaczenia własnego imienia, a co dopiero mówić o rozszyfrowaniu istoty cudzego. Szczęście, że sztukę odczyniania nadal mam w małym palcu.

— Jego imię oznacza tego, dzięki któremu nastanie pokój.

Izbor uśmiechnął się półgębkiem. Miał puste spojrzenie.

— Skoro wierzysz, że chłopak przeżyje kolejne próby odczyniania, i jak mniemam, niezależnie od wszystkiego planujesz wcielić go do swojej rodziny, doradzałbym ci zapoznać go z szeroką wiedzą na temat czarnej magii.

Lederg wysoko uniósł brwi, był bardzo zaskoczony.

— Czy nie lepiej, bym trzymał go od tej niebezpiecznej wiedzy z daleka?

— Nie. Niech się dowie, czym włada. Niech spadnie na niego świadomość tego, w jak okrutny sposób może być wykorzystywana ta magia. Niech wie, niech zdobędzie pojęcie, czego winien się wystrzegać. Poza tym z pełną wiedzą na temat własnych mocy łatwiej mu będzie nad nimi panować. A twoim obowiązkiem będzie go w tym wspomóc.

Serce maga zabiło szybko, lecz w duchu przyznał profesorowi rację.

Następne dni upływały w atmosferze grozy i niepokoju. Lederg nie sypiał po nocach, bez przerwy się zamartwiał. Izbor zamykał się w izbie z Namirem na wiele świec, a kilka razy nie opuścili pomieszczenia od świtu do kolejnego świtu. Odprawiane za drzwiami rytuały, po których długo unosiły się zawiesiny duszącego dymu kadzidel, wykańczały zarówno profesora, jak i chłopca. Izbor zdawał się postarzeć o kilka cykli, jego zmarszczki pogłębiły się, oczy utraciły blask. Dziecko z kolei niemal każdą wolną chwilę spędzało w łóżku — albo śpiąc, albo słuchając czytanych mu przez Lederga

obszernych treści. Mag dostał odpowiednie księgi od profesora i od razu rozpoczął proces wpajania chłopcu wiedzy o niebezpiecznej naturze czarnej magii. Ku jego zadowoleniu, gdy już Namir zdobywał się na wykrzesanie z siebie słów, świszcząc przy tym oddechem z przepelnionych kadzidłowym dymem płuc, wyrażał swoje zaniepokojenie okrucieństwem, do jakiego zdolni byli jego pobratymcy. Było to okrucieństwo jeszcze straszniejsze od tego, które jakiś czas temu sam próbował stosować. Lederg nigdy nie tracił okazji, by chwalić go za podobne wnioski. Czas spędzony w domostwie Izbor, choć trudny i męczący, wpływał na łagodną część charakteru Namira i rozwijał ją. Mag nigdy nie dowiedział się, o czym Izbor rozmawiał z chłopcem podczas sesji odczyniających klątwę, lecz zaobserwował, że ten darzy profesora coraz większym szacunkiem. Jednego razu strasznie się przejął, gdy starzec przyłapał go na próbie kradzieży. Lederg był zaskoczony i zły, Izbor zaś — opanowany. Stwierdził z przekonaniem, że w odurzonym kadzidłami młodym umyśle po prostu rodzą się niemądre pomysły. Obaj jednak wiedzieli, że to nieprawda. Chłopiec, jeśli już zdarzało mu się przebywać poza łóżkiem — jeśli miał dość sił, by spacerować po domostwie — nieraz z błyszczącymi oczami przyglądał się mnogości przedmiotów i mebli wypełniających niektóre izby. Tym, co zechciał sobie przywłaszczyć, schowawszy zdobycz pod siennikiem swojego łóżka, okazały się sztuczce ze srebrnej zastawy — jednej z niewielu pozostałości po dawnym majątku Izbor, dużo pokaźniejszym, gdy jeszcze pracował dla Akademii. Potem, gdy Lederg karmił Namira za haniebny czyn, ten wyjaśnił mu, że nigdy wcześniej nie widział nic tak błyszczącego i pięknego.

Kiedy faza dobiegała końca, zmuszeni byli przerwać wszelkie działania. Mieszkańcy szukający u Izbor porad nabierali podejrzeń, natykając się na smród kadzideł nieustannie unoszący się w powietrzu. Od czasu do czasu uparcie walili w drzwi kołatką, a nawet pięściami, a że nie otrzymywali żadnej odpowiedzi — ich podejrzliwość rosła. Był także drugi, ważniejszy powód: Namir mocno podupadł na zdrowiu. Izbor oceniał jego stan na bliski śmierci i uznał, że dalsze zmagania z przekleństwem niechybnie doprowadzą do zgonu chłopca.

— Jeśli dostanę twoją zgodę, będę próbował dalej — wygłosił któregoś wieczora profesor, jak zwykle w czasie posiedzenia przed kominkiem w salonie. — Jednak jeśli chcesz poznać moje zdanie, Ledergu, ta walka nie ma sensu. Jego przekleństwo nie reaguje na żadne metody odczyniania, choćby w najmniejszym stopniu. Jestem przekonany, że dalsze próby niczego nie zmienią i dzieciak umrze fatalną śmiercią. Decyzja należy do ciebie.

Lederg bił się z myślami kilka dni. Nie rozmawiał z chłopcem o ryzyku, odkąd zdecydował się je podjąć, a uświadomienie go o niebezpieczeństwie teraz nie przyniosłoby niczego dobrego. Był pewien, że Namir — zdesperowany, by pozbyć się przekleństwa — zapragnie kontynuować bezsensowną walkę. I być może rzeczywiście należało ją podjąć, ciągnąć — być może śmierć nie byłaby najgorszym losem, jaki mógł spotkać to nieszczęśliwe dziecko. A jednak Lederg nie miał serca do tego dopuścić.

— Zostaniemy jeszcze jakiś czas, żebyś mógł odzyskać siły — oznajmił któregoś ranka po porannej srawie. Głaskał czarnego kota, który wskoczył mu na kolana i podejrzliwie obserwował odurzonego kadzidłami chłopca, skulonego na sąsiedniej pryczy. — Potem wyruszymy dalej. Jak niegdyś wspominałem: kierujemy się do Damanor.

Namir poruszył się gwałtownie i Lederg sapnął cicho, gdyż kocur nerwowo wbił mu pazury w skórę. Chłopiec nie miał na twarzy chusty i gdy się odwrócił — w obecnym stanie chyba nie będąc do końca pewnym, gdzie się znajduje i czy jego oblicze pozostaje zasłonięte — wprowadził maga w osłupienie. Paskudna twarz oblana potem gorączki oraz zmęczenia, spuchnięta i zsiniała, wyglądała potworniej niż zwykle.

— Moje przekleństwo... — Namir urwał.

Więcej z siebie nie wydusił, gdyż skręcił się z bólu. Na dźwięk jego głosu zwierzę naprężyło grzbiet, zeskoczyło z kolan Lederga i pospiesznie umknęło z pomieszczenia. Mag odwracał wzrok, nie mogąc znieść widoku schorowanego oblicza.

— Nie możemy nic na nie poradzić, Namirze. Przykro mi.

— Porzucisz mnie? — padło ciche pytanie.

— Nie, drogi chłopcze. Wyruszymy do Damanor — powtórzył powoli i dobitnie. — Do mojego domu.

Rozdział XVI

Grząskie mokradła otaczające las wysychały na rubieżach, z dnia na dzień zajmowały coraz mniejszy obszar. Mroczny bór, który opuścili o świcie, rysował się na horyzoncie, nad czubkami monstrualnych drzew krążyły ptaki — odległe, małe czarne punkty. Do zmierzchu zostało parę świec. Karłowate drzewka i krzewy porastały dolinkę ciągnącą się kilka mil za mokradłami. Ze stromych zboczy wyzierały otwory jaskiń, w jednej z nich pulsowało pomarańczowe światło ogniska.

Namir zatrzymał się u wejścia do groty i ogarnął wzrokiem siedzące w środku towarzystwo. Przy ogniu było dwoje ludzi i jeden tenare, obok leżały trzy wypchane worki, jeden z uwiązanym u dołu żeliwnym garnuszkiem. Irvette miała nieodgadniony wyraz twarzy. Do myśli Namira wróciły wspomnienia o tym, jak nalegała, by odpowiednio się przygotować. Rozumiała ryzyko i nie kryła się z tym, że przewiduje, iż będzie musiała opatrywać rannych. Dał jej igły i szczypczyki z brązu, przechowywane w małej drewnianej szkatułce, a także nici i buteleczkę oleju do wyparzenia przyrządów. Sama spakowała mikstury i maści, odwary, spory zapas płótna oraz buklaki z wodą. Zanim się wyprawili, wręczył jej też bransoletę, choć nie zdążył wzmocnić działania przedmiotu tak bardzo, jak by chciał. U pasa dziewczyna miała krótki miecz, który Wallace przywiózł jej ze zbrojowni Randisa. Wręczał go jej niezwykle niechętnie, zmartwiony i jednocześnie z nadzieją, że jednak nie będzie zmuszona go użyć.

Wspólnie zdecydowali, że wraz z Randisem wybiorą się do oddalonego o milę miejsca, by tam zwabić maga, podczas gdy Irvette i Bernett pozostaną w ukryciu w jaskini. Zapanowała atmosfera pełna napięcia, które udzielało się Namirowi, chociaż wiedział, że przed ewentualnym spotkaniem ze swoim

pobratymcem powinien się wyciszyć. Obawiał się też skażenia dziewczyny. Nie miał żadnej pewności, czy w razie potrzeby dotrze do niej na czas — czy Irvette wytrwa do jego przybycia, jeśli zostanie powiadomiony o nawrocie choroby, gdy będzie już daleko stąd. Czy skażenie nie zabije jej, nim ten w ogóle zdoła dobiec do jaskini...?

Obrócił się ku widokowi dolinki i rozglądał nerwowo. Daleko poza swoją kryjówką czuł się niekomfortowo, a świadomość, że za parę świec ma ściągnąć na siebie uwagę osobnika, do którego wolałby się nie zbliżać, nie pokrzepiała. Pośród wypełniającego jaskinię trzasku płomieni usłyszał kroki. Wkrótce mała sylwetka stanęła u jego boku. Odsunął się od niej.

— Żeby przyciągnąć uwagę maga, jesteś zmuszony użyć swoich mocy, zgadza się? — zapytała Irvette bezbarwnym tonem. — Innych niż czarny ogień.

— Zgadza się.

Dziewczyna spoglądała w dal — w tym samym kierunku co on.

— Jeśli dojdzie do walki, istnieje ryzyko, że będziesz musiał to powtórzyć?

— Twój miły przyjaciel Bernett chwalił się potyczką z pomiotem wielkości konia. Jeśli ten mag przyzwał coś takiego, z pewnością nie należy do słabych. Muszę być gotowy na to, że zmusi mnie do wykorzystania wielkich pokładów mocy.

— Takich, od których możesz stracić kontrolę?

— Niewykluczone.

Z wolna na siebie spojrzeli. Twarz dziewczyny odrobinę się ściągnęła, mógłby przysiąc, że zobaczył na niej troskę.

— Twoje skażenie...

— Jest teraz najmniejszym z naszych zmartwień, Irvette.

W przedłużającym się milczeniu Namir zaciskał i rozluźniał palce. Pamięć o tym, jak zerwał rękawice, by użyć ognia w obronie dziewczyny, uderzyła go niczym obuch. Widziała jego ręce, paskudne i skażone, a potem dotykała ich bez wstrętu, ignorując jeszcze ohydniejsze wizje. Z pewnością nie mogły zesłać cię demony — pomyślał z żalem, utraciwszy kontrolę nad emocjami. Być może po raz ostatni patrzył na jedyną na świecie istotę dostatecznie odważną, by mierzyć się z jego przekleństwem. Nawet Lederg nie potrafił wytrzymać zetknięcia z wizjami, nawet Kharija — która wszak ekscytowała się widokiem

śmierci i cierpienia — wcale nie kwapiła się do ich oglądania. Pierwszy raz spotkał kogoś tak niezwykłego, a już niedługo mógł stracić albo życie, albo rozum.

— Namirze, czas na nas. — Surowy głos zwierzchnika przerwał jego rozmyślenia.

Tenare zbliżył się do nich w kilku krokach, a zaraz za nim Bennett, który szybko znalazł się u boku spiętej przyjaciółki. Namir sztywno pokiwał głową.

— Nie wychylajcie nosów z tej jaskini, a w razie potrzeby odzywajcie się przez Nexam. Zrozumiano?

Chłopak bez przekonania pokiwał głową, oczy Irvette zrobiły się dziwnie błyszczące.

— Mogę ci zaufać, że nie będziesz na tyle lekkomyślna, by za mną pobiec?

— Cóż za śmiałość twierdzić, że mam ochotę za tobą biegać.

Randis popędzał ich niezadowolonymi pomrukami. Dziewczyna uśmiechała się słabo, zaciskała wargi. Namir pochylił się ku niej, jednocześnie sprawiając, że Wallace odsunął się raptownie.

— Chcę, żebyś jedno zapamiętała: gdyby istniał inny sposób na pozbycie się tego maga, skorzystałbym z niego.

Przelknęła ślinę. Teraz poznał, że w jej oczach lśniły — choć nie płynęły — łzy.

— Wiem.

Zbliżyła się niespiesznie, niezręcznie, z wyraźnym wahaniem, a potem obdarzyła go gestem, na który nikt wcześniej się wobec niego nie zdobył — przez całe jego dotychczasowe marne życie. Objęła go.

Szczupłe ramiona otoczyły Namira w pasie, głowę przycisnęła do miejsca zaraz pod jego sercem, które niemal zamarło. Sparaliżowany, wstrzymywał oddech. Niemal widział rozrzucone dookoła palące się trupy, które ona bezsprzecznie musiała teraz oglądać, nawet jeśli zamknęła oczy. Nie ośmielił się odwzajemnić gestu, ale nie przerwał go — mimo silnego przekonania, że powinien.

Kiedy wreszcie się odsunęła, jeszcze raz spojrzała na niego z przejęciem, po czym wycofała się w głąb jaskini. Wyprostował się sztywno, dreszcze

biegały mu po całym ciele. Bennett wyglądał na podobnie zszokowanego, oblicze Randisa przepełniała natomiast głęboka trwoga.

— Ruszajmy — wydusił tenare z trudem.

Zanim Namir opuścił grotę, obejrzał się jeszcze na siedzącą przy ogniu dziewczynę i uznał, że cokolwiek go czeka, musi do niej wrócić... Zdrowy na umyśle na tyle, by jej nie zabić.

Wraz z Randisem dotarł do ustalonego miejsca, otoczonego liczniejszymi i wyższymi drzewami. Przez zielone korony prześwitywały fragmenty bezchmurnego nieba.

Namir usiadł na zwałonym pniu i westchnął. Przygotowywał się na to, co miał zamiar uczynić. Zmuszony był użyć mrocznej energii, nie mając przy tym pewności, że czarny mag przebywa dostatecznie blisko, by spostrzec sygnał.

Niespiesznie ściągnął rękawice, najpierw jedną, potem drugą, obie schował do kieszeni. Tak samo jak w przypadku używania ognia — musiał pozbyć się izolującego od świata materiału. Nie chciał umyślnie zniszczyć akurat tego elementu odzienia, które stało się dla niego drugą skórą. A może nawet jedyną, jako że swoją naturalną powłoką cielesną gardził z całych sił i w chwilach najsilniejszej melancholii wmawiał sobie, że nie jest prawdziwa.

Randis, stojący nieopodal, omijał wzrokiem jego odsłonięte dłonie.

— Nie pogorszyło się, prawda?

— Jeszcze nie.

— Pogorszy się po tym, co zrobisz?

— Chyba nie powinno, ale nie mam pewności. Gdy to świństwo na mojej skórze rozrosło się za pierwszym razem, używałem swoich mrocznych mocy bez przerwy przez kilka faz. Za drugim, cóż... byłeś tam. Nie sądzę, bym musiał ci to wyjaśniać.

Tenare pokiwał głową i nic już nie powiedział.

Namir wziął głęboki oddech, po czym dźwignął się z miejsca. Spojrzał w górę, w prześwit między koronami drzew. Uniósł ramiona i rozczapierzył palce. Natychmiast poczuł silne ściskanie w klatce i dudnienie w skroniach.

Szepty w języku demonów poczęły obijać się o wnętrze czaszki. Zacisnął zęby i wypchnął z rąk duże pokłady posłusznej mocy.

Czarna maź wydostała się spod skóry, wypłynęła przez pory i otworzyła oblepiające ją czarne znamiona. Łącząc się w pasma i wstęgi o ostrych brzegach, wystrzeliwała w górę niczym atakujące kobry. Mknęła między drzewami, rwąc liście na swojej drodze, ścinając gałązki i płosząc ptaki, które z silnym trzepotem zrywały się do lotu. Z niezwykłą prędkością wędrowała ku niebu, rozdzielała się na wiele odnóg, które potem plątały się między sobą, aż wreszcie rozprysnęła się, utworzywszy pod chmurami pokaźnych rozmiarów kleks.

Namir na parę mgnień stracił oddech, a szepty stały się tak silne, iż zakręciło mu się w głowie. Oddzieliwszy ostatnie małe wstęgi od skóry, padł na kolano i przycisnął dłoń do zamaskowanej twarzy. Zapomniał już, jak to jest używać tego rodzaju czarnej magii. Jak trudno się kontrolować po tak długim czasie od zrezygnowania z niej. Ramiona mu drżały, zarzęziło w płucach, pod materiałem zrobiło się tak duszno, że musiał pospiesznie odczepić zasłonę.

Usłyszał zniesmaczone westchnięcie Randisa, a potem jego pełne pretensji słowa:

— Uprzedzaj, gdy masz zamiar się obnażać.

Zbyt był zajęty uspokajaniem własnego umysłu, by odpowiedzieć na przytyk. Osłonił oblicze ręką, choć tenare stał już do niego plecami, nie chcąc raczyć swojego wzroku paskudnymi widokami.

— Jesteś tam jeszcze? Czy powinienem już zacząć uciekać?

— Jestem — wychrypiał, z wolna opierając dłoń na udzie. — Jestem. To ciągle za mało, by mnie złamać.

— Masz pewność, że mag spostrzeże sygnał?

Namir ponownie przysiadł na pniu i wciągnął powietrze przez nos.

— Z wielu mil. Podobnie jak każdy inny.

— Jesteśmy daleko od twojej kryjówki, więc nie obawiaj się. Zadbam o to, by każdy, kto spostrzeże to wyładowanie, uznał je za sprawkę tego szalonego maga. Czyż nie dbałem o bezpieczeństwo twojego legowiska przez wiele cykli, Namirze?

— Racja, czego niestety nie można powiedzieć o ostatniej fazie. Ukryj się. Jeśli mamy szczęście i mag przebywa w pobliżu, może pojawić się w każdej chwili. Jeśli zaś nie stawi się do świtu, skontaktuj się z Bernettem, upewnij się, że z Irvette wszystko w porządku. Może być tak, że mag kryje się daleko stąd i poczekamy tu dzień lub dwa, zanim uraczy nas swoją obecnością.

Wedle jego polecenia zwierzchnik skrył się między gęstymi drzewami, znikł pośród nich niczym kamfora. Namir był świadkiem tej umiejętności nie pierwszy raz. Związek tenarskiej rasy z żywiołem ziemi sprawiał, że nie mieli oni większego problemu z kamuflowaniem się w otoczeniu posłusznych im pnączy i drzew.

Wspólnie uznali, że Nexam będzie bezpieczniejszy w posiadaniu Randisa. Spodziewali się, że gdy rozgorzeje walka, to Namir stanie się głównym celem wroga. Zwierzchnik nie wspominał o tym, lecz czarny mag wiedział doskonale, że tenare ma wielką nadzieję, iż z amuletu nie padnie żadna wiadomość. Randis zdawał sobie najwidoczniej sprawę, że jak tylko rozlegnie się ustalony sygnał zawiadamiający o nawrocie choroby Irvette, Namir opuści go bez większego namysłu.

Gdy w końcu nadeszła noc, Namir nadal czekał spokojnie na pniu, ponownie z zasłoną na twarzy. Skórę na rękach miał odrobinę zaczerwienioną po tym, co się z niej wydostało — rumień ten był kolejnym objawem nieprzyjęcia się mrocznych mocy w jego ciele. Mimo wszystko podrażnienia te nadal nie mogły równać się tym, jakie miewała Irvette, jako że nie nawykła do styczności z czarną magią, a skażenie wyciągane było z niej siłą, nie wydostawało się na wolność tak jak jego moce — szczęśliwe niczym wypuszczone z klatki zwierzę. Sporo węższe, prawie niedostrzegalne otworki już się zamykały, czarne znamiona przyschły... Myślami Namir uciekał do towarzyszy czekających w grocie — żywił nadzieję, że nie spotka ich żadna nieprzyjemna przygoda, że w razie potrzeby Bernettt wspomógł dziewczynę i natychmiast zawiadomi Randisa.

Księżyc w pełni wysyłał na ziemię srebrzysty blask. Calige, bogini ciemności, ustępowała przed światłem bijącym z jednego z wielu ciał niebieskich samej Mestyrii. Za każdym razem gdy Namir pozwalał sobie na przypisywanie działań natury bogom, wspominał opowieści Lederga, jego

pragnienie dzielenia się wiedzą i swoją początkową niechęć do wysłuchiwania o wierzeniach i legendach, które jednak ostatecznie z przekonaniem wbił mu do głowy.

Minęła świeca, zanim wreszcie usłyszał szelest kroków stawianych na poszyciu. Mięśnie napięły mu się pod skórą, czujność nakazała rozejrzeć się powoli — nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Spozrzegłszy sylwetkę na skraju szarej ciemności, zacisnął odrętwiałe palce.

Postać nie poruszała się, nie odzywała. Narzucony na głowę kaptur okrywał twarz cieniem. Długi do ziemi płaszcz zadrgał na słabym podmuchu wiatru. Potem nieznajomy wykonał niepewny krok. Jeden, drugi, trzeci... Aż stanął w księżycowej poświacie, wtedy odrzucił kaptur na plecy.

Mężczyzna miał młodą twarz i małe oczka, wąskie usta wykrzywiał mu zły uśmiech.

— Witaj, bracie.

Przywitanie było dla Namira pierwszym sygnałem, że coś jest nie w porządku. Nieznajomy nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że staje naprzeciw pobratymca. Inny na jego miejscu najpierw próbowałby wy badać, czy aby na pewno ma do czynienia z tym, który wysłał sygnał. Czy aby na pewno magowie z akademii nie zwabili go podstępnie w pułapkę. Ten tutaj był przekonany o nieomyślności swojego osądu, i to było niepokojące.

Namir skinął głową i podniósł się z pnia, gołe od rękawic dłonie chował za plecami. Od razu zauważył, że mag cofa się o krok, a jego rysy naznacza przerażenie. Nie wiedział tylko, czy nastraszył go swoją wysoką sylwetką, czy też znamionami, które może jednak rzuciły mu się w oczy.

— Witaj — odezwał się głośno, bez wątpienia pogłębiając jego odczucia. — Prędko przybyłeś na moje wezwanie.

— Wybrałeś odpowiednie miejsce. — Krzywy uśmiech nadal błąkał się po twarzy maga. — A ty, bracie, dawno przybyłeś w te okolice?

Coś w jego tonie sprawiło, że Namir zacisnął szczękę. Ponownie ogarnęło go uczucie silnego niepokoju. Nie ruszając się z miejsca, bacznie przypatrywał się rozmówcy. Ten starał się odwzajemnić spojrzenie, lecz co chwila zerkał na bok, jakby chociaż na mgnienie pragnął uwolnić się od widoku upiornych oczu.

— Istotniejszy jest powód, dla którego tu jestem. Dla którego uznałem, że warto się z tobą spotkać, bracie.

— Czyżby? Zgaduję, że doszły cię słuchy o małym napadzie na pobliską wioskę. Czyżby zaimponowały ci moje dokonania? Choć zapewniam, że nie pokazałem jeszcze szczytów swoich możliwości. — W głosie maga pobrzmiała groźba.

— Nie wątpię w to, lecz twoje zasługi dla naszej pani Varanside z pewnością zostaną zauważone.

— Również w to wierzę. Jestem wręcz przekonany, że spotkam na swojej drodze osoby chcące mnie za nie wynagrodzić. W końcu nie co dzień trafia mi się podobna okazja: dwójka magów podających mi się jak na tacy i dwójka bezmyślnych ludzików czekających na swą kolei w nie tak odległej jaskini.

Zimno spłynęło Namirowi po karku.

— Telepatia bywa niezwykle przydatna — pospieszył z wyjaśnieniem zadowolony mag. — Irvette! To właśnie przemknęło ci przez głowę, czyż nie? Ty, ona i pozostała dwójka, wszyscy dzisiaj zginiecie. Chciałbym rozstać się w pokoju, lecz czy mogę pozostawić przy życiu zdrajcę, który sprzeciwia się woli samej Varanside?

Raptem załopotał płaszcz rzucony na ziemię, a z rozłożonych szeroko ramion maga wystrzeliły wstęgi czarnej magii. Wydostały się spod skóry przez pory i łączyły się w podłużne cielska o ostrych brzegach, gotowe szarpać wszystko na swej drodze.

Namir zareagował natychmiast — pierwszą wstęgę odrzucił podmuchem telekinezy, jednak następne zaraz napierały na niego ponownie, zmuszając do cofania się między drzewa, w mrok. Ciemność raptem rozświetlił niebieski blask — ogień wypiętrzony z rąk maga uderzył między pnie z wielką siłą i przegonił Namira z ledwo co pozyskanej kryjówki. Gnany przez żar, który szybko zajmował suchą korę, pospieszył w oddalone od pożaru miejsce. Spoglądał pomiędzy gałęzie — nie widział Randisa, tymczasem na wroga nagle poleciały kawały ziemi wyrwane mu spod nóg, a za nimi zerwały się do ataku magicznie ożywione pnącza. Kiedy mag uskakiwał przed gruzem, stracił równowagę i padł na trawę, lecz wstęgi czarnej magii bez trudu zwyciężyły w starciu z pnączami — rozerwały rośliny na strzępy.

Namir wypadł spomiędzy drzew i wyrzucił ramiona przed siebie. Pochwycił przeciwnika telekinezą i unieruchomiwszy go, wyrwał z jego płuc głośny jęk. Następnie skupił się na jego prawej ręce i nacisnął na nią siłą umysłu. Nim jednak zdążył ją złamać, musiał rzucić się na ziemię, by umknąć przed szalejącymi czarnymi wstęgami. Ich ostre brzegi zaświszczały mu nad głową, potem skrzyły i popędziły za nim. Po raz kolejny odepchnął je podmuchem i czołgając się na plecach, wystrzelił w nie ogień. Oślepiający blask i kłęby duszącego dymu wybuchły mu przed twarzą. Zaskwierczało, a czarna maź rozprysnęła mu na ubranie i przylepiła się do materiału. W porę zasłonił oczy, spadające na niego krople były nieprzyjemnie ciepłe.

Dławiąc się i kaszląc, spostrzegł Randisa, który właśnie wyszedł z ukrycia i okładał maga szybkimi uderzeniami telekinezy — powalał go raz za razem, gdy ten próbował dźwigać się do pionu. Jeszcze raz z ziemi poderwały się pnącza, lecz ten zabieg wymagał od tenare zaprzestania używania telekinezy, czego przeciwnik nie omieszkał wykorzystać. Z rozczapierzonych palców huknęły płomienie. Paląc po drodze rośliny, przepędziły zwierchnika w ciemność między drzewami. W tym samym momencie Namir zerwał się na równe nogi i zaparłszy się nimi jak do ciągnięcia liny, pochwycił ciało maga, po czym przyciągnął je w swoją stronę. Zaskoczony przeciwnik, orząc palcami ziemię, desperacko chwycił się pęków trawy. Po chwili został wzniesiony w powietrze, głową w dół.

— Przestań się ze mną bawić, ty głupcze! — krzyknął szalony mag.

Wraz z wściekłym wrzaskiem zatańczyło wokół niego jeszcze więcej wstęg. Cała chmara wydostawała się spod jego szat, w wielu miejscach rozrywając materiał. Kłębowisko śmiercionośnych macek pomknęło na Namira z zatrważającą prędkością, reszta rozpierzchła się wokół, tnąc konary i pnie w poszukiwaniu Randisa.

Namir natychmiast oswobodził maga i wypuścił z obu dłoni potężne warstwy niebieskiego ognia. W zetknięciu ze wstęgami płomienie zaskwierczały i wybuchły oślepiającym światłem. Maź bryznęła dookoła, gęste obłoki czarnego dymu przez parę mgnień wisiały wśród blasku księżyca, a potem spomiędzy nich wystrzeliły następne wstęgi. Namir zdołał odrzucić kilka z nich, przed resztą musiał uskakiwać. Kiedy jedna przemknęła mu

obok prawej skroni, poczuł paskudne ciepło i piekący ból, a potem materiał zasłony obsuwający się z części twarzy. Wpadł między drzewa, oddychając ciężko. Dym, rozrzedzając się, odsłaniał widok, który nie wróżył nic dobrego.

Od sylwetki maga kroczyły w jego stronę demony, lekko przygarbione, poruszające się na dwóch nogach, wysokie, nadal całe z czarnej materii, z twarzami bez nosów, szerokimi uśmiechami i oczami jak żarzące się węgle. Długie ramiona zwisały im niemal do ziemi, zakrzywione pazury ciągnęły się po trawie.

Demony widziały go, i zaraz puściły się do ataku.

Były prędkie — do biegu używały wszystkich czterech kończyn.

Odbiły się od ziemi w kilku susach i skoczyły między pnie, rwąc korę pazurami. Pierwszego odrzucił telekinezą — cisnął go z siłą w konary, kolejne dwa zatrzymał podmuchem ognia, a płomień momentalnie zajęły liście i poszycie. Nie przestawał jednak, cofając się i obracając dokoła, celując wszędzie, skąd dobiegał go najmniejszy szelest. Słyszał ich wrzaski i skwierczenie czarnej mazi, słyszał śmiech maga, a potem jeden z demonów spadł na niego jak z nieba. W ostatnim momencie pochwycił go w powietrzu, po czym z jękiem wysiłku skręcił jego potężne cielsko jak ścierkę i rzucił zniekształcone w trzaskające na ziemi niebieskoczarne płomień. Pomiot jeszcze próbował wyczołgać się ze śmiercionośnej pułapki, ale Namir przygwoździł go mocą umysłu. Przyglądał się, jak jęzory ognia wspinają się po czarnej sylwetce i roztapiają ją.

— Ty żaloszny zdrajco! — Ostre słowa rozległy się za jego plecami i Namir odwrócił się, złapawszy za zasłonę, by przytrzymać ją na miejscu. — Nic nie działasz, polegając na naszej, jak to mówią, najczystszej odmianie magii. Ten ogień jest za słaby, byś mógł mnie nim zwyciężyć.

Otoczony z obu stron przez płomień trawiące poszycie i konary, za plecami jeszcze słyszał skwierczące truchło demona. Czarny dym unosił się wszędzie. Przeciwnik uśmiechał się tryumfalnie, a spomiędzy poszarpanych fragmentów ubrania wystrzeliły nowe wstęgi. Zebrawszy w sobie resztę sił, Namir odpowiedział uderzeniem telekinezy tak silnym, że odbił wszystkie macki i cisnął nimi z powrotem w maga. Ten warknął z rozdrażnieniem, lecz potrzebował zaledwie chwili, by je opanować. Ta chwila wystarczyła jednak

Namirowi do wyprowadzenia następnego ataku — błyskawicznego na tyle, by mag nie zdążył sięgnąć telepatią do jego myśli ani choćby pozbierać własnych.

Wyrzuciwszy ręce w górę, wyrwał z drzew podpiekane ogniem konary i natychmiast posłał je przed siebie. Popękane, szerniałe, a niektóre wciąż w płomieniach — wszystkie poleciały prosto na maga, po czym zwały go na ziemię i przygniotły. Namir w paru długich krokach znalazł się przy nich i jeszcze docisnął tę stertę drewna. Z piersi przeciwnika wyrwało się głośne stęknienie — spowodował je nie tylko ból.

Mag z trwogą i obrzydzeniem patrzył na oblicze Namira, teraz częściowo odsłonięte. Poruszył się pod miażdżącymi go konarami, próbując wycofać się od makabrycznego widoku i parzących mu skórę płomieni. Był jednak nazbyt zmęczony. Wstęgi czarnej magii chowały się z powrotem do jego ciała.

Namirowi natomiast starczyło jeszcze sił, by wyciągnąć ramię maga w górę i po oddechu skupienia — złamać je w pół. Trzaskowi pękającej kości zawtórował przeszywający wrzask. Po chwili zabrzmiał ten sam duet, gdy złamana została druga ręka. Jeszcze moment później — noga. Następnie moce telekinezy pochwyciły głowę maga, skóra na jego szyi naprężyła się.

— Nie walczę jedynie ogniem — wyszeptał Namir, dysząc ciężko, gotowy w każdej chwili zadać śmiertelny cios.

Mag stękał, pojękiwał, cała potęga uszła z niego jak powietrze z przebitego świńskiego pecherza. Zdany na łaskę zwycięzcy, stał się bezbronną ofiarą. Wystarczyłoby jedno szarpnięcie, by skrócić mu kark — odrobinę mocniejsze, żeby oderwać głowę od tułowia. Jeden ruch, którego Namir jednak nie potrafił wykonać.

Wtedy jak bicz smagnęło pnące. Gruby, zielony pęd owinał się na szyi pokonanego mężczyzny i zacisnął raz a dobrze. Chrząsnęło, mag obezwładniał, z wybaluszonymi oczami i ustami rozwartymi do krzyku, którego nie zdążył z siebie wydać.

Namir podniósł wzrok, nerwowym gestem poprawił zasłonę, przytrzymał ją w miejscu. Z rozbijanego niebieskim blaskiem półmroku wylaniał się Randis. Miał twarz skrzywioną w bólu. Dłonią obejmował drugie przedramię, którego rozerwany rękaw brudziła krew wypływająca z głębokiego rozcięcia.

— *Moec'ha* — rzucił ochryple, a zielone pnącze klapnęło na ziemię, zrobiło się bezwładne, ale pozostało owinięte wokół szyi trupa. — Czemu tak długo się z nim bawiłeś, cholerny potworze?

Namir nie odpowiedział. Zaciśnął dłonie. Dym wdzierał mu się do płuc, dostawał do oczu.

— Kilkukrotnie miałeś okazję go zabić. — Głos zwierznika był słaby, lecz przepełniony wyrzutem. — Do demonów z tobą! Ten mag był szaleńcem, a nie bezbronną dziewczyną, którą zamordowałeś cykle temu!

Namir przekroczył truchło i ruszył do Randisa w dwóch długich krokach. Zasłona po raz kolejny zsunęła mu się z twarzy, trzymał ją tylko zaczep na lewej skroni i między oczami. Gołymi rękami chwycił tenare za szatę, uniósł go, zignorował jego strach, okrzyk bólu i wymamrotane pod nosem ciche obelgi.

— Nie jestem w nastroju — warknął dobitnie, po czym brutalnie postawił rannego na ziemi.

Ten zachwiał się gwałtownie i zgął w pół w odruchu wymiotnym. Gdy już się opanował, choć jeszcze pochylony, zaczął wściekle wykrzykiwać:

— Nie rozumiesz! Te dzieciaki zginą!

Namir obdarzył go zapiekłym spojrzeniem.

— Co takiego?

— Widziałem kilka demonów zmierzających w kierunku jaskini... — Randis dyszał z wysiłku. — Były zbyt szybkie, bym mógł je zatrzymać. Z pewnością dotrą na miejsce przed nami.

Lodowate dreszcze rozbiegły się po ciele Namira jak oślizłe robale.

— Nexam. Powiadom ich. Już.

— Nie mogę. Jest zniszczony.

Dopiero w tej chwili Namir zwrócił uwagę na rozerwany dół kaftana zwierznika — tam, gdzie winna znajdować się wewnętrzna, ukryta kieszeń. Wnet zrozumiał. Mag musiał wyczytać z myśli Randisa, gdzie jest amulet, a także do czego ma im posłużyć. Ten szaleniec nie miał zamiaru pozwolić im na kontakt z towarzyszami.

Namir wyminął zwierznika, pozostawił za sobą dogasające w resztkach ognia szczątki i drwa, po czym obrał kierunek powrotny. Z szybkiego kroku

natychmiast przeszedł do biegu.

Irvette od dłuższego czasu wpatrywała się w kłęby dymu unoszące się nad odległym lasem, barwione na niebiesko przez bijący między drzewami blask. Jak tylko spostrzegła pierwsze oznaki trwającej walki, wypakowała z worków płótna, mikstury, odwary, bukłaki i maści, naląła do garnuszka oleju, przyszykowała swój zielarski kącik pod skałami. Teraz, ze ściśniętym żołądkiem lecz skupionym umysłem, wyczekiwała u wylotu jaskini. Palcami wodziła po bransolecie zaciśniętej na lewym nadgarstku.

Wallace delikatnie dotknął jej ramienia.

— Nadal nic? — zapytała.

Schował amulet u pasa i pokiwał głową. Minę miał nietęgą.

Cicho złapała oddech. Ich Nexam nie reagował na słowo aktywujące, choć oboje byli przekonani, że Wallace wypowiada je z idealnym akcentem. Irvette wracała pamięcią do wyjaśnień Namira na temat tego, że nałożone na przedmioty zaklęcia z czasem się wyczerpują. Jednak wątpiła, by ani zwierzchnik Silvaru, ani czarny mag nie sprawdził stanu magii obu amuletów. Musiało się wydarzyć coś złego.

Zacisnęła dłoń na rękojeści swojego miecza i wtedy to ujrzała. Czarne kształty wylaniające się zza niskich drzew porastających dolinkę. Początkowo pomyślała, że to zarysy Namira i zwierzchnika, lecz wnet pojęła swój błąd: były to trzy kształty, a każdy wysoki i barczysty. Postacie szły przygarbione i ciągnęły za sobą wydłużone ramiona. Księżyc oświeślał im czarne twarze, a im bliżej podchodziły, tym intensywniejsza stawała się czerwień ich oczu.

Wallace silniej ścisnął jej ramię.

— Bogowie, co to?

Nie odpowiedziała mu, tylko wyszeptała pod nosem słowo aktywujące bransoletę. Przezroczysta tarcza osłoniła całą rękę i bok. Była większa niż ostatnim razem, bardziej owalna, a jednak nadal ledwo dało się odczuć jej ciężar.

— Wejdzmy głębiej w jaskinię. — Wyciągnęła miecz z pochwy, a Wallace, szary na twarzy, przytaknął jej sztywno.

W dalszej części groty panowała gęsta ciemność. Z przezorności zgasili ognisko niedługo po tym, jak Namir wraz ze zwierchnikiem zniknęli w lesie. Jednak demony i tak kierowały się prosto na nich.

Zaszyli się w mroku za skalnymi występami i czekali na intruzów. Wylot jaskini odznaczał się srebrzystym blaskiem wyjątkowo jasnego tej nocy księżyca. Wiatr pogwizdywał cicho.

— Iv — wyszeptał Wallace tak blisko jej ucha, że poczuła na nim jego drżące wargi. Przyciśnięty do niej bokiem, również dzierzył ostrze w gotowości. — Nie rwij się do walki, trzymaj się za mną, nie masz wprawy.

Pokiwała głową, nie odrywając wzroku od wejścia do jaskini. Miał rację. Chociaż szkolił ją w posługiwaniu się krótkimi ostrzami, nie mogła przeceniać swoich szermierskich umiejętności, które jak dotąd stosowała jedynie w czasie nie tak częstych treningów. Monstra, którym miała stawić czoła, mogły w okamgnieniu rozszarpać ją na strzępy.

Jednak, tak jak podczas spotkania z pomiotem w lesie Namira, czujność i skupienie pozwalały jej opanować szybko bijące serce. Ciało stało się zimne, myśli skoncentrowane. Zdumienie własnym stanem rozplynęło się szybko, zapomniane. Ręka przyjaciela, ściskająca jej nadgarstek, jedynie w tej chwili wadziła.

U wejścia pojawiła się wielka sylwetka. Wyszczерzone w uśmiechu kły błyszczały wraz z rozjarzonymi oczami. Monstrum wtoczyło się do groty niespiesznym krokiem, a za nim kolejne dwa, lecz te zatrzymały się na skraju. Pierwszy z demonów przemówił w skrzekliwym języku i pozostawił dwójkę pobratymców za sobą, być może, by strzegli wejścia, a być może z zamiarem wypłoszenia w ich stronę dwójki bezbronnych ludzi.

Irvette gestem nakazała Wallace'owi przemieszczenie się jeszcze dalej. Była przekonana, że w przeciwieństwie do ich dwojga przeciwnicy doskonale widzą w ciemnościach. Jeśli miało dojść do jakiegokolwiek walki, musiała odbyć się w świetle. Nie mogli jednak ryzykować starcia z całą trójką pomiotów.

Iv i Wallace przyklejeni do chłodnych ścian, przykucnięci, przesuwali się ku coraz odleglejszym od wejścia rejonom jaskini. Cały czas słyszeli szuranie i kroki gdzieś obok siebie, za sobą. Jeszcze zanim zdecydowali się zatrzymać w grocie, czarny mag z przezorności zbadał z nimi jej wnętrze. Teraz,

w nieprzeniknionych ciemnościach, odtwarzali je w głowach na tyle, na ile pozwalała im pamięć. Macali skały, przemieszczając się z wolna od jednej naturalnej kryjówki do drugiej. Przesuwali się w głąb do momentu, gdy zaczęło się robić jaśniej ze względu na prześwity w sklepieniu.

Przyczajeni za stalagnatami, osłonięci przed czujnym spojrzeniem demona, przypatrywali się z ukrycia, jak ten wkracza między padające ukośnie srebrzyste snopy. Rozglądał się, ciągnąc pazury wielkich dłoni po twardym podłożu. Nie krył się ze swoją obecnością, oznajmiał przybycie. Traktował ich lekceważąco, nie czuł potrzeby skradania się. Byli dla niego łatwą zdobyczą, która utknęła w pułapce bez możliwości ucieczki.

Tyle że nie zdawał sobie sprawy, na ile skutecznie się przyczaili — w rzeczywistości znajdowali się całkiem blisko.

Irvette była wdzięczna Wallace'owi za jego opanowanie. Chociaż cały czas ścisnął ją za nadgarstek, a dłonie miał spocone, to oddychał miarowo i nie wydawał żadnych zbędnych odgłosów. Wkrótce skinął głową, dając jej do zrozumienia, że ma być gotowa na wszystko.

Wyciągnąwszy sztylet z jej skórzanego buta, wychylił się zza stalagnatów. Wziął zamach, przez chwilę celował, po czym cisnął ostrzem z dużą siłą. Wytrenowane ramię wykonało doskonały rzut. Klinga utkwiała w potylicy demonicznego łba, zanurzwszy się po rękojeść. Oboje wstrzymali oddechy.

Monstrum łypnęło na nich przez ramię, spod ostrza toczyła się czarna maź. Spostrzegło ich, odwróciło się ku nim. Na płaskich ustach, słabo wyróżniających się na ciemnej twarzy, kwitnął ten sam co zawsze uśmiech.

Wallace zerwał się na nogi i wyszedł demonowi naprzeciw.

Irvette patrzyła na jego plecy, na idealną postawę, na to, jak powoli zaczął przesuwać się pod śledzącym go wzrokiem pomiotu. Patrzyła na jego brawurę, której wcale nie umniejszały odrobinę drżące kolana. I wnet pojęła, że przyjaciel gotów jest zginąć w jej obronie. Nastąpił pierwszy atak...

Pomiot uderzył wyposażoną w zakrzywione pazury łapą, a Wallace zanurkował pod nią i ciał z dołu, z ukosa. Ostrze zostawiło na brzuchu demona głęboki ślad, z którego ten nic sobie nie robił. Przed kolejnym ciosem chłopak musiał uskoczyć w tył — raz, drugi, trzeci... Demon napierał na niego, biorąc jeden zamach za drugim, sadząc sus za susem. Wallace tańczył wokoło

w zwodach, unikach i z rzadka w atakach, wykorzystując pełnię swych szermierskich umiejętności.

Dla Irvette wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Adrenalina buzowała jej we krwi, a odgłosy walki docierały do niej mocno przytłumione. Pewniej chwyciła rękojeść i wychynęła zza osłony stalagnatów.

Wtedy właśnie chłopak wbił ostrze głęboko w potężne przedramię demona — zasłonił się przed spadającym na jego głowę uderzeniem. Szabla utknęła, po czym pomiot wyrwał ją z rąk Wallace'a gwałtownym szarpnięciem. Pozbawiony broni szermierz zdębiał tylko na moment, zaraz rzucił się do tyłu na skalne podłoże, o włos uniknąwszy pazurów, które próbowały go pochwycić. Natychmiast się odczołgał, a wtedy Irvette wpadła tuż przed niego, wystawiając przed siebie tarczę.

Łapsko pomiotu odbiło się od przezroczystej powierzchni, pazury zabrzęczały o nią. Siła ciosu zachwiała dziewczyną, lecz prędko się otrząsnęła, pewniej stanęła na piętach i wykonała błyskawiczny wypad. Czubek ostrza zanurzył się w poranionym już brzuchu demona. Irvette natychmiast wsunęła klingę głębiej i z wrzaskiem wysiłku pociągnęła nią, rozcinając czarny bebecz. Na ziemię zamiast flaków poleła się gęsta substancja, monstrum zawył i skoczyło do przodu. Zasłoniła się tarczą raz jeszcze, lecz została przygwożdżona. Uderzyła bokiem głowy w twardą powierzchnię, zamroczyło ją. Skrzekliwy rechot zadzwonił jej w uszach. Skuliła się pod barierą i zgrzytając zębami, mocowała się z napastnikiem. Pazury co chwila sięgały do tarczy, drapały po niej, pięści uderzały, palce próbowały pochwycić brzegi. Czarna substancja rozbryzgiwała się, nadal wylewana z otwartego brzucha.

Szamotoana przez demona po ziemi, zauważyła Wallace'a dopiero, gdy chwycił za sztylet ciągle tkwiący w głowie potwora. Wyciągnął go, z wysiłku czerwony na twarzy, po czym natychmiast opuścił, wycelowawszy w środek czaszki. Siknęło czarną mazią, pomiot zawył żałośnie, ale poderwał pierś i odmachnął się. Wierzchem potężnej łapy trafił chłopaka. Wallace odrzucony z impetem, przeturlał się po skałach, aż uderzył w ścianę. Demon ponownie odwrócił się do Irvette, lecz wtedy uniosła się raptem i z całej siły wbiła ostrze w jego pierś. Wycofał się tak gwałtownie, że tym razem to ona straciła broń — ostrze pozostało utkwione między dziwnymi żebrami

lub czymkolwiek, co było w ich miejscu. Cienista postać zakaszłała, zachwiała się nieznacznie i wsparła na długich przednich kończynach. Irvette doskoczyła do niej, chwyciła za rękojęść szabli wbitej w czarne ramię, stopą odbiła się od wielkiego cielska i w ten sposób odzyskała broń przyjaciela. Moment później, tak jak poprzednio on, zatańczyła.

Jej nogi i ręce naśladowały ruchy z treningów. Chociaż dawno ich nie powtarzali, pamiętała. Co więcej, miała wrażenie, że jej ciało odtwarza techniki, o których wcześniej nie miała pojęcia. Cięcie, odskok, zwód, cięcie, piruet. Polegała na swojej zwinności i szybkości, które Wallace zawsze w niej zachwalał. Kąsała błyskawicznie. Zadawała płytkie rany — jedna po drugiej. Unikała, nurkowała pod ciosami, z rzadka odbijając je również tarczą. Demon słabł, jego ruchy spowalniały, ona natomiast nie odpuszczała tempa. Kręcąc się dookoła monstrum, uskakując na bok przed jego susami, skupiała się coraz bardziej. Świat przestawał dla niej istnieć, ważny był tylko przeciwnik i zlikwidowanie go.

Aż wreszcie, kiedy piruetem wywinęła się spod spadającego na ziemię ciosu obu wielkich pazurzastych rąk, uderzyła demona tarczą w plecy. Był już na tyle osłabiony, że nawet przy jej nieszczególnej sile musiał obalić się na ziemię, upaść na brzuch i na utkwione w piersi ostrze. Klinga przeszła na wylot, przebiwszy go niczym pal. Irvette zbliżyła się prędko, wzięła zamach i zaczęła rąbać. Rąbała, dysząc głośno, póki nie oddzieliła łba pomiotu od jego ramion. Wtedy dopiero monstrum znieruchomiało, nurzając się w kałuży lepkiej mazi.

Dziewczyna spoglądała na truchło, zdumiona tym, czego dokonała, zszokowana własnymi umiejętnościami. Zaraz jednak obróciła się, płytko wyszeptała słowo dezaktywujące tarczę — musiała to zrobić kilka razy, nim ta jej usłuchała — i ruszyła chwiejnym krokiem do skulonego pod ścianą Wallace'a. Ciepłe krople spływały jej po policzkach, lepiły ręce. Adrenalina powoli ustępowała miejsca zmęczeniu. Nogami pod nią ugięły i padła na kolana obok przyjaciela.

Leżał na boku, przyciskając ramię do siebie. Krzywił się z bólu. Jego łokieć był obrzęknięty, zaczynał sinieć. Po bliższych oględzinach stwierdziła, że ma do czynienia z rozległym stłuczeniem, jednak by się nim zająć, musiała się

dostać do ekwipunku pozostawionego w części jaskini, w której czatowała jeszcze dwójka demonów. Te monstra czekały tam w przekonaniu, że ich pobratymiec wróci ze zdobyczą albo przepłoszy słabych ludzi prosto w zasadzkę. Nie zdawały sobie nawet sprawy, co się w rzeczywistości stało. Takie demony nigdy nie pomyślałyby, że człowiek może im dać radę, że muszą się jakkolwiek wysilać.

Wtem usłyszała kroki. Pokonała swoją słabość, natychmiast stanęła na nogi i zasłoniła poszkodowanego.

Spodziewając się ujrzeć pomioty, wyczekiwała momentu, w którym usłyszy szuranie ciągniętych po skalnym podłożu pazurów. W zamian jednak spostrzegła niebieski blask, stopniowo zwiększający intensywność. Obudziły się w niej zarówno strach, jak i nadzieja. Miała się za chwilę przekonać, który z czarnych magów wyszedł zwycięsko z potyczki w lesie.

Gdy z za zakrętu tunelu wyłonił się Namir — z jedną ręką przyciśniętą do twarzy i z płomieniem na drugiej — poruszenie ścisnęło ją za gardło. Czarny mag znieruchomiał, a w jego jasnych oczach kryły się strach i szok.

— Irvette... — odezwał się chrypliwie. — Jesteś cała?

Pokiwała głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Wrócił. Zdrowy na umyśle, chociaż poharatany. Podobnie jak jej, jego ubranie pokrywały czarne, kleiste smugi. Czepiec na prawej skroni miał rozerwany, a szczelinę materiału zalepiała świeża krew zmieszana z mazią. Przytrzymał zasłonę, by nie osunęła się z jego oblicza. Powiódł spojrzeniem wokoło, na moment zatrzymał je na truchle demona, a potem przeniósł wzrok na Wallace'a.

— Bernett?

— Jeszcze nie umieram, potworze.

Chłopak siedział teraz pod ścianą, sapiąc z wysiłku. Rzucił okiem na odsłonięte dłonie Namira i choć ich nie skomentował, wyraźnie się wzdrygnął.

— Zajmij się nim, Irvette, byle szybko — polecił czarny mag. — Zaraz sprowadzę ci Randisa. Nim tu dotrze, będę spowalniać upływ jego krwi, ale rana, którą odniósł, wymaga szycia... Ach, tak, demony u wejścia już wam nie zagrażają, ich pan również nie żyje.

Po tych słowach oddalił się prędkim krokiem, a Irvette pospieszyła z pomocą przyjacielowi. Pomogła mu wstać i upomniała, by nie wykonywał gwałtownych ruchów obolałą ręką. Wsunęła mu szablę do pochwy, odzyskała swój miecz i sztylet z ciała demona, po czym oboje wybrali się w niełatwą drogę powrotną przez mrok.

U wejścia znaleźli dwie obszerne plamy czarnej mazi, które Irvette uznała za pozostałości po roztopionych ogniem demonach. Jak tylko oczyściła ręce z tej samej substancji, jeszcze na tyle świeżej, że mogła ją wytrzeć w moką płócienną szmatkę, natychmiast wzięła się za rozpalanie ognia. Na kamieniach wśród płomieni ustawiła garnuszek z olejem. Następnie zajęła się urazem Wallace'a. Posmarowała mu łokieć zimną maścią z kasztanowca łagodzącą ból i obrzęki, unieruchomiła uszkodzoną rękę w temblaku z płótna, po czym wypytywała go o inne bolesne miejsca i dotykała jego żeber, chcąc się upewnić, że żadne nie zostało złamane. Na szczęście znalazła na jego ciele tylko siniaki i obtarcia. Kiedy olej na dnie garnuszka stał się dostatecznie gorący, zdjęła naczynie z ognia, a później z pomocą szczypczyków zanurzała w rozgrzanej substancji nici oraz dwie igły, które spakowała na wszelki wypadek. Wyparzone przyrządy odłożyła na czystą szmatkę. Niedługo potem w grocie pojawił się wreszcie Namir wraz ze zwierzchnikiem Silvaru.

Czarny mag cofnął bijącą jasnym światłem rękę — schowaną na powrót w rękawicy — znad przedramienia rannego towarzysza. Ten chwiał się na nogach, a jego szara twarz znacznie pobladła. Za prowizoryczny bandaż służyło mu urwane z rękawa pasmo materiału, przesiąknięte już czerwienią. U pasa zwisał dziwny pakunek, krwawe trofeum wrzucone w zerwany z płaszcza kaptur. Czubek głowy i wybałuszone oczy wyglądały zza ciemniejącej od krwi tkaniny. Irvette zignorowała ten widok i natychmiast przyprowadziła zwierzchnika pod skały niedaleko ogniska, gdzie miała przygotowane wszystko, czego potrzebowała. Ostrożnie oderwała materiał lepiący się do rany, przemyła ją oczyszczającym odwarem z bukwicy, po czym zabrała się za szycie. Tenare znosił ból w milczeniu, zaciskając szczęki.

Nikt jej nie przeszkadzał. Wallace odpoczywał nieopodal, Namir — u wylotu jaskini. Przez cały czas przytrzymując zasłonę, teraz to siebie

wspomagał wytwarzanym przed rękawicą blaskiem, niezbyt silnym, padającym na jeden bok twarzy.

Gdy skończyła zszywać ranę, ponownie przemyła skórę zwierchnika i nałożyła gęstą, brejowatą maść z krwawnika oraz ziele Mestyrii, które to w połączeniu z odpowiednimi składnikami znacząco przyspieszało gojenie ran. Umieściła opatrunek z płótna i starannie owinęła przedramię tenare bandażem. Kazała mu również wypić miksturę uśmierzającą ból, szczęśliwa, że gdy opuszczali pustelnię, nie wahała się zabrać ze sobą tylu specyfików, ile tylko mogła pomieścić w workach.

Po całym zabiegu jeszcze raz oczyściła ręce, upchała sobie w ramiona wszystko, czego potrzebowała, i pozostawiwszy dwójkę poszkodowanych przy ognisku, skierowała się ku ostatniemu pacjentowi.

Namir siedział na niskim występie skalnym i poruszył się niespokojnie, gdy tylko znalazła się w pobliżu. Zgasił uzdrawiające światło, lecz nadal nie oderwał ręki od twarzy. W wielu miejscach materiał jego zasłony brudny był od kleksów ciemnej mazi. Irvette odstawiła potrzebne specyfiki i bukłaki z wodą na występie obok, w dwóch małych stertach ułożyła czyste szmatki i płótno częściowo już podarte na bandaże, a koło nich — okryte skrawkiem materiału igłę i nici.

— Twoja kolej — oznajmiła rozkazująco.

— Obędę się bez twojej pomocy, Irvette — odparł, nie patrząc na nią.

— Bzdura. Ta rana nie wygląda na taką, z którą mógłbyś sobie poradzić samymi uzdrawiającymi zdolnościami. Muszę ją obejrzeć. Możliwe, że wymaga szycia. Jeśli się nią nie zajmę, zaogni się albo pozostawi po sobie wyraźną bliznę.

Parsknął cicho, niemal z rozbawieniem.

— Nawet kilka blizn nie uczyni mojej twarzy żadnej różnicy. A ślad pozostanie znaczny, bez względu na to, co uczynisz.

Oczekiwała dalszych wyjaśnień, lecz nie powiedział już ani słowa.

— Nawet jeśli, to ranę należy koniecznie obejrzeć i oczyścić. Chcesz, żeby zaczęła ropieć?

— Ucieszę się, gdy choć połowa tej wstrętnej gęby zgnije i odpadnie.

Cmoknęła z poirytowaniem.

— Skończ wygadywać głupoty, Namirze. Muszę na to choćby spojrzeć.

— Nie musisz. Twoja troska jest zbędna — odrzekł sucho.

— Zielarski fach to więcej niż zbieranie ślicznych roślinek, dobrze o tym wiesz. Doświadczyłam już niejednego strasznego widoku. Co więcej, w ostatnim czasie spotkałam na swej drodze pomioty cienia, a teraz jestem unurzana w czarnej krwi jednego z nich. Twoja twarz mnie nie przerazi, jakkolwiek wygląda.

Oczy o różnym rozmiarze wreszcie na nią spojrzały.

— Zdziwiłabyś się.

— Namirze, pozwól mi o ciebie zadbać.

Wpatrywał się w nią długo, intensywnie. Następnie obrócił się plecami do ogniska, a przodem do niej. Nadal jeszcze pilnując, by zasłona nie osunęła się z jego oblicza, chwilę zmagał się z czymś, co trzymało ją pod czepcem. Wahał się długo, lecz ostatecznie zamknął oczy i pozbył się materiału jednym prędkim ruchem.

Irvette wstrzymała oddech, dreszcze przebiegły jej po plecach. Zmusiła się, by nie odwracać wzroku. Nie kłamał, twierdząc, że jego twarz jest w dużo gorszym stanie niż dłonie, i w niczym nie pomagało to, że oświetlał ją teraz jedynie docierający z zewnątrz blask księżycy. Jego skórę pokrywały liczne bruzdy i zgrubienia, poskręcane ze sobą. Szpeciły one podłużną szczękę oraz wklęsłe policzki, częściowo wspinały się na lekko zakrzywiony nos, sięgały szyi i dopiero na niej poczynały się wygładzać. Pośród tych wszystkich zniekształceń można było także dostrzec wiele czarnych znamion, a te roztaczały się jeszcze dalej, nie wiadomo jak obficie, pod ubraniem... Rana zaś zaczynała się na prawym policzku, kawałek od mniejszego oka, i ciągnęła do skroni — zakrytej przez czepiec, rozerwany i posklejany brudem. Krew spływała z niej labiryntem bruzd.

— Napatrzyłaś się? — Głos Namira, zwykle tak szorstki, teraz był słaby i drżący.

Przelknęła ślinę, spróbowała brzmieć na zdecydowaną:

— Nie. Musisz zdjąć czepiec.

Zobaczyła, jak czarny mag zaciska szczękę. Dziwnie było móc w końcu obserwować emocje rodzące się na jego twarzy. Z wolna pochwycił materiał

i zsunął czepiec, bez choćby stęknienia oderwawszy część przyklejoną do rany.

Teraz jej oczom ukazał się w pełni koszmarny obraz. Zniekształcenia skóry ciągnęły się przez czoło i obejmowały całą pozbawioną włosów głowę. W miejscu brwi zachowały się tylko marne ciemne strzępki. Skronie były najgęściej upstrzone plamami i pasmami czarnych znamion. Z rozcięcia na prawej z nich oprócz krwi wydostawała się również ciemna maź, klejąca się między skórnymi zniekształceniami.

Irvette nie poruszała się, nie odzywała. Skupiała się na tym, by panować nad oddechem, by nadać własnej twarzy nieporuszony wyraz, choć w jej trzewiach rozgościło się zimno.

Namir wziął głęboki wdech i otworzył oczy. Spojrzenie miał przepelnione goryczą.

— Skoro już ujrzałaś, co chciałaś, zostawisz mnie w spokoju?

Cały czas siliła się, by patrzeć na niego chłodno. Gardło miała ściśnięte.

— Brzegi rany znacznie się rozchodzą. Należy je zszyć.

Jego usta, w prawym kąciek złączone z jedną z licznych bruzd, a przez to lekko naciągnięte, rozchyliły się bezgłośnie kilka razy.

— Nie mogę ci na to pozwolić.

— Ależ ja wcale nie pytam cię o pozwolenie.

Namir nerwowo poprawił się na miejscu. Nie wyrzekł ani słowa więcej. Patrzył na jej dłonie, którymi sięgnęła ku odstawionym na występie przedmiotom. Poliała płócienną szmatkę wodą z bukłaka i uniosła ją do jego twarzy. Szarpnął się do tyłu, jakby instynktownie próbował uciec przed jej dotykiem, lecz ostatecznie niechętnie nań przyzwolił. Gdy zetknęła nasączony materiał z brudną, ciepłą skórą, jeszcze silniej zacisnął szczękę i ponownie zamknął oczy. Ramiona miał napięte, ciało nieruchome.

Ze starannością, dokładnie, nie pomijając żadnej szczeliny, przemywała okolice rany. Ręka ani razu jej nie zadrżała. Długo walczyła z czarną mazią, która nie przestawała wypływać i tworzyła pękające bąble. W przeciwieństwie do krwi, która to wyplukiwała brud, ta substancja go w sobie zbierała i rozprzestrzeniała. Wizja rozrzuconych po jaskini palących się ciał opuszczała ją tylko wtedy, gdy cofała dłonie, by płukać następne szmatki wodą. Mimo to nie przerwała zabiegu, dopóki nie była zadowolona z efektu.

— Wystarczy, Irvette — wyszeptał Namir z wyraźnie słyszalnym trudem. — Nie musisz robić nic więcej. Zagoi się pod maścią. — Otworzył oczy i wyciągnąwszy raptem długą rękę, sięgnął po puzderko.

Wtedy chwyciła go stanowczo za ramię, a on odchylił się z powrotem na swoje miejsce, wiodąc po niej zszokowanym wzrokiem. Zdawało się, że słowa grzęzną mu w gardle, choć niewątpliwie pragnął się odezwać.

— Ranę należy zaszyć — powtórzyła dobitnie. — Bynajmniej nie ze względu na możliwość powstania blizny.

Wreszcie jakby się poddał, odetchnął, niemal niezauważalnie pokiwał głową. Nim przystąpiła do całego zabiegu, dała mu jeszcze chwilę na uspokojenie się.

Wykonywała te same czynności co w przypadku zwierchnika Silvaru, jednak sam proces szycia był o wiele trudniejszy. Zniekształcona skóra nie schodziła się tak łatwo, a brzegi rany nadal jeszcze rozpychała co i raz wydostająca się z niej czarna maź. Irvette trudziła się, by nie tracić koncentracji w związku z otaczającą ją wizją, a ta z chwili na chwilę stawała się coraz straszniejsza, ciała słały się gęściej i gęściej. Namir zaciskał szczękę, czasami wypuszczał świszczące powietrze przez nos i mrużył oczy z bólu. Po zakończeniu szycia i oczyszczeniu rany z tego, co jeszcze z niej wypłynęło, Irvette rozprowadziła brejowatą maść i przygotowała opatrunek. Przycisnęła go do twarzy Namira i poleciła, by przytrzymał go w miejscu. Zrobił to z pomocą telekinezy, cały czas unikając jej wzroku. Ona stanęła między jego długimi nogami, by móc zabandażować mu głowę, i zmagiła się z otaczającymi ją zewsząd okropnymi obrazami, a tym razem nawet i odgłosami wydobywającymi się z ust konających.

Gdy było już po wszystkim, spadła na nią fala zmęczenia. Usiadła na występie, obok zabrudzonych zużytych szmatek. Powstrzymała się przed odetchnięciem.

Namir rzucił jej ukradkowe spojrzenie, a gdy przytaknęła, dźwignął się ze skał, nadal widocznie spięty, w jednej dłoni ściskając pomiętą zasłonę, a w drugiej czepiec. Pomimo że część jego twarzy zakrywały teraz bandaże, w pośpiechu przywdział pełne nakrycie głowy i przycisnął osuwający się materiał drżącą ręką.

— Zostanę na czatach. Nie wiadomo, czy w lesie nie czai się więcej demonów. Prześpijcie się wszyscy.

Irvette nie zatrzymywała go, chociaż sądziła, że tak jak inni powinien odpocząć oraz przyjąć coś na ból. Woda w bukłakach skończyła się i choć potrzebowała jej do obmycia nie tylko rąk, ale i twarzy, na której nadal czuła ciepłe krople czarnej krwi demona, nie miała ochoty wybierać się na poszukiwania. Pragnienie również zdecydowała się na tę chwilę zignorować.

Wróciła do ogniska. Ku jej uldze zwierzchnik i Wallace przywitali ją milczeniem, obaj mocno skrzepowani. Kiedy tak z nimi siedziała, zaczęła odczuwać pulsujący ból z boku głowy. Przypomniała sobie o tym, jak uderzyła w twarde podłoże. Mogłaby nałożyć łagodzącą maść, lecz chciała już tylko zdrzemnąć się przy ogniu. Spoczęła na jednym z przygotowanych koców i sen dopadł ją natychmiast.

Rozdział XVII

Obudził ją odgłos rozmów. Pierwsze, co poczuła, ocknąwszy się, to wzmożony ból skroni. Pomacała napuchnięte miejsce palcami i syknęła. Guz urósł do sporych rozmiarów. Wyprostowała ramiona, podciągnęła się w górę i usiadła na kocu.

— Twoja straż kręci się w okolicy. — Chrypliwy głos Namira boleśnie zakłuł ją w uszy, chociaż sądziła, że zdążyła już do niego przywyknąć.

Wraz ze zwierzchnikiem dyskutowali nieopodal wylotu jaskini. Z zewnątrz do groty wpadało ciepłe powietrze i wiele światła. Wallace siedział naprzeciwko, lecz nie patrzył na nią, tylko przysłuchiwał się rozmowie dwóch mężczyzn.

— To niewielki problem. — Tenare, wyraźnie zmęczony, wykonał przywołujący gest dłonią. — Chłopaku, pójdiesz ze mną.

Jej przyjaciel podążył za zwierzchnikiem, a ona na moment tylko podniosła się z koca, by odszukać pod skałami puzderko z maścią i zaraz wrócić na miejsce odpoczynku. Z ulgą przyjęła chłodną konsystencję na rozgrzaną, obolałą skórę. Nie podniosła wzroku, gdy do jej uszu dotarł dźwięk kroków. Namir zatrzymał się nieopodal wygaszonego ogniska.

— Powinnaś się tym zająć dużo wcześniej.

— Zajmowałam się trójką potłuczonych, poszarpanych i niewdzięcznych mężczyzn — odparła, rozdrażniona łupaniem w głowie.

Odpowiedziało jej milczenie. Ciągłe nie spoglądając w górę, wytarła ręce o brudne spodnie, przyciągnęła do siebie rzucony nieopodal worek i wyszperała z niego spory kawałek sera. Jak tylko zaczęła przeżuwać, ból skroni nasilił się.

Namir z wahaniem usiadł z drugiej strony kopczyka zwęglonego drewna. Skrzyżował nogi, zgarbił się, łokcie oparł na kolanach. Patrzył w pozostałości po ognisku, tak jakby nadal tlił się tam ogień. Irvette zauważyła, że obsuwającą się część zasłony przyszył nićmi, które ostały się jeszcze po nocy.

— Obawiałem się, że...

Uniosła brwi, wpatrzyła się bacznie w zamaskowaną twarz. Teraz potrafiła sobie jednak wyobrazić, co kryje się pod materiałem, i z trudem przełknęła następny kęs przeżutego sera. Namir tymczasem pochylił głowę, pomasażował kark, wypuścił powietrze z płuc.

— Sądziłem, że zastanę cię martwą. Gdyby te demony cię rozszarpały, byłaby to moja wina.

Irvette zamarła z serem przy ustach, z wolna spojrzała na swój miecz, który w nocy porzuciła niedbale przy ognisku, pochłonięta krzątaniem przy rannych. Ostrze brudne było od zaschniętej czarnej mazi.

— Za długo się wahałem. Miałem możliwość zabicia tego cholernego maga dużo prędzej, niż zrobił to Randis — kontynuował Namir, rozżalony. — Wbrew naszym obawom, nie był na tyle silny, by zmusić mnie do użycia pełni mocy. Powinienem był rozprawić się z nim znacznie szybciej. Posługiwał się telepatią, a ja dałem mu na jej wykorzystanie za dużo czasu. Zniszczył Nexam, bo wiedział, że potrzebujemy go, by was ostrzec. Tak nie musiało się stać. Gdybym tylko zabił go przy pierwszej okazji... Może wtedy nie zdołałby nawet wezwać tych demonów. Może wtedy Randis nie zostałby ranny, a twojemu życiu nie groziłoby niebezpieczeństwo. Może...

— Namirze — przerwała mu stanowczo. — Wyszłam z tego w jednym kawałku. Winisz się za coś, co nie miało miejsca.

— Oczywiście, że miało — warknął. — To przez moje niezdecydowanie zostałaś narażona na śmierć. Ty i ten twój błazen, Bernett. Nie wiem, jakim cudem udało się wam zgładzić demona, ale wątpię, czy dalibyście radę dwóm kolejnym. Gdybym nie przybył w porę... Bogowie.

— Wahanie się przed zabijaniem to nic, co należałoby potępiać.

— W tej sytuacji, owszem, należałoby. Mogło bowiem doprowadzić do kilku zgonów.

— Lecz nie doprowadziło. Wszyscy żyjemy, a ty zachowałeś jasność umysłu. To się w tej chwili liczy.

Długo milczał. Potem przełknął ślinę i przemówił cicho:

— Już kiedyś doprowadziłem do śmierci osoby, która zupełnie jak ty, w żadnej mierze na to nie zasługiwała. Nie zniósłbym, gdyby ponownie do tego doszło.

Zaskoczona tym nagłym wyznaniem, w oszołomieniu wpatrywała się w sylwetkę Namira. Siedział naprzeciw niej skulony, nadal z opuszczoną głową. Cała jego upiorność gdzieś się ulotniła.

— Namirze...

— Mogę liczyć na trochę jedzenia?

Przez chwilę nie reagowała. Ostatecznie jednak sztywno pokiwała głową i wyszperała kilka kawałków suszonego mięsa, które delikatnie wyciągnął z jej ręki telekinezą. Następnie oddalił się w głąb jaskini, niknąc w ciemnościach.

Długo siedziała sama, posilając się bez pośpiechu. Jej myśli krążyły wokół tego, co usłyszała, w głowie roilo się od coraz większej liczby pytań bez odpowiedzi.

Namir wychynął z cienia dopiero, gdy powrócili zwierznik i Wallace. Zatrzymał się na skraju ciemności, w oczekiwaniu wpatrzył się w tenare. Ten niechętnie przemierzył dzielącą ich przestrzeń, a kiedy stanęli naprzeciw siebie, rozpoczął wyjaśnienia:

— Strażnicy z fortu spostrzegli wyładowanie czarnej magii na niebie. A że widzieli mnie wyjeżdżającego jakiś czas temu, zaniepokoiли się i wysłali kilku ze swoich na zwiady. Wcisnąłem im bajkę, że mieli okazję zobaczyć efekt potężnego ataku czarnego maga, na którego zastawiłem w okolicy pułapkę. Pokazałem im łeb tego drania, więc nie wątpili. — Poklepał dłonią po zakrwawionym pakunku wiszącym mu u pasa, a Irvette zastanawiała się, czy odczepiał go do snu. — Dziwili się jedynie, że wyprawilem się bez oddziału. Wyjaśniłem im, zgodnie zresztą z prawdą, że wolałem nikogo niepotrzebnie nie narażać, a i nie byłem tak całkiem sam, bo chłopak dzielnie mi pomagał.

— Nikogo niepotrzebnie nie narażać, powiadasz? — Głos Namira był lodowaty.

Zwierzchnik Silvaru cofnął się o krok.

— Ryzykuję gniewem wielu moich tenare, godząc się na twój pobyt tak blisko ich domostw, ale to ich życie zawsze będzie dla mnie na pierwszym miejscu. Czy to jasne?

— Jak słońce, stary druhu.

Napięcie, jakie raptem wytworzyło się między nimi, sprawiło, że Irvette podniosła się ze swego miejsca i pocierała ramiona, chociaż wcale nie było jej zimno. Przysłuchujący się dyskusji Wallace również wyglądał na zaniepokojonego.

Namir natomiast pociągnął rozmowę:

— Uwierzyli, że wasza dwójka dała radę magowi?

— Nie mieli wyboru. — Drzenie głosu zdradzało pozorną pewność siebie zwierzchnika. Jeszcze się nie rozluźnił, nadal panował nad nim strach. — Zainteresowali się również naszym nieciekawym stanem, więc pospieszyłem z wyjaśnieniem, że połatała nas jedna zdolna zielarka z Cirem, ta sama, która została im niegdyś mylnie przedstawiona jako pewnego rodzaju prezent.

Nie skomentowała. Namir zerknął na nią milcząco.

— Byli nawet zakłopotani — kontynuował tenare, dalej grając niewzruszonego zawadiakę. — W każdym razie poleciłem im, by wrócili na swoje posterunki, i uprzedziłem, że pojawię się za dzień lub dwa.

Namir pokiwał głową. Przez dłużący się moment trwał w zamyśleniu, a potem przywołał Irvette gestem. Zbliżyła się niespiesznie. Uniosła brew.

— Nie sądzę, by było to szczególnie rozsądne — zaczął, gdy już cicho złapał oddech — lecz jeśli masz zamiar odejść, może chociaż rozważ zabranie się z Randisem do O'rior. Albo do najbliższego fortu.

Zamrugwała, absolutnie zdumiona. Popatrzyła na zwierzchnika. Ten odwrócił wzrok.

— O czym ty mówisz, Namirze?

— Gdyby twoje skażenie wróciło, może zdołałabyś stamtąd dotrzeć do mnie na czas. Nie, to brednia, oczywiście, że nie. To bez wątpienia za daleko. Nie wspominając o tym, że ktoś musiałby cię przywlec. Musimy znaleźć inne rozwiązanie.

— O czym ty mówisz? — zapytała raz jeszcze.

— Czy nie pragniesz odejść? Widziałas moją twarz.

Chwilę go mierzyła, a gdy zrozumiała, co próbuje jej powiedzieć, westchnęła.

— I co w związku z tym?

Namir nie odpowiadał.

— Wybacz mi to, co powiem, ale widziałam straszniejsze rzeczy — ciągnęła. — Do mojej babki schodziło się całe Cirem, miałam okazję zajmować się wieloma paskudnymi chorobami i ropiejącymi, śmierdzącymi ranami. Naoglądałam się wystarczająco wiele. Niegdyś już próbowałeś mnie przestraszyć swoimi zdolnościami, nie udało ci się. Tym razem, choć z zastosowaniem innej metody, również poniosłeś kompletne fiasko.

Zwierzchnik Silvaru zrobił dziwną minę, Irvette nie była w stanie powiedzieć, czy jest rozbawiony, obrzydzony, a może przerażony tym, na co sobie pozwoliła. Zasłona na twarzy Namira drgnęła od gwałtownego wydechu.

— Czy właśnie przyrównałaś moją twarz do ropiejącej rany?

— Nie zrobiłam tego. Chociaż mogłaby się nią stać, gdybyś nadal grymasił jak dziecko i nie pozwolił się prawidłowo opatrzyć.

— Twoje słowa rzeczywiście potrafią przekonać, że wcale nie brzydzisz się jakiegoś tam paskudnego potwora.

— Nie jesteś żadnym potworem, ile razy będę musiała to powtarzać? Twoja chęć urągania sobie robi się powoli drażniąca.

Namir pochylił się w jej stronę, różnego rozmiaru oczy bacznie patrzyły na nią z góry.

— Chcesz zostać pomimo tego, co widziałas?

— Czy do tej pory nie wyraziłam się wystarczająco jasno?

Wyprostował się bez słowa, powoli i sztywno.

— Dobrze już, dobrze — wydusił tymczasem tenare przez ściśnięte gardło. — Musimy ruszać. Poza tym czuję się dziwnie skrępowany, gdy tak rozmawiacie, więc darujcie mi słuchania tego. — Oddalił się szybko, wzdrygnąwszy się kilka razy.

Irvette wzruszyła barkami i spojrzała na Namira, lecz ten wyminął ją i zostawił bez słowa.

Szybko zebrali to, co pozostało z ekwipunku, który po zużyciu całego zapasu płótna mieścił się teraz bez problemu do dwóch worków. Namir i zwierzchnik Silvaru zarzucili je sobie na plecy i wkrótce wszyscy wyruszyli w drogę.

Nim wydostali się z dolinki, wstąpili jeszcze do kilku jaskiń, aż w jednej z nich znaleźli nieckę z wodą i wypełnili bukłaki na drogę. Ruszyli zielonymi równinami, częściowo porośniętymi przez drzewa. Dzień był słoneczny i bezwietrzny. Irvette przystawała, by spoglądać na pozostawiony w oddali las. Ogień pochłonął część drzew, lecz nie rozprzestrzenił się daleko. Zwierzchnik wyjaśnił jej, że zanim odszedł z miejsca potyczki, uformował z ziemi bruzdy, by zatrzymywały płomienie. Uniosła wtedy nieznacznie brwi i spytała, skąd brał w sobie siły, by mimo poważnej rany tak umiejętnie panować nad żywiołem. Odparł, iż tytuł zwierzchnika został mu przyznany za niegdysiejsze zasługi w Wielkiej Wojnie i że nie powinna go lekceważyć. Zdradził jej również, że aby oderwać głowę czarnego maga, posłużył się lassem z grubego pnącza, a ciało mężczyzny rzucił w płomienie. Jedynie przytaknęła, co wprawiło go w konsternację.

Po pewnym czasie zwierzchnik oraz Namir, obaj stawiający długie kroki, wysunęli się na przód. Ona i Wallace trzymali się z tyłu, niechętni do wysiłku, który pozwoliłby im dogonić towarzyszy.

— W siodle byłoby dużo szybciej — narzekał chłopak. — Zresztą gdybyśmy zabrali konie, mógłbym udać się z panem Silvaru prosto do O'rior.

Irvette sięgnęła pamięcią wstecz. Początkowo planowali — rzeczywiście z powodów, które wskazał Wallace — by towarzyszyła im dwójka wierzchowców. Zdarzyło się jednak tak, że kiedy już spakowali ekwipunek i ładowali worki na końskie grzbiety, Namir znalazł się o krok za blisko bułanki zwierzchnika. Wystraszyła się co niemiara, zerwała szaleńczym biegiem między drzewa i nim tenare oraz chłopak zdołali ją dopaść oraz uspokoić, solidnie zraniła się w nogę. Wallace za całe zdarzenie obwiniał czarnego maga, zwierzchnik zaś był mocno zakłopotany faktem, że nie przewidział zachowania swojej klaczy. Twierdził, że była jednym z najspokojniejszych zwierząt z jego stajni i właśnie dlatego zdecydował się ją zabrać, przekonany, że będzie ona w stanie znieść towarzystwo Namira dłużej

niż pozostałe konie. Czarny mag nie wyglądał na zawstydzonego — uznał, że głupie zwierzę samo jest sobie winne, wspomniał wtedy o siwku Irvette, który daje mu się zbliżyć na wyciągnięcie ręki, choć... sam Namir odwracał wzrok, gdy dziewczyna próbowała patrzeć mu w oczy.

Jako zielarka miała pewną wiedzę o zwierzętach, w szczególności jednak o bydle i trzodzie, jeśli zaś chodziło o konie czy ptactwo, zajmowali się nimi zwykle masztalerze i sokolnicy. Mimo wszystko maść z krwawnika i ziela Mestyrii sprawdzała się jednakowo na ludziach i na zwierzętach. Poleciała więc zwierzchnikowi, by opatrzył swoją bułankę, lecz nie mogli pozwolić, by obciążała sobie ranną nogę. Wallace zdecydował się nie ryzykować, że i jego wierzchowiec raptem spłoszy się podczas podróży, a ekwipunek nie był na tyle ciężki, by musieli koniecznie fatygować do jego taszczenia konie. Ostatecznie więc całą trójkę wierzchowców zostawili w pustelni.

— Tymczasem zmuszony jestem znowu wkroczyć do leża potwora — kontynuował niezadowolony chłopak. — Z lasu do lasu jak jakiś włóczęga, a wszystko przez to, że boją się go nawet zwierzęta.

Irvette spiorunowała przyjaciela wzrokiem.

— Zdaje się, że upominałam cię już, żebyś nie nazywał go w ten sposób.

— Jak upiorne jest jego oblicze, Iv? — Gdy mu nie odpowiedziała, pociągnął ze skwaszeniem: — Mnie nie oszukasz, znam cię, o wiele lepiej niż on. Widziałem wyraz twojej twarzy. Nawet jeśli próbowałeś wyglądać na niewzruszoną, twoje oczy cię zdradzały.

— Czyżby? — odparła cierpko. — I co w nich widziałeś?

— Strach.

Zamilkła raz jeszcze. Odczucia, które rodziły się w niej na wspomnienie twarzy Namira, nie były jednoznaczne. Nawet jeśli widziała paskudniejsze rzeczy, nadal robiło się jej przemożnie zimno.

— Nie próbujesz zaprzeczać. Wystarczyło mi zobaczyć tył jego głowy, by nad ranem nie móc myśleć o jedzeniu. Zresztą, te dłonie to też mało przyjemny widok. Wolę się nawet nie zastanawiać, jak wygląda reszta jego ciała.

Patrzyła, jak przyjaciel wzdryga się z obrzydzeniem, i poczuła do niego wielką niechęć.

— Powiem ci coś ważnego, Wallace. — Zmierzyła go od stóp do głów. — Czasami od tego, co na zewnątrz, dużo bardziej odrażająca może być czyjaś dusza. Czasami jest pełna nieuzasadnionego jadu, niepopartego logicznymi wnioskami.

Wallace przystanął.

— Co to miało znaczyć?

— Pomyśl. Być może wtedy kontynuowanie tej rozmowy będzie miało jakikolwiek sens — odparła, nie oglądając się za nim. — W tej chwili najrozsądniejsze wyjście to zmiana tematu.

Dogonił ją, złapał za bark sprawną dłonią i odwrócił ku sobie. Patrzyli na siebie w milczeniu. Miażdżyła go wzrokiem tak długo, aż pochylił głowę.

— Zależy ci na nim — stwierdził z bólem w głosie.

— Oczywiście, że tak. Ocalił mnie, wielokrotnie. I stał mi się przyjacielem. Czy jest to dla ciebie aż tak zaskakujące?

— Owszem, Iv. Bardzo. Czy nie dociera do ciebie, kim on jest?

— Człowiekiem, jakich wielu. — Ruszyła z miejsca i znów pozostawiła przyjaciela za plecami.

Podążył za nią dopiero po paru oddechach, a gdy już udało mu się na powrót zrównać z nią krokiem, przemówił z wahaniem:

— Czy on... Wpłynął jakoś na twoje szermiercze umiejętności?

W pierwszej chwili zdumiała ją to pytanie, lecz wnet zrozumiała, skąd się wzięło. Odruchowo powiodła dłonią po rękojeści miecza, która nadal utyła była w kleksach czarnej, zaschniętej już mazi.

— Nie sądzę, by mógł uczynić coś podobnego.

— Więc skąd w tobie... Nauczyłem cię tyle, ile tylko byłem w stanie, a jednak nigdy wcześniej nie widziałem, byś walczyła w ten sposób.

Zamyśliła się. Wcześniej, zajęta rannymi, nie miała chwili, by zaprzętać sobie głowę rozważaniami na temat swojej, nagle tak rozwiniętej, sprawności we władaniu bronią. Ale teraz, gdy przywołała w pamięci walkę z pomiotem, aż zaszumiało jej w głowie.

— Może to zasługa adrenaliny? Instynktu? Nie potrafię tego wyjaśnić, Wallace.

Przyjaciel nie odpowiedział, lecz widziała, jak bardzo jest zaniepokojony, i wkrótce jego obawy udzieliły się również jej.

Do leśnej kryjówki dotarli, gdy zmierzchało. Namir rozpałił ognisko. Podwórzec między dwiema chatami częściowo ogarnął niebieskawy blask. Zasiedli we czworo przy płomieniach. Żadne z nich nie miało ochoty udać się do stawu. Brudni, w poszarpanych ubraniach, popijali nalewkę z tataraku, która — jak dowiedziała się Irvette — po rozlaniu do butelek dojrzewała już przez kilka faz w ciemnym kącie spiżarni.

Była zdumiona, że Namir im towarzyszył. Z odmętów składziku wyciągnął czarki z kamionki i nie omieszkał się pochwalić, że pochodzą z samego Cesarstwa Luxy. Przy tej okazji, ze zwyczajową dla siebie lekką kęśliwością, dopytał również Wallace'a, czy goście jego majątnego ojca kiedykolwiek mieli sposobność pić w naczyniach z równie luksusowego materiału. Jednak gdy już raczyli się wspólnie trunkiem, czarny mag dbał o to, by żadnego z nich nie narażać na oglądanie jego koszmarnego oblicza. Zwrócony do pozostałych plecami, siedział wśród niskiej trawki rzadko porastającej ziemię wokół kamiennego kręgu.

Jego jednego nie pytała jeszcze o ranę, podczas gdy obrażeń zwierzchnika i Wallace'a doglądała ponownie w trakcie podróży. Tenare dużo lepiej znosił swój stan i nie wątpiła, że był ranny w niejednej bitwie. Nie narzekał i choć jego szara twarz nosiła oznaki zmęczenia, niechętnie godził się na postój. Do tej pory puszczało już działanie mikstury uśmierzającej ból, jednak nie prosił o kolejną. Wallace również nie pierwszy raz borykał się z uszkodzeniami ciała, a jednak przyzwyczajony był do odpoczynku, na który zawsze mógł liczyć, kiedy Irvette doprowadzała go do ładu po zawodach szermierki czy potyczkach z miejskimi strażnikami. Teraz za wszelką cenę próbował dorównać dwóm mężczyznom, którzy zdawali się lekceważyć ból lub też odwracali od niego swoją uwagę smakowaniem alkoholu. Irvette pozwalała im na to, a i sama miała ochotę pić — nie zważała przy tym na gorzkawy i korzenny smak, za jakim nie przepadała.

— Ten ogień jest przeklęty — odezwał się nieco już podchmielony Wallace. — Iv, zdajesz sobie sprawę, że Varanside tysiące cykli temu paliła nim

nasz kontynent?

— Nie wypowiadaj się na temat, którego w pełni nie pojmujesz, Bernett — warknął Namir, nim zdążyła odpowiedzieć. — Ten ogień jest przypomnieniem tego, czego dokonała Caitriona.

— Czyżby? A jednak nadal władają nim czarni magowie.

— I każdy, kto nim włada, wie, że został oczyszczony przez największego wroga ich kochanej pani.

— Co nie zmienia faktu, że w zanadrzu masz jeszcze inne mroczne moce.

— A jednak... — Irvette mogła tylko zgadywać, że Namir uśmiechał się upiornie za zasłoną, wypowiadając te słowa. — ...wcale ich nie potrzebuję, by cię połamać, Bernett.

Wallace pociągnął mały łyk z napelnionej do połowy czarki.

— To wspaniale, że jawnie mi grozisz. Może Irvette w końcu przejrzy na oczy.

Zwierzchnik Silvaru, który tak jak Namir upodobał sobie miejsce na ziemi, odetchnął głęboko.

— Może poskaczecie sobie do gardeł innym razem? — zasugerował ze znużeniem w głosie.

— Może pozbędziesz się trupiej głowy, która zwisa ci u pasa? — odpowiedział Namir uprzejmym tonem.

— Zanadto się do niej przywiązałem.

— A może tak omówimy sprawy, które faktycznie tego wymagają? — wtrąciła chłodno Irvette.

— Kobiety — mruknął czarny mag. — Popsują każdą zabawę.

Wallace parsknął głośno.

— Nie sądzę, byś miał z wieloma do czynienia, potworze.

Siedziała na ławce przy boku chłopaka, więc z łatwością dosięgnęła trzymanego przez niego naczynia. Raptownie uderzywszy je od spodu, sprawiła, że cała zawartość wychłupnęła Wallace'owi na nieogoloną twarz. Podskoczył nieznacznie na swoim miejscu, przy akompaniamencie śmiechu zwierzchnika.

— Ostrzegalam cię, Wallace — przypomniła Irvette. — Nie chcę słyszeć tego słowa.

Nawet w niebieskawym blasku ognia zobaczyła, jak ocierający twarz Wallace robi się czerwony ze złości.

— Jesteś naiwna i niesprawiedliwa — orzekł, sięgając po nalewkę.

Raz jeszcze do połowy napełnił trzymaną teraz między kolanami czarkę, odstawił butelkę i z wielce urażoną miną podniósł naczynie do ust.

Nie miała ochoty wdawać się po raz kolejny w tę samą, a prowadzącą donikąd dyskusję, więc nie odezwała się słowem. Napotkała spojrzenie spoglądającego przez ramię Namira, lecz odwrócił się prędko i po chwili przejmującej ciszy odezwał dużo poważniejszym tonem:

— Co chcesz wiedzieć, Irvette?

— Te demony... — zaczęła w zamyśleniu. — Czy ich dwunożna postać jest czymś normalnym?

— Racja — wtrącił od niechcienia Wallace. — Pomioty, które napadły Supras, były przerośnięte, ale żaden z nich nie wyglądał jak te z jaskini.

— Czarna magia krąży po świecie w formie energii, która karmi się chaosem — rozpoczął wyjaśnienia Namir. — Jeśli w pewnym obrębie została wzmocniona, mroczne moce czerpiącego z niej maga przybierają na sile, przez co ma między innymi możliwość przyzwania potężniejszych demonów. Jedyne nasz czarny ogień ignoruje to wzmocnienie, nie ma na niego wpływu nic o znamionach chaosu, tak jak on nie wywołuje chaosu w umysłach magów.

— Czy to właśnie z tego powodu tamten mag wysłał demony na wioskę? By nakarmić energią chaosem? — zapytała.

— Atak na Supras był z jego strony niezwykle głupim posunięciem — odezwał się tym razem zwierzchnik Silvaru. — Widać skusiła go liczba mieszkańców, ale nie spodziewał się tak skutecznego oporu. Nie zyskał niczego, czego w rzeczywistości pragnął.

— Panie... — rzekł zdumiony Wallace. — Demony zamordowały paru chłopów, raniły wielu wojowników, zniszczyły kilka budynków...

— Co jest niechybnie wielką stratą. Jednak nie dostały tego, po co zostały wysłane. Wierząc dowódcy wojowników, nie wyniosły ani jednego ciała. Wszystkie zginęły, nim zdołały cokolwiek porwać.

— Jesteś pewien? — spytał skupiony Namir. — W końcu ostatecznie udało mu się wzmocnić energię... Zaraz, czekaj... Aby wpłynąć na nią do tego

stopnia, musiał działać już od dłuższego czasu. Polował na zbłąkanych podróżnych?

— Nie spotykamy się z czymś takim pierwszy raz, czyż nie? Wiemy, jak długo można w ten sposób niepostrzeżenie mordować. Dlatego twierdzę, że napad na Supras był z jego strony wielkim błędem. Zdradził się.

— A jednak w tym samym czasie musiał mu się powieść inny atak, gdzieś na szlaku. To by również wyjaśniało obecność demona w moim lesie. Możliwe, że odłączył się od polującej grupy...

— Wystarczy. — Irvette nie wytrzymała. — Co to wszystko oznacza? Dlaczego tak ważne są ciała?

Obaj na moment ucichli. Tenare poruszył się niespokojnie, pociągnął łyk trunku.

— Sama śmierć to za mało, by wywołać chaos dostateczny do wzmocnienia energii, o której rozmawiamy — przemówił tymczasem Namir. — Chociaż wielu czarnych magów uważa, że zadawanie śmierci przynosi chwałę Varanside, a każde morderstwo z ich rąk to zemsta na Caitronie, ważniejsze jest to, co następuje dalej. Jeśli wierzyć przekonaniu, że przed uwolnieniem dusza przebywa w martwym ciele przez kilka dni, to właśnie na nią działają czarni magowie.

— Na duszę nadal zamkniętą w ciele? W jaki sposób?

— Tego nie musisz wiedzieć. Wyjaśniłem wystarczająco wiele.

— W jaki sposób? — powtórzył Wallace nagłaco.

Był blady, ale wyraz twarzy miał zawzięty. Czarny mag westchnął głęboko, chrypliwie.

— Poprzez zbezczeszczenie ciała. Nie byle jakie. Ten, który go dokonuje, musi się z tym ciałem... zjednoczyć. Są na to dwa sposoby.

— Sprecyzuj. — Chłopak nie dawał za wygraną, choć Irvette widziała, że przepelnia go trwoga.

Namir wykonał niedbały gest.

— Kanibalizm bądź nekrofilia.

Irvette nie skomentowała, choć przeniknęły ją dreszcze, gdy pomyślała, co mogłoby stać się z jej ciałem, gdyby cały pojedynek z magiem i jego

pomiotami potoczył się nie po ich myśli. Przycisnęła naczynie do ust i wdychała zapach trunku, który pomagał przegonić nieprzyjemne obrazy.

Dłużące się milczenie przerwał zdruzgotany i zgorzony Wallace:

— Przyznaj... Dopuściłeś się niegdyś jednego bądź drugiego?

Namir obrócił się powolutku. W jego spojrzeniu Irvette dojrzała wściekłość, zimną i nienawistną, spowodowaną niedorzeczną sugestią jej przyjaciela. Dziwne oczy zmrużyły się jak w uśmiechu.

— Jak myślisz, Bennett? Co trzymam w swojej spiżarni?

Powątpiewała, by jego cyniczne słowa miały służyć rozładowaniu atmosfery, więc sama zainterweniowała — w nadziei, że zapobiegnie kolejnej niepotrzebnej kłótni:

— Jeśli chodzi o mięso, to Namir mrozi głównie tuszki z zajęcy i wiewiórek, aż do znudzenia.

— Wybrednaś, pani. Może następnym razem bażant sprosta twoim gustom? Czy jednak doskwiera ci niedosyt jeszcze bardziej wytrawnego mięsa, którym wszak miałem okazję cię poczęstować?

— Zgadłeś. Tęsknię za smakiem pieczonej ludzkiej goleni.

— Ach. — Namir uniósł się do pionu i obrócił. Obrzucił spiętego chłopaka wrogim spojrzeniem z góry. Telekinezą sięgnął po butelkę nalewki, którą ten odstawił u swoich stóp. — Temu da się zaradzić.

— Właściwie — pociągnęła temat — zawsze chciałam spróbować tenarskiego mięsa.

Namir wlał nieco trunku do swojej opróżnionej czarki i pokiwał głową z uznaniem. Jednak z jakiegoś powodu jego ręce zadrżały, a spojrzenie nabrało pustego wyrazu. Wzniósł naczynie niby do toastu.

— Twoja pomysłowość, pani, nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

— Natychmiast przestańcie! — zażądał zwierzchnik.

Alkohol wkrótce pozwolił zapomnieć o przykrych przeżyciach i mrozącej krew w żyłach wiedzy. Spożyli posiłek, na czas którego Namir ukrył się w swoim składziku, a potem rozmawiali do późnej nocy, aż nieustanne sprzeczki trzech mężczyzn zaczęły ją męczyć, a zmęczenie chwycić w bezlitosne sidła. Kilka razy próbowała przekonać towarzyszy, by również pomyśleli o odpoczynku, lecz nie słuchali jej. Zdecydowała się więc na sen jako

pierwsza, nie żywiąc wielkiej nadziei, że wkrótce pójdą w jej ślady. W głowie jej szumiało, nogi miała słabe. Położyła się na kocach w ubraniu, a jej umysł szybko spowila błoga nieświadomość.

Rankiem zmieniła zwierzchnikowi opatrunek i nałożyła na jego ranę świeżą maść. Noga jego bułanki była już w dobrym stanie, a Namir cały wieczór pilnował, by trzymać się od niej z daleka. Wallace'owi wcisnęła specyfiki na ból, których tenare nie chciał przyjąć. Poleciała im, by jechali niespiesznie, bacząc na swe rany, a w O'rrior udali się do dobrej zielarki. Dodatkowo podarowała przyjacielowi miksturę na katar i duszności, którą przygotowała jakiś czas temu. Przyjął podarek z wdzięcznością i przytulił ją jednym ramieniem, najwidoczniej zapominając o urazach, jakie wobec siebie żywili. Ucieszyło ją to, bo mimo wszelkich niesnasek — nie chciała mieć w nim wroga.

Gdy odjechali, udała się nad staw, żeby wyprać ubranie i odświeżyć się. Wcześniej przez drzwi składziku powiadomiła o tym Namira. Czarna maź posklejała jej włosy i długo musiała je szorować, by pozbyć się skawalonego brudu. Kąpiel mocno ją otrzeźwiła, choć nadal czuła się nieco wczorajsza, lecz nie tak jak po wypiciu dwóch pamiętnych butelek suvis.

Powróciwszy do kryjówki, spostrzegła Namira przy stole, jak zwykle zajętego zielarską pracą. Nawet w niewielkich otworach zasłony widziała opuchliznę pod jego oczami. Wypił zdecydowanie więcej niż ona, spał za to o wiele krócej. Odziany był w czystą szatę oraz nowe nakrycie głowy. Podejrzewała, że w skrzyniach w składziku trzymał takich kilka. Nie odzywał się do niej, gdy rozwieszała pranie. Teraz, kiedy zwierzchnik oraz Wallace zniknęli z pustelni, zapanowała między nimi niezręczna atmosfera.

Irvette pomału zbliżyła się do wysokiego stołu i usiadła na jednej ze skrzyń. Namir zerknął na nią kątem oka.

— Hm. Goi się. — Wskazał na jej głowę, gdy uniosła brwi. — Twój guz — wyjaśnił.

Dotknęła skroni. Pod palcami wyczuła bolący guzik, lecz zdecydowanie mniejszy niż ostatnio. W porównaniu z obrażeniami towarzyszy wyszła ze spotkania z wrogiem praktycznie bez szwanku.

— Powinnam spojrzeć na twoją ranę — odparła bez ogródek.

Namir wyprostował się sztywno.

— Trzeba zmienić opatrunek — dodała. — Sprawdzić, czy rana się nie ogni, nie ropieje, jak przebiega proces gojenia...

— Wiem o tym. Sam się tym zajmę.

Westchnęła krótko.

— Czy naprawdę musimy raz jeszcze przechodzić przez tę rozmowę?

— Daj mi swoje głupie lusterko i sam się wszystkim zajmę. Nie ma potrzeby, żebyś znów oglądała moją twarz i narażała się na wizje.

— Będziesz potrzebował pomocy przy bandażach.

— Nie jestem niedołązny, Irvette. Co tym razem próbujesz mi udowodnić?

Patrzył na nią z góry, srogo, w nieskutecznej próbie wystraszenia jej. Nie odwracała wzroku ani na moment, aż w końcu on to zrobił. Jego ramiona uniosły się i opadły na głębokim oddechu.

— Proszę, unikajmy tego, co wcale nie jest konieczne.

Ostatecznie dała za wygraną. Przyniosła mu swoje lusterko i pozwoliła, by w spokoju oddalił się do składziku. Sama postanowiła dokończyć mikstury, których przygotowywanie rozpoczął, i tak na odmierzaczku upłynęło pół świecy. Właśnie odstawiała gotowy płyn, kiedy zastanowiła się, co zajmuje Namirowi tyle czasu, gdy ten wyłonił się zza rogu budowli. Odłożył lusterko na skraj blatu i usiadł ciężko w miejscu, które wcześniej ona zajmowała. Oparł łokcie na kolanach, ręce opuścił, zgarbił się.

— To był zły pomysł — oświadczył bezbarwnym tonem. — To jednak nie to samo co odbicie w tafli wody.

— Lepiej powiedz mi, co z raną — zażądała.

— Nie ogni się i nie rozchodzi. Sądzę, że za dwa, trzy dni będę mógł pozbyć się szwów.

— Wspominałeś, że rana pozostawi po sobie znaczny ślad niezależnie od tego, co uczynię. Co miałeś na myśli?

Namir zastygł niczym posąg. Potem jakby się ocknął, zamrugał.

— Gdy moja skóra w miejscu skażenia zostaje znacznie uszkodzona poprzez ingerencję z zewnątrz, to świństwo reaguje obronnie. Powiela się, by przetrwać, i już nie powraca do poprzedniego stanu, a jak sama dobrze wiesz, żadne specyfiki nie są w stanie zapobiec rozwojowi czarnej magii.

— Rozumiem, że doświadczyłeś już wcześniej czegoś podobnego.

Spostrzegła w jasnych oczach cień paniki, który jednak szybko zniknął. W zamian pojawiło się w nich twarde postanowienie. Z bijącym sercem obserwowała, jak Namir podciąga lewy rękaw tuniki. Czarne znamiona w postaci pasm i plam wspinały się aż po łokieć, a sięgały pewnie i dalej, choć teraz schowane były pod ubraniem. Jednak to nie samo skażenie sprawiło, że gapiała się na jego rękę w osłupieniu. Przy nadgarstku zaczynało się odrażające zgrubienie czarnej powierzchni skóry i ciągnęło się wzdłuż żyły do połowy przedramienia.

— Namirze... — zaczęła ostro, a kiedy zeszła ze swojego prowizorycznego podwyższenia i stanęła przed nim, podniósł na nią puste spojrzenie. — Co próbowałeś uczynić?

— Pozbyć się tego paskudztwa.

— Naprawdę oczekujesz, że w to uwierzę?

— Jakie to ma znaczenie? To dawne dzieje, Irvette.

— Co chciałeś...

— Nie wiem, nie mam pojęcia — warknął, gwałtownie osuwając rękaw. — Czy taka odpowiedź cię zadowala? Nie wiem, co próbowałem osiągnąć, niewiele wtedy myślałem.

Wyobrażone zimne szpony ścisnęły jej trzewia. Namir odwrócił od niej głowę, dłonie w rękawicach miał silnie zaciśnięte. Nie wiedziała, co mogłaby mu powiedzieć. Żadne słowa nie wydawały się odpowiednie. On natomiast nerwowo pomasaował kark i kontynuował, jakby wreszcie silna fala przełamała tamę, którą niegdyś sam przed sobą zbudował:

— Wydaje się, że nie pojmujesz, jak wielką masz w sobie odwagę, Irvette. Przed tobą jedynie moja matka była w stanie dotykać mojej twarzy, a i ona robiła to z przymusu. Pamiętam, jak wtedy płakała. Płakała za każdym razem, gdy musiała się do mnie nadmiernie zbliżyć. Nadal jeszcze słyszę ten płacz, jakby wrył mi się pod czaszkę. Zresztą to ona uświadomiła mi, na co wystawione są osoby, które choćby przypadkiem się o mnie otrą. To ona z dokładnością opisała mi wizje, które od tego czasu zaczęły sporadycznie nawiedzać mnie w snach. A ty... — Urwał, głośno przełknął ślinę. — Jestem ci wdzięczny za twoje starania, lecz wiem, że moje oblicze jest dla ciebie straszne

tak samo jak dla każdego innego. Wiem, że z trudem wytrzymujesz, gdy otacza cię wizja. Wiem to wszystko i nie chcę, byś kiedykolwiek więcej tego doświadczała. Bernett w jednym ma rację i wcale nie dziwię się jego niechęci. Ktoś taki jak ty powinien się trzymać ode mnie z daleka.

— Ktoś taki jak ja? — powtórzyła drżącym z przejęcia głosem. — Już drugi raz mówisz mi coś równie niedorzecznego, Namirze. Nie jestem w żadnym stopniu wyjątkowa. Pozwól też, że sama ocenię, co jest mi straszne i ile potrafię wytrzymać.

— Naprawdę nie potrzebuję twojej litości. Jestem potworem i nic tego nie zmieni.

— Przestań! — Tym razem to ona warknęła. — Nie żywię w stosunku do ciebie żadnej litości, a jeśli jeszcze raz nazwiesz się potworem, nie ręczę za siebie. Gdy mówiłam, że nie pozwolę, by ktokolwiek przypisywał ci ten przesadzony przydomek, ciebie samego również miałam na myśli.

Najpierw popatrzył na nią zdumiony, po czym roześmiał się słabo i ochryple.

— Jestem coraz bardziej przekonany, że jednak zesłała cię sama Stwórczyni. Bywasz równie zawzięta jak ona.

— I to się nigdy nie zmieni. Nie w tej kwestii.

Wyglądało, jakby uśmiechnął się za zasłoną. Potem długo się nie odzywał. Usiadła na skrzyni robiącej jej za podwyższenie. W chwili gdy Namir ponownie przerwał milczenie, oboje patrzyli w ziemię.

— Możliwe, że nie byłem do końca szczery w pewnej sprawie.

— I masz ochotę to naprostować?

Nieznacznie pokręcił głową.

— Ochoty nie mam na to żadnej, a jednak sędzę, że zasługujesz na prawdę — zaczął w ten sposób swoją opowieść, a Irvette nie komentowała i dawała mu czas na zebranie myśli, gdy z rzadka przerywał.

Zdradził, że wcale nie pochodzi z Damanor, lecz z małej wsi — Purgi. Głosem wyzbytym z emocji mówił o prawdziwych rodzicach, którzy nim gardzili i trzymali go w izbie ze świniami. Zmuszali się do poświęcania mu odrobiny czasu tylko wówczas, gdy było to absolutnie konieczne, a czas ten w żadnej mierze nie należał do miło spędzonych. Przyznał, że pamięta

z tamtego okresu więcej, niżby chciał, bo przez dotknięty i rozwinięty czarną magią umysł wspomnienia związane z wczesnym dzieciństwem są znacznie bardziej szczegółowe niż u przeciętnego człowieka. Opowiedział, jak po pewnym czasie wygnano go z wioski i niechybnie skończyłby martwy, gdyby nie interwencja maga, Lederga, który to z czasem stał mu się ojcem bliższym od tego, który go spłodził. To on przekonywał go do pielęgnowania wartości, którymi inni czarni magowie bez zastanowienia wzgardzali. To o nim i jego żonie, Tomirze, Namir wspomniał Irvette już niegdyś, podczas innej rozmowy, kiedy to szczerze wypowiedział się o wiedzy, jaką tamtych dwoje mu przekazało, a którym to dwojgu przypisał rolę rodziców... Rodziców, którymi — jak się potem okazało — byli jedynie zastępczo. Im więcej teraz mówił o Tomirze, z tym większym trudem panował nad łamiącym się głosem.

— Zrobiła dla mnie więcej niż ta, która wypchnęła mnie ze swojego łona — rzekł gorzko. — Jednak nie mogę powiedzieć, że darzyła mnie matczyną miłością. Akceptowała mnie tylko ze względu na swoją bezpłodność. Miała za złe Ledergowi, że przyprowadził jej spalone dziecko, a jednak potrzebowała dać upust swoim macierzyńskim instynktom. Odmierzacz... Pytałaś kiedyś, do czego go używam. Do niczego. Ale należał właśnie do niej.

Irvette podniosła wzrok i pojęła, że dałaby teraz wszystko, by móc zobaczyć twarz Namira. Jakkolwiek straszna by nie była, mogła ukazywać emocje jak każda inna. Chociaż dziwne oczy były zwierciadłem duszy czarnego maga, nie zawsze pozwalały na rozszyfrowanie jego myśli, które w tej chwili chciałyby poznać.

Milczenie, jakie zapadło po jego opowieści, długo unosiło się między nimi. Nie śmiała Namira dopytywać, co działo się z nim, gdy opuścił przybraną rodzinę, ani jak do tego doszło. Miała wyłącznie jakieś nikłe pojęcie o tym, że przebywał na ziemiach Aestos w czasie panującej tam zarazy — o której sama wiedziała bardzo niewiele, jako że za jej trwania była jeszcze dzieckiem — i to musiało jej wystarczyć. Uznała, iż poczeka... Być może któregoś dnia usłyszy dalszą część jego historii.

Wreszcie Namir dźwignął się z miejsca, a ona poszła w jego ślady. Oboje stali tak w pewnej odległości od siebie, nie wiedząc, co ze sobą począć.

— Tak, więc... — W chrypliwym głosie pobrzmiwała nuta zakłopotania. — ...ostrzegałem niegdyś, że zadreczanie cię opowieściami o moim nudnym życiu nie ma żadnego sensu.

Zbliżyła się o krok i sięgnęła po dłoń w rękawicy. Palce czarnego maga drgnęły wyczuwalnie. Dotkliwe ciepło i roztaczająca się wokół wizja nie zraziły jej. Uśmiechnęła się ze spokojem.

— Jestem wdzięczna za twoją nudną opowieść. Musiała cię wiele kosztować.

Zabrał dłoń, nim Irvette skończyła mówić, najpewniej nie chcąc wystawiać jej na koszarne obrazy, po czym — ku jej zaskoczeniu — mocą telekinezy poluźnił zapięcie bransolety i z wolna zsunął błyskotkę z jej ręki.

— Nie skończyłem wzmacniać jej działania.

Sztywno pokiwała głową, raptem znów spięta.

— Dobrze mi posłużyła w starciu z demonem.

— Nadal może sprawiać się lepiej.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Namir odwrócił się plecami, zgarbiony. Zastanawiała się, czy nie odejść, czy nie zostawić go w spokoju. Jednak nie zrobiła tego.

— Namirze?

— Tak? — odparł natychmiast.

— Gdy będziesz na to gotowy, możesz przestać nosić przy mnie tę idiotyczną zasłonę.

Milczał, nie poruszał się.

— Nie ma więcej potrzeby tworzenia wielkiej tajemnicy wokół twojego oblicza. Czyż nie zostało już przede mną odkryte? Ponadto, jestem na twojej pustelni gościem. Gdy mnie tu nie było, nie musiałeś dzień w dzień dusić się za materiałem.

— Jak już wspomniałem wcześniej — odezwał się po długiej chwili, nieswoim głosem — doceniam twoje starania, jednak wiem, że nie będziesz w stanie przelknąć żadnego posiłku, gdy napatrzysz się na to paskudztwo. Sam wolalbym nie oglądać obrzydzenia na twojej twarzy za każdym razem, gdy podniesiesz na mnie wzrok. Byłaś dzielna, Irvette, ale już wystarczy.

Westchnęła, odrobinę rozdrażniona. Nie mogła go winić za głębokie przekonanie o swojej brzydocie. Wygląd jego twarzy wprawiał w obrzydzenie kobietę, która wydała go na świat. Wielu innych musiał przerażać i odpychać. Ją samą przyprawiał o dreszcze.

Jednak gdy mu odpowiedziała, zrobiła to ze stanowczością:

— Nie proponuję tego, by pokazać swoją odwagę. Powinieneś raczej popracować nad własną.

— Więc nadal do ciebie nie dociera? — Nerwowo obracał bransoletę w dłoni, ręce miał opuszczone wzdłuż długiego ciała. — Dobrze, w takim razie wyrażę się odrobinę inaczej. Tak po prawdzie: srodze się zawiodłem. Liczyłem na to, że zemdlejesz. Ktoś mi kiedyś powiedział, że powinienem radować się z białogłowych padających mi do stóp. A ty nawet nie pisnęłaś.

Oddalił się szybkim krokiem, by ostatecznie zniknąć za drzwiami składziku, a ona długo zastanawiała się, czy ten gorzki żart miał na celu ją rozbawić.

Minęło kilkanaście dni od potyczki z magiem. Wyglądając przez okno ptaszarni, Wallace wpatrywał się w miejsce na murach twierdzy zwierzchnika, gdzie jeszcze niedawno, nabita na pal, sterczała pogniła, dziobana przez ptaki głowa. Nie znaleziono choćby pozostałości po kryjówce maga, ani też ciał jego ofiar. Zwierzchnik Silvaru twierdził, że szalenie prawdopodobnie spalał wykorzystane truchła czy też ich resztki i w ten sposób pozbywał się śladów. Od lasu Namira zaś grupa poszukiwawcza trzymała się z daleka. Tenare zdawali sobie sprawę, że wkroczenie do mrocznego boru oznacza zgubę, a Randis nie uświadamiał swoich żołnierzy, iż potrafił się po przeklętym terenie sprawnie poruszać.

Jednak bezowocne poszukiwania nie przyćmiły wieści o zwycięstwie. Te rozprzestrzeniały się szybko, aż dotarły również do Supras. Tenare, choć znali jedynie przekręconą wersję historii, poczęli patrzeć na Wallace'a inaczej — z większą przychylnością, a nawet pewną dozą szacunku. Fałszywość plotek o jego rzekomym udziale w potyczce z magiem jako pierwsza odkryła oczywiście Nye'ra. Nie była wcale zawiedziona i często prosiła go, by opowiadał jej, jak poradził sobie z pomiotem cienia, lub by przywoływał

w myślach wspomnienia, którym mogła bez trudu się przyglądać. Podziwiała zarówno jego, jak i Irvette (choć ta nadal była dla niej „brzydką panią”, mimo obietnic o zaniechaniu używania tego mało przychylnego przydomka). Chcąc nie chcąc, nie uniknął pokazania Nye’rze także kilku zdarzeń związanych z Namirem, a to z kolei spowodowało, że po raz kolejny zignorowała jego polecenie trzymania się od całej sprawy z daleka. Chciała nawet udać się z nim do Lasu Nie Do Przebycia, co jednak szybko wybił jej z głowy, a gdy sam znów wybierał się do kryjówki potwora, nakazał małej jak zawsze grzecznie odwiedzać koszary i trenować do jego powrotu z pozostałymi małymi wojownikami.

Teraz, chowając do metalowego pojemniczka kolejny list do ojca — zawiadamiający o dalszej konieczności pozostawania Wallace’a w królestwie tenare — sięgnął myślami do tych kilku wcześniejszych dni.

Wybrał się pod las potwora dobieć po tym, jak zwierzchnik Silvaru nabył nowy Nexam od majątnego kupca sprzedającego zaklęte przedmioty — przez co chodził potem niezadowolony przez długie świece, godząc się bardzo nieudolnie z utratą sporej sumy pieniędzy.

Chociaż nikt nie miał wątpliwości co do istotniejszego powodu jego wizyty — jaki stanowiła chęć zobaczenia się z Iv — tym razem nie był to powód jedyny. Wallace obawiał się o stan wierzchowca przebywającego w pustelni. Koń potrzebował odpowiedniej pielęgnacji, a Irvette i zamaskowany mogli mu ją zapewnić tylko do pewnego stopnia. Przywiózł więc ze sobą narzędzia, siano i zapas kiszonki z traw, żeby urozmaicić dietę zwierzęcia. Mimo sceptycyzmu ojca od dziecka chętnie pomagał odwiedzającemu dworek stajennemu, dlatego teraz nie miał problemów z choćby tak podstawowym zajęciem jak czyszczenie czy przycinanie kopyt.

Gdy uporał się ze swoim zadaniem, za które zabrał się od razu po nocy przespanej w chacie Iv, potwór pojawił się u jego boku. Wypielęgnowane zwierzę natychmiast się wycofało, nerwowo potrząsając łbem. Wallace wytrwał w miejscu, chociaż czuł ogromną chęć odsunięcia się choćby o kilka kroków.

— Jej skażenie długo nie wraca — poinformował go chrypliwy głos. — Możliwe, że wyciągnąłem je z niej całe, lecz powinna jeszcze przez jakiś czas tu zostać.

— Ależ oczywiście — odpowiedział ze skrzywionym grymasem. — A jaki dokładnie czas masz na myśli?

— Taki, który pozwoli mi upewnić się, że została uzdrowiona — padła szorstka odpowiedź.

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie tych jasnych, przerażających oczu, w które Iv potrafiła patrzeć z odwagą, na jaką on sam nie mógł się zdobyć.

— Co z jej rzekomymi magicznymi mocami?

— Póki co, nie przebudziły się. Ale na tym etapie o niczym to jeszcze nie świadczy.

Pokiwał głową, udając, że spogląda na buty w zamyśleniu, a nie ze strachu. Potwór nadal drążył go wzrokiem. Pod tym spojrzeniem skręcało mu żołądek, palce miał zimne mimo ciepłego powietrza i zebranego na nich potu. Wytarł ręce o wyjątkowo niedrogie, wełniane spodnie, jakie z rzadka przyodziewał do brudnej roboty.

— Nadal nie wiemy, kto nałożył na nią zaklęcie — kontynuował zamaskowany. — Jeśli zrobił to po to, by blokować jej moce, to w jakim celu...? A jeśli jednak Irvette ich nie posiada, czemu miało to wszystko służyć? Kiedy już ją stąd zabierzesz... Musisz mieć ją na oku, Bernett.

— Nie zamartwiaj się, Potworze z Damanor, potrafię o nią zadbać. Troszczyłem się o nią na długo przed tobą.

Nie dowiedział się, czy Namir miał w tej sprawie coś do dodania. Obaj obrócili się na dźwięk zbliżających się kroków. Irvette wyłoniła się zza frontowej ściany składziku. Wróciła znad stawu, z jeszcze mokrymi włosami. Jej aparycja wyraźnie przykuła uwagę potwora. Wallace'owi nie umknęło, jak prześliznął po niej wzrokiem.

— Czy ktoś ma ochotę na kawę? — zaproponowała.

— Zawsze — odparł zamaskowany. — Chyba jednak nie rozważasz podania napoju bogów Bernettowi?

— Bo?

— Bo nie podaje się go byle komu.

Dziewczyna westchnęła z rozdrażnieniem, zielone oczy błysnęły chłodno.

— Dajże mu spokój, Namirze.

— W porządku, Iv, nie musisz stawać w mojej obronie. To mi uwłacza.

— Nie staję w niczyjej obronie. Próbuję jedynie zażegnać konflikt dwójki wyrosłych bachorów.

Potwór roześmiał się; dźwięk był tak nieprzyjemny, że tym razem Wallace odsunął się na bok.

— Powiedz mi, Bernett: zawsze była taka pyskata czy to wpływ mojego mało czarującego towarzystwa?

— Zawsze, ale przy tobie chyba się jej pogorszyło.

Irvette najpierw powoli uniosła brwi, zmierzyszy ich obu czujnym spojrzeniem, po czym skryła uśmiech za dłonią i odwróciła się — na odchodne rzuciła coś o przygotowaniu kawy dla wszystkich. Gdy Wallace zastanawiał się, czym właściwie jest ta cała „kawa”, Namir ruszył za dziewczyną, by poinformować ją odrażająco pogodnym tonem, że ukończył pracę nad wzmacnianiem bransolety.

Czuł się nieswojo, gdy sięgał pamięcią do tej dziwnej rozmowy, równie niemal niekomfortowo jak na wspomnienie koszmarów, które karmiły się jego najgorszymi obawami. Spory już czas temu sny o opierającej się potworowi dziewczynie zmieniły się bowiem w takie, w których z chęcią mu się oddawała — a choć Wallace widział tylko tył paskudnej głowy, zawsze miał przekonanie, że na ukrytej przed jego wzrokiem twarzy kwitnie podstępny uśmiech...

Westchnąwszy z irytacją, pogłaskał kruka po czarnej główce. Już kilkukrotnie powstrzymywał się przed nawtykaniem ojcu w listach, a w szczególności przy okazji pierwszego, w którym to powiadomił go, że otrzymali pomoc dokładnie taką, jakiej ten się spodziewał. W końcu to on skierował jego i Iv do zwierchnika, podejrzewając, jakie ten zaproponuje im rozwiązanie. Był w dużej mierze odpowiedzialny za to, że dziewczyna trafiła w łapy zamaskowanego. Pomocne, ale wciąż wstrętne i niebezpieczne łapy.

Wypuściwszy ptasiego posłańca przez okno, wreszcie skierował się na dziedziniec. Tam, przed stajnią, spotkał zwierchnika Silvaru. Tenare był już w pełni sprawny po zdjęciu szwu i kuracji zielarskimi maściami — na miejscu rany pozostał jedynie nieznaczny ślad. Równie bezproblemowo poradził sobie z rozległym stłuczeniem Wallace'a. Jego łokieć czasami nadal poboлеwał, lecz mógł nim bez przeszkód poruszać i nie obawiał się dźwigać.

Był pod wrażeniem tego, jakich cudów dokonywały zielarki przy użyciu swoich specyfików, a w te gorące dni z pewnością miałby zatknięty nos — jak to zawsze o tej porze roku — gdyby nie mikstura wzmacniająca od Irvette.

— Wybierasz się do koszar? — zapytał zwierzchnik, gdy już przywitali się skinieniami głów.

— Nye'ra już pewnie na mnie czeka. Pozostałe dzieciaki zresztą też.

Tenare uśmiechnął się szarymi ustami.

— Kto by pomyślał, że tak cię polubią.

— Z pewnością nie ja. — Przechylił się ku wyższemu mężczyźnie i dodał przyciszonym głosem: — Cóż, żywią błędne przekonanie, że pomogłem ci, panie, zabić maga, a ja muszę zmyślać na poczekaniu barwne historyjki. Nie powiem, że nie schlebia mi ich szacunek, a jednak wolałbym, by darzyły mnie nim za prawdziwe zasługi.

Tenare poklepał go uprzejmie po plecach.

— Cała nasza czwórka przyczyniła się do śmierci tego szaleńca, mniej lub bardziej. Nie zadrećzaj się, chłopaku, walczyłeś dzielnie.

Skinął ponownie, bez przekonania, i odszedł o dwa kroki, gdy nagle zwierzchnik zawołał go po imieniu, co zdarzało się niesłychanie rzadko. Wallace odwrócił się i popatrzył na niego wyczekująco.

— Mam nadzieję, że niedługo zabierzesz stąd swoją dziewczynę. — W głosie tenare usłyszał niepokój. — Żyję ponad sto trzydzieści cykli, a to już połowa tenarskiego życia, walczyłem w Wielkiej Wojnie, modliłem się do Mestyrii, by nie wpuściła do Caelterry zarazy dziesiątkującej Aestos, ale ty, chłopak z Vaspern, zapewne niewiele o niej wiesz... Zaś po tym, czego swego czasu doświadczyłem u boku Namira, wybacz, że nie wdam się w szczegóły, sądziłem, że nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Jednak ta dziewczyna jest niesłychana. Mierzy się z przekleństwami tego potwora z niesamowitą odwagą i jestem przekonany, że stała się w jego oczach kimś niezwykłym.

— I niepokoi cię to, panie?

— Wróży kłopoty.

Wallace przelknął ślinę.

— Więc nie dziwisz się już, panie, moim podejrzeniom?

— Twoje podejrzenia mnie nie tylko dziwią, ale i bawią. — Raptem tenare skrzywił się w grymasie. — Z wyjątkiem chwil, kiedy mnie brzydzą. Ach, przez ciebie, chłopaku, moja głowa jest pełna obrazów, których wcale nie chcę oglądać.

— Skoro tak bardzo wątpisz w nieczyste zamiary tego potwora, panie, co takiego próbujesz mi powiedzieć? — zapytał Wallace, tracąc cierpliwość.

Tenare spowaźniał.

— Nie sądzę, by ktokolwiek przed nią dawał mu tyle akceptacji. Być może akceptacja ta jest dla niego jednym ze skarbów, jakie chowa po swojej pustelni wśród stert tych wszystkich rupieci. A skarby mają to do siebie, że prędzej czy później traci się przez nie rozum.

— Jeszcze nie tak dawno, panie, próbowałeś mnie przekonać, że należy temu potworowi zaufać. — Wallace nie zapanował nad oskarżycielskim tonem.

— Owszem. I nabrałem przekonania, że w wielu kwestiach jest tego zaufania godny. Przy okazji innych kwestii natomiast nie mogę pozbyć się obaw. Możliwe, że niesłusznych. Miejmy nadzieję, że niesłusznych...

Słońce wspinało się coraz wyżej na nieboskłon i po dziedzińcu zaczęło kręcić się więcej służby oraz straży. Wallace uznał, że to odpowiedni czas, by zakończyć tę rozmowę. Wtedy to od głównych wrót twierdzy dobiegły ich jakieś hałasy. Ktoś przemawiał donośnie, domagając się widzenia ze zwierzchnikiem Silvaru. Ten przysłuchiwał się przez chwilę całemu zamieszaniu, po czym skinął przyzwalająco głową i ruszył z miejsca. Wallace podążył w ślad za nim.

Trójka strażników u wrót blokowała wejście dziwnemu przybyszowi, prowadzącemu ze sobą potężnego wierzchowca o srebrnej maści. Kilku innych obserwowało scenę z boku, dzierżąc broń w pogotowiu.

Wallace nigdy wcześniej nie widział żadnego mieszkańca i nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak mógłby wyglądać owoc związku tak odmiennych ras. Teraz miał go tuż przed sobą.

Mężczyzna o brzoskwiniowej cerze, wysoki podobnie jak tenarscy strażnicy, miał smukły tułów, lecz szerokie i umięśnione ramiona. Skórzana zbroja przylegała do wypiętej piersi, stalowe naramienniki błyszczały w słońcu, jeszcze bardziej uwidaczniając osobliwe proporcje silnej postury. Zza barku

sterczał mu jakiś podłużny przedmiot owinięty w solidny płócienny pokrowiec. Uszy przybysz miał obwisłe, oczy duże i ciemne, a twarz pociągłą. Boki głowy były wygolone, a pozostawione na czubku włosy — srebrne jak skały. Opierał dłonie na biodrach i uśmiechał się szeroko, obnażając zęby.

Zwierzchnik Silvaru przyglądał się mieszkańcowi bez słowa. Tymczasem jeden ze strażników obrócił się raptownie i zbliżył do Randisa długimi krokami.

— Mój panie, ten mieszany kundel twierdzi, że ma sprawę niecierpiącą zwłoki.

Mieszaniec nie przestawał się szczerzyć.

— Patrzysz tak, jakbyś mnie poznawał, mój panie — zwrócił się do zwierzchnika, doskonale wysławiając się po tenarsku. — A jednak ja widzę cię po raz pierwszy. Co oznacza, że moja sława jednak mnie wyprzedza. Choć ci tutaj zdają się nic o mnie nie wiedzieć.

— Mylisz się. — Strażnik ośmielił się, ponownie stając naprzeciw przybysza. — Doskonale wiem, kim jesteś, Drinelu z rodu Nigrasval. Właśnie dlatego powinienes stąd odejść.

— Wystarczy. — Zwierzchnik zmierzył swoich żołnierzy, jednego po drugim, a każdy z nich, choć byli wielkimi osilkami, skulił się pod jego srogim spojrzeniem. — Zabierzcie mu broń i zostawcie nas.

Drinel z westchnięciem odczepił od pasa szeroki miecz ukryty w skórzanej pochwie i bezceremonialnym gestem wręczył go strażnikowi. Tenare zmrużył oczy i energicznym ruchem głowy wskazał na spoczywający na plecach mieszkańca przedmiot.

— To, żołnierzu, drogocenna sztuka przeznaczona jedynie dla oczu pana Silvaru. — Drinel sięgnął na plecy po podłużny płócienny pakunek i bez pośpiechu zsunął go z siebie. Strażnicy, choć z wahaniem i nadal czujni, usunęli się z drogi. Zwierzchnik odebrał podarek i pomacał ukryte pod materiałem kształty. W zamyśleniu kilkoma spokojnymi gestami i jedną szorstką komendą odprawił swoich tenare, lecz kompletnie zignorował obecność Wallace'a.

— Wielokrotnie spotykałem się z niechęcią, nawet wśród pielgrzymów, a jednak twoja straż, mój panie...

— Czy trzymam teraz to, o czym myśle? — przerwał uśmiechniętemu mieszkańcowi zwierchnik, acz zrobił to szeptem. — Masz rację — dodał. — Poznałem cię. A raczej zgadywałem, kim jesteś, sugerując się zasłyszаныmi opowieściami. Zgaduję również, że przybywasz ze Świątyni Caitriony, więc nie mogę się mylić co do natury tego przedmiotu.

Rysy na twarzy Drinela stwardniały. Milczał znacząco.

— Czy powinienem się oddalić? — zapytał Wallace formalnie, po tenarsku, chociaż był zbyt zaintrygowany sprawą, by tak po prostu odejść.

Zwierchnik przecząco pokręcił głową. Mieszaniec jeszcze chwilę się zastanawiał, a następnie przemówił przyciszonym głosem:

— Nie mylisz się, mój panie. Pozwolę sobie zasugerować, byśmy powody mojego przybycia omówili w bardziej ustronnym miejscu, a na razie zdradzę ci tylko jedno. Mam podstawy sądzić, że wiesz coś o ognistej dziewczynie o miękkim sercu.

Epilog

Pierwsze dni pory suchej zapowiadały zbliżające się leniwie upały. Obszar zajmowany przez mokradła kurczył się nieubłaganie. Ogródek na pustelni obfitował w zioła i warzywa, mroczny las porastał barwną roślinnością, wskutek czego odrobinę tracił ze swej złowieszczości. Na skraju polany, wśród niższych drzew, odzywały się ptaki, posyłając w niebo słodkie pieśni.

Czas mijał im rutynowo. Na warzeniu mikstur, produkowaniu maści, nauce tenarskiego i przygotowywaniu szczepów. Od czasu do czasu wybierali się w gęstwiny boru po zapasy ziół. Chociaż Namir nadal nie chciał dziewczyny narażać, a w głowie cały czas miał wspomnienie grasującego niegdyś po lesie demona, żywił coraz silniejsze przekonanie, że Irvette jest w stanie się obronić — nawet bez jego pomocy.

Tego ranka spała dłużej niż zwykle. Wiedział, że nie wyszła jeszcze z chaty — zaobserwowałby to, sam bowiem pół nocy przesiedział na podwórku. Na pryczy w składziku było mu jakoś niewygodnie — na przemian rozkopywał zwierzęce skóry i nakrywał się nimi po nos, rzucał się z boku na bok, między bruzdami i zgrubieniami na twarzy czuł klejący się pot. Nie mógł zmrużyć oka, choć był tak zmęczony, że nogi zaplątały mu się w okrycie, gdy schodził z siennika.

Zirytowany bezsennością, ochlapał się wodą z misy stojącej na jednej z wysokich skrzyń, odział się i zdecydował zaparzyć sobie kawę. Na łonie natury rozkoszował się niespiesznie smakiem gorzkiego napitku. Najpierw wypił jeden pucharek, potem drugi i trzeci. Rano wyjątkowo nawet nie przyszło mu do głowy, by przygotować strawę, a na zielarskiej pracy nie mógł się skoncentrować. Siedział beczynnym na ławce z kamiennej masy, ciało miał odrętwiałe, a jego myśli błądziły, wymykając się spod kontroli.

Powiódł palcami po schowanej za materiałem skroni. Rana po potyczce z magiem zasklepiła się, pozostawiła jednak znaczne ślady w miejscach czarnych znamion, tak jak przewidział. Na nieskażonych fragmentach skóry zachował się jedynie blady, cienki pasek blizny, tak czy siak ledwo zauważalny pośród licznych bruzd.

Dłoń Namira zadrżała, gdy zacisnął ją na zasłonie. Emocje, jakie rodziły się w nim na wspomnienie dotyku dziewczyny na swojej wypaczonej skórze, były zbyt intensywne, by je zatrzymać. Zdumienie jej śmiałością, strach przed tym, co rzeczywiście o nim myślała, wstyd bycia obnażonym... wszystko to sprawiało, że tępy ból pulsował mu w skroniach. Wiedział, że jego oblicze napawało ją odrazą, a jednak robiła wszystko, by udowodnić mu, że akceptuje jego brzydotę. Narazając się na wizję, dokładnie oczyściła jego wstrętną skórę, pozszywała go i obandażowała jak każdego innego rannego. Pozwolił jej na to wszystko i wstyd palił go za każdym razem, gdy przypominał sobie owo zdarzenie. Powinien był wyręczyć ją chociażby w bandażowaniu... Nie! Powinien stanowczo odmówić pomocy, nawet kosztem narażenia rany na zaognienie czy ropień. Dziewczyna tymczasem posunęła się do sugestii, żeby w ogóle darował sobie ukrywanie twarzy w jej obecności! Tego tym bardziej nie mógł jej uczynić. Ani sobie.

Dźwignął się z ławki i skierował w stronę ogródka. Uznał, że skoro nie potrafi zapanować nad myślami — widać bardziej natarczywymi po nieprzespanej nocy i wypiciu kilku kaw — a przygotowanie jedzenia czy mikstur okazuje się raptem zadaniem wymagającym zbyt wielkiego skupienia, być może zajmie ręce chociaż wrywaniem chwastów. Gdy jednak znalazł się w pobliżu chaty, do jego uszu dotarły słabe jęki. Ledwo je usłyszał, lecz wystarczyły, by wzbudzić w nim niepokój.

Wpadł do środka bez pukania — przekonany, że zastanie Irvette wijącą się z bólu, ze skażeniem rozlewającym się na ramieniu. Zatrzymał się w drzwiach, napotkawszy zgoła inny widok...

Leżała na łóżku wśród rozkopanych koców, rzucając się z boku na bok. Czoło miała zmarszczone, powieki silnie zaciśnięte. Zawodziła i lkała, chociaż po jej policzkach nie płynęły łzy. Włosy, rozrzucone w nieładzie, plątały się

na jej ściągniętej twarzy. Halka bez rękawów odsłaniała ramiona — ukazywała zupełnie zdrową skórę.

Czarny mag odczuwał narastającą w sobie panikę. Nie widział objawów choroby, a jednak z Irvette działo się coś niedobrego. W dwóch krokach zbliżył się do pryczy, lecz gdy tylko wyciągnął dłoń z zamiarem potrząśnięcia dziewczyny telekinezą, ta uspokoiła się. Nie od razu, lecz przestała się wiercić, a wydobywające się z jej ust pojękiwania — ucichły. Oddech powoli wracał do normy.

Namir patrzył na nią w osłupieniu, nie mogąc się zdecydować na żaden ruch. Cokolwiek ją dopadło — minęło. Powiódł wzrokiem po jej drobnej sylwetce, lecz nie znalazł oznak niczego niepokojącego. Przyjrzał się z daleka jej skroni. Po guzie nie było już najmniejszego śladu, ale zamaskowany nadal miał sobie za złe, że nie zrobił nic, aby złagodzić obrzęk, gdy ten się pojawił. Po tym, co wówczas zrobiła, nie ośmielił się sięgnąć dłonią w okolice jej twarzy.

Nie pierwszy raz wchodził do chaty bez jej wiedzy, podczas gdy ona spokojnie spała. Wiele razy tak było, kiedy przynosił jej poranną stawę. Jednak zawsze ulatniał się natychmiast, jedynie pobieżnie rzuciwszy na nią okiem. Teraz, długo się jej przyglądając, poczuł nagłą potrzebę zakrycia jej ciała czymkolwiek. Złapał więc za krawędź odrzuconego na bok koca i ostrożnie rozpostarł go na skulonej figurze. Potem odszukał stojący nieopodal taboret i opadł na niego ciężko.

Powinienem wyjść — pomyślał.

Jednak patrzył na piegowatą, pogrążoną we śnie twarz, nie mogąc dać wiary zaistniałej sytuacji. Tak wiele dni minęło, odkąd dziewczyna wtargnęła do jego życia i wywróciła je do góry nogami. Tak wiele dni minęło, a do niego dopiero docierała niezwykłość tych chwil, których przy niej doświadczył. Sam fakt, że wytrwała u jego boku tak długo, choć w dużej mierze z przymusu, zadziwiał go niezmiernie. Przyjęła jego pomoc i była jego uczennicą. Słuchała go, ceniła jego wiedzę. Zaoferowała życzliwość, na którą nikt inny się nie ośmielił. Jak mógłby wierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę?

Stała pośrodku wielkiego pobojuwiska. Wszystko trawił ogień. Czarne płomienie z niebieską poświatą wspinały się po wzgórzach i tańczyły w dolinie, pożerając rozrzucone wokół ciała. Truchła zaścielały ziemię tak daleko, jak sięgał jej wzrok. W oddali, po zakrytym kłębam dymu niebie fruwała bestia. Ogromny czarny smok, którego potężne skrzydła rozdmuchiwały szare obłoki. Łopotu wytwarzanego przez błoniastą skórę nic nie było w stanie zagłuszyć, nawet silnie gwiżdżący wiatr. Gdy smok ryczał, trzęsła się ziemia, a moment później ciemne niebo rozjaśniał niebieskawy blask. Bestia szybowała dokoła, śląc w dół strumienie śmiercionośnego ognia. Skowyty wijących się ofiar docierały do Irvette z każdej strony.

Nie odczuwała strachu. Jej serce biło miarowo, była przepelniona spokojem i pewnością. Spojrzała na dłoń, w której dzierżyła miecz. Rękojeść z szarego plamiastego tworzywa mieniła się w blasku bijącym od klingi, którą zdawało się kształtować samo światło, srebrzyste jak księżyc w pełni. Lekka kolczuga spoczywająca na jej ciele lśniła w półmroku. Przezroczysta tarcza o owalnym kształcie zasłaniała ją od kostek niemal po samą głowę.

Potoczyła wzrokiem wokoło, nasłuchując zawodzenia konających. Smród bijący od skwierczących ciał mieszał się z duszącym dymem, lecz ani razu się nie zachłysnęła. Drapało ją w gardle, a jednak nie czuła potrzeby odchrząknąć.

Dalej, pośród ciemnych kłębów, ujrzała wysoką postać w powłóczystej szacie, zwróconą do niej plecami. Nie zastanawiając się wiele, ruszyła w jej stronę. Pewnie kroczyła pośród płonących ciał. Stąpała między nimi, a czarny ogień lizał jej stopy, sięgał łydek i kolan. Ciepło było dotkliwe, a jednak nie parzyło. Płomienie łaskotały ją, jakby była ich panią, a gdy któryś z jezorów zetknął się ze świetlistą klingą, uginał się i skręcał, znikał.

Kiedy wreszcie znalazła się parę stóp od upiornej sylwetki, ta obróciła się w jej stronę, cofnęła raptownie i zasłoniła przed bijącym od niej blaskiem.

Irvette dała krok naprzód.

Namir wykonał jeszcze jeden w tył.

Potem padł na jedno kolano, jakby zgięła go słabość. Ryk bestii rozległ się raz za razem, leżące dokoła zwłoki żarzyły się jak zwęglone drewna w wielkim ognisku...

Wtem dziewczyna poczuła tak przeszywający ból, że miecz wypadł jej z ręki! Na usłanej popiołem ziemi wylądowała sama rękojeść, klinga zgasła. Tarcza również zniknęła, mimo że Irvette nie wypowiedziała ani pół słowa, by ją odwołać. Chwyciła się za nadgarstek — skóra ramienia piekła i mrowiła, pulsowała ukrytym wewnątrz światłem, choć nie tak oślepiającym jak to pochodzące z miecza.

— Ręka — usłyszała warknięcie Namira.

Nadal przed nią klęczał, wyraźnie osłabiony. Ledwie wyciągnęła ku niemu dłoń, a on chwycił ją za łokieć w silnym uścisku długich palców. Gdy w zamian również złapała jego rękę, srebrzyste światło roztoczyło się od ich dwójki i popłynęło po ziemi i ponad nią, pulsując w powietrzu, pochłaniając zwłoki, docierając do zakrytego kłębiskami dymu nieba. Tym razem smok zaryczał jak raniony. Wśród wszechobecnej światłości Irvette z trudem dostrzegła, jak wielkie cielsko spada na ziemię... Rozległ się huk, podłoże zatrzęsło się raz jeszcze.

Blask ustawał powoli. Najpierw odsłonił bezchmurne niebo, następnie zielone, czesane wiatrem wzgórza, a wreszcie dolinę, w której się znajdowali. Po płomieniach i trupach nie było śladu.

Irvette w oszołomieniu spjrzała na czarnego maga. Różnego rozmiaru oczy lustrowały ją bacznie. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Namir nie ma na sobie zasłony, lecz nie pamiętała momentu, w którym ją zdjął. Nie poczuła strachu czy obrzydzenia, choć szkaradne oblicze miała tuż przed sobą. To, co niegdyś sprawiało, że na jej ciele budziły się zimne dreszcze, w tej chwili zdawało się niezwykle w swojej niedoskonałości. Podłużna twarz o nosie ze skrzywionym grzbietem przywodziła na myśl drapieżnego ptaka.

Ocknęła się gwałtownie, głośno łapiąc oddech. Wnętrze chaty mazało się jak farby rozchłapane na płótnie, oczy miała ciężkie, drapiący koc naciągnięty po szyję, ciało spocone. Poczucie wewnętrznej harmonii, jakie towarzyszyło jej we śnie, opuściło ją raptem, serce jej załomotało. Rozejrzała się półprzytomnym wzrokiem i podciągnęła się prędko na łokciach, gdy spostrzegła Namira siedzącego na taborecie przy łóżku. Zaskoczona, przycisnęła do siebie koc i przesunęła się na prycy, tak by znaleźć się dalej od niego.

Czarny mag oparł plecy o skalną ściankę usytuowanego w pobliżu kominka i odwrócił wzrok. Cisza, która między nimi zawisła, wprawiła Irvette w dyskomfort.

— Nauczyłbyś się kiedyś pukać, Namirze — odezwała się głosem lekko zachrypniętym po pobudce. — Inaczej naprawdę uznam cię za zbereźną świnię i podglądacza.

Prychnął cicho, skrzyżował ręce. Zgadywała, że się uśmiechał. Skręciło jej żołądek, gdy pomyślała o ukrytej za zasłoną twarzy. Próbowwała przywołać uczucie, które rodziło się w niej na widok jego oblicza jeszcze chwilę temu, we śnie, lecz nie potrafiła.

— Gdybyś nie jęczała przez sen, nie byłoby mnie tu. — Niezręcznie wzruszył ramionami. — Sądziłem, że znów dopadło cię skażenie, ale wygląda na to, że raczej nawiedziły cię jakieś straszne koszmary. Czy powinienem martwić się o siennik?

Wykrzywiła usta, lecz nie odpowiedziała mu. Cały czas trzymając koc kurczowo przy sobie, sięgnęła dłonią do twarzy i potarła powieki. Bicie jej serca powoli się uspokajało, ale w głowie jeszcze szumiało.

Namir odchrząknął, pomasaował się po karku.

— Nie obrażaj się jak dziecko, stroję sobie żarty.

Pokręciła głową, oczami wyobraźni nadal widziała powidoki ze snu.

— Gdyby twój głupi żart naprawdę mnie uraził, nie omieszkałabym czymś w ciebie rzucić.

Czarny mag potarł dłońmi o kolana, po czym dźwignął się z miejsca i wyprostował.

— Skoro wszystko z tobą w porządku... — Wykonał ręką nerwowy ruch i skierował się do wyjścia.

— Zaczekaj — szepnęła po chwili zastanowienia.

Zatrzymał się pośrodku chaty. Zupełnie jak we śnie, zwrócony plecami, czekał. Zbierając się na odwagę, zsunęła nogi z siennika i wydostała się spod koca.

— Coś nie tak, Irvette?

Zbliżyła się do niego i z wahaniem sięgnęła do jego ramienia. Ledwo go tknęła, natychmiast się odsunął. Nie zobaczyła ani jednego palącego się ciała.

Nie spostrzegła najbledszego choćby mrugnięcia płomienia. Chcąc się upewnić w swoich podejrzeniach, jeszcze raz wyciągnęła ręce, lecz tym razem Namir obrócił się ku niej z warknięciem:

— Co ty wyprawiasz?!

Wwiercał się w nią wzrokiem jasnych oczu, ale nie dała się zastraszyć. Chwyciła jego dłoń, zacisnęła na niej palce... Nie napotkała żadnej wizji. Dotkliwe ciepło, które przeważnie paliło przez rękawice, teraz stało się przyjemne i delikatne. Namir szarpnął się w tył, ale stanowczo złapała go obiema rękami ponad nadgarstkiem.

— Wizje — szepnęła zduszonym z przejęcia głosem — zniknęły.

Znieruchomiał i wytrzeszczył na nią oczy.

— Co takiego...?

— Zniknęły!

Jeszcze raz zsunęła palce na jego dłoń, teraz drżącą.

— To niemożliwe. To jakieś brednie. Czemu próbujesz...

— Proszę, czy możesz zdjąć rękawicę?

Długo jej nie odpowiadał, nieruchomy jak głaz. Lustrował ją z niedowierzaniem, stopniowo zmieniającym się w ogromne zdumienie. Uśmiechała się do niego kącikami warg, choć była tak samo zszokowana. Coś w wyrazie jej twarzy musiało go przekonać, wysunął bowiem dłoń z uścisku jej palców, zdjął rękawicę i bez pośpiechu schował ją do kieszeni.

Głośno wciągnął powietrze, gdy dotknęła jego gołej, częściowo skażonej skóry. Wizje nadal się nie pojawiały.

— To niemożliwe... — powtórzył ledwo słyszalnie.

Trzymała dużą dłoń w obu swoich, przesuwała po niej opuszkami, nie bała się zetknięcia z czarnymi znamionami.

— Nie rozumiem... — mamrotał czarny mag. — Dlaczego...

Drżącym, niepodobnym sobie głosem zaczęła mu opowiadać o swoim śnie. Stali tak naprzeciw siebie pośrodku izby, owładnięci emocjami, oszołomieni. Mało ją obchodziło, że jest w skromnej halce i pantalonach, że jej bosa stopy przylegają do zimnego podłoża ze skalnej masy. Zdradziła mu niemal każdy szczegół, nie wspomniała jedynie o uczuciach, jakie we śnie wzbudziła w niej jego twarz. Nie uwierzyłby, uznałby, że sobie z niego kpi.

Powoli zabrał dłoń, której dotąd ani na chwilę nie puszczała. Z wahaniem dotknął jej ramienia i zaraz wykonał długi krok w tył. Potrząsnął głową.

— Nie... Nie ma takiej magii...

— Też o tym pomyślałeś, prawda? — Gardło miała jeszcze ściśnięte. — Skażenie nie pojawiło się od długiego czasu. Istnieje możliwość, że właśnie budzą się we mnie moce...

— Nie ma takiej magii — powtórzył. — Nie ma mocy, która byłaby w stanie zwalczyć moje przekleństwo.

— Więc jak inaczej to wytłumaczysz?

Ponownie pokręcił głową.

— Nie wiem. Nie wiem... Nie potrafię zrozumieć. Muszę... Przejrzę księgi. Coś na pewno znajdę. Jakikolwiek wyjaśnienie...

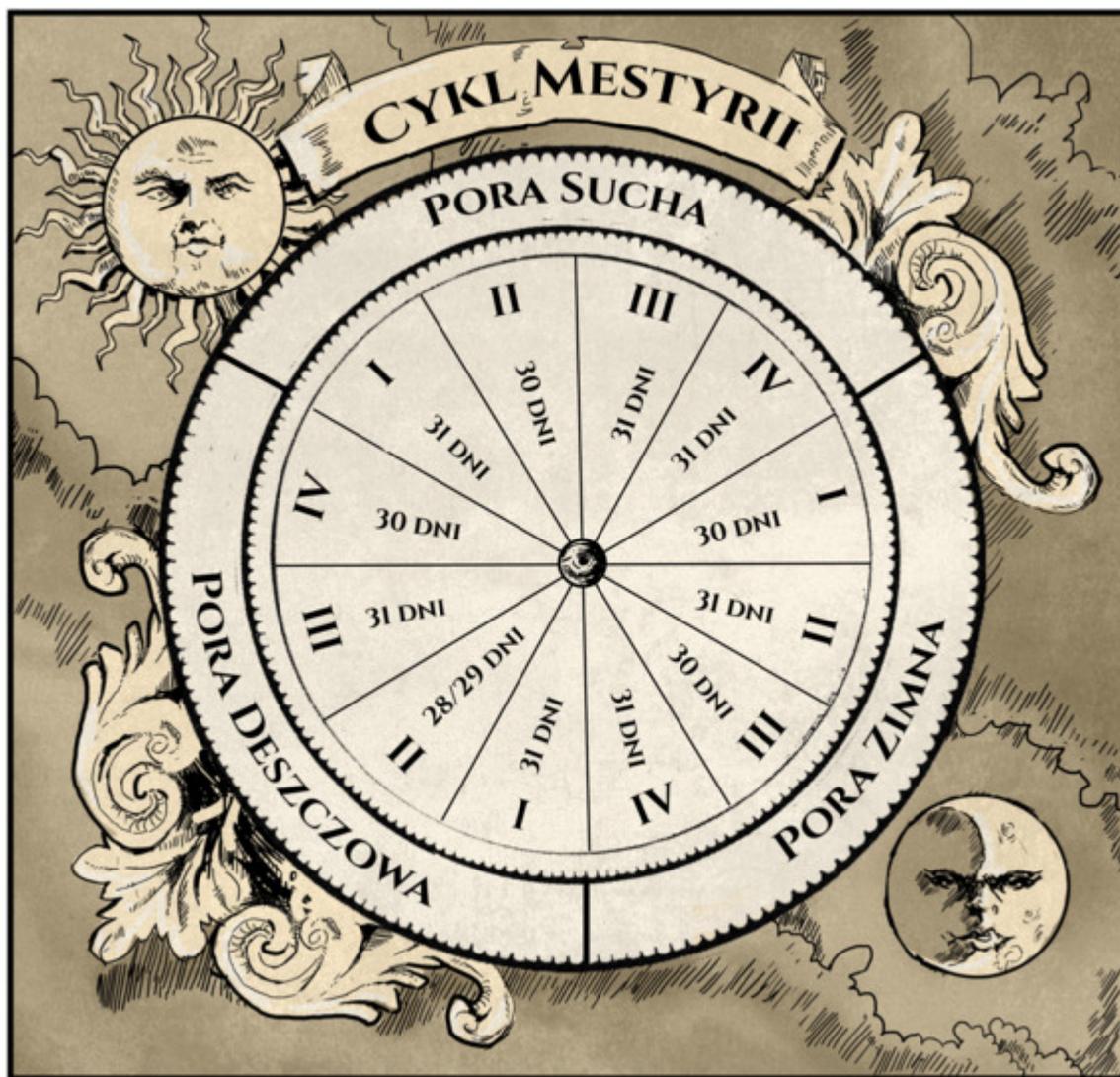
Wypadł z chaty w pośpiechu, zostawił Irvette samą z myślami. Na słabych nogach wycofała się do pryczy i usiadła ciężko. Rozmasowała ramię, niegdyś bolące od skażenia, we śnie zaś pulsujące srebrzystym światłem schowanym pod skórą. Z bijącym sercem wspomniała rozmowę nad ogniskiem:

Czy to zasługa bogów, czy demonów, nasze drogi przecięły się nie bez powodu.

Słownik

abssede — zniknąć
aestos — odpływ, przyptyw, pływy morskie
caelte — niebo
caligae — mrok, ciemność
canta — zaklęcie, czar
castias — czystość
drin — smok
ersus — w kierunku, ku
etas — faza
flamme — ogień
herbas — ziele
ierat — zły, gniewny
ledare — zabójczy
madius — mokry, ale też: pijany
male — przekleństwo, klątwa
mestyrius — tajemniczy, tajemnicza
moec'ha — przekleństwo: kurwa mać
nexam — połączenie
nive — śnieżnobiały, śnieżnobiała
nivelos — śnieżny
nyepha — nimfa, piękność
o'bex — bariera, tama
o'rior — wschodzić, pojawiać się (jak słońce na horyzoncie)
ranidus — zepsuty, zepsute
seremo — rozmowa

sidas — gwiazdozbiór
silvar — las
Spellium — grabież
stala — gwiazda
supras — nad, powyżej
suraditas — głuchota
suvi — miód
tegul — cegła
ter — droga
umbros — cienisty
vale! — do widzenia, pożegnanie
varanas — jaszczurka
vasp — zachód słońca



Cykl Mestyrrii

cykl — miara czasu odpowiadająca pełnemu rokowi; dzieli się na trzy pory: suchą, deszczową i zimną

faza — miara czasu odpowiadająca jednemu miesiącowi

świeca — miara czasu odpowiadająca jednej godzinie

Rasy i mieszkańcy

ludzie — rasa ludzka zamieszkująca tereny Vaspern, Nivelos, Aestos i Cesarstwa Luxy; poruszają się również po Caelterze, jednak rzadko osiedlają się na jej terenach

tenare — długowieczna rasa istot zamieszkująca tereny Caelterry, cechująca się niezwykłą koneksją z żywiołem ziemi

mieszkańcy — pół ludzie, pół tenare; pomieszanie cech obu ras jest zwykle na tyle widoczne, że trudne do ukrycia

kapłani — szanowana wśród ludzi klasa społeczna, opiekunowie świątyń, pośrednicy w kontakcie z bóstwami

magowie — klasa społeczna ciesząca się największym szacunkiem zaraz po kapłanach; posiadacze magicznych mocy: żywiołu i zdolności umysłu

mieszczanie — zamieszkują miasta; trudnią się głównie handlem, rzemiosłem i usługami, najbogatsi z nich to kupcy oraz bankierzy

chłopi — mieszkańcy wiosek i zarazem najniższa klasa społeczna (zarówno u ludzi, jak i u tenare); zajmują się zbieractwem, rolnictwem i hodowlą zwierząt

Strzegący — specjalne oddziały tenare chroniące podziemne tunele przed pomiotami cienia wydostającymi się z trzewi ziemi

żołnierze — tym mianem określani są zarówno strażnicy miejscy, małe oddziały należące do diuków, baronów i zwierzchników, jak i naczelnicy oraz strażnicy stacjonujący w fortach i wartowniach

wojownicy — tak nazywają siebie ci tenare, którzy zawiązują oddziały strzegące zamieszkiwanych przez siebie wiosek



Krainy i ich bogowie

Nivelos → Nive

Aestos → Madius

Vaspurn → Calige

Cesarstwo Luxy → Flammeth

Caelterra → Mestyria

Wyspa Belagos → Nive

Mestyria jest uznawana przez tenare za jedyne boga. Ludzie zaś (za wyjątkiem Luxan) czczą ją jako stwórczynię świata i panią pozostałych, pomniejszych bogów.

Miasta, wsie i inne istotne lokalizacje

Cirem

Damanor

Góry Szkarłatne

O'rior

Purga

Rzeka Una

Sabmons

Supras

Świątynia Caitriony

Teglur

Tsetoh

O autorce

Martyna Goszczycka (1991) — absolwentka kierunku pedagogicznego Warszawskiej Wyższej Szkoły Humanistycznej im. Bolesława Prusa; w trakcie studiów badała temat: *Literatura fantasy w edukacji. Twórczość, bohaterowie, wartości*. W roku 2012 jej opowiadanie pt. *Obląkana* ukazało się w antologii wydawnictwa RW2010 oraz w czasopiśmie CD-Action. Autorka powieści fantasy: *Odrodzenie* (2015) i *Potępienie* (2015).